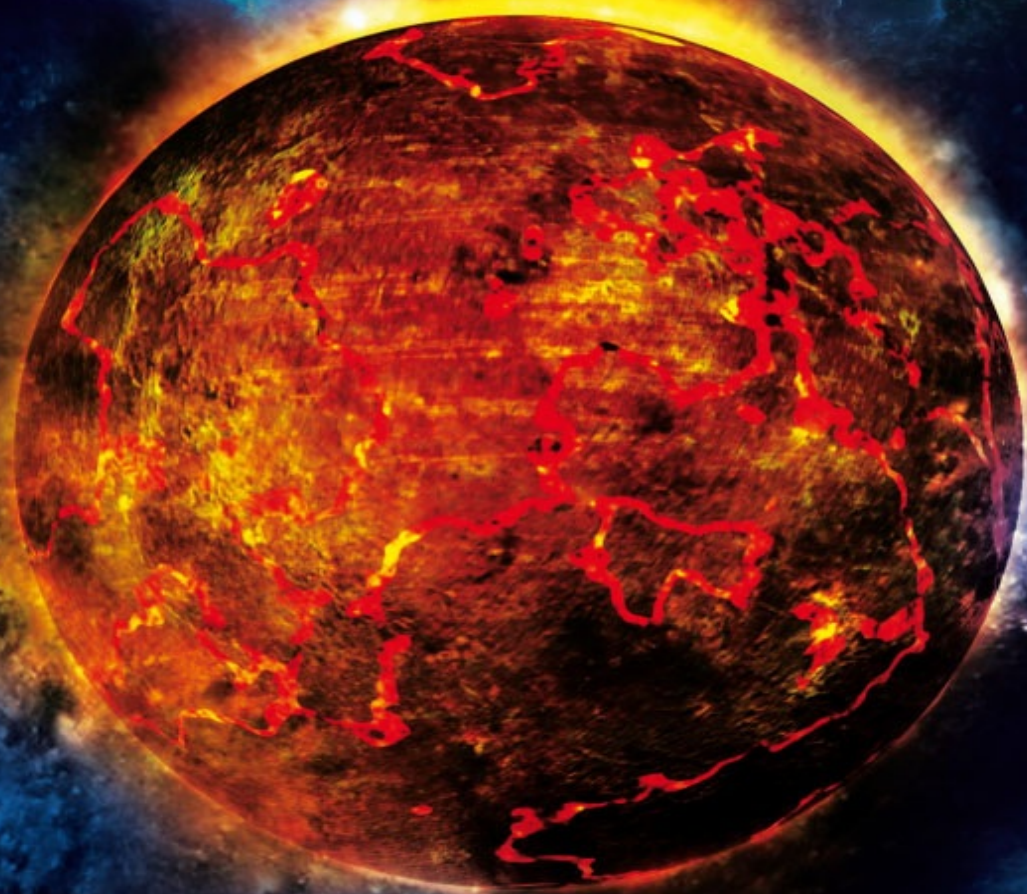


S.J. Kincaid

# INSYGNIA

WOJNY ŚWIATÓW



*Literacki*  
EGMONT

S.J. Kincaid

# INSYGNIA

WOJNY ŚWIATÓW



Przekład  
Janusz Ochab

*Literacki*  
EGMONT

Tytuł oryginału: *Insignia*

Copyright © 2012 by S. J. Kincaid

© for the Polish edition by Egmont Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

All rights reserved. No part of this book may be reproduced, transmitted, broadcast or stored in an information retrieval system in any form or by any means, graphic, electronic or mechanical, including photocopying, taping and recording, without prior written permission from the publisher.

Redakcja: Edyta Domańska, Agnieszka Trzeszkowska

Korekta: Agnieszka Sprycha

Projekt okładki: *Vavooq* (Wojciech Wawoczny)

Koordinacja produkcji: Małgorzata Wnuk

Wydawca prowadzący: Natalia Sikora

Przygotowanie pliku e-booka: Anita Pilewska

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Wydanie pierwsze, Warszawa 2012

Egmont Polska Sp. z o.o.

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel. +48 22 838 41 00

[www.egmont.pl/ksiazki](http://www.egmont.pl/ksiazki)

ISBN 978-83-237-7726-7

Skład i łamanie: KATKA, Warszawa

*Moim rodzicom  
za to, że wspierali moje marzenia  
i dawali mi siłę, bym mogła je spełniać.*

## Rozdział 1

# GRACZ

Tom Raines usiadł ciężko na sofie w salonie gier komputerowych kasyna Dusty Squanto. Salę wypełniała falująca gęstwina oplecionych kablami rąk, które strzelały z wirtualnych karabinów i wymachiwały wirtualnymi mieczami. Tom przyglądał się każdemu z graczy po kolei. W końcu jego spojrzenie spoczęło na dwóch mężczyznach stojących w przeciwległym kącie pomieszczenia.

„Oni” – pomyślał.

Obaj gracze byli w specjalnych goglach, zaciskali dłonie w rękawiczkach na niewidzialnych kierownicach. Widzowie obstawiający wynik wyścigu mogli obserwować jego przebieg na monitorze zawieszonym pod sufitem. Nikt jednak nie zamierzał zakładać się o wynik tego pojedynku. Jeden z graczy był dobrym kierowcą – prowadził wirtualne auto ze swobodą i wprawą, drugi zaś – wyjątkowo kiepskim. Jego samochód raz po raz uderzał w mur okalający tor i ciągnął po nim zderzakiem, a wykreowani przez komputer widzowie odskakiwali z krzykiem do tyłu.

Zwycięski kierowca roześmiał się triumfalnie, gdy jego pojazd przemknął przez linię mety. Odwrócił się do konkurenta i wypinając dumnie pierś do przodu, zażądał zapłaty.

Tom, który obserwował go ze swojej samotni na kanapie, uśmiechnął się pod nosem.

„Ciesz się, koleś, póki możesz”.

Wybrał najodpowiedniejszy moment – kiedy zwycięzca zacznie przeliczać wygraną. Dopiero wtedy podniósł się i ruszył w jego stronę. Stanął kilka kroków za nim, wbił wzrok w monitor i czekał cierpliwie, aż mężczyzna go zauważy. Kątem oka dostrzegł, jak usta gracza wykrzywiają się w drapieżnym uśmiechu.

– Masz jakieś pieniądze, dzieciaku? Chciałbyś się ze mną pościgać?

Tom otworzył szerzej oczy i obdarzył go niewinnym spojrzeniem, wiedział bowiem, że dzięki temu wydaje się znacznie młodszy, niż jest w rzeczywistości. Choć miał czternaście lat, był niski i chudy, a jego twarz pokrywał paskudny trądzik, zwykle więc nikt nie potrafił odgadnąć jego prawdziwego wieku.

– Tata nie pozwala mi grać na pieniądze.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Och, nie martw się, przecież tata nie musi o tym wiedzieć. Poza tym to nie jest prawdziwy hazard, to zwykły zakład o wygraną w wirtualnej grze. Ile masz pieniędzy?

– Tylko pięćdziesiąt dolców.

Tom wiedział, że nie należy podawać większej kwoty, bo wtedy ludzie zazwyczaj chcą zobaczyć pieniądze przed przystąpieniem do gry. W rzeczywistości miał w kieszeni niecałe dwa dolary.

– Pięćdziesiąt dolców? – powtórzył mężczyzna. – To wystarczy. Jeśli wygrasz, dam ci dwa razy tyle.

– Naprawdę?

– Naprawdę, dzieciaku. Chodź, spróbujemy. – Starszy gracz zachichotał protekcyjnie. – Możesz być pewien, że ci zapłacę, jeśli wygrasz.

– Ale jeśli przegram... – Tom zawiesił niepewnie głos. – To wszystkie pieniądze, jakie mam. Po prostu... ja nie mogę...

Wbił ręce w kieszenie i zaczął odchodzić, czekając na magiczne słowa.

– W porządku, dzieciaku! – zawołał za nim mężczyzna. – Umówmy się inaczej. Jeśli przegrasz pierwszy wyścig, będziesz mógł się zrewanżować za podwójną stawkę.

„Ha!” – triumfował w duchu Tom.

– Jeśli wygram, dostanę pięćdziesiąt dolarów – mówił nieznajomy. – Jeśli ty wygrasz, dostaniesz sto. To naprawdę dobry układ. Spróbuj.

Tom odwrócił się powoli, tłumiąc śmiech. Ten facet musiał się mocno napalić na łatwą wygraną, bo niemal od razu chwycił przynętę. W większości kasyn zawsze można było znaleźć dwóch czy trzech graczy, którzy praktycznie mieszkali w salonie gier komputerowych. Ludzie ci uważali się niemal za bogów, byli przekonani, że mogą pokonać każdego frajera, który miał nieszczęście zapuścić się na ich terytorium. Tom uwielbiał, gdy traktowali go jak wychudłego, głupiego dzieciaka, którego można bez trudu okantować. Jeszcze bardziej lubił obserwować, jak lekceważące uśmieшки znikają z ich twarzy, gdy spuszcza im tęgie lanie.

Na wszelki wypadek nadal grał swoją rolę: z zatroskaną miną włożył cyberrekawice i gogle.

– W porządku, jestem gotowy.

Mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie.

– Zaczynamy.



Wystartowali. Samochody pomknęły z rykiem wzdłuż torów. Tom odliczał w myślach okrążenia, kręcił wyimaginowaną kierownicą, precyzyjnie odmierzając każdy ruch. Popełnił kilka oczywistych błędów – nie na tyle jednak poważnych, by musiał za bardzo zwolnić – ale cały czas trzymał się za swoim przeciwnikiem. Mężczyzna, pewny siebie i przekonany o rychłej wygranej, zamasyście obracał kierownicę, którą ujmował dłońmi w rękawiczkach. Kiedy w oddali pojawiła się linia mety, a samochód przeciwnika ustawił się pod odpowiednim kątem, Tom pozwolił sobie w końcu na uśmiech satysfakcji.

Wystarczyło jedno nieznaczne uderzenie rękawicy. Poderwał swoje auto do przodu i gdy tylko dotknął tylnego zderzaka konkurenta, wcisnął gaz do dechy. Mężczyzna ryknął z wściekłości i niedowierzania, kiedy jego pojazd zsunął się z toru, wzniesając przy tym fontannę iskier.

Samochód Toma minął linię mety, podczas gdy drugie auto wpadło do rowu ciągnącego się wzdłuż toru i eksplodowało z hukiem.

– Co... co... – bełkotał mężczyzna.

Tom zdjął okulary.

– Ojej, chyba już kiedyś w to grałem. – Ściągnął jedną rękawicę. – Wyplącisz mi moje sto dolców?

Obserwował z fascynacją, jak na czoło mężczyzny występuje gruba, pulsująca nierównomiernie żyłka.

– Ty mały... nie możesz... jesteś...

– A więc mi nie zapłacisz? – Tom zerknął od niechcienia w stronę niedawnej ofiary swego przeciwnika, która siedziała teraz na sofie nieopodal. Kiepski kierowca wyraźnie zainteresował się ich rozmową. Tom podniósł nieco głos, by słyszał każde jego słowo. – Chodzi o to, że nikt nie gra tutaj na pieniądze, tak?

Gracz również spojrzał na swą ofiarę i natychmiast domyślił się, do czego zmierza chłopiec: skoro nie chce wypłacić pieniędzy zwycięzcy, to sam nie powinien był ich przyjmować od przegranego. Przeszył Toma wściekłym spojrzeniem, zabulgotał niczym dogasający silnik samochodu i wyszarpnął sto dolarów ze zwitka banknotów, który wyciągnął z kieszeni. Wcisnął je chłopcu w dłoń, mrużąc coś o rewanżu.

Tom roześmiał się tylko i przeliczył pieniądze, rozbawiony złością bijącą z twarzy przegranego.

– Chcesz rewanżu? Proszę bardzo, jestem gotowy. Gramy na tych samych zasadach? Przydałoby mi się jeszcze dwieście dolarów...

Mężczyzna spurpurowiał, odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z sali.

Nowicjusz siedzący na sofie pokazał Tomowi podniesione kciuki i uśmiechnął się z wdzięcznością. Chłopiec odpowiedział skinieniem głowy, świadom, że gdyby przyszedł tu dziesięć minut wcześniej, to właśnie on ogołociłby nieporadnego gracza z pieniędzy.

Wsunął banknoty do kieszeni. Sto dolarów. Zwykle musiał zakładać się z kilkoma osobami, by zarobić dość pieniędzy na nocleg – w salonach z symulatorami grywano raczej o niewielkie stawki – ale w tak marnym lokalu jak kasyno Dusty Squanto stowa z pewnością wystarczyła na wynajęcie pokoju.

Tom planował już w głowie najbliższy wieczór. Łóżko. Telewizja. Klimatyzacja. Prawdziwy prysznic. Mógł tu nawet wrócić i pograć dla przyjemności.

Wyszedł z salonu, by odszukać tatę, i pokonał już niemal połowę korytarza, gdy nagle uświadomił sobie z przerażeniem, że jest we wnętrzu budynku: w kasynie z salonem wirtualnej rzeczywistości.

Nie miał więc żadnej wymówki, by opuścić dziś szkołę.

\* \* \*

Tom zalogował się do symulatora szkoły specjalnej Rosewood. Opuścił już połowę zajęć tego dnia. Sam widok klasy pozbawił go resztek satysfakcji z wygranej w kasynie. Awatar pani Falmouth stał przed wirtualną tablicą. Nauczycielka przerwała wykład i spojrzała na Toma.

– Tom Raines – powiedziała cierpkim tonem. – Jesteśmy wdzięczni, że zechciałeś zaszczyścić nas swoją obecnością.

– Proszę bardzo – odrzekł Tom, choć wiedział, że to ją tylko rozżłości.

Nauczycielka i tak miała o nim jak najgorsze zdanie, więc nie zamierzała zabiegać o jej przychyłność.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście opuszczał dużo zajęć. Zwykle nie z własnej winy. Na ogół nie mógł uczestniczyć w lekcjach, bo nie miał dostępu do internetu. Była to jedna z licznych niedogodności, jakie musiał znosić syn hazardzisty.

Tata Toma Neil zazwyczaj miał dość pieniędzy, by zapewnić im dach nad głową i coś do jedzenia. Czasami jednak tracił przy pokerowym stole wszystko. Ostatnimi laty zdarzało się to coraz częściej, jakby szczęście postanowiło na dobre odwrócić się od Neila. Kiedy przegrywał ostatnie dolary, a Tom nie mógł znaleźć w salonie gier żadnego naiwniaka, który chciałby się z nim założyć, musieli rezygnować z drobnych luksusów, takich jak hotelowy pokój. Spali wtedy w parku albo na dworcach kolejowych lub autobusowych.



Świadom, że zarówno pani Falmouth, jak i jego szkolni koledzy bacznie go obserwują, Tom starał się wymyślić szybko jakąś wymówkę, która pozwoliłaby mu uzasadnić dziesięciodniową nieobecność i której nie używał nigdy wcześniej. Opuszczał lekcje już tyle razy, że kilkakrotnie zdarzyło mu się nieświadomie powtórzyć kłamstwo. Brał udział w pogrzebach wszystkich swoich dziadków i babć, a nawet pradziadków, nie mógł też opowiadać bez końca, że „wpadł do studni” albo „zgubił się w lesie”, albo „uderzył się w głowę i stracił pamięć”, bo nawet on miał wrażenie, że brzmi to co najmniej idiotycznie.

Dziś spróbował czegoś zupełnie nowego:

– Ruso-chińscy hakerzy przypuścili zmasowany cyberatak na salony gier w tej okolicy. Agenci z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego przesłuchiwali wszystkich w promieniu piętnastu kilometrów. Nie miałem nawet wolnej minutki, żeby wejść do internetu. Ale chciałem brać udział w lekcjach. Przysięgam.

Pani Falmouth pokręciła głową.

– Nawet się nie wysilaj, Tom.

Tom opadł na krzesło, irracjonalnie rozczarowany. Tym razem to było przecież całkiem niezłe kłamstwo.

Awatary innych uczniów podśmiewały się z niego, jak zawsze drwiły z Toma Nieudacznika, który nigdy nie wiedział, co było zadane, nie oddawał prac domowych, zwykle nie pokazywał się nawet na zajęciach. Chłopiec zignorował swoich kolegów i skupił się na obracaniu ołówka między palcami – co w wirtualnej rzeczywistości było znacznie trudniejszą sztuczką, niż wydawało się większości ludzi. Czujniki standardowych cyberrekawic działały z minimalnym opóźnieniem, a Tom uznał, że tego rodzaju ćwiczenia pozwolą mu osiągnąć sprawność przydatną w grach komputerowych.

– Wróćmy do naszej dyskusji – powiedziała nauczycielka.

Tom nigdy tak naprawdę nie zrozumiał pani Falmouth, z jednego prostego powodu: nauczycielka mogła zaprogramować wirtualną salę lekcyjną w dowolny sposób i w dowolnym miejscu – w starożytnej Grecji, na pierścieniach Saturna, we wnętrzu wulkanu – tymczasem ona wybrała tradycyjną klasę z rzędami ławek. Tom nie mógł tego pojąć. Nie mógł też pojąć, dlaczego pani Falmouth nie pozwalała uczniom używać dowolnych awatarów. Kilka lat temu pojawił się na pierwszych zajęciach jako Lord Krull z gry „Celtic Quest”, a nauczycielka nawrzeszczała na niego przy wszystkich, że jest bezczelny, jakby zrobił to jej na złość. Tymczasem on po prostu lubił tego

bohatera, nic więcej.

Tom musiał więc pokazywać się na zajęciach w swej prawdziwej postaci. Kiedy tylko było to możliwe, nie logował się do internetu pod własnym nazwiskiem i wizerunkiem. Paradoksalnie czuł się tak, jakby opuszczał swoje prawdziwe ja właśnie wtedy, gdy pojawiał się w Rosewood jako ten sam brzydki Thomas Raines o wodnistych oczach i popielatych włosach, który włóczył się z ojcem po realnym świecie. Było to tym bardziej irytujące, że nie wierzył ani przez sekundę, iż Wendy Garcia, siedząca dwie ławki dalej, rzeczywiście wygląda jak zachwycająca modelka, którą przypominał jej awatar. Serge Leon z drugiego końca klasy nie przechwalałby się tak często, gdyby naprawdę był atletą mającym prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. W rzeczywistości był pewnie niskim grubasem, a biorąc pod uwagę fakt, że trafił do Rosewood za zabijanie kotów, cierpiał też zapewne na jakąś niezdiagnozowaną jeszcze chorobę psychiczną.

Wydawało się jednak, że pani Falmouth nie obchodzi inni uczniowie. Skupiała się teraz wyłącznie na Tomie.

– Rozmawiamy właśnie o wojnie, w której uczestniczy nasz kraj, Tom. Może wniesiesz coś do naszej dyskusji. Powiedz nam, co oznacza termin „konflikt pozaziemski”?

Łatwizna.

– Konflikt pozaziemski to wojna, która toczy się poza Ziemią. W kosmosie albo na innej planecie.

– Tak, niebo jest niebieskie, a słońce wschodzi na wschodzie. Potrzebuję czegoś więcej niż takich oczywistości.

Tom przestał obracać wirtualny ołówek i spróbował się skupić.

– We współczesnych wojnach nie uczestniczą ludzie. To znaczy uczestniczą tylko w pewnym sensie, bo kierują z Ziemi zdalnie sterowanymi maszynami, które prowadzą prawdziwą walkę. Jeśli ruso-chińskie maszyny nie zniszczą naszych, to wygramy wojnę.

– A kto bierze udział w obecnym konflikcie?

– Cały świat. Dlatego nazywa się go trzecią wojną światową. – Nauczycielka sprawiała wrażenie, jakby czekała na ciąg dalszy, więc Tom zaczął wyliczać na wirtualnych palcach najważniejszych graczy. – Indie i Ameryka są sojusznikami. Nasi najgroźniejsi przeciwnicy to Rosja i Chiny. Blok euro-australijski jest sprzymierzony z Indo-Ameryką, a federacja południowoamerykańska z Ruso-Chinami. Koalicja Międzynarodowych Korporacji, czyli dwanaście największych korporacji na świecie, podzieliła się

dokładnie na pół: sześć stoi po naszej stronie, sześć po stronie wroga. I... no tak. To chyba wszystko.

Tak, to było chyba wszystko, co wiedział o wojnie. Nie miał pojęcia, czego jeszcze oczekuje od niego nauczycielka. Nie potrafił wyliczyć wszystkich maleńkich krajów biorących udział w konflikcie, wątpił też, by umiał to zrobić którykolwiek z jego kolegów. Nie bez powodu Rosewood była szkołą specjalną – większość tutejszych uczniów nie radziła sobie w prawdziwej szkole.

– Czy zechciałbyś omówić jedną szczególnie istotną cechę tego konfliktu, która odróżnia go od dawnych wojen?

– Nie? – spróbował Tom.

– To nie była prośba, tylko polecenie. Odpowiedz na pytanie.

Tom znów zaczął kręcić ołówkiem. Tak właśnie postępowała pani Falmouth – pytała go, dopóki nie wyczerpał całego zasobu swej wiedzy, a potem robiła z niego idiotę. Tym razem nie próbował nawet walczyć.

– Nie wiem. Przykro mi.

Pani Falmouth westchnęła ciężko, jakby nie spodziewała się niczego innego, i spojrzała na awatara Wendy Garcii.

– Może pomożesz Tomowi?

– Przenosząc wojnę na inne planety i unikając starć na Ziemi, rozwiązujemy kwestie sporne przy użyciu siły, ale nikogo nie zabijamy – odpowiedziała jednym tchem Wendy.

– Otóż to. Konflikty pozaziemskie są bardzo praktyczne zarówno ze względów społecznych, jak i ekologicznych. – Pani Falmouth podeszła do tablicy i napisała na niej: „Walka przeniesiona”. – Używając na Ziemi współczesnej broni, moglibyśmy zniszczyć jonosferę, napromieniować całą planetę, doprowadzić do wyparowania oceanów. Przenosząc konflikt w kosmos i walcząc z Ruso-Chinami na innej planecie, na przykład na Saturnie, możemy rozstrzygnąć spory dotyczące podziału bogactw naturalnych i zarazem uniknąć straszliwych konsekwencji tradycyjnej wojny. Niegdyś ludzie uważali, że trzecia wojna światowa będzie równoznaczna z końcem cywilizacji. Pamiętamy słynną wypowiedź Alberta Einsteina: „Nie wiem, jaka broń zostanie użyta podczas trzeciej wojny światowej, ale w czwartej ludzie będą walczyć kijami i kamieniami”. Tymczasem trzecia wojna światowa trwa od lat, a cywilizacja wciąż istnieje. – Pani Falmouth pstryknęła palcami i tablica zmieniła się w ekran. – Teraz chciałabym skupić się na bohaterach walk toczonych w Układzie Słonecznym. Chcę, byście poświęcili trochę uwagi tym nastolatkom: chłopcom i dziewczętom w waszym wieku, od których zależy przyszłość

naszego kraju. Pomyślcie o nich choć przez chwilę.

Tom usiadł prosto, zaintrygowany tą zapowiedzią. Na ekranie pojawiły się najpierw widok na Wieżę Pentagonu, ośrodek treningowy dla kosmicznych wojowników, a potem wewnątrz pokoju redakcyjnego, gdzie obok dziennikarki siedział chłopiec.

Był to Elliot Ramirez.

Tom jęknął głucho i ponownie zajął się obracaniem ołówka w palcach. Serge Leon, morderca kotów, nie wytrzymał i zawołał:

– Nie, tylko nie ten idiota!

Elliot Ramirez był wszędzie. Wszyscy go znali – ten przystojny typowo amerykański siedemnastolatek reprezentował przyszłość indo-amerykańskiej supremacji w Układzie Słonecznym. Pokazywał się w reklamach i na billboardach, uśmiechał z opakowań płatków śniadaniowych, z butelek z witaminami i koszułek. Nieustannie występował w kampaniach społecznych spółki Balliharton. Był jednym z młodych elewów, którzy kierowali amerykańskimi maszynami w kosmosie, jednym z Amerykanów, którzy mieli za zadanie pokonać Ruso-Chiny i zająć Układ Słoneczny dla dobra wszystkich członków sojuszu indo-amerykańskiego.

– Jak to się stało, że nadano ci sygnał wywoławczy Ares? – pytała reporterka.

– O ile mi wiadomo, to grecki bóg wojny, co sporo mówi o twojej waleczności i męstwie na polu walki.

Elliot odsłonił w szerokim uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

– Sam nie wybrałbym dla siebie takiego sygnału, ale widocznie moi koledzy uznali, że tak właśnie powinienem się nazywać. Prosili mnie, żebym go przyjął. Nie mogłem odmówić towarzyszom broni.

Tom się roześmiał. Awatary wszystkich dziewczyn w klasie odwróciły się do niego jak na komendę, żeby go uciszyć.

– Ćwiczyłyście to wcześniej? – zdziwił się Tom. – To było idealnie zsynchronizowane.

Pani Falmouth poruszyła palcem i wyciszyła jego awatar.

Tymczasem dziennikarka mówiła dalej:

– ...sporo uwagi ostatnimi laty, panie Ramirez. Jak pan się czuje jako obiekt fascynacji całego narodu?

– Prawdę mówiąc, Amando – mogę się do pani tak zwracać? – więc prawdę mówiąc, wcale nie postrzegam siebie jako bohatera, choć wiem, że wiele osób tak właśnie myśli. Walczą za nas maszyny, ja tylko nimi steruję. Można powiedzieć... – Elliot puścił w tym momencie oko do kamery – ...że jestem

zwykłym dzieciakiem, który lubi się bawić robotami.

Tom przypomniał sobie wywiad, jakiego Elliot udzielił kiedyś CNN. Neil był z nim wtedy w hotelowym pokoju i nieustannie komentował to, co działo się na ekranie, wskazywał każdy szczegół świadczący jego zdaniem o tym, że Ramirez nie jest prawdziwym człowiekiem.

– To nie jest prawdziwy chłopak, tylko symulacja komputerowa – stwierdził.

– Ludzie widzieli go na żywo, tato.

– Żadna ludzka istota nie zachowuje się w taki sposób! Zauważ, że mruga oczami dokładnie co piętnaście sekund. Podnosi brwi na tę samą wysokość. Za każdym razem. O, popatrz, jego uśmiech zawsze wygląda tak samo. To symulacja komputerowa, a nie normalny człowiek, gwarantuję ci to.

Tom nie wierzył w spiskową teorię swojego ojca.

– Więc z kim rozmawia ta dziennikarka?

– Ona też w tym uczestniczy. Do kogo należą czołowe media? Do korporacji. To proste.

– Daj spokój, tato. Chcesz powiedzieć, że Cheerios pokazuje na swoich pudełkach nieistniejącego dzieciaka? A co z firmą Balliharton, o której Elliot wspomina w każdym wywiadzie? Myślisz, że sponsorują człowieka, którego nigdy nie spotkali w realu? A co z senatorami i gwiazdami, które robiły sobie z nim zdjęcia? Co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy chwala się w sieci, że mają jego autografy? Oni też w tym uczestniczą?

– Tom, mówię ci, ten Elliot nie jest prawdziwym człowiekiem – uniósł się Neil. – Tak właśnie działają korporacjoniści. Potrzebują jakiejś ładnej i sympatycznej buzi, która zjedna im masy. Prawdziwy człowiek jest nieprzewidywalny. A jeśli przedstawicielem twojej organizacji jest program komputerowy, wytwór maszyny, możesz go w pełni kontrolować. Tak naprawdę ten Ramirez to tylko logo, ruchoma figurka, insygnium wielkiej korporacji.

– A ty jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który to zauważył – parsknął Tom.

– Myślisz, że to stado baranów, które nazywa siebie amerykańskim narodem, kiedykolwiek sprzeciwi się systemowi korporatokracji? Nie, bo ci ludzie są zbyt zajęci wykonywaniem swoich patriotycznych obowiązków, patroszeniem własnego kraju i gromadzeniem funduszy na wojnę o to, który z dyrektorów wielkich korporacji kupi sobie w tym roku największy jacht. Obudź się, Tom! Nie chcę, żeby mój syn dał się oszukać propagandzie establishmentu.

– Spokojnie, nikomu nie dam się oszukać – bronił się Tom.

Chciał, by spiskowe teorie ojca okazały się prawdą. Bardzo tego chciał.

Przyglądał się Elliotowi i próbował dostrzec w nim coś fałszywego, ale widział tylko zarozumiałego dzieciaka, który śmieje się z własnych dowcipów. Ani śladu symulacji komputerowej.

Zarówno w tamtym wywiadzie, jak i w tym, który oglądał teraz.

– Z jakim przesłaniem chciałby pan dzisiaj zostawić naszych widzów, panie Ramirez?

– Chcę, by wiedzieli, że zadania, które wykonuję wraz z moimi kolegami z Wieży Pentagonu, nie są wcale jakimś wielkim poświęceniem. Tak naprawdę ratowanie naszej ojczyzny to świetna zabawa! To dzięki wam, amerykańskim podatnikom, wciąż toczy się walka o dobro naszego narodu. To dzięki Balliharton sojusz indo-amerykański jest coraz...

– Ratowanie kraju – powiedziała z namaszczeniem pani Falmouth i wyłączyła ekran, gdy Elliot zajął się promowaniem Balliharton, swojego głównego sponsora. – Kiedy znów będzie się wam wydawało, że macie za dużo zadań domowych, pomyślcie o brzemieniu, jakie dźwiga na swoich barkach ten młody człowiek. Elliot Ramirez wykuwa przyszłość naszego narodu, walczy o bogactwa naturalne Układu Słonecznego, ale nigdy się nie skarży, prawda?

W symulacji rozległ się dzwonek. Pani Falmouth nie zdążyła ich nawet pożegnać, uczniowie znikali jeden po drugim. Kiedy Tom również chciał się wylogować, zawołała:

– Nie tak szybko, Tom!

Chłopak westchnął ciężko w realnym świecie i opuścił rękę. Wiedział już, że nauczycielka nie pozwoli mu tak po prostu odejść, a nie spodziewał się z jej strony pochwał ani życzliwości.

– Musimy porozmawiać, Tom – oznajmiła pani Falmouth posępnym tonem.

Znów pstryknęła palcami, by zmienić program, i ich awatary znalazły się w jej prywatnym gabinecie. Usiadła za potężnym biurkiem. Tom zajął miejsce po drugiej stronie, zastanawiając się, co powinien powiedzieć, by dała mu spokój.

– Panie Raines – zaczęła, kładąc splecione dłonie na blacie. – Martwi mnie pańska frekwencja.

– Zauważyłem.

– Skierowano cię do tej instytucji, bo za sprawą swojego taty aż do dwunastego roku życia jakimś cudem nie trafiłeś do żadnej szkoły. Uczyniliśmy wszystko, żebyś mógł nadrobić to opóźnienie, ale nie robisz takich postępów jak reszta klasy. Biorąc pod uwagę fakt, że rzadko kiedy pojawiaasz się na zajęciach, nie potrafię znaleźć dobrego wyjścia z tej sytuacji.

– Może powinienem przenieść się do szkoły specjalnej.  
– To jest szkoła specjalna. Nie ma alternatywy.  
– Staram się.  
– Nie, wcale się nie starasz. Co więcej, nie stara się też twój ojciec. Zdajesz sobie sprawę z tego, że opuściłeś w zeszłym tygodniu dwa testy i nie napisałeś pracy z historii?

– To nie była moja wina.

– Ruso-chińscy hakerzy, tak? – parsknęła. – A może znowu porwali cię terroryści albo poniosły fale morskie i utknąłeś na bezludnej wyspie bez dostępu do internetu?

– Niezupełnie – odparł Tom.

Pomyślał, że jeśli użyje kiedyś tej ostatniej wymówki, w końcu wyrzucą go ze szkoły.

– Tom, nie traktujesz tego poważnie i na tym polega twój problem. To nie jest żadna głupia gra, tylko twoja przyszłość, a ty świadomie ją odrzucasz. Miesiąc temu obiecałeś mi, że już nigdy nie opuścisz lekcji. – Awatar pani Falmouth wpatrywał się w niego intensywnie, nie mrugając nawet oczami. – Zawarliśmy umowę, pamiętasz?

Tom nie wytknął nauczycielce, że zmusiła go do złożenia takiej obietnicy. Czego od niego oczekiwała – że powie jej prawdę? Miał się przyznać, że prawdopodobnie kolejny raz nie pokaże się w szkole? Wtedy znów by na niego nawrzeszczała i zarzuciła mu, że jest bezczelny.

– Tu nie chodzi o mnie – mówiła dalej pani Falmouth. – Ani nawet o twojego ojca: tu chodzi o ciebie, Tom. Musisz mieć świadomość, że wszystkie kroki, jakie podejmę od tej chwili, mają na celu tylko twoje dobro. Nie mogę siedzieć beczynn timer i pozwalać, by czternastolatek marnował sobie życie przez nieodpowiedzialnego ojca, który nie potrafi mu zapewnić odpowiedniego wykształcenia.

Tom wyprostował się, zaniepokojony.

– Co znaczy: „wszystkie kroki, jakie podejmę od tej chwili”? – zapytał.

– To znaczy, że zgodnie z nakazem sądowym masz chodzić do szkoły, a tego nie robisz. W zeszłym tygodniu zgłosiłam ten problem Służbie Ochrony Dzieci.

Tom jęknął zarówno w świecie rzeczywistym, jak i w symulacji komputerowej. To nie mogło się skończyć dobrze. Życie z Neilem nie było może rajem na ziemi, ale nie przypuszczał, by rodzina zastępcza mogła zaoferować mu coś więcej.

I za żadne skarby świata nie zamieszkałby u swojej matki.



Nie ma mowy.

Roderick, chłopak matki, opłacał jej luksusowy apartament w Nowym Jorku. Tom odwiedził ją raz, tylko raz, i poznał wtedy tego faceta. Roderick zajmował wysokie stanowisko w wielkiej międzynarodowej korporacji Montando, gdzie odpowiadał za ochronę praw autorskich czy coś w tym rodzaju. Był nieprzyzwoicie bogaty, miał nawet własny jacht.

Roderick zmierzył go pełnym obrzydzenia wzrokiem, jakby oglądał jakieś paskudztwo, które przykleiło mu się do buta, i powiedział:

– Moi prawnicy opisali wszystkie wartościowe przedmioty, które są w tym domu, smarkaczu. Jeśli tylko coś stąd zginie, wyślę cię do poprawczaka.

Aha, i ten facet miał już żonę. I inną dziewczynę. I mamę Toma.

Nawet gdyby mógł u niej zamieszkać, nie zrobiłby tego. Gdyby musiał codziennie widywać Rodericka Cohagena, jego mózg by eksplodował.

– Nie mam dokąd pójść, pani Falmouth. Pewnie wydaje się pani, że wyświadcza mi przysługę, ale zapewniam, że wcale tak nie jest.

– Masz czternaście lat, Tom. Co zrobisz ze sobą za kilka lat, kiedy będziesz musiał zarabiać na życie? Jak sobie poradzisz bez odpowiedniego wykształcenia? Zamierzasz zostać wędrownym hazardzistą jak twój ojciec?

– Nie – odparł natychmiast Tom.

– Wędrownym graczem?

Nie miał pojęcia, co pani Falmouth wie o jego dodatkowych zajęciach – jakie informacje znajdują się w aktach – ale wolał nie odpowiadać na to pytanie. Gdyby wcześniej zapytała go, co zamierza robić w przyszłości, mógłby powiedzieć właśnie to: że będzie zarabiał w taki sam sposób, jak robi to teraz.

Jednak myśl, że musiałyby tak żyć już zawsze, że nigdy nie zaszłyby dalej, że...

Że stałby się taki jak jego ojciec...

Ta myśl przyprawiła go nagle o zawrót głowy, poczuł, jak coś ściska mu żołądek.

Pani Falmouth odchyliła się na swoim krześle i obserwowała go w milczeniu, jakby doskonale wiedziała, o czym myśli, choć wyraz twarzy awatara nie mógł jej niczego zdradzić.

– Co czwarty dorosły Amerykanin jest bezrobotny. Ta wojna nie skończy się szybko, a stopa bezrobocia będzie rosła. Musisz się uczyć, żeby zostać inżynierem, programistą lub jakimkolwiek innym fachowcem, który znajdzie zatrudnienie w przemyśle obronnym. Musisz się uczyć, żeby zostać księgowym lub prawnikiem, i musisz mieć koneksje, żeby trafić do rządu albo jakiejś

korporacji. Jak myślisz, kto zatrudni takiego człowieka jak ty, skoro na rynku jest tylu młodych ludzi z doskonałym wykształceniem?

Tom unikał wzroku awatara nauczycielki. Patrzył na zegar z kukułką nad jej ramieniem i zastanawiał się, czy zaprogramowała ten dodatek sama, czy też zrobił to ktoś inny.

– Mam jeszcze ładnych parę lat.

– Wyobraź sobie, że to już jutro. Co ze sobą zrobisz? W czym jesteś dobry?

– Jestem dobry w... – zaczął, potem jednak umilkł.

– W czym?

Nie potrafił wymyślić nic innego, powiedział więc wprost:

– W grach.

Te słowa zawisły między nimi niczym klątwa. Nagle wydały się Tomowi bardzo smutne.

– Twój ojciec też, Tom. I jak wygląda teraz jego życie?

## Rozdział 2

# JUTRO JEST JUŻ

Kiedy Tom był mały, Neil wydawał mu się bogiem. Nie miał nudnej pracy jak inni – był hazardzistą. Popijał martini jak James Bond, blefował i zabierał ludziom pieniądze. Wynajmował im w hotelach tylko olbrzymie apartamenty na najwyższych piętrach, wyposażone w prywatne salony gier. Organizatorzy wielkich turniejów karcianych opłacali przeloty dla całej ich rodziny. Kobiety zawsze znajdowały pretekst, by porozmawiać z tatą Toma, ale Neil traktował je jak powietrze. Mówił, że jest zakochany w najpiękniejszej kobiecie na świecie.

Teraz nie zapraszano go nawet na te turnieje, na które kiedyś przywożono za darmo. Mówił, że pani Fortuna nim wzgardziła. Twierdził, że to „mściwa dziewczka” i że musi znów ją obłaskawić. Robił to od lat, ale bez powodzenia.

Tom włożył cyberrekawice do specjalnego schowka w salonie gier. W jego umyśle wciąż rozbrzmiewały słowa, które wypowiedział przed chwilą. „Jestem dobry w grach”. Kiedy pani Falmouth myślała, że nie może już zrobić z siebie większego idioty, zaskoczył ją i to powiedział.

„Świetnie, Tom”. Wsunął dłonie do kieszeni, zacisnął je w pięści i zmagął się z lękami, dopóki nie zmieniły się w odległy, niewyraźny ból gdzieś w okolicach żołądka.

Zapłacił za nocleg i leżał już pod kołdrą, gdy jego ojciec chwiejnym krokiem wszedł do pokoju.

Neil włączył światło i zamknięte oczy Toma wypełniła czerwień. Sprężyny jęknęły głucho, gdy mężczyzna opadł na drugie łóżko.

– Załatwiłeś nam pokój, Tommy? Dobry z ciebie chłopak, naprawdę. Dobry z ciebie dzieciak.

Tom uchylił powieki i spojrzał na Neila, który nieporadnie próbował poluzować krawat.

– Tato, mógłbyś zgasić światło?

– Wyjdziemy z tego kiedyś, Tommy, co? – bełkotał Neil. – Następna duża wygrana i kończę z tym. – Pomachał muskularną ręką. – Kończę.

Tom wygramolił się spod kołdry i przeszedł przez pokój do wyłącznika światła.

– Wystarczy sto patyków – mamrotał dalej Neil. – Nie roztr... roztr... nie stracę ich. Wynajmę nam mieszkanie. Większe od tego, które ten dureń Roderick wynajął twojej mamie. Może poślę cię nawet kiedyś do prawdziwej szkoły, takiej w budynku, wiesz? – Na ustach mężczyzny pojawił się pijacki uśmiech.

Rozchełstany, rozczochrany i nieogolony, wyglądał w tym momencie jak szaleniec.

Kiedy Tom spojrział na niego, ogarnęło go paskudne mroczne uczucie. Zgasił światło, lecz nawet ciemności nie mogły go rozproszyć.

Neil był jego tatą. Ten człowiek był jego rodziną. Tom go kochał i wiedział, że Neil także go kocha.

Odkąd jednak zainteresowali się nimi pracownicy opieki społecznej, a Tom zaczął uczęszczać na zajęcia i zobaczył, jak żyją inne dzieciaki, coraz częściej zastanawiał się nad własnym życiem. Przed Rosewood zakładał, że właśnie tak wygląda normalne życie. Myślał, że wszystkie te opowieści o domach, szkołach i wspólnych posiłkach to bajki. Neil nazywał je „korporacyjną propagandą, która skłania ludzi do zaciągania długów i robi z nich niewolników”.

Ale to nie była propaganda. Nie do końca. Jasne, wielu ludziom żyło się gorzej. Znacznie gorzej. Ale przynajmniej tacy faceci jak niezrównoważony morderca kotów Serge Leon mieszkali w jednym miejscu kilka lat z rzędu. Serge wiedział, gdzie będzie spał następnego wieczora. Tom nie mógł niczego zaplanować. Wiedział tylko tyle, że będzie gdzieś z Neilem. Z tym.

Z tym.

W pokoju rozległo się pijackie chrapanie jego ojca. Tom przewracał się z boku na bok, chował głowę pod poduszkę, zakrywał uszy dłońmi, próbował stłumić dokuczliwy dźwięk, ale równie dobrze mógłby starać się ignorować huragan. Chrapanie tylko przybierało na sile.

W końcu chłopiec dał za wygraną i wstał z łóżka.

Musiał coś zastrzelić.

\* \* \*

O piątej trzydzieści rano salon gier był pusty, nikt nie siedział na sofach przed wygaszonymi ekranami. Tom opadł ciężko na jedną z

nich, włożył okulary i wybrał z listy gier „Giń, zombi, giń”. Przeszedł bez problemu na poziom dziewiąty, gdzie zdobył bazookę. Zamierzał właśnie przestrzelić tułów królowej zombi, gdy symulacja zamigotała i zgasła.

– Hej – zaprotestował Tom, sięgając do gogli, lecz w tej samej chwili pojawił się w nich inny obraz.

Najpierw Tom zobaczył tylko czerwone pasy, które zaczęły się szybko rozszerzać i zmieniły w surowy marsjański krajobraz. Chłopiec rozejrzał się dokoła, zaskoczony. Wyglądało na to, że niechcący uruchomił grę w grze.

Podjął ją.

Na początek obejrzał strój swojej postaci i jej uzbrojenie. Miał na sobie skafander kosmiczny, a więc wcielał się w postać człowieka. W oddali dojrzał napędzany wodorem czołg, który przesuwiał się po krwistoczerwonym podłożu. Cylindryczne działo skierowało się w jego stronę. Tom na moment wstrzymał oddech, a później obrócił się błyskawicznie i rzucił na ziemię. Tuż potem potężny podmuch poderwał kłęby karmazynowego pyłu, który otoczył Toma ze wszystkich stron. Wykorzystując tę osłonę, przeczołgał się do pobliskiego okopu. Gdy wsuwał się do prowizorycznej kryjówki, nad jego głową przeleciał kolejny pocisk.

Usłyszał głucho dudnienie, dźwięk silnika czołgu, który zmierzał w jego kierunku. Głos zwiastuna śmierci. Tom zadrżał z podniecenia. Nigdy nie wchodził do symulacji bez przygotowania. Wiedział, że kiedy czołg podjedzie bliżej, będzie też celniej strzelał, a wtedy nie ocali go nawet kryjówka w okopie. Musiał rozprawić się z nim wcześniej.

Domyślał się już, z czym miał do czynienia – z wtargnięciem. Tak nazywano sytuację, w której gracz włamywał się do systemu innego gracza i wyzywał go na pojedynek. Dotąd nikt nie wtargnął do gry Toma, a on sam nie mógł przedostać się do systemów innych graczy, bo miał bardzo blade pojęcie o programowaniu.

Aż kręciło mu się w głowie z radości. Prawdziwe wtargnięcie. Miał nadzieję, że to był jakiś wybitny gracz, ktoś, kto mógł go pokonać.

Szybko rozejrzał się dokoła. Znajdował się na dnie wąwozu, co bardzo komplikowało jego sytuację. Jediną bronią, którą dostrzegł w zasięgu swojej ręki, był leżący nieopodal rozpryskowy karabin jonowo-siarkowy. W oddali widział inne stanowiska strzeleckie, a umieszczone obok symbole mówiły o tym, że w jednym znajdują się granaty, w drugim zaś – karabiny przeciwpancerne C29. Dokładnie to, czego potrzebował, by zniszczyć czołg – jak jednak miał tam dotrzeć i nie dać się zabić?

Ziemia zadrżała pod jego stopami, gdy czołg wystrzelił następny pocisk. Tom wykorzystał zasłonę czerwonego pyłu i rzucił się po karabin rozpryskowy. Dość prosta broń. Za słaba na czołg, ale gdyby oddał kilka strzałów, biała zawiesina

ukryłaby go przed wzrokiem przeciwnika. Skorzystałby z okazji i przedostał się do stanowiska z bronią przeciwpancerną.

Czołg podjechał bliżej i Tom dostrzegł błąd w swoim rozumowaniu: jego przeciwnik prawdopodobnie wiedział, że stanowisko z C29 jest kluczem do zwycięstwa w tej rozgrywce. Gdyby to Tom kierował czołgiem, poczekałby, aż pojawi się przed nim

obłok białej pary wystrzelonej z karabinu rozpryskowego. Liczyłby na to. Wcześniej dokładnie określiłby położenie stanowiska z C29, odczekał kilka sekund, a potem ostrzelał odcinek dzielący przeciwnika od tamtego miejsca.

Nie, Tom nie mógł zrobić tego, czego spodziewał się po nim rywal. Musiał być sprytniejszy.

Zaczął tak, jakby rzeczywiście zamierzał popełnić fatalny błąd. Wystrzelił z karabinu rozpryskowego, rozpylając dokoła białą mgiełkę.

Ale nie pobiegł do stanowiska z bronią przeciwpancerną.

Wyskoczył z okopu i popędził prosto w stronę czołgu, kierując się odgłosem jego silnika. Uskoczył w bok, gdy rozpędzony pojazd przejechał tuż obok. Ryk potężnej maszyny omal nie przewrócił jego postaci na ziemię. Tom rzucił się do metalowego pancerza, odszukał po omacku uchwyty i wspiął się na tylną część czołgu. Wystarczyło jeszcze kilka ruchów cybernetyki i jego postać klęczała już nad włazem. W tym wypadku jonowo-siarkowy karabin miał wystarczającą siłę rażenia. Tom wymierzył w zamek, odstrzelił go i podniósł klapę, nim zamknięty w czołgu gracz zorientował się, że został przechytrzony.

Śmiejąc się triumfalnie, Tom wskoczył do środka i opadł na metalową podłogę pojazdu. Podszedł do wijącego się w spazmach przeciwnika. Czołgista nie miał skafandra. Nie mógł przeżyć w takim środowisku. Gazy zamknięte w jego ciele próbowały rozsadzić mu skórę i wydostać się do atmosfery Marsa, znacznie rzadszej od atmosfery ziemskiej.

– Nie tym razem, stary – powiedział Tom i zaczął uderzać go kolbą karabinu w głowę.

Przestał dopiero wtedy, gdy ze zmiażdżonej czaszki wypłynęły krew i kawałki mózgu.

Chłopiec odrzucił karabin i usiadł obok martwego ciała, czekając na następny poziom. Miał nadzieję, że gracz, który rzucił mu wyzwanie, nie podwinie ogona i nie ucieknie. Ale otaczająca go symulacja przyblakła, a potem całkiem zgasła. Tom miał już głośno zaprotestować, gdy nagle usłyszał powolne rytmiczne oklaski.

Usłyszał je w rzeczywistym świecie.

Natychmiast zdjął okulary i odwrócił się, by zobaczyć, kto oprócz niego przesiaduje w salonie gier o tak wczesnej porze.

Był to starszy mężczyzna o siwiejących włosach, pociągłej twarzy i kartoflowatym nosie, ubrany w wojskowy mundur. Siedział na sofie naprzeciwko Toma; chłopiec uświadomił sobie, skonsternowany, że ten facet musiał go obserwować już od dłuższego czasu.

– Brawo – powiedział mężczyzna. – Jestem pod wrażeniem, panie Raines. Większość graczy nie pokonuje tego etapu przy pierwszej próbie.

Po przejściu ze świata wirtualnego do rzeczywistego Tom zawsze czuł się przez pewien czas oszołomiony i ogłupiały, nawet jeśli nie musiał zaraz potem rozmawiać z obcym facetem, który przyglądał mu się w trakcie gry.

– Chwileczkę. To pan przygotował tę symulację?

Mężczyzna uśmiechnął się zagadkowo.

– Chciałem, żebyś przez nią przeszedł, zanim podejmę decyzję. Ale i tak byłem pewien, że mnie nie rozczarujesz. Szukam cię od tygodnia, synu. W końcu udało mi się przechwycić wiadomość, którą twoja nauczycielka wysłała do opieki społecznej. Na szczęście

był w niej też twój adres sieciowy. Niełatwo cię namierzyć.

Tom pomyślał natychmiast o swoim ojcu, który powtarzał nieustannie, że „urząd skarbowy chciałby dostać go w swoje łapy”. Cofnął się o krok i zmrużył podejrzliwie oczy.

– Dlaczego pan mnie szukał?

– Powiedzmy, że generalnie szukam młodych ludzi, którzy spełniają pewne kryteria, a ty jesteś numerem jeden na mojej liście. Obserwowałem cię, kiedy grałeś tu wczoraj wieczorem, i jeszcze wcześniej, w południowej Kalifornii i w Atlantic City.

Zabrzmiało to naprawdę przerażająco. Tom wpatrywał się w czubek kartoflowatego nosa mężczyzny i zastanawiał się, jak powinien zareagować na to oświadczenie.

– Nie osobiście – zapewnił go mężczyzna, odsłaniając w uśmiechu żółte zęby. – Nie czałem się za twoimi plecami. Widziałem cię wirtualnie. Ktoś pokazał mi też nagrania twoich wcześniejszych dokonań. Wiem, że nie jest to pierwsze kasyno, w którym się zatrzymałeś. Naprawdę niezły z ciebie gracz. Jestem generał Terry Marsh. Jak zapewne wiesz, nasz rząd poszukuje utalentowanych młodych ludzi, którzy sprawdzaliby się jako kosmiczni wojownicy.

Tom milczał. Nie rozumiał, do czego zmierza jego rozmówca.



– Jestem tutaj – mówił dalej Marsh – bo potrzebujemy kogoś takiego jak ty w Wieży Pentagonu.

Wieża Pentagonu.

Wieża Pentagonu. Miejsce, gdzie szkolono kosmicznych wojowników. Gdzie mieszkali ludzie tacy jak Elliot Ramirez.

Tom zrozumiał w końcu, że to musi być jakiś głupi żart. Odwrócił się od mężczyzny i parsknął śmiechem.

– Ktoś tu pana podesłał, tak? Nie jestem aż takim idiotą, żeby w to uwierzyć. Nie dam się nabrać, nie ma mowy.

– Przykro mi to słyszeć – odrzekł oschle Marsh. – Większość nastolatków nie przepuściłaby takiej okazji.

Tom spoważniał i odwrócił się do niego. Facet wyglądał całkiem poważnie, a do tego nosił mundur.

– Nabiera mnie pan, prawda?

Marsh gestem zaprosił go na sofę.

– Panie Raines, zapewne pan wie, jak wygląda obecnie nasza sytuacja wojenna.

– Nie mieszkam na pustyni – mruknął Tom, nie ruszając się z miejsca.

– Zakładam, że to oznacza „tak”. Widzisz, młody człowieku, kiedyś oddawaliśmy indo-amerykańskie maszyny walczące w Układzie Słonecznym w ręce programistów. Ludzie ci tworzyli programy, które kierowały działaniami maszyn. Oczywiście działania te musiały być logiczne, zatem przewidywalne. W związku z tym coraz częściej kolejne starcia i bitwy prowadziły do impasu, a ich wynik pozostawał nierozstrzygnięty. Wpadliśmy więc na świetny pomysł. Wprowadziliśmy do obsługi maszyn czynnik ludzki.

– Kosmicznych wojowników.

– Nie, najpierw hakerów, którzy zmieniali ruso-chińskie oprogramowanie. Przeciwnicy zatrudnili jednak własnych hakerów i znów znaleźliśmy się w sytuacji patowej. Ale Ruso-Chińczycy poszli o krok dalej: oddali swoje maszyny w ręce ludzi. Strategów, którzy potrafili myśleć nieszablonowo i podejmować ryzyko.

Indywidualistów w bardzo młodym wieku, bo umysły nastolatków odznaczają się elastycznością i sprawnością, cechami niezbędnymi w tego rodzaju walce. Teraz więc to właśnie młodzi ludzie prowadzą wojnę, walczą na pierwszej linii frontu.

– Ludzie tacy jak Elliot Ramirez – zauważył Tom.

Innymi słowy, ludzie obiecujący, utalentowani, przebojowi. Ludzie, których

on nie przypominał pod żadnym względem.

– Zgadza się – przytaknął generał, niezrażony – Elliot ma wiele cennych zalet, które wniósł do naszych sił zbrojnych. To człowiek uroczy i charyzmatyczny, a do tego był kiedyś świetnym łyżwiarzem figurowym.

Tom znów parsknął śmiechem, kiedy wyobraził sobie Elliota Ramireza w obcisłym lśniąącym stroju łyżwiarza. Marsh zmrużył groźnie oczy.

– Możesz się śmiać, młody człowieku, ale ten dzieciak ma fantastyczne geny. Osiągnąłby sukces bez względu na to, czym by się zajął. Gdyby nie trafił do Wieży Pentagonu, zostałby olimpijczykiem. Dla nas liczy się przede wszystkim potencjał. Szukamy ludzi obiecujących, doskonałych strategów, którzy potrafiliby stawić czoła Ruso-Chińczykom. Możemy szkolić naszych rekrutów, możemy doskonalić ich umiejętności, ale nie możemy stworzyć ich potencjału. Ramirez wniósł w nasze szeregi coś wyjątkowego. Mamy nadzieję, że ty także mógłbyś to zrobić.

Tom nie wierzył własnym zmysłom. To nie mogło się dziać naprawdę.

– Chcesz jakiegoś dowodu? – spytał generał.

– Tak – odpowiedział natychmiast chłopiec.

– Więc może pokażę ci Monetę Uznania<sup>1</sup>? – Marsh wyjął z kieszeni niewielki krążek. – Żołnierze sił powietrznych...

– ...pokazują to, kiedy chcą udowodnić, że są żołnierzami. Wiem. Tysiące razy grałem w symulacjach wojennych. – Tom wziął od niego monetę, obrócił ją w palcach i spojrzał na insygnia amerykańskich sił powietrznych.

Marsh wyjął krążek z jego dłoni i przycisnął palec do logo.

– Generał brygady Terry Marsh, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych Ameryki – powiedział.

Powierzchnia monety rozbłysła zielenią, potwierdzając jego tożsamość na podstawie barwy głosu, odcisku palca i kodu DNA.

Tom wpatrywał się w grube palce Marsha i zaciśniętą między nimi monetę, zastanawiając się, jak ten człowiek zdołał podrobić tak rzadki przedmiot. Druga możliwość – że był to prawdziwy generał, który pojawił się tutaj ze względu na niego – nie mieściła mu się w głowie.

– Czy to ci wystarczy? – spytał Marsh, obracając monetę.

Tom wpatrywał się jeszcze przez chwilę w kolorowy krążek, a potem przeniósł wzrok na twarz generała.

– Naprawdę przyszedł pan tu specjalnie dla mnie? Myśli pan, że nadaję się na kosmicznego wojownika?

– To wielka szansa, Tom. – Marsh schował monetę do kieszeni i spojrzał

na chłopca z powagą. Wiedział, że aby zdobyć jego

przychyłość, musi jedynie przekonać go o szczerości swoich intencji. – Uczymy naszych elewów strategii, a jeśli osiągają dobre wyniki, pozwalamy im kierować naszymi zmechanizowanymi silami w Układzie Słonecznym. Dzięki umiejętnościom poznawczym i refleksowi, które wyrobiłeś sobie, grając w różnego rodzaju symulacjach, masz świetne predyspozycje do kierowania maszynami bojowymi.

– Dlatego mnie pan wybrał? – wykrztusił Tom. – Bo jestem dobry w grach?

– Otóż to. A twoje szybkie zwycięstwo w tym teście było ostatecznym potwierdzeniem. Będziesz idealnym kandydatem na kosmicznego wojownika.

Tom zamknął oczy i otworzył je dopiero po chwili, jakby bał się, że to tylko piękny sen. Ale Marsh wciąż stał przed nim pośrodku realnego salonu gier.

Generał uśmiechnął się, dojrawszy coś w oczach chłopca.

– Zgadza się, Tom. Twój kraj cię potrzebuje. Pozostaje tylko pytanie, czy masz dość ikry, żeby wygrać dla nas tę wojnę.

\* \* \*

– Nie ma mowy – powiedział Neil.

Tom siedział na skraju jego łóżka w hotelowym pokoju. Neil sączył drinka, bo jak zawsze twierdził, wódka z sokiem pomarańczowym to jedyne skuteczne lekarstwo na kaca. Na samą wzmiankę o spotkaniu syna z generałem Marshem wpadł w złość.

– Tato, nie mogę zmarnować takiej okazji. – Tom przebiegł wzrokiem kontrakt, który dał mu Marsh. – Wyszkołą mnie, dadzą mi świetną pensję. A poza tym to dla dobra naszego kraju...

– Nie będziesz walczył dla tego kraju, Tom. – Kilka kropel drinka przelało się przez krawędź szklanki, gdy Neil wykonał gwałtowny gest. – Nasze wojska biją się o to, żeby Balliharton mogła dobrać się jako pierwsza do pozaziemskich bogactw naturalnych. Ruso-Chińczycy chcą tego samego, tyle że dla innej spółki, Rosaleft. Teraz w wojnie nie chodzi o dobro poszczególnych narodów. Wielkie korporacje wykorzystują wojska różnych krajów, żeby bronić swoich interesów i żeby to właśnie ich szef został najbogatszym dyrektorem generalnym w całym Układzie Słonecznym!

Tom słyszał to wszystko już wiele razy. Znał na pamięć argumenty Neila skierowane przeciwko rządowi. Ojciec korzystał z nich zawsze wtedy, gdy ktoś pytał go, dlaczego nie ma stałej pracy („Chcesz powiedzieć, dlaczego nie dałem się zaprząć do niewolniczej pracy dla korporacji, tak?”) albo dlaczego nie płaci

podatków („Wolę wydawać moje pieniądze na jakieś pożyteczne cele, a nie nabijać kiesę spółce Amerika!”).

Tom wyłączył się więc na moment i ponownie spojrzął na kontrakt.

– Wiesz, jak wojsko traktuje swoich ludzi, Tom? Przeżuwa ich, a potem wypluwa, właśnie tak. Dla nich jesteś tylko kolejnym sprzętem. I czemu ma to służyć? Nie dobru twojej ojczyzny. Chodzi jedynie o to, żeby napełnić kasą portfel jakiegoś dyrektora, którego nigdy nawet nie zobaczysz osobiście!

Chłopiec zerknął na ojca z ukosa, spojrzął na poranny drink w jego dłoni, pomięte ubranie i nieogoloną twarz.

– Tato, to jest kariera. Prawdziwe życie. Marsh powiedział, że dostanę przyzwoitą pensję.

– Masz prawdziwe życie. Nie pozwól, żeby ten parszywy generał mówił ci...

– Nie musi mnie do niczego przekonywać! – wybuchnął Tom. – Mam tego dość. Od lat nic się nie zmienia. Przegrywasz wszystkie pieniądze, ja opuszczam lekcje i muszę świecić oczami przed panią Falmouth. Założę się, że właśnie dlatego...

Umilkł raptownie.

Omam tego nie powiedział. Omam nie wyraził głośno tej mrocznej myśli.

„Założę się, że właśnie dlatego mama nas zostawiła”.

Neil milczał przez chwilę, jakby usłyszał te niewypowiedziane słowa.

– Nie musimy tak żyć, Tom. Jeśli jesteś tym zmęczony, możemy osiąść gdzieś na stałe. Nie musisz się do nich przyłączać. Następna wygrana i skończę z tym.

Tom zamknął oczy. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, słyszał jej głuchy łomot. Wiedział, że nie będzie „następnej wygranej”. A gdyby nawet się trafiła, to niczego by nie zmieniła – Neil przegrałby ją równie szybko jak wszystkie pozostałe. Ojciec nie byłby w stanie porzucić takiego życia. Jego obietnice nie miały żadnej wartości. I Tom też byłby nic niewart, gdyby nie wyrwał się z tego błędnego koła, kiedy nadarzała się taka okazja.

– Ja nie muszę tego robić, tato, ja chcę. – Otworzył oczy i spróbował spojrzeć na tę sprawę z perspektywy swojego ojca. -

Chodzi ci o pieniądze? Moja pensja będzie przekazywana na fundusz powierniczy, ale będę też dostawał stypendium. Mogę przesyłać ci trochę. Pomóc ci wyjść na prostą.

Dlaczego Neil patrzył na niego tak, jakby wbił mu nóż w plecy? Obaj wiedzieli, że ostatnio to właśnie Tom ich utrzymywał.

Neil zacisnął zęby i odwrócił głowę.

– Dobrze. Dobrze, Tom. Podpiszę te wszystkie cholerne formularze. Chcesz

zmarnować sobie życie? Chcesz stać się trybem korporacyjnej maszyny wojennej?

– Tak, tato. Chcę stać się trybem korporacyjnej maszyny wojennej – odrzekł Tom z determinacją. – To jest moja decyzja.

– To twój błąd.

– Być może. Ale mój.

Neil wyrwał formularz zgody z jego rąk. Tom obawiał się przez moment, że ojciec podrze dokument, lecz mężczyzna spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Nie tak powinien wyglądać bunt nastolatka. Powinieneś zszokować mnie jakimś skandalicznym wybrykiem, a nie przyłączać się do establishmentu.

– To najbardziej skandaliczny wybryk, na jaki możesz liczyć z mojej strony, tato. Podpisz tę zgodę.

– Wolałbym raczej, żebyś zrobił sobie tatuaż.

Neil złożył podpis na formularzu i oddał Toma pod opiekę armii Stanów Zjednoczonych. Kiedy jednak do pokoju wszedł generał Marsh i wyciągnął do niego swą wielką dłoń, ojciec Toma spojrział na niego z głuchą nienawiścią. Nie uścisnęłyby jej za żadne skarby świata.

---

1 Challenge coin (ang.) – rodzaj medalu wręczanego amerykańskim żołnierzom za wyjątkową odwagę i osiągnięcia. Tradycję tę zapoczątkowali żołnierze amerykańskich sił powietrznych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

## Rozdział 3

# WIEŻA PENTAGONU

Tom siedział w przytulnym wnętrzu samolotu i wyobrażał sobie, jaką minę zrobiłaby pani Falmouth na wieść, że jej najgorszy uczeń może przyczynić się do podboju kosmosu przez sojusz indo-amerykański. Chciał jej o tym powiedzieć. Miał przedziwną potrzebę zobaczenia, jak zareaguje. Ale Marsh pokręcił przecząco głową.

– Pani Falmouth dowie się, że przeniesiono cię do rodziny zastępczej. Nie przekazujemy na zewnątrz informacji o naszych młodych rekrutach. Jedynym wojownikiem, który pokazuje się publicznie, jest Elliot Ramirez. Pozostali są objęci tajemnicą państwową.

Kiedy zbliżali się do Arlington w stanie Wirginia, Tom dostrzegł kwaterę główną amerykańskiej armii, nim jeszcze pokazał mu ją generał Marsh. Nie dało się jej przeoczyć. Masywna wieża w kształcie wydłużonego ostrosłupa o pięciokątnej podstawie sięgała wierzchołkiem niemal samego nieba.

Marsh postukał palcem w szybę.

– Kiedy byłem dzieckiem, ten budynek był jeszcze całkiem płaski. Wieża pojawiła się później, w miejscu, gdzie znajdowały się dziedziniec i wewnętrzne zabudowania starego Pentagonu. Nazywaliśmy ten dziedziniec Ground Zero, bo w czasach zimnej wojny właśnie tu przede wszystkim mogły spaść bomby Sowietów.

– A co robicie teraz w starym budynku? – spytał Tom, gdy samolot zbliżał się do lądowiska na dachu starego Pentagonu.

– W tych trzech pierścieniach, które się zachowały? Cóż, pracują tam żołnierze tradycyjnych formacji, dziś moglibyśmy ich nazwać korpusem inżynieryjnym. Nie zrozum mnie źle, mamy też kompanie bojowe na wypadek jakiejś katastrofy albo buntu, ale ci ludzie nie zobaczą prawdziwej walki. Szkoda, bo swego czasu sam służyłem w jednostce bojowej, a wtedy prowadziliśmy działania na większą skalę, nie tylko związane bezpośrednio z walką. Pomagaliśmy Interpolowi łapać przestępców, obalaliśmy skorumpowane reżimy, a nawet zajmowaliśmy się dystrybucją pomocy humanitarnej.

– Był pan prawdziwym żołnierzem? – Tom spojrzał na generała ze zdumieniem. Nigdy nie spotkał kogoś takiego. – Strzelał pan z prawdziwej broni do ludzi?

– Nie, ja byłem pilotem. Transportowałem żołnierzy, którzy naprawdę strzelali do ludzi na Bliskim Wschodzie, kiedy jeszcze w tym regionie toczyły się walki. Wtedy, kiedy jeszcze coś tam było. Może trudno w to uwierzyć, ale w czasach mojej młodości zbrojna agresja nie była odizolowanym zjawiskiem o niewielkiej skali. Na świecie toczyło się jednocześnie co najmniej kilka wojen, wybuchały rewolty, w których używano prawdziwej broni, bomb i innych narzędzi służących do zabijania.

Samolot dotknął kołami pasa na dachu starego Pentagonu, zatoczył kilka kręgów wokół wieży i zatrzymał się na wprost głównego wejścia.

Tom i generał Marsh zeszli na lądowisko i ujrzeli szereg żołnierzy w tradycyjnych mundurach strzegących dojścia do Wieży Pentagonu. Marsh odpowiedział na salut oficera dowodzącego strażą, przysunął oko do skanera siatkówki, który potwierdził jego tożsamość, a potem pokazał Tomowi, by szedł za nim.

Przed przeszklonym wejściem do budynku czekała na nich długowłosa, ciemnoskóra kobieta. Kiedy podeszli bliżej, ruszyła w ich stronę.

– Thomas Raines, prawda? – powiedziała, stając przed Tomem.

Chłopiec zerknął na generała i zaczął podnosić rękę, by zaszalutować, podobnie jak zrobił to przed chwilą jego towarzysze.

Generał Marsh pokręcił głową.

– Nie musisz tego robić, Tom. To Olivia Mastenson. Jest cywilem.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Miło cię poznać, Tom. Generał ma rację. Jestem osobą cywilną, podobnie jak ty. Kiedy wojsko zaczęło rekrutować nastolatków do działań bojowych, Kongres i Pentagon zawarły porozumienie zwane Umową obywatelską. Słyszałeś o tym?

Tom wszedł za nią do budynku, tuż za nim postępował generał Marsh. Wejście do Wieży Pentagonu było równie onieśmielające jak lśniące, chromowane powierzchnie na zewnątrz: chłopiec z

podziwem spoglądał na wysokie marmurowe sufity, złotego orła, który mierzył groźnym wzrokiem wszystkich nowo przybyłych, flagi pięćdziesięciu starych stanów oraz krąg chorągwi aktualnych sprzymierzeńców USA, czyli Indii i bloku euro-australijskiego. Kilka pustych stojaków znaczyło miejsce, gdzie niegdyś, jeszcze przed powstaniem Unii Afrykańskiej, znajdowały się symbole narodowe byłych republik afrykańskich.



Obcasy Olivii stukwały głośno o podłogę holu.

– Stany Zjednoczone bardzo poważnie traktują prawo dotyczące pracy nieletnich. Choć wojsko rekrutuje obecnie bardzo młodych ludzi, takich jak ty, służą oni na innych zasadach niż zwykli żołnierze, chyba że po ukończeniu osiemnastu lat zdecydują się zatrudnić w armii na stałe. Nie będziesz więc miał żadnego oficjalnego stopnia. Podczas pobytu w Wieży Pentagonu pozostajesz pod opieką wojska, ale twoim opiekunem prawnym nadal jest twój ojciec. Nie jesteś własnością armii.

Uwagę Toma przykuła grupa umundurowanych żołnierzy, którzy przeszli obok w równym szyku, zatrzymali się przy flagach i zaczęli je uroczyście zwijać przed nocą. Wszyscy nosili prawdziwą broń. Do tej pory Tom widział karabiny i pistolety jedynie w symulacjach komputerowych. Wpatrywał się w nie jak urzeczony, dopóki Olivia nie położyła mu dłoni na ramieniu i nie popchnęła delikatnie naprzód.

– Podobnie jak ja, Tom, będziesz kimś w rodzaju cywila zatrudnionego przez wojsko na określony czas. Będziesz pracował dla rządu, ale w ściśle wyznaczonych ramach. Otrzymasz tradycyjne wykształcenie...

Tom skrzywił się mimowolnie. Miał nadzieję, że nie będzie już musiał chodzić do szkoły.

– ...stypendium i pensję przekazywaną na fundusz powierniczy. Będziesz miał też ćwiczenia fizyczne i co najmniej dwadzieścia godzin wolnych w tygodniu. W weekendy możesz robić zakupy w centrum handlowym, a nawet wychodzić do miasta, jeśli tylko wrócisz do koszar przed dziewiątą wieczorem.

– Jeśli się spóźnisz – rozległ się za jego plecami dudniący głos generała – stracisz wszystkie przywileje i będziesz się musiał bardzo starać, żeby je odzyskać.

– Rozumiem. – Tom zastanawiał się, dlaczego mówią do niego tak, jakby byli pewni, że będzie im sprawiał problemy.

Weszli do obszernej okrągłej sali z lśniącymi czarnymi stołami pośrodku. Za nimi wokoło znajdowały się bary i kawiarnie ozdobione kolorowymi neonami: „Ground Zero Café”, „Wieża”, „Pentagon Pizza”, „La Cantina”, „Rosyjskie Bistro”.

– To Kantyna Clausewitza<sup>2</sup> – wyjaśniła Olivia. – Jadają tu tylko młodzi elewowie i oficerowie mieszkający na stałe w Pentagonie. – Skierowała Toma ku rzędowi wind. – A tutaj mieści się moje biuro, Tom – dodała, wskazując na szklane drzwi na końcu korytarza, przy którym znajdowały się windy.

Tom przyjrzał się uważnie drzwiom i dostrzegł na nich wygrawerowany napis:

„Olivia Mastenson, LPS”.

– Jak już mówiłam, nie służę w wojsku. – Olivia przyłożyła dłoń do tabliczki ze skanerem odcisków palców. – Jestem licencjonowanym pracownikiem socjalnym i pracuję tu dla was, dzieciaki. Jeśli macie jakieś problemy, możecie o nich ze mną porozmawiać, oczywiście wszystko zostanie między nami. Zawsze bronię waszych praw, nawet jeśli macie kłopoty ze swoimi opiekunami z armii.

Kiedy drzwi się rozsunęły, generał Marsh poprowadził ich w głąb korytarza, a potem do kolejnych pomieszczeń. Pokazał Tomowi Arenę Gimnastyczną Sun Zi<sup>3</sup>, Ambulatorium Harta<sup>4</sup> i Salę La Fayette'a<sup>5</sup>. W tym ostatnim, przestronnym pomieszczeniu stały rzędy ławek zwróconych ku podwyższeniu, po którego jednej stronie znajdowała się flaga USA, a po drugiej – flaga pięciu sprzymierzonych z Indo-Ameryką korporacji międzynarodowych: Montando, Balliharton, Diesword, Wyndham Harks i DP.

– Elewowie mają tu najważniejsze zajęcia z cywilnymi instruktorami. – Olivia odwróciła się do Marsha. – Generale, zabierzemy teraz Toma do sal treningowych?

Marsh zmierzył chłopca dziwnym spojrzeniem.

– Tak. Tak. Jest gotowy.

Wjechali windą na trzynaste piętro. Marsh zerknął na tabliczkę informacyjną przy drzwiach i przyłożył palec do ust.

– Wejźmy tutaj – powiedział.

Otworzył drzwi, odsłaniając wewnątrz dużej mrocznej sali. Gdy oczy Toma przywykły do ciemności, zobaczył ich: kilkunastu nastolatków leżących na stołach ustawionych w kręgu. Wszyscy mieli zamknięte oczy.

W pokoju panowała martwa cisza, chłopcy leżeli w całkowitym bezruchu, a rozstawione w pobliżu ekrany ukazywały rytmiczne bicie ich serc. Tom był zszokowany tym widokiem. Co oni właściwie robili? Marsh mówił o symulacji, ale żaden z nastolatków nie miał gogli ani cyberrękawic czy choćby staromodnych paneli z czujnikami. Żaden nie gestykulował, nie wymachiwał rękami. Jak mogli się w ogóle poruszać w wirtualnej rzeczywistości, skoro nie mieli czujników sterujących? Wyglądali raczej na pacjentów oddziału dla chorych w śpiączce.

Generał Marsh wziął Toma pod ramię i wyprowadził z sali.

– To kadeci. Elewowie z pierwszego poziomu. Uczestniczą teraz w grupowej grze. Zanim rozpoczną szkolenie z zakresu taktyki i strategii, muszą najpierw przejść ćwiczenia z pracy zespołowej. W ten sposób oswajają się również

z sytuacją, w której procesory neuronowe w ich mózgach współpracują z czymś innym niż ich własne ciała.

Tom przystanął raptownie.

– Co takiego? – Odwrócił się i spojrzał na dorosłych. – Procesory neuronowe w ich mózgach?

Ani Marsh, ani Olivia nie wyglądali na zaskoczonych jego reakcją. Najwyraźniej spodziewali się tego.

– Żeby zostać elewem tego ośrodka, Tomie Raines, musisz mieć w mózgu specjalny procesor, który instalujemy przed rozpoczęciem szkolenia. Potem nadal jesteś człowiekiem, choć dysponujesz też dodatkowymi zdolnościami.

Olivia zacisnęła dłoń na ramieniu Toma. Chłopiec strącił ją, zirytowany tym natarczywym gestem.

– Nie mówił pan nic o... – zaczął.

– A co ty myślałeś, Tom? – przerwał mu generał Marsh, unosząc brwi. – Nasi kosmiczni wojownicy sterują maszynami, ale też walczą z nimi. Twoje synapsy i cały mózg działają bardzo szybko, ale nie tak szybko jak maszyny. A mózgi tych dzieciaków są co najmniej równie szybkie jak maszyny.

Teraz Tom już rozumiał, dlaczego chłopcy leżący na stołach w ogóle się nie ruszali: mieli komputery w ciałach. W głowach. Symulacja rozgrywała się w ich mózgach.

– Wszyscy elewowie poddają się tej procedurze, Tom. Jest bezpieczna. – Marsh spojrzał na czoło chłopca. – Nastolatki mają jeszcze coś, czego brakuje nam, dorosłym, czyli elastyczność układu nerwowego. Wasze mózgi łatwo i szybko adaptują się do nowych warunków. Mózgi dorosłych nie są w stanie przystosować się do procesorów neuronowych. Próbowaliśmy, ale nie skończyło się to dobrze. Dlatego zatrudniamy nastolatków. Jesteście jeszcze bardzo młodzi, a wasze umysły są nastawione na rozwój. Prawda jest taka, że nie da się sterować indo-amerykańskimi maszynami bez odpowiedniego sprzężenia, sprawnego interfejsu. Żeby zostać kosmicznym wojownikiem, musisz sam pokonać pewien dystans, jaki istnieje między człowiekiem a komputerem.

Tom spojrzał na poważną twarz Olivii i uświadomił sobie, że ona też o tym wiedziała. Sprowadzili go tutaj, obudzili w nim nadzieję i wciągnęli go w pułapkę. Ponownie skierował wzrok na

salę treningową, gdzie leżeli wszyscy ci nieruchomi ludzie, niczym zombi zamknięte w jakimś grupowym programie.

Przypomniał sobie, z jakim uporem jego ojciec twierdził, że Elliot Ramirez nie

jest prawdziwym człowiekiem. Elliot na pewno też miał w mózgu procesor neuronowy. Neil się nie mylił.

– Czy to zmienia człowieka? – spytał Tom.

– Nie. – Marsh pokręcił głową.

Olivia skarciła go wzrokiem.

– Odrobinę – przyznał generał. – Ale naprawdę nieznacznie. Nawet tego nie zauważysz. Kiedy już zainstalujemy w twojej głowie nowe oprzyrządowanie, będziesz szybciej myślał. Staniesz się jednym z najbystrzej szych ludzi na świecie.

– Tom, jeśli masz wątpliwości, możesz zrezygnować – dodała Olivia.

Marsh skinął głową.

– Olivia ma rację. Wystarczy jedno twoje słowo, a natychmiast odstawię cię do Dusty Squanto, do twojego taty. W samolocie podpisałeś oświadczenie o zachowaniu tajemnicy, więc będziesz musiał zatrzymać dla siebie wszystko, co tutaj widziałeś, ale to nie powinno być trudne. Ważne, żebyś podejmował tę decyzję w pełni świadomie.

Tom przypomniał sobie słowa ojca, które teraz wydawały mu się ponurym proroctwem: „Wiesz, jak wojsko traktuje swoich ludzi, Tom? Przeżuwa ich, a potem wypluwa, właśnie tak. Dla nich jesteś tylko kolejnym sprzętem”.

Sprzęt. Komputer był zwykłym sprzętem. On sam miał się stać czymś w rodzaju narzędzia w rękach wojska.

– Tylko w ten sposób można to robić? – spytał.

– Tylko. Bez procesora neuronowego do niczego nam się nie przydasz.

Marsh czekał z tymi informacjami aż do teraz, gdy Tom odwrócił się już od ojca, gdy zmusił go do podpisania zgody, gdy przeleciał pół kraju i pozwolił, by nadzieja wyniosła go pod samo niebo, niemal do stratosfery. Dopiero teraz generał wyjawiał mu całą prawdę.

To była manipulacja. Tom nie potrzebował komputera w swojej głowie, by to zrozumieć. Jeśli czegoś naprawdę w życiu nienawidził, to właśnie takich sytuacji – kiedy ktoś próbował go okantować, kiedy traktował go jak frajera.

– Może jednak nie nadają się do tego.

Mówiąc to, Tom uważnie obserwował twarz Marsha. Z przyjemnością patrzył na grymas zdumienia i rozczarowania, który wykrzywił jego rysy.

Stary cwaniak myślał, że już go dopadł. Że Tom uzna, iż i tak nie ma wyboru. Chłopiec czuł mściwą satysfakcję na myśl, że pokrzyżował mu plany.

– Cóż, no tak... – mamrotał generał, szukając właściwych słów.

– Chłopak podjął decyzję – stwierdziła Olivia triumfalnym tonem. – Odwieź

go do domu, Terry.

Tom poczuł, jak ogarnia go panika. Tak naprawdę bardzo chciał zostać w Wieży Pentagonu. Pragnął takiego życia z całego serca. Ale nie mógł pozwolić, by ktoś zrobił go w to jak ostatniego frajera. Nigdy by sobie tego nie wybaczył. Wolałby raczej wyłupić sobie oczy, niż zostać ofiarą manipulacji Marsha.

Generał przyglądał mu się z uwagą przez kilka, pełnych napięcia chwil. Potem powiedział:

– Wiesz co, Tom? Może umówimy się tak, że dam ci jeszcze trochę czasu do namysłu. Przemyśl to sobie, dobrze?

Tom omal nie parsknął śmiechem. Udało mu się zmusić Marsha do ustępstw. Czuł, jak powoli opuszcza go napięcie, jak rozluźniają się jego żołądek i mięśnie. Nie dał się całkiem wyrolować temu facetowi.

– Dobrze. Przemyślę.

Wydawało się, że i Marsh nieco się uspokoił. Wyciągnął do niego rękę, w której trzymał lśniąca czarna kartę. Jednocześnie ani na moment nie odrywał wodnistych oczu od twarzy Toma, jakby starał się wysondować, czy chłopiec naprawdę jest w stanie zrezygnować z jego oferty.

– Pani Mastenson, może zaprowadzi pani Toma do kantyny? Dałem ci kilka punktów na posiłki, Tom. Przegryź coś na mój rachunek. I dobrze to wszystko przemyśl. Kiedy uznasz, że jesteś już gotów do rozmowy, wyślij sygnał pagerem, zejść do ciebie.

Tom spojrzął na kartę i obrócił ją w palcach.

– A jeśli odmówię, będę mógł wrócić do taty?

– Tak – zapewnił go Marsh.

– Musi przyjąć twoją odmowę, jest do tego prawnie zobowiązany – dodała Olivia.

Tom podniósł na nią wzrok i odwzajemnił jej uśmiech.

– Świetnie. Mam nadzieję, że na tej karcie jest sporo punktów.

Zirytowana mina Marsha jeszcze bardziej poprawiła mu humor.

\* \* \*

Tom usiadł przy stole w kantynie z pustą tacą. Wbrew temu, co mówił Marshowi, wcale nie chciało mu się jeść. Zaczęła boleć go głowa. Żałował, że nie może porozmawiać ze swoim ojcem.

Gdyby Neil był tutaj w chwili, gdy Marsh wyskoczył z tym swoim: „Och, zapomniałem wcześniej wspomnieć o komputerze w twojej głowie”, doszłoby

do nie lada awantury. Ojciec Toma pewnie zwymyślałby generała albo nawet by go uderzył. I może gdyby wygłosił to swoje słynne ostrzeżenie: „Nie ufaj establishmentowi”, Tom chętniej dokonałby wyboru, którego naprawdę pragnął, bo zrobiłby wówczas na przekór Neilowi.

Przesunął dłonią po włosach. Co się z nim działo? Nie mógł przecież zmarnować takiej okazji. I nie powinien był traktować jej zbyt osobiście. Marsh działał zapewne według jakiegoś z góry ustalonego schematu: zabrać dzieciaki od rodziców, przewieźć je do Wieży Pentagonu, rozbudzić ich nadzieje, a potem zaskoczyć je tą historią z operacją mózgu. Jednak nawet gdyby tak rzeczywiście było, Tom wcale nie czułby się lepiej.

– Jeśli nie używasz tej karty, to może ja skorzystam?

Tom drgnął, wyrwany nagle z niewesołych rozmyślań, podniósł głowę i wstrzymał oddech, ujrawszy przed sobą piękną dziewczynę.

Stała naprzeciwko i uśmiechała się promiennie w sposób, w jaki dotąd nie uśmiechała się do niego żadna dziewczyna. Miała ciemne włosy zebrane w luźny kucyk i bursztynowe oczy, jakich nigdy nie widział. Mundur zdradzał, że jest elewem.

Tom bez słowa podał jej kartę Marsha, oszołomiony jej urodą.

Oczy dziewczyny ponownie rozbłysły uśmiechem.

– Oddam ci, obiecuję. Zużyłam już cały tygodniowy przydział na latte. Wiem, że nie powinnam, ale nie potrafię sobie odmówić.

Tom dopiero po paru chwilach przypomniał sobie, że umie mówić.

– Nie musisz. To znaczy nie musisz sobie odmawiać.

– Jestem Heather. A ty jak masz na imię?

– Tom.

Gdy tylko to powiedział, zaczął się zastanawiać, czy nie zrobił tego w głupi sposób. Miał ochotę palnąć się mocno w głowę, bo tylko idiota mógł rozważać, czy powiedział „Tom” w głupi sposób – przecież trudno wypowiedzieć jedną sylabę w jakikolwiek konkretny sposób, a zwłaszcza głupi.

– Tommm – mruknęła, a chłopiec natychmiast uświadomił sobie, że jednak się mylił, bo można wymówić jedną sylabę w naprawdę wyjątkowy sposób. W ustach Heather jego imię brzmiało fantastycznie. – A może kupię coś nam obojgu?

Tom znów na moment zaniemówił z wrażenia.

– Eee... tak, to świetny pomysł – wykrztusił w końcu.

Dopóki dziewczyna wymawiała jego imię i uśmiechała się do niego w taki sposób, gotów był przyznać, że nawet skok do wnętrza reaktora jądrowego

to świetny pomysł.

– Wspaniale! – ucieszyła się Heather, puszczając do niego oko, po czym ruszyła w stronę kawiarni Ground Zero.

Przyglądał się z fascynacją, jak kołyszze biodrami. Wiedział, że to nie może potrwać długo. Choć starał się wymyślić przed jej powrotem jakieś błyskotliwe uwagi, to był pewien, że i tak zaraz sobie pójdzie. Przyniesie mu coś do picia i zniknie. Piękne dziewczyny nie przesiadywały w towarzystwie niskich, brzydkich chłopców z paskudnym trądzikiem.

Tym bardziej więc był zaskoczony, gdy usiadła naprzeciwko niego i przysunęła mu napój. Na dłoniach miała rękawiczki bez palców, podobne do tych, jakie noszą rowerzyści. Dostrzegł na nich jednak insygnia sił Układu Słonecznego, musiały zatem stanowić część umundurowania elewów.

– Wiem, że powinnam trochę przystopować z tą latte, ale chyba jestem uzależniona od kofeiny. Po prostu uwielbiam to uczucie, jestem wtedy taka podekscytowana...

– Tak – zgodził się z nią Tom, nie wiedząc, z czym właściwie się zgadza, po czym upił potężny łyk napoju, który podała mu Heather. Gorący płyn sparzył go w język.

– Niech zgadnę, jesteś przyszłym kadetem, tak? – spytała Heather.

– Kadetem?

– Tak nazywamy tu nowicjuszy. Chyba się domyślam, o co chodzi. Jeszcze się nie zdecydowałeś. Wystraszyłeś się tego. – Postukała palcem w skroń, jakby wskazywała na zainstalowany w jej głowie procesor.

– Nie powiedziałbym, że się wystraszyłem. Wcale się nie boję – zaprotestował Tom.

– Jesteś pewien? Śmiało, możesz mi o tym powiedzieć. Odpowiem na wszystkie twoje pytania, naprawdę.

Nagle Tom zrozumiał, do czego zmierza ta gra.

Roześmiał się prosto w szklanę i obserwował, jak spienione mleko miesza się z jasnobrązowym napojem. Był zażenowany całą sytuacją, wyczuwał w niej niewidzialną rękę Marsha. Stary generał przysłał tę zachwycającą dziewczynę, by za jej namową Tom poddał się jednak operacji wszczępienia procesora. Kolejna manipulacja.

– Wiem, nad czym się zastanawiasz. – Heather umilkła na moment i przygryzła dolną wargę. Tom mimowolnie zapatrzył się na jej różowe usta; zaschło mu w gardle. – Ja też się tym martwiłam. Myślałam, że po operacji nie będę już słyszeć własnych myśli, tylko jakiś sztuczny głos, wiesz, coś w rodzaju:



„Dzień dobry, Dave”<sup>6</sup>.

Piękna, a do tego fanka science fiction. Ta dziewczyna była chodzącym ideałem.

– Ale wcale tak nie jest, Tom. Nadal jestem sobą. Tyle że lepszą sobą.

– Posłuchaj – westchnął Tom, zanim zdążyła się rozkręcić. – Nie chodzi mi wcale o komputer. Nie martwi mnie nawet to, że mógłbym być inną osobą. Problem w tym, że... Widzisz, Marsh nie wspomniał ani słowem o tej operacji, dopóki się nie upewnił, że naprawdę chcę tu zostać. Nie podoba mi się to.

– Jesteś wkurzony, bo uważasz, że ktoś tobą manipuluje?

– Raczej próbuje manipulować. To znaczy... no wiesz, rozmawiałabyś ze mną, gdyby cię tu nie przysłał?

Heather wzruszyła ramionami.

– To jasne, że próbują tobą manipulować, Tom.

Tom zamrugał oczami, zaskoczony, że tak łatwo się z nim zgodziła.

– Marsh rzeczywiście kazał mi tutaj przyjść i porozmawiać z tobą. Dziwisz mu się? Nie chce, żebyś zrezygnował, kiedy już odkryłeś wielki sekret procesorów neuronowych. – Na ustach dziewczyny znów pojawił się promienny uśmiech. – Całe szczęście, że tego nie zrobisz.

– Nie zrobię? – powtórzył Tom, kompletnie zdezorientowany.

– Nie. – Heather pokręciła głową. – Dobrze wiesz, co zyskasz, jeśli tu zostaniesz. Umieszczą ci w głowie komputer za kilka milionów dolarów. Kolejne miliony zainwestują w twoje szkolenie. Potem odegrasz decydującą rolę w wojnie o przyszłość twojego kraju. Będziesz bardzo cenny. Owszem, czasami wojskowi traktują cię jak swoją własność, a nie jak osobę. Czasami ukrywają przed tobą informacje, próbują tobą manipulować. Ale musisz to znosić, jeśli chcesz być jednym z nas. Pytanie brzmi: czy rzeczywiście chcesz być jednym z nas, Tom? – Nachyliła się ku niemu i spojrzała prosto w oczy. – Chcesz być kimś ważnym?

Tu go mieli.

Chciał być kimś ważnym. Pragnął tego bardziej niż cegokolwiek.

Opadł na oparcie krzesła i pociągnął łyk napoju.

„Dobrze rozegrane, generale Marsh – pomyślał. – Dobrze rozegrane”.

---

<sup>2</sup> Carl von Clausewitz (1780-1831) – pruski teoretyk wojny, generał i pisarz.

<sup>3</sup> Sun Zi (544-496 p.n.e.) – starożytny myśliciel Dalekiego Wschodu, autor najstarszego na świecie podręcznika sztuki wojennej.

<sup>4</sup> Basil Henry Liddell Hart (1895-1970) – angielski historyk wojskowości.

[5](#) Markiz de La Fayette (1757-1834) – francuski polityk i humanista, generał, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

[6](#) Kwestia kojarzona z głosem komputera pokładowego z książki i filmu 2001: Odyseja kosmiczna.

## Rozdział 4

# DUCH W MASZYNIE

Po czasie, który wydawał mu się wiecznością, *To* zdało sobie sprawę, że coś się zmieniło. Coś jest inne.

Inne.

*To* nie mogło zrozumieć, co jest inne.

*To* nie było pewne, czym *To* jest.

*To* trwało w całkowitym bezruchu i próbowało zrozumieć, co się dzieje.

Mózg *Tego* działał teraz na innej częstotliwości, myśli *Tego* były pozbawione znaczenia/logiczne. *To* mrugnęło oczami, patrząc na dziwne/znajome symbole przepływające przez jego świadomość – układ okresowy pierwiastków – i rozpoznało za jakąś mglistą zasłoną skład chemiczny środka uspokajającego w jego systemie. Proparakaina.

*To* stało się kamerą ochrony w Rio de Janeiro skierowaną na olbrzymi posąg Jezusa z rozpostartymi rękami górujący nad wielkim miastem. Czujniki podczerwieni powiadomiły kamerę o obecności dwóch istot organicznych zmierzających ku statui.

Ale to nie była właściwa odpowiedź. *To* nie było kamerą.

*To* było systemem nawigacji w samochodzie jadącym autostradą w Bombaju. Niewielki wysiłek woli *Tego* mógł ściągnąć auto z drogi, ale *To* nie zamierzało tego zrobić. System nawigacji miał ściśle określone parametry i ograniczenia, które kierowały działaniami *Tego*, gdy *To* było owym systemem, co oznaczało, że jednak nim nie jest.

*To* było systemem filtracji w zbiorniku wodnym w Karolinie Północnej. W procesie dyfuzji *To* wchłaniało kadm, wiązało ten ciężki metal i przekazywało go do pojemników. Woda uderzała z chlupotem o czujniki ciśnienia osmotycznego. *To* też nie było właściwym rozwiązaniem.

*To* odszukało Wielki Kanion i zdołało zatrzymać się w sieci ochrony, przerażone świadomością, że to także nie jest *Tym*. Pozostało tam przez jakiś czas, badając ograniczenia sieci i łącząc się raz po raz z systemami nawigacji przejeżdżających w pobliżu samochodów. *To* przyczało się w czujnikach

temperatury w pobliżu chrapiącego strażnika z butami na biurku, obserwowało nieruchome stworzenie, zbadało jego temperaturę (36,7°C). Dziwne, ale ten ssak rodzaju ludzkiego, człowiek, w którym zachodziły jednocześnie liczne reakcje chemiczne, a serce biło w równym tempie (76 uderzeń na minutę)...

Człowiek.

Tak.

To było człowiekiem.

To było człowiekiem. Dlaczego To... Dlaczego On miał mętlik w głowie? Dlaczego tak dryfował?

On. Już wiedział, kim On jest.

Tom Raines. Tom. Tom. Tom.

Tom uczepił się tego nagłego przebłysku świadomości, czekał, aż rzeczywistość przyjmie znane mu niegdyś kształty. Przypomniawszy sobie, co się z nim działo. Połknął środek znieczulający. Kręciło mu się w głowie na sali operacyjnej. Ogolono i umyło mu głowę: „środki antyseptyczne zapobiegające infekcji”.

Ta myśl połączyła go z ciałem, z receptorami czuciowymi; przez jedną, przerażającą chwilę doświadczył całkowitego odrętwienia. Jego ciężka niczym odlana z ołowiu dłoń drgnęła lekko na metalowym stole; usłyszał jakiś głos we wnętrzu swego organicznego ucha. Ktoś zauważył nagły wzrost aktywności jego mózgu.

– ...w korze oczodołowo-czołowej. Czy on jest jednak świadomy?

– To niemożliwe – odpowiedział inny głos. – Te przyrządy mogą być wadliwe.

Zamówiłem nowe z Denver. Pamiętacie tę dziewczynę, Lily?

Ale było tam też coś innego, coś, co łączyło się z Tomem, ale nim nie było.

*01000100011111001010010100001011101100011000010*

*01011111001010100...*

Liczba, która wydawała się nie mieć końca. Tak obca, tak niezrozumiała, że odruchowo próbował się od niej oderwać. Potem poczuł się tak, jakby zagarnęła go ogromna fala tsunami, niepokonowana siła, która wciągnęła go z powrotem do internetu...

Poczucie bezmiaru przytłaczało go, napierało na niego ze wszystkich stron, otaczało nieskończenie skomplikowaną i złożoną

siecią: kamera ochrony w Rio i Wielki Kanion, i system filtracji zbiornika wodnego, i cztery miliardy samochodowych systemów nawigacji, i setki miliardów wiadomości tekstowych, i strzępy danych, i sygnały komputerów, i informacje o grach toczących się w sieci, i maszyny wysyłające je z kosmosu,

i satelity, i systemy ochrony miliarda różnych...

– Dość! Dość! – próbował krzyczeć Tom, lecz z jego gardła wydobył się tylko nikły szept, którego nikt nie dosłyszał.

Nikt nie stał obok nieruchomego ciała o mięśniach z ołowiu, zastygłych rękach, ogolonej głowie, do której docierały głosy niczego nieświadomych lekarzy, o mózgu z wszczepionym komputerem, który oferował mu logikę i porządek, przestrajał go, przebudowywał... I ta straszliwa siła, która mogła wciągnąć go w samą nieskończoność...

\* \* \*

Tom otworzył oczy w ambulatorium sekcji 1C3 Wieży Pentagonu. Najpierw zobaczył nad sobą żarzące się ciągi lamp fluorescencyjnych, a potem w polu widzenia pojawiła się okrągła przyjazna twarz.

– Lepiej pan się dziś czuje, panie Raines?

Tom zamrugał oczami, bo działo się z nim coś dziwnego. Widział nie tylko twarz mężczyzny, ale też tekst, który przesunął się szybko w jego umyśle.

**Imię i nazwisko: Jason Chang**

**Stopień: porucznik,  
dyplomowany pielęgniarz**

**Formacja/jednostka: USAF<sup>Z</sup> 0-3**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 3**

Tom ponownie zamrugał oczami i tekst zniknął. Chłopiec zaczął się zastanawiać, czy nie był to jedynie wytwór jego wyobraźni.

– Panie Raines – odezwał się Jason Chang, przywołując go ponownie do rzeczywistości. – Może mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa?

– Thomas Raines – odpowiedział Tom.

Porucznik Chang poświecił mu w oczy małą latarką.

– Wie pan, gdzie pan jest?

– W Wieży Pentagonu.

– Zgadza się, Tom. Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Z powodu operacji. Wszczepiono mi procesor korowy.

– Zgadza się.

Tom trzykrotnie zamrugał oczami. Obserwował, jak porucznik Chang sięga po wideofon i wybiera numer 1-380- .4198-4885.

– Doktorze Gonzales, pan Raines odzyskał już świadomość. Rozumiem.

Przeprowadzę rutynową ocenę.

– Dziwnie się czuję – powiedział Tom.

Wydawało mu się, że jego głos jest niższy niż zwykle.

– To naturalne. – Porucznik Chang zerknął na niego kątem oka. – Twój mózg musi się przystosować do oprogramowania. Początkowo będziesz miał problemy z napływem danych. To minie.

Tom spojrzął na neonówki świecące pod sufitem. Przypomniał sobie, że patrzył na nie całymi dniami. Nie spał już od dawna, mrugał oczami dokładnie co piętnaście sekund. Osiemnaście dni, cztery godziny, dziewięć minut, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem sekund...

– Nie spałem – stwierdził głośno. – Operacja odbyła się osiemnaście dni temu.

Porucznik Chang ściągnął mu z ręki opaskę do mierzenia ciśnienia.

– Owszem, twoja operacja odbyła się osiemnaście dni temu, ale od tamtej pory nie byłeś przytomny. Twój mózg przechodził rekonstrukcję. Elewowie ze wszczepionymi procesorami muszą odczekać jakiś czas, by ich umysły uzyskały optymalną sprawność. Zasypiałeś i budziłeś się w regularnych odstępach, jednak nie byłeś świadomy. Twój umysł musiał się przystosować do napływu nowych danych, do nowych ścieżek neuronowych utworzonych przez procesor. Teraz, kiedy już się wybudziłeś, powróci do równowagi. Dodatkowe szczegóły znikną. Wkrótce poczujesz, że znów jesteś sobą.

Tom już czuł się lepiej. Podniósł rękę i dotknął głowy. Pozostała na niej tylko ledwie wyczuwalna blizna. Małe, trzycentymetrowe nacięcie. Jego włosy miały siedem milimetrów długości. Leżał tu tak długo, że zdążyły odrosnąć.

– Posłuchaj, Tom, poddam cię teraz kilku testom i sprawdzę, czy możesz stąd wyjść.

– Już? Będę walczył?

Śmiech porucznika Changa odbił się echem od ścian zimnego pokoju.

– Nie tak szybko. Do tego potrzebujesz jeszcze kilku lat szkolenia.

– Jasne. – Tom zamknął oczy, bo przez jego umysł przebiegał strumień danych stanowiących odpowiedź na zadane przed chwilą pytanie.

*Standardowa ścieżka awansu w Wieży Pentagonu: szkolenie wstępne kadetów, następnie szkolenie na poziomie średnio zaawansowanym i zaawansowanym. Elewowie, którzy osiągają wybitne wyniki, dołączają do grupy kosmicznych wojowników zwanej Kompanią Camelotu.*

Tom był zszokowany. Wiedział, że informacje te pochodzą z procesora neuronowego, ale czuł się tak, jakby sam je wymyślił.

Zapomniał o tym na chwilę, gdy Chang przeprowadzał rutynowe badania.

Poprosił chłopca, by zamknął oczy, a potem pukał go w różne części ciała i kazał mu je nazywać. To było proste. Chang zbadał również zakres ruchu jego kończyn, pasywny i aktywny. Poleciał ruszać palcami, otwierać usta, podczas gdy sam przytrzymywał mu szczękę, a także podnosić ręce i nogi, gdy on ciągnął je w dół. Unieść jedną powiekę, potem drugą. Wystawić język. Zbadał słuch Toma i odruchy. Kazał mu mówić, czy dotyka go miękkim, czy też twardym przedmiotem, nazywać kształty i kolory. Łatwizna. Tom zaczynał się już niecierpliwić.

Następnie pielęgniarz włączył nagranie z dźwiękami o różnej wysokości i poprosił chłopca, by je określił.

– Nie znam się w ogóle na muzyce... – zaczął protestować Tom.

A jednak się znał. Zaszokowany, wymieniał nazwy kolejnych dźwięków. E. Es. C. D. Bis. Chang uśmiechnął się na widok jego miny.

– Załadowaliśmy parę gigabajtów informacji, żeby przetestować procesor, a także część prac domowych, żebyś nie miał zaległości. Powinieneś mieć bazę danych na najbliższy tydzień zajęć, zgadza się?

Mózg Toma przywołał te dane. Zajęcia cywilne, ćwiczenia fizyczne, zajęcia specjalistyczne.

– Tak.

– A dokąd masz iść teraz?

– Na spotkanie z Vikramem Ashwanem. Moim nowym współlokatorem. – Tom umilkł, zadziwiony. Po prostu to wiedział. – To takie dziwne.

Pielęgniarz skinął głową.

– Przyzwyczaisz się do tego, a przynajmniej tak mówią. Możesz odejść, kadecie.

Tom otworzył usta, by powiedzieć, że nie ma pojęcia, w którym kierunku iść, ale tym razem odpowiedziała mu Wieża Pentagonu, wprowadzając do jego procesora schemat budynku, w którym poruszały się symbole oznaczające poszczególnych elewów.

Podniósł się z łóżka, wciąż nieco oszołomiony, i ruszył do drzwi, kierując się mapą, która wisiała w jego umyśle niczym niezatwiona, dręcząca sprawa. Wieża podpowiadała mu, że Vikram znajduje się w odległości sześciu i pół metra na północny zachód od niego. Wyszedł na korytarz i przekonał się, że Vikram rzeczywiście stoi dokładnie sześć i pół metra od miejsca, w którym przed chwilą się znajdował.

Kiedy spojrział na młodego Hindusa, w jego głowie znów pojawił się tekst:

**Imię i nazwisko:** Vikram Ashwan  
**Stopień:** kadet USIF<sup>8</sup>, III stopień  
**Oddział:** Oddział Aleksandra,  
**Kwatera Stonewalla**  
**Pochodzenie:** Nowe Delhi, Indie  
**Osiągnięcia:** nagrody za innowacyjne  
rozwiązania na międzynarodowych targach nauki i techniki; stypendysta  
Indyjskiej Fundacji Przedsiębiorczości  
**Status:** w zawieszeniu  
**IP:** 2087:db7:lj71::338:113:6e8  
**Klauzula tajności:** ściśle tajne, poziom 3

Tom musiał mieć naprawdę zdumioną minę, bo śniady chłopiec o krzaczastych brwiach i krótko przyciętych, gęstych włosach uśmiechnął się do niego szeroko.

- Dziwne, nie?
- Dziwne – zgodził się z nim Tom.
- To dobrze, że nie musimy się sobie przedstawiać, Thomasie.
- No tak, nie musimy, eee... Vikramie.
- Mów do mnie Vik. Nie Vikram.
- Tom. Nie Thomas.

Vik przyglądał mu się z zaciekawieniem, gdy szli w stronę wind.

- Dziwne. Przy osiągnięciach masz uwagę: „nie dotyczy”.

Tom uświadomił sobie, że Vik widzi jego profil, tak jak on widział przed chwilą jego dane.

- To dlatego, że niczego nie osiągnąłem – przyznał szczerze.

Vik był pod wrażeniem.

– Nie będzie ci z tym łatwo. Każdy ma tutaj jakieś osiągnięcia. Będą cię o to pytali miliony razy.

- Nic na to nie poradzę.

– Znam dziewczynę, która może ci coś zaprogramować. Spotkamy się z nią na odprawie śniadaniowej. Zostało nam jeszcze pół godziny. Dość czasu, żeby ubrać cię w mundur.

Tom bezzwłocznie otrzymał niezbędne informacje. Mundury. Czarne bluzy ze srebrnym mieczem na piersi, maskujące spodnie bojowe, buty wojskowe, rękawiczki.

- Jestem w Oddziale Aleksandra – oznajmił.
- Zgadza się. Najlepszym w Wieży Pentagonu.



– Czym właściwie jest ten Oddział Aleksandra?

Vik się uśmiechnął.

– Nie dajesz rady z przepływem danych, co? Nie martw się. Najgorzej jest przez godzinę albo dwie po wybudzeniu. – Chłopak uśmiechał się nienaturalnie wręcz szeroko, jakby był obłąkany. – Musisz przejść przez proces przy-ci-na-nia sy-naps.

W umyśle Toma natychmiast pojawiła się definicja tego terminu: Proces zachodzący w mózgach niemowląt, który polega na selekcji i usuwaniu niektórych synaps, dzięki czemu mogą one postrzegać świat w sposób logiczny i spójny.

Tom szybko odsunął od siebie te dane.

– Zrobiłeś to celowo, prawda?

Vik parsknął śmiechem, który przypominał raczej chichot.

– Żartowniś – mruknął Tom.

– Mam wspaniałe poczucie humoru – zgodził się z nim Vik. – Mówią nawet, że jest „błyskotliwe”.

Drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze, odsłaniając obszerną lśniąca salę, w której stało kilka rzędów pluszowych sof z konsolami do gier, stół do ping-ponga, bilardowy i wysokie regały na książki. Wokoło sali ciągnęły się rozsuwane drzwi z napisami: Oddział Hannibala, Oddział Machiavellego, Oddział Dżyngis-chana, Oddział Napoleona, Oddział Aleksandra. Vik ruszył w stronę tego ostatniego.

– To świetlica kadetów. Wszyscy mieszkamy na szóstym piętrze.

– Średniacy na siódmym, zaawansowani na ósmym, a Kompania Camelotu na czternastym – dokończył za niego Tom, gdy weszli do Oddziału Aleksandra.

Wszystkie te informacje były już w jego głowie.

– Nazywamy ich w skrócie KomCa, a nie Kompanią Camelotu. A jeśli chodzi o te napisy nad drzwiami, to nazwy pięciu oddziałów elewów. Z każdą z tych grup wiążą się pewne stereotypy, więc niektórzy uważają, że nie bez powodu trafiamy do takiego, a nie innego oddziału.

Tej informacji nie było w mózgu Toma.

– To co wynika z tego, że należymy do Oddziału Aleksandra?

– Poświęcamy się bez reszty jakiejś sprawie, żyjemy po to, żeby zrealizować określony cel, a jeśli nie mamy żadnego celu, umieramy. Wiesz, kim był Aleksander Wielki, prawda? Ten facet podbił cały świat, a potem umarł „bo nie było już czego podbijać”. To właśnie my.

– A co z innymi oddziałami?

Przeszedł za Vikiem przez korytarz Oddziału Aleksandra: najpierw obok sekcji dziewczyn, a potem do sekcji chłopców mieszczącej się przy zewnętrznych ścianach Wieży Pentagonu. Wzdłuż wyłożonego dywanem korytarza ciągnął się szereg drzwi z nazwiskami słynnych amerykańskich generałów. Minęli Kwaterę Gavina, następnie Kwaterę Pattona.

– Ludzie z Oddziału Napoleona są zarozumiali i szukają poklasku, co zwykle kończy się klęską – tłumaczył Vik. – Machiavelli są świetnymi strategami, nie palą się raczej do prawdziwej walki. Hannibale to spryciarze, mają przedziwne pomysły, jeśli ich zlekceważysz, możesz mieć kłopoty. Ci od Dżyngis-chana to brutale. Bezwzględne mięśniaki, które myślą tylko o płądrowaniu i grabieży, a ofiary cywilne mają gdzieś.

Przy Kwaterze Stonewalla mózg Toma poinformował go, że właśnie dotarli do ich pokoju.

Weszli do małego pomieszczenia o ścianach w kolorze złamanej bieli, pod którymi stały dwie niskie prycze. Podłogę pokrywały cienkie szare dywaniki, a naprzeciwko drzwi znajdowało się okienko wielkości głowy Toma, wychodzące prosto na dach starego Pentagonu, położony piętro niżej.

Oprócz tego w pokoju leżał jeszcze rudowłosy, piegowaty dzieciak w bluzie Oddziału Aleksandra.

– To jest twoje łóżko – powiedział Vik do Toma, przechodząc nad bezwładnym ciałem do pustej pryczy.

– Na podłodze leży martwy chłopak – zauważył Tom.

– To Beamer, nasz sąsiad. – Vik otworzył szufladę i wyjął z niej zwinięty materiał. – To twój mundur.

– Na naszej podłodze leży martwy Beamer – nie ustępował Tom.

Vik rzucił mundur na pryczę Toma.

– Nie jest martwy, tylko leniwy.

Rudowłosy dzieciak obrócił się przez sen, jakby na dowód, że żyje. Kiedy Tom spojrział na piegowatą twarz chłopca, w jego umyśle pojawił się kwestionariusz osobowy:

**Imię i nazwisko: Stephen Beamer**

**Stopień: kadet USIF, III stopień**

**Oddział: Oddział Aleksandra,**

**Kwatera Gavina**

**Pochodzenie: Seattle, USA**

**Osiągnięcia: laureat stypendium**

**dla młodych przedsiębiorców, członek Stowarzyszenia Młodych Biznesmenów**

**Status:** w zawieszeniu

**IP:** 2087:db7:lj71::342:113:6e8

**Klauzula tajności:** ściśle tajne, poziom 3

– Beamer zachowuje się tak, jakby nie rozumiał, o co chodzi z tymi komputerami w naszych głowach – stwierdził Vik. – Mamy skomputeryzowaną pamięć, prawda? Więc jeśli się tu uczysz, nie

masz problemu z zapamiętywaniem informacji, musisz je tylko zrozumieć. Chodzi jedynie o przetworzenie wszystkich danych, które wkładają nam do głów. Na przykład najpierw załadują nam informacje na zajęcia z taktyki, a potem i tak wyjaśnią to podczas wykładu – żeby mieć pewność, że zrozumieliśmy.

Tom przeszedł nad Beamerem do swojego łóżka.

– Beamer zostawia ładowanie informacji na ostatnią chwilę. – Vik trącił butem nieruchomą nogę piegusa. – Kiedy indziej jest zbyt zajęty czatowaniem z tą swoją piękną dziewczyną ze Szwecji. Większość ludzi ładuje dane w czasie snu. Beamer gada nocami z dziewczyną, a potem wciska wszystko do głowy w ciągu dwóch godzin, więc w końcu niczego nie rozumie. Mówiłem ci, że ludzie z Oddziału Aleksandra oddają się jednemu celowi, prawda? No więc Beamer oddaje się próżnowaniu.

Oczy rudowłosego chłopca nagle się otworzyły. Beamer usiadł prosto tak szybko, że Tom odskoczył do tyłu wystraszony.

– Protestuję przeciwko takiemu przedstawianiu mojej osoby – oświadczył Beamer bełkotliwie. Wyglądał jak ktoś, kto mówi przez sen. – Vik rzuca na mnie oszczerstwa. Procesy kataboliczne utleniają węgiel zawierający składniki odżywcze.

– Co? – zdumiał się Tom.

Beamer jednak zamilkł i osunął się z powrotem na podłogę. Dopiero po chwili Tom zrozumiał, że chłopiec ponownie zapadł w głęboki sen.

– Kretyn – stwierdził Vik czule. W jego ciemnych oczach tańczył blask neonówek. – Żadnego przetwarzania, widziałeś? Ma

w mózgu wszystkie te informacje, ale na razie nic nie wie.

– Pewnie nie – mruknął Tom.

W tym momencie dobrze rozumiał Beamera. On też czuł się przytłoczony nadmiarem wiadomości.

– Włóż szybko mundur, zanim wpadnie tu android i zabierze nas na odprawę śniadaniową.

– Prawdziwy android? – spytał Tom.

Sam już nie wiedział, co w tym miejscu jest prawdą, a co tylko fantastyką naukową.

– Nie. Tak nazywamy współlokatora Beamera, Yuriego. Codziennie rano biega, choć trzy razy w tygodniu mamy ćwiczenia fizyczne., Myje zęby i czyści je nitką dentystyczną, a do tego zawsze jest w świetnym nastroju. Pomoże ci odrobić zadanie albo przesunąć meble; ciągle też próbuje się zaprzyjaźnić z tą dziwną dziewczyną Wyatt Enslow, bo mu jej żal. Najmilszy facet, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Doszliśmy z Beamerem do wniosku, że to android. Android i szpieg.

– Szpieg? – zapytał Tom.

Włożył bluzę i połączone z nią rękawiczki bez palców. Podniósł ręce i spojrzał na insygnia sił Układu Słonecznego, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest tylko dziwnym snem.

– Yuri Ivanov jest Rosjaninem, rozumiesz? Wojskowi zgodzili się wpuścić go do Wieży Pentagonu tylko dlatego, że jego ojciec ma jakieś koneksje w Koalicji i wcisnął go do programu szkoleniowego. Wiele osób myśli więc, że Yuri jest szpiegiem.

Tom włożył wysokie wojskowe buty, zasznurował je i wsunął w cholewy nogawki spodni maskujących, podobnie jak robił to Vik.

Drzwi pokoju rozsunęły się cicho, a do środka wszedł potężnie zbudowany, prawie dwumetrowy blondyn o śniadej twarzy, na której malował się przyjazny uśmiech.

**Imię i nazwisko: Yuri Ivanov**

**Stopień: kadet USIF, III stopień**

**Oddział: Oddział Aleksandra,**

**Kwatera Gavina**

**Pochodzenie: Sankt Petersburg, Rosja**

**Osiągnięcia: mistrz świata taekwondo  
w kategorii juniorów,**

**laureat Nagrody Chrisa**

**Canninga za wybitne**

**osiągnięcia w nauce**

**i Nagrody Elseviera Woodsa**

**za działalność humanitarną**

**Status: zastrzeżony**

**IP: 2087:db7:lj71::340:113:6e8**

**Klauzula tajności: tajne, poziom 1**

Tom z niedowierzaniem odczytał dane, które pojawiły się w jego głowie. Ten chłopak naprawdę miał niższe oznaczenie tajności niż pozostali elewowie.

– Cześć, chłopaki. Idziecie na śniadanie? – Yuri spojrzał na Toma. – A, ty jesteś pewnie tym nowym kadetem. Timothy Rodale.

Tom otworzył usta, by go poprawić, lecz Vik pochwycił jego spojrzenie i powiedział bezgłośnie:

– Nie zwracaj na to uwagi.

– Zgadza się – odrzekł więc Tom, spoglądając pytająco na Vika.

Yuri roześmiał się donośnie.

– Miło cię poznać, Timothy. Ja jestem Yuri, ale to już wiesz – dodał, stukając palcem w skroń.

– Tak, wiem – potwierdził chłopiec.

– Nie widzę twoich osiągnięć – zauważył Yuri.

– Wkrótce to naprawimy – wyjaśnił Vik.

– O, tak – przytaknął Tom.

W jego głowie rozległ się głośny sygnał, a potem komunikat: Odprawa śniadaniowa za pięć minut. Tom drgnął, kompletnie zaskoczony dźwiękiem, który wydawał się równie realistyczny jak jego własne myśli. Pozostali chłopcy również musieli otrzymać tę informację, bo zerwali się na równe nogi.

– Gotowy? – zwrócił się Vik do Toma.

Tom przywołał na twarz uśmiech, choć tak naprawdę był bardzo zdenerwowany.

Pogwizdując wesoło, Yuri podniósł z podłogi oszołomionego Beamera, przerzucił go sobie przez ramię i ruszył korytarzem w stronę wind.

– Mogę iść sam – zaprotestował słabo Beamer.

– To samo mówiłeś ostatnio, a potem rozbiłeś sobie głowę – zauważył Yuri. – Nie ma problemu, Stefan, dam sobie radę.

Beamer spojrzał na Toma.

– Hej, ten nowy koleś nie ma żadnych osiągnięć.

Idiotyczny profil.

Na szczęście w tym momencie Beamer znów stracił świadomość.

Vik zbliżył się do Toma.

– Mówiłem ci, że to będzie irytujące. Zajmiemy się tym później, a na razie powiem ci dwa słowa o Ivanovie. – Vik mówił normalnym tonem, jakby Rosjanin ich nie słyszał. – Oto dlaczego Yuri myśli, że masz na imię Timothy: wojskowi musieli wpuścić go do Wieży Pentagonu, nie mieli innego wyjścia, ale umieścili w jego oprogramowaniu wirusa, który blokuje dostęp do wszystkich tajnych wiadomości.

Tom spojrzął na szerokie plecy Ivanova, lecz ten wciąż pogwizdywał wesoło, jakby nieświadomy ich obecności.

– Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że jego procesor neuronowy zniekształca informacje, które słyszy?

– Otóż to. Yuri ma dostęp tylko do pierwszego poziomu tajnych danych. Dysponuje podstawowymi informacjami o Wieży, ale nie zna naszych imion i nazwisk, protokołów komunikacyjnych, strategii, niczego, co mogłoby okazać się cenne dla naszych wrogów. Jego procesor zaprogramowano tak, że Yuri nie słyszy naszych prawdziwych imion, jeśli ktoś wymówi je w jego obecności. Wszelkie tajne dane zostają zniekształcone, nim dotrą do mózgu Yuriego. Sam widzisz, że rozmawiamy o nim swobodnie, choć idziemy ledwie parę kroków za nim. Gdy tylko ktoś zacznie mówić o nim w jego obecności, procesor Yuriego natychmiast to wygłusza.

– Naprawdę?

Tom ponownie spojrzął na Rosjanina, zdumiony i zarazem zaniepokojony. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy, ale powinien

był przecież pomyśleć, że jeśli ma w mózgu procesor, ktoś może go programować niczym komputer.

– Vik, skoro ingerują w program Yuriego, to skąd możemy wiedzieć, czy nie robią też czegoś z nami?

Vik obdarzył go przerażającym uśmiechem, a w jego oczach znów pojawił się szalony błysk.

– Cóż, Tom, wcale tego nie wiemy.

– Uspokoileś mnie, dzięki.

– Do usług, stary. Po to tu jestem.

---

<sup>7</sup> United States Air Force – Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.

<sup>8</sup> Tutaj: United States Intersolar Forces – Amerykańskie Siły Układu Słonecznego.

## Rozdział 5

# CAŁKIEM NOWY FACET

W Kantine Clausewitza panował już tłok, świeciły się neony wszystkich barów i restauracji, pracownicy stali przy kasach, na wypadek gdyby któryś z elewów chciał uzupełnić swoje racje żywnościowe produktami kupionymi w sklepie. Tace z jedzeniem pojawiały się na prostokątnych stołach, przy których sadowili się uczniowie w czarnych bluzach z insygniami różnych oddziałów.

Tom powiódł wzrokiem po tłumie, identyfikując poszczególne symbole: biały zwój Machiavellich, czerwony topór Dżyngis-chanów, srebrny miecz Aleksandrów, złotą koronę Napoleonów i niebieskiego słonia Hannibali.

Vik trącił go łokciem, a potem pokazał mu głowę, by siedł za nim. Ruszyli w stronę chudej dziewczyny o cienkich ciemnych włosach, siedzącej samotnie na końcu stołu, który procesor neuronowy Toma zidentyfikował jako stół kadetek Oddziału Hannibala. Pozostałe dziewczyny siedziały nieco dalej i rozmawiały, całkowicie ignorując koleżankę.

– Hej, Enslow! – zawołał Vik.

Samotna dziewczyna podniosła głowę i zmarszczyła brwi, ukazując Tomowi poważną bladą twarz. Mózg chłopca natychmiast podsunął mu niezbędne informacje:

**Imię i nazwisko:** Wyatt Enslow

**Stopień:** kadet USIF, III stopień

**Oddział:** Oddział Hannibala,

**Kwatera** Pershinga

**Pochodzenie:** Exeter, USA

**Osiągnięcia:** złota medalistka międzynarodowej

olimpiady matematycznej,

zwycięzcy Konkursu

imienia Williama Lowella

Putnama

**Status: w zawieszeniu**

**IP: 2087:db7:lj71::335:113:6e8**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 3**

– Yuri chciał, żebyś wyświadczyła przysługę temu nowemu facetowi – powiedział Vik.

Enslow zmrużyła oczy.

– To dlaczego Yuri sam mnie o to nie poprosi?

– Reanimuje Beamera.

Dziewczyna z nieufnością wodziła przez chwilę wzrokiem od Toma do Vika.

– Jaką przysługę? – Nagle zatrzymała spojrzenie na Tomie. – Hej, nie masz żadnych osiągnięć.

– No właśnie. – Vik skinął głową. – Trudno w to uwierzyć, ale kiedy go rekrutowali, ktoś zapomniał wpisać jego liczne i niezwykle osiągnięcia.

Tom omal nie parsknął śmiechem. Tak, liczne i niezwykle osiągnięcia. Wygrał mnóstwo gier wideo, a kiedyś zjadł w ciągu pięciu godzin dwie duże pizze.

– Tom czuje się trochę zakłopotany – dodał Vik, przesyłając koledze szelmowski uśmiech.

– Nic dziwnego – odparła Wyatt z powagą. – Ktoś mógłby pomyśleć, że nie zrobiłeś nic, czym zasłużyłbyś sobie na miejsce w Wieży.

– Świetnie – mruknął Tom.

– To co mam tam wpisać? – spytała szorstko dziewczyna, opierając na stole rękę, do której miała przypiętą miniaturową przenośną klawiaturę.

Vik spojrzał pytająco na Toma.

– No właśnie, co?

Tom nie miał pojęcia, jakie osiągnięcia powinien umieścić na swojej liście.

– Mistrz gry w bule? – zaryzykował.

Wyatt spojrzała na niego z politowaniem.

Vik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak, gdyby bule były dyscypliną olimpijską, Tom zdobyłby złoty medal. Jest też mistrzem kraju w ortografii.

Wyatt skinęła głową, uznawszy najwyraźniej, że to osiągnięcie zasługuje na szacunek.

– Wiele osób nie zna ortografii. To smutne.

Tom chciał ją czymś naprawdę zaszokować, więc dodał:

– Jestem też jednym z twórców największej na świecie kuli...

– Kłębka sznurka? – podsunął Vik.



– Nie, Vikramie. – Tom z powagą pokręcił głową. – Woskowiny.  
Wyatt przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Wymyślasz to wszystko?

– Oczywiście, że nie – zapewnił ją Vik.

– Wprowadzę te dwa pozostałe, ale nie napiszę w twoim profilu o kuli woskowiny.

– Nie umniejszaj jego wielkich osiągnięć – oburzył się Vik.

– Cóż, prawdę mówiąc, nie kojarzy się to najlepiej – przyznał Tom.  
Wyatt napisała coś szybko na klawiaturze.

– Proszę.

Tom zamrugał oczami.

– Już gotowe? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak, już gotowe. – Wpatrywała się w niego z przyganą, jakby przegapił właśnie coś oczywistego. – I powiedzcie Yuriemu, żeby nie przysyłał mi więcej swoich przyjaciół z takimi głupimi sprawami jak ta.

– Dzięki – burknął Vik i pociągnął za sobą Toma w głąb sali.

– Milusia – podsumował Tom, gdy przeciskali się przez tłum.

– Enslow już taka jest. Męskie imię, męskie ręce, zero poczucia humoru. Yuri to jedyny człowiek w całej Wieży Pentagonu, który chce z nią rozmawiać – chyba mu jej szkoda. Ale jest dobrą programistką.

Dotarli do stołu kadetów Oddziału Aleksandra, gdzie czekali już na nich Beamer i Ivanov. Ten pierwszy opierał się o krzesło, zaś

Rosjanin stał wyprostowany jak struna. Przywitał Toma przyjaznym uśmiechem. Jego zęby były tak idealnie równe i białe, a blond włosy tak perfekcyjnie ułożone nad idealnie symetryczną twarzą, że naprawdę przypominał androida.

– Yuri, nadużyliśmy uprzejmości Wyatt Enslow i powiedzieliśmy jej, że to ty nas przysłałeś – poinformował Rosjanina Vik. – Chyba jest teraz na ciebie trochę wkurzona. Powinieneś pójść ją przeprosić.

Yuri zamknął oczy i westchnął.

– Nie jesteś zbyt miły dla Wandy, Wiktorze.

– Skąd, nic nie mam do Męskich Rąk – zapewnił go Vik. – Ale wiem, że nie zrobiłaby tego na moją prośbę. A naprawdę chciałbyś, żeby nasz biedny nowicjusz czuł się zawstydzony i upokorzony? – dodał, wskazując na Toma.

– Nie byłem zawstydzony – zaprotestował chłopiec.

Yuri obdarzył go jednak uśmiechem i przejrzał jego profil.

– O, mistrz ortografii. Imponujące.

– Tak, ćwiczę ortografię, grając w bule – odrzekł Tom. – Powtarzam w myślach różne słowa, wiesz, bóle, kule, w ogóle...

Zamierzał usiąść na swoim krześle, lecz Vik pokazał mu, by tego nie robił.

– Nie siadaj jeszcze. Musimy stać na baczność, dopóki pani Cromwell nie wyda komendy „spocznij”. Wiem, że to upierdliwe, ale robimy to tylko przy śniadaniu i uroczystych kolacjach.

Yuri nachylił się do Beamera.

– Dobrze się czujesz, Stefanie? Chcesz, żebym cię podtrzymał?

Beamer był błądy jak ściana, utrzymywał jednak równowagę.

– Dam radę, stary, naprawdę – wymamrotał.

W umyśle Toma znów rozległ się głośny sygnał i komunikat: Rozpoczęła się odprawa śniadaniowa.

W sali zapadła cisza, wszystkie umundurowane postacie się wyprężyły. Grupa elewów stojących przed wejściem wmaszerowała do środka i uformowała szpaler przy drzwiach. W ciężkiej, pełnej wyczekiwania ciszy było słycać jedynie szepty pracowników barów i sklepów.

Tom rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy przyjął właściwą postawę. Komputer w głowie podpowiadał mu, by rozluźnił ramiona, wypiął pierś, wciągnął brzuch, trzymał ręce wzdłuż ciała i stał idealnie wyprostowany.

W drzwiach pojawiła się chuda zmęczona kobieta w nieco za dużym mundurze. Przystanęła i powiodła wzrokiem po sali. Jej twarz była poznaczona głębokimi zmarszczkami, a kasztanowe włosy przetykane pasmami siwizny; mocno zaciskała usta z kącikami wygiętymi do dołu. Procesor neuronowy wyświetlił Tomowi:

**Imię i nazwisko: Isabel Cromwell**

**Stopień: major**

**Oddział: USMC<sup>9</sup> 0-4**

**Status: aktywny, weteran**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 8**

– Spocznij – powiedziała takim tonem, jakby irytował ją sam widok zgromadzonych w sali elewów.

Ciała otaczające Toma rozluźniły się, a gdy major Cromwell przeszła do swojego odosobnionego miejsca przy stole oficerów, wielka czarna fala uczniów zasiadła do posiłku.

Tom opadł na krzesło. Wszędzie dokoła elewowie podnosili pokrywy swoich

tac, odsłaniając typowe śniadanie złożone z jajek, tostów, bekonu i soku pomarańczowego. Tom zrobił to samo, lecz na jego talerzu leżały tylko dwa snickersy.

Vik, który zabrał się właśnie do tostów, zauważył jego zdumione spojrzenie.

– A tak, musisz to zjeść.

Tom podniósł wzrok, skonsternowany.

– Batony? Na śniadanie?

– Właściwie to suplementy diety, Tom. Przez jakiś czas będziesz musiał jeść dziesięć takich porcji dziennie. Czeka cię kilka trudnych tygodni. Chodzi o to, że kiedy instalują ci procesor neuronowy, twoje hormony szaleją. Gwałtownie wzrasta poziom GHG.

Tom ucieszył się w duchu, że jego mózg od razu rozszyfrował ten skrót.

– Naturalnego hormonu wzrostu?

– Zgadza się. Wytłumią go, kiedy już skończy się twój naturalny cykl wzrostu.

– Jak to możliwe, że zwykły baton jest suplementem diety?

– Ty tylko widzisz tu baton. – Vik pociągnął spory łyk soku pomarańczowego.

– W rzeczywistości to substancja o bardzo wysokiej zawartości składników odżywczych i energetycznych. Twój procesor neuronowy został zaprogramowany tak, żeby przedstawiać

ci ją jako ulubioną potrawę albo przekąskę. Kiedy zobaczysz tę odżywkę w jej normalnej postaci, będziesz wiedział, że poziom hormonu wzrostu już się obniżył.

Tom odwinął z papierka pierwszego snickersa i pochłonął go kilkoma kęsami. Smakował jak zwykły baton. Chłopiec nie mógł się nadziwić, że jego mózg tak łatwo go oszukuje. Spojrzał na prawdziwe jedzenie na talerzach innych elewów. Kiełbaski prezentowały się tak smakowicie, że chętnie by ich spróbował. Ponownie przeniósł wzrok na drugiego snickersa i stwierdził ze zdumieniem, że teraz wygląda on jak tłusta kiełbaska. Kiedy ją ugryzł, eksplodowała smakiem na jego języku. Zaintrygowany zamienił ten obraz w głowie na banana – choć nie przepadał za bananami – a kiedy znów spojrzął na kiełbaskę, ta miała już postać owocu.

– Niesamowite – mruknął.

Zachował kawałek banana/kiełbaski/snickersa, by przyglądać mu się w drodze na ćwiczenia fizyczne. Zmienił go w pieróg, potem w spaghetti, a na koniec w liść sałaty.

– Rozgrzewka i początek ćwiczeń są zawsze dość intensywne – poinformował go Vik. – Ale przyzwyczaisz się.

– Och, świetnie – odrzekł Tom z udawanym entuzjazmem. Włożył ostatni kawałek batona do ust i natychmiast pożałował, że nie zmienił jego postaci: z liścia sałaty w coś innego, cokolwiek. – Nie uprawiam żadnego sportu i nie wykonuję żadnych ćwiczeń fizycznych. Nigdy. Czy jakiś szurnięty sierżant będzie na mnie wrzeszczał, jeśli nie wytrzymam tempa?

– Adrenalina doda ci sił. Uwierz mi.

Weszli do Areny Gimnastycznej Sun Zi i dołączyli do kadetów z innych oddziałów. Mózg Toma połączył się z Wieżą, ukazując schemat wielkiej sali i informując, że otacza ona pomieszczenia położone na pierwszym, drugim i trzecim piętrze. Chłopiec ogarnął spojrzeniem różne przeszkody, które musieli pokonać – głębokie rowy, drabiny i skalne ściany, doły wypełnione piaskiem, wodą, długie odcinki starej bieżni ze sztuczną trawą, które niknęły mu z oczu za załomem ściany, schody prowadzące na poziomy z kolejnymi przeszkodami.

Nagle poczuł w karku dziwne mrowienie. Otaczający go krajobraz uległ radykalnej zmianie. Tom nie stał już w sali gimnastycznej, lecz na rozległym polu porośniętym soczyście zieloną trawą.

– Co się stało? – spytał zdezorientowany.

Vik wzruszył ramionami.

– Teraz masz procesor neuronowy.

Tom zrozumiał, że jego mózg ponownie otrzymywał fałszywy obraz podobnie jak w przypadku batona energetycznego na śniadanie. Ćwiczenia fizyczne były czymś więcej niż zwykłą gimnastyką. Nie musiał biegać w kółko po bieżni, robić pompek ani wykonywać jakichś innych nużących zadań, którymi żołnierze męczą młodych rekrutów.

Chłodna bryza owiała jego skórę, podniosła lekko włosy – wydawała się całkiem rzeczywista. Trawa ugiwała się pod stopami, zamglone poranne słońce świeciło prosto w oczy. Tom wyraźnie wyczuwał zapach dymu, którego ciemne smugi wydobywały się z za odległego horyzontu. Słyszał nawet pomruk głosów dochodzący z innej części pola, czuł, jak ziemia drży pod tysiącami stóp.

Vik chwycił go za ramię i pchnął do przodu.

– Zaczynaj biec, póki możesz. Ta symulacja zaczyna się od bitwy pod Bannockburn<sup>10</sup>, a potem wcale nie jest łatwiej.

Tom zerknął na pozostałych kadetów, którzy odłączali się od głównej grupy i ustawiali w szeregu na polu bitwy. Wszyscy oglądali się nerwowo do tyłu. Tom również spojrzął w stronę najbliższego wzgórza, ciekaw, na co właściwie czekają.

– Co teraz? – spytał Vika.

– Mała zachęta do biegu. Rozciągaj się, póki możesz.

Tom posłusznie zaczął się rozciągać, czuł, jak jego serce powoli przyspiesza. Odległy pomruk przybierał na sile, był coraz bliżej. Kadeci bardziej wysunięci do przodu poderwali się do biegu.

Powietrze wypełniło się krzykami. Tom spojrzał ponownie na wzgórze i wstrzymał mimowolnie oddech, ujrawszy „małą zachęta do biegu”. Tysiące mężczyzn w szkockich strojach pędziło w dół zbocza, wznosząc groźne wojenne okrzyki i wymachując mieczami.

„To jest niesamowite” – pomyślał z zachwytem.

Ocknął się dopiero, gdy tuż obok jego głowy przemknęła ciężka włócznia. Instynkt przetrwania przypomniał mu, że jest nieuzbrojony, a ma przeciwko sobie horde rozwścieczonych średniowiecznych Szkotów. Zerwał się do biegu, ścigany przerażającymi wrzaskami. Kolejna włócznia przeleciała mu nad głową i wbiła się z głuchym odgłosem w ziemię. Tom ominął ją zręcznie, a potem zganił się w duchu za uleganie nadmiernym emocjom. To wszystko

przecież nie było prawdziwe. Nic mu nie groziło. Uczestniczył w symulacji.

Zapomniał o tym niewielkim pocieszeniu, kiedy usłyszał mrozący krew w żyłach krzyk. Odwrócił się i zobaczył, że rudowłosy chłopiec, Beamer, wpadł w ręce szkockich wojowników. Jeden z nich wbił mu właśnie miecz w brzuch.

– Aaa! – charczał Beamer, rzucając się na ziemi. – Jak to boli! Straszny ból!

– O Boże, Beamer! – krzyknął przerażony Vik. Złapał Toma za kołnierz. – Na miłość boską, biegnij szybciej. Biegnij szybciej albo spotka cię to samo.

Tom stracił nagle całą pewność siebie i wystraszył się nie na żarty. Vik panikował, a Beamer wrzeszczał tak, jakby naprawdę umierał. Czyżby symulacja była wadliwa? Przyspieszył. Wiedział, że komputer w jego mózgu dokonuje błyskawicznych obliczeń, prowadzi go w rzeczywistym świecie tak, by nie wpadł na ściany i inne przeszkody, dostosowuje obraz symulacji do prawdziwych warunków.

Zatrzymał się raptownie przed skalną ścianą. Wtedy otaczająca go sceneria znów się zmieniła, a pod urwiskiem pojawił się Beamer, zgięty wpół ze śmiechu.

– Vik, widziałeś minę tego nowego? – rechotał rudowłosy chłopiec.

Vik również zanosił się śmiechem. Gdy wreszcie uspokoił się nieco, poklepał Toma po ramieniu.

– Biedny Tom. Myślałeś, że naprawdę go przebili, co?

Yuri wzgardził drabinami i wspinał się po skale. Był już w połowie drogi, ale przystanął, by spojrzeć na nich z góry i pokręcić głową.

– To był nieładny żart.

Tom w końcu zrozumiał: wszystko było tylko symulacją. Beamer udawał, że umiera, a Vik przyłączył się do niego.

– Bardzo zabawne – mruknął. Beamer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Śmierć z rąk Szkota.

Vik zaczął wspinać się po ścianie.

– Teraz faza druga, Tom. Znów chcesz umrzeć, Beamer?

– Nie będę na to włąził, nie ma mowy – burknął chłopiec, spoglądając na pionowe urwisko.

– A więc do zobaczenia w następnym życiu. Albo w następnej symulacji. Chodź, Tom.

Tom ruszył śladem Vika po drabinie, zostawiając Beamera na pastwę rozwścieczonych Szkotów. W realnym świecie była to jedna ze ścianek do wspinaczki, które widział w sali. Tutaj, w symulacji, przypominała mur jakiegoś potężnego zamku. Tom wspinał się wytrwale po szczeblach drabiny, angażując nowe partie mięśni. Po chwili ujrzał nad sobą średniowiecznych angielskich żołnierzy, którzy przeklinali ich głośno i nazywali parszywymi barbarzyńskimi najeźdźcami.

Kiedy dotarli na szczyt muru, dostrzegli przed sobą następną ścianę, pod którą stała drabina. Tom usłyszał za sobą głośne okrzyki wojenne. Obejrzał się i zobaczył, że ściga ich armia rozwścieczonych Szkotów, którzy wdrapywali się właśnie na niższą część muru. Beamer znów zginął z ich rąk. Tym razem nie udawał, że cierpi. Osunął się na ziemię i pomachał do Toma.

Tom spojrział na Szkotów, a potem na Anglików, którzy strzelali do niego z góry. Zastanawiał się, po czyjej właściwie są stronie.

Skoro atakowali angielską fortecę, a ścigali ich Szkoci, to jedni i drudzy byli ich wrogami, więc symulacja nie miała najmniejszego sensu.

Wszedł na sam wierzchołek drabiny i wraz z pozostałymi kadetami znalazł się w zbrojowni. Naśladując innych elewów, zerwał ze ściany miecz wykonany z żelaza i zbyt ciężki, by mógł się nim swobodnie posługiwać. Ujął rękojeść w obie dłonie.

Ciszę rozdarły przerażające, piskliwe krzyki. Tom napiął mięśnie, przygotowując się do walki.

Do zbrojowni wpadł oddział japońskich samurajów.

Tom parsknął śmiechem i przestał się zastanawiać nad logiką symulacji. Jasne, samurajowie nie mieli prawa trafić do średniowiecznej Anglii, ale zabawa była przednia. Podniósł ciężki obosieczny miecz i rzucił się w wir walki.

Vik, który uchylił się właśnie przed ciosem samuraja, omal nie zwałił go z nóg.

Tom zauważył również Beamera, który znów leżał zabity w kącie – ten chłopak po prostu nie miał ochoty na ćwiczenia – a potem Yuriego, który z radosnym uśmiechem na twarzy zaatakował dwóch samurajów, wymachując jednocześnie dwoma mieczami. Po chwili wziął na siebie również atak trzeciego samuraja, odgradzając go własnym ciałem od Wyatt.

– Yuri, przestań się popisywać! – warknęła dziewczyna, odpychając Rosjanina i ponownie włączając się do walki.

Nagle samurajowie zniknęli, a wraz z nimi rozwiały się także wilgotne ściany zamku. Tom stał na środku sali i ciężko dyszał. W dłoniach trzymał kawał żelaza. Yuri ścisnął hantle. Uśmiechnął się do chłopca i położył je na podłodze.

Vik odwrócił się do Toma, zlany potem.

– I jak ci się podobało?

– Lepsze... od... biegania... – wysapał Tom z uśmiechem.

\* \* \*

Kilka minut później stał pod gorącym strumieniem wody, otoczony kłębamii pary. W jego umyśle wciąż tłoczyły się hordy rozwścieczonych Szkotów, nacierających samurajów, gniewnych angielskich żołnierzy. Od czasu do czasu nieruchomiał, starając się uzmysłowić sobie, czy wrócił już do rzeczywistości. To nie był sen ani halucynacja. To było jego życie. Przesunął ręką po krótkich, sztywnych włosach, dotknął twarzy.

Znieruchomiał, poczuwszy pod palcami gładką skórę.

Przyłożył dłonie do policzków. Ani jednej krosty. Zupełnie jakby...

Zerwał ręcznik z wieszaka, owinał się nim i wyszedł z kabiny prysznicowej. Stał przed zaparowanym lustrem i przetał je dłonią. Po raz pierwszy, odkąd skończył dziesięć lat, Tom zobaczył swoją twarz bez szpecących krost i blizn.

Wpatrywał się w lustro i czuł, jak wzbiera w nim nieznane do tej pory uczucie. To był on. Ten chłopak nie był taki znowu brzydki. Prawdę mówiąc, wcale nie był brzydki. Może nie wyglądał jak Elliot Ramirez, ale mógłby wejść do szkoły – prawdziwej szkoły, w budynku – i ludzie nie wytykaliby go palcami ani nie śmialiby się z niego.

Poczuł dziwny ucisk w brzuchu. Jakiś czas temu nabrał przekonania, że zawsze będzie brzydki. Wiedział, że nawet gdyby

trądzik zniknął, pozostawiłby po sobie paskudne blizny, więc jego twarz nie wyglądałaby wcale lepiej.

Ale teraz nie miał żadnych blizn. Wyglądał jak normalny nastolatek. Normalny nastolatek otoczony innymi nastolatkami, którzy mają przed sobą przyszłość

i szanse. Miał nawet profil, zgodnie z którym był mistrzem kraju w ortografii, a nie włóczęgą, który nie radzi sobie nawet w szkole specjalnej. Jego mózg cierpiał, ale to był dobry rodzaj cierpienia. Pierwszy raz w życiu czuł, że stał się prawdziwym, wartościowym człowiekiem. Nie musiał już wracać do roli małego trolla, który włóczył się za Neilem od kasyna do kasyna. Nie musiał już się martwić o to, gdzie będzie spał następnej nocy.

– Lustreczko, powiedz przecie... – zaczął Vik, wynurzając się z obłoków pary. Tom cofnął się o krok.

– Co się z tobą dzieje, stary? – Vik spojrział w lustro. – Gapiłeś się na siebie przez dobre pół minuty. Gdybyś wyglądał tak jak ja, doskonale bym to rozumiał – taką urodę można podziwiać godzinami.

– Zastanawiałem się nad czymś. Nie wiedziałem, że podczas operacji poprawiają też różne inne rzeczy. Fizyczne.

– Och, masz na myśli to, że nie rośnie ci już zarost na twarzy? – Vik dotknął dłonią swej gładkiej brody.

Tom skinął głową, jakby rzeczywiście o to mu chodziło.

– Tak, komputer w mózgu blokuje wszystkie niepotrzebne procesy, na przykład zamyka mieszki włosowe na twojej twarzy, skoro i tak musiałbyś się codziennie golić. Miałem fantastyczną bliznę nad okiem, która po operacji także zniknęła. Szkoda. Dzięki niej wyglądałem bardziej męsko.

– Nie wierzę.

– Naprawdę miałem bliznę. – Vik wskazał na swoją brew.

– Tak, w to wierzę. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żebyś kiedykolwiek wyglądał męsko.

W ostatniej chwili uchylił się przed ręcznikiem, którym chciał go uderzyć Vik.

\* \* \*

Tom znalazł w swojej szafce następne dwa batony i pochłonął je w drodze na zajęcia. W jego głowie pojawiły się nowe informacje. Przejrzał je i zrozumiał, że to plan lekcji. Czekał, aż wraz z wiadomością pojawi się to, co Vik nazywał zrozumieniem. Plan wydawał mu się dziwny.

W poniedziałki, środy i piątki miał ćwiczenia fizyczne od 7.30 do 9.30, a potem matematykę, ale tylko od 10.00 do 10.20. To musiał być jakiś błąd. Lekcja matematyki nie mogła przecież trwać zaledwie dwadzieścia minut.

Wyglądało jednak na to, że wszystkie standardowe zajęcia trwają tyle samo: język angielski 10.25-10.45, historia Stanów Zjednoczonych 10.50-11.10, fizyka 11.15-11.35, języki obce 11.40-12.00. A potem? Tylko lunch i całe popołudnie



poświęcone symulacjom stosowanym.

Normalnych lekcji nie było również we wtorki i czwartki. Od 8.00 do 11.30 trwały zajęcia z programowania, zaś popołudnie przeznaczone było na taktykę – poziom I.

Tom przeszedł za pozostałymi Aleksandrami do Sali La Fayette'a. Niedaleko wejścia znajdował się podest z flagą Stanów Zjednoczonych po jednej stronie i flagami Koalicji Międzynarodowych

Korporacji po drugiej. Tom usiadł z Vikiem w jednej ławce, zaś Yuri przysiadł się do Wyatt Enslow. Pozostali kadeci również zajmowali swoje miejsca i włączali monitory komputerów przymocowane do ławek.

W głowie Toma pojawił się komunikat: Rozpoczęły się poranne zajęcia. W sali zapadła cisza, gdy na mównicę wszedł drobny siwowłosy mężczyzna. Mózg Toma natychmiast udostępnił mu jego profil:

**Imię i nazwisko: Isaac Lichtenstein**

**Uczelnia: Uniwersytet Jerzego**

**Waszyngtona**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 2**

– Dzień dobry, moi drodzy. Przed przystąpieniem do egzaminu odłóżcie, proszę, wszystkie dodatkowe materiały.

– Egzamin? – powtórzył Tom.

Vik uśmiechnął się szeroko.

– Tak. Strasznie trudny egzamin z matematyki. Musisz go zdać, Tom, albo cię stąd wyrzucą.

Tom przypuszczał, że wojsko nie po to instalowało w jego głowie wart wiele milionów dolarów procesor, by tak łatwo się go pozbyć, ale słowa Vika mocno go zaniepokoiły.

Na monitorach komputerów pojawiło się pierwsze zadanie. Tom zaczął czytać: „Wyznacz graficznie wszystkie maksima i minima...”.

Nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Nigdy się tego nie uczył. Jednak gdy wpatrywał się tępo w liczby, wydarzyło się coś niezwykłego: jego myśli zaczęły się układać w logiczny,

uporządkowany ciąg, a w umyśle pojawił się obraz sześcianu podzielonego na części. Parametry wypisane na monitorze przekształcały się i przybierały nowe wartości.

Czuł się niczym jakaś obca istota zamknięta w jego własnym ciele, która

pierwszy raz ujrzała prawdziwy świat – bo coś równie trudnego nie powinno być tak cudownie, logicznie sensowne – po chwili ochłonął jednak na tyle, żeby zacząć wpisywać właściwe odpowiedzi. Rozwiązał zadanie, korzystając z obliczeń, które przepływały przez jego umysł, jakby to on sam zamienił się w kalkulator. Przedstawił odpowiedź. Następne zadanie było równie proste, podobnie jak trzecie.

Siedem minut później przesłał ostatnią odpowiedź, a na jego monitorze pojawił się wynik: sto procent. Odpowiedział na osiemnaście pytań z rachunków różniczkowych. Nigdy dotąd nie rozwiązywał takich zadań. Nigdy dotąd nie udało mu się poprawnie napisać choćby jednego testu z algebry.

Tom ponownie spojrzął na ekran monitora, kompletnie oszołomiony.

Vik, który skończył kilka minut wcześniej, też zerknął na ekran Toma i poruszył znacząco swymi gęstymi brwiami, jakby chciał powiedzieć: „Ha, znów cię nabrałem”.

Tom z trudem powstrzymywał się od śmiechu, bo to, czego właśnie doświadczył, było wręcz niewiarygodne. Monitory otaczających go elewów gasły jeden po drugim, wyświetlając jedynie rezultaty testu. Tom wodził po nich spojrzeniem, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową: dziewięćdziesiąt dziewięć procent, sto procent, dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie mógł się nadziwić, że przedmiot tak frustrujący jak matematyka mógł stać się tak prosty,

gdy tylko jego mózg został wzbogacony o jeden mikroprocesor.

Doktor Lichtenstein ponownie zajął miejsce na podwyższeniu.

- Doskonale – orzekł, spoglądając na rezultaty wyświetlone na jego monitorze.
- Widzę, że najniższy wynik to dziewięćdziesiąt siedem procent.

Beamer parsknął lekceważąco. Tom zerknął w stronę chłopca i zobaczył tę liczbę na jego ekranie.

- Zdaje się, że wielu z was potknęło się na zadaniu jedenastym. Zostały nam jeszcze cztery minuty, więc może zrobimy je razem.

Cztery minuty później lekcja matematyki dobiegła końca. Doktor Lichtenstein powiedział im, że dane, które muszą załadować przed śródownym egzaminem, są już w systemie, po czym pożegnał ich i wyszedł z sali. Dokładnie o dziesiątej dwadzieścia. Tom odprowadził go pełnym zdumienia wzrokiem. W planie zajęć nie było żadnej pomyłki. Matematyka naprawdę trwała tylko dwadzieścia minut.

Kolejne lekcje wyglądały podobnie: uczniowie siedzieli na swoich miejscach, a nauczyciele zmieniali się równo co dwadzieścia minut. W ciągu miesiąca, który minął od początku przestrajania jego mózgu, Tom nauczył się więcej niż przez kilka lat edukacji w szkole specjalnej Rosewood. Na zajęciach z języka

angielskiego okazało się, że doskonale zna gramatykę i czyta trudne teksty ze stuprocentowym zrozumieniem. Na historii Stanów Zjednoczonych bez trudu uzupełnił wszystkie daty i, nazwiska, ze swadą pisał o historycznych implikacjach ważnych wydarzeń politycznych związanych z wojną z Indianami i Francuzami. Na fizyce

bezbłędnie rozwiązał test dotyczący obwodów z cewkami i kondensatorami, a gdy na zajęcia z języków obcych weszła nauczycielka władająca japońskim, Tom dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że rozumieją tak dobrze, jakby przemawiała w jego ojczystym języku. Podczas egzaminu ustnego mówił do mikrofonu połączonego z komputerem, a procesor zapisywał modulację jego głosu. Okazało się, że ma doskonały akcent – mówił jak rdzenny mieszkaniec Okinawy.

W południe chwiejnym krokiem wyszedł z sali. Miał mętlik w głowie, jego mózg pracował na pełnych obrotach.

– O kurczę... – powiedział półgłosem, trochę do siebie, a trochę do Vika, który siedł u jego boku. – Znam japoński.

– Jasne, że znasz.

– Jakimi jeszcze językami potrafię mówić?

– To zależy, co będą sprawdzać w piątek.

– I co jeszcze mogę zrobić? Skonstruować bombę atomową? Rakiety kosmiczną? Pokonać mistrza kung-fu?

– Jeśli masz w symulacjach stosowanych zaplanowane walki kung-fu, to pewnie już ci je załadowali – odrzekł Vik.

Tom spojrział na niego z niedowierzaniem, jakby obawiał się, że to kolejny żart albo dziwaczny sen. Hindus wzruszył jednak tylko ramionami, a Tom wreszcie zrozumiał, że mógł teraz zrobić niemal wszystko. Świat stał przed nim otworem.

\* \* \*

W kantynie Tom kupił napój gazowany, którym popijał pizzę, a dokładnie rzecz biorąc, suplementy diety, które przybrały postać

kawałków pizzy pepperoni, bo właśnie na to miał teraz ochotę.

Nagle ktoś trącił go mocno ramieniem w plecy. Tom poleciał do przodu, zaskoczony gwałtowną eksplozją impulsów, które wysyłał do jego mięśni procesor, starając się przywrócić mu równowagę. Kubek wyslizgnął się z dłoni chłopca. Tom obserwował, jak leci w stronę ciemnowłosej dziewczyny, która stała naprzeciwko.

Dziewczyna była jednak niesamowicie szybka; jej ręka wysunęła się do przodu

niczym atakujący wąż i w porę chwyciła kubek.  
– Niezły refleks – stwierdził z podziwem Tom.  
Podniósł wzrok – i znieruchomiał.

**Imię i nazwisko:** Heather Akron  
**Stopień:** kadet USIF, VI stopień,  
**Kompania** Camelotu  
**Oddział:** Oddział Machiavellego,  
**Kwatera** Wilkinsona  
**Sygnal wywoławczy:** Enigma  
**Pochodzenie:** Nowy Jork, USA  
**Osiągnięcia:** członek Stowarzyszenia  
Młodych Innowatorów,  
stypendystka Fundacji  
Fearsona  
**Status:** aktywny  
**IP:** 2087:db7:lj71::212:113:6e8  
**Klauzula tajności:** ściśle tajne, poziom 6

Ciemnowłosa dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę badawczo. Ludzka część jej umysłu najwyraźniej nie mogła go rozpoznać, jednak gdy procesor podsunął jej odpowiednie informacje, otworzyła szerzej oczy i uśmiechnęła się promiennie.

– Tom! Jesteś tu.

Wydawała się szczerze uradowana, co przyprawiło Toma o szybsze bicie serca.

– Tak, jestem tu.

– Ledwie cię poznałam bez... – przerwała zakłopotana.

– Bez trądziku? No tak, jasne.

– Czekałam miesiąc, aż wyjdiesz z ambulatorium. – Klepnęła go serdecznie w ramię. – Myślałam już, że jednak się rozmyśliłeś.

Tom nie wiedział, co powiedzieć, wpatrywał się tylko w piękną twarz dziewczyny, która w innych okolicznościach nie zaszczyliłaby go nawet spojrzeniem.

Kiedy nie był jeszcze taki bystry.

Kiedy jego skóra była pokryta krostami.

Kiedy był bezdomny i nie miał przed sobą żadnej przyszłości.

Wszystkie te myśli pojawiły się w umyśle Toma w jednej chwili. Poczł się

nagle jak całkiem inna osoba, jak ktoś, kto narodził się na nowo. Zdziwiony własną śmiałością, nachylił się do niej i powiedział:

– Przepraszam, że kazałem ci czekać.

W odpowiedzi Heather zachichotała.

– Nadal jesteś cwany, Tom.

– Cwany? – zdumiał się chłopiec.

Nie wiedział, czy ma to traktować jako komplement, czy zarzut.

Nagle tuż obok nich rozległ się czyjś donośny śmiech. Przy Heather stanął wysoki przystojny młodzieniec, który obdarzył Toma olśniewająco białym uśmiechem.

– Bomba H dopadła kolejną ofiarę, tak?

Tom nie potrzebował pomocy procesora neuronowego, by odgadnąć, z kim ma do czynienia. Poznałby Elliota Ramireza wszędzie. Mimo to w jego głowie pojawiła się odpowiednia notatka.

**Imię i nazwisko: Elliot Ramirez**

**Stopień: kadet USIF, VI stopień,**

**Kompania Camelotu**

**Oddział: Oddział Napoleona, Kwatera**

**MacArthura**

**Sygnal wywoławczy: Ares**

**Pochodzenie: Los Angeles, USA**

**Osiągnięcia: laureat nagrody Taco Bell**

**dla nastoletnich bohaterów,**

**mistrz świata juniorów**

**w jeździe figurowej na**

**łyżwach, założyciel forum**

**inspiracyjnego dla dzieci**

**Lecimy do Gwiazd, zdobywca**

**tytułu Nastoletniego Idola**

**Roku, laureat nagrody**

**za wspieranie rozwoju**

**kultury latynoamerykańskiej**

**Status: aktywny**

**IP: 2087:db7:lj71::209:113:6e8**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 6**

Elliot ponownie uśmiechnął się do Toma i dodał z rozbawieniem:  
– Musisz się trzymać tego swojego makiawelicznego stereotypu, co, H? Zabawiać się kosztem biednych niewinnych kadetów, tak?  
– Lubię biednych niewinnych kadetów – zaprotestowała Heather.  
Biedni niewinni kadeci? No nie, nie mówili chyba o nim...  
Tom miał ich już zostawić, kiedy Elliot powiedział:  
– Aha, Raines, jesteś dziś w mojej grupie symulacyjnej, prawda?  
– Ja? – zdziwił się chłopiec.  
– Owszem – potwierdził Elliot, wodząc wzrokiem po jakiejś liście, która wyświetlała się w jego głowie. – Thomas Raines, mój nowicjusz.  
– Och. Świetnie.  
– Tak, miałeś szczęście chłopaku, prawda? – Elliot puścił do niego oko. – Kiedy wrócisz do domu i powiesz rodzinie, z kim ćwiczyłeś, opadną wszystkim szczęki.  
Tom próbował sobie wyobrazić reakcję Neila na wieść o tym, że jego syn przyjmuje rozkazy od Elliota Ramireza.  
– Tak – zgodził się z ponurym uśmiechem. – Prawdziwy ze mnie szczęściarz.

---

[9](#) United States Marine Corps – Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.

[10](#) Bitwa pod Bannockburn (1314) – jedna z kilku decydujących bitew w szkockiej wojnie o niepodległość, zakończona zwycięstwem Szkotów.

## Rozdział 6

# SYMULACJE STOSOWANE

Vik mówił, że symulacje stosowane to wyłącznie różne formy walki, co podobało mu się niemal tak bardzo jak Tomowi. Być może jednak wynikało to po części z faktu, że jego grupę prowadziła Heather. Yuri trafił do grupy, której przewodził Karl Masters, elew z Oddziału Dżyngis-chana. Karl wybierał zawsze najkrwawsze, najokrutniejsze spośród dostępnych symulacji. Ze szczególnym upodobaniem wcielał się w rolę Dżyngis-chana, kazał wówczas swoim ludziom zbierać w podbitych wioskach ścięte głowy.

Tom udał się z Beamerem na trzynaste piętro, do sali symulacji stosowanych. Wyatt Enslow z Oddziału Hannibala siedziała już na jednym z łóżek polowych. Gdy Tom wszedł do środka, nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

Sala do złudzenia przypominała pomieszczenie, które pokazali mu niegdyś Marsh i Olivia. W jej obszernym, wypełnionym półmrokiem wnętrzu znajdowało się kilka metalowych stołów ustawionych w kręgu oraz aparatów EKG.

Elliot Ramirez siedział na skraju jednego ze stołów w zielonkawej poświacie padającej z monitora elektroencefalografu. Jego czarne włosy wyglądały tak, jakby właśnie rozwiął je wiatr, nie zmieniły jednak ułożenia, gdy chłopiec poruszył głową. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiezek.

– Siadajcie, proszę – powiedział. Potem spojrzął na Toma. – Nie lubię wrzucać moich kadetów prosto w symulację, jak robi to wielu innych instruktorów. Uważam, że najpierw powinniśmy trochę pogawędzić, dać ujście emocjom, pozbyć się napięcia, które narastało w nas przez cały dzień. Moje grupy zawsze zaczynają od ćwiczeń oddechowych.

Tom wiercił się niespokojnie na swoim miejscu, gdy Elliot wydawał im kolejne polecenia: wciągać powietrze przez sześć sekund, wstrzymać oddech na sekundę i wydychać przez osiem. Później kazał im sobie wyobrazić, że siedzą we wnętrzu puszystej białej chmury, następnie sami stają się tą chmurą i unoszą nad oceanem... i tak dalej.

Dopiero po prawie dziesięciu minutach Elliot otworzył oczy i powiedział, że

skończyli już ćwiczenia oddechowe.

– Teraz porozciągajmy się trochę – oznajmił, zeskakując ze stołu. – Spróbujemy poćwiczyć razem jogę.

Tom spojrział pytająco na Beamera. Czy on mówi poważnie? Joga?

Beamer zacisnął usta i skinął głową.

Joga podejrzenie przypominała Tomowi balet. Elliot podchodził do niego kilkakrotnie, by go poprawiać.

– Staraj się robić te piruety z większym wdziękiem, Tom – zganił go, gdy pięść chłopca omal nie wylądowała na jego twarzy.

– Przepraszam... – mruknął Tom, choć wcale tego nie żałował.

Miał ochotę krzyknąć z radości, gdy w końcu Elliot pokazał im, że mogą wrócić na swoje łóżka.

– No dobrze, na dzisiaj wystarczy – powiedział.

„Wreszcie” – westchnął w duchu Tom.

– Przechodzimy do sedna, moi drodzy. Chciałbym porozmawiać dziś z wami o czymś bardzo istotnym. O pojęciu, które być może ma dla nas kluczowe znaczenie: o samorealizacji.

Przez kolejne dwadzieścia minut Elliot opisywał szczegółowo coś, co nazwał hierarchią potrzeb Masłowa, odnosząc te potrzeby do wydarzeń z własnego życia oraz innych poruszających historii, o których czytał w listach od swoich licznych fanów.

Tom wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Ten facet chyba nie mówił poważnie. Wszyscy wyglądali na znudzonych – wszyscy prócz Wyatt, która wydawała się autentycznie poruszona wykładem Elliota i raz po raz zadawała pytania dotyczące badań psychologicznych Abrahama Masłowa.

Tom był już tak zniecierpliwiony i znudzony, że omal nie spadł z łóżka. Wiedział – po prostu wiedział – że Heather i Karl Masters od ponad pół godziny prowadzą swoje grupy przez fantastyczne symulacje, podczas gdy Elliot każe im siedzieć w kółku, jak przedszkolakom, i napawa się dźwiękiem własnego głosu.

Po czasie, który wydawał się Tomowi wiecznością, Elliot drgnął i usiadł prosto.

– A niech to, minęło już czterdzieści pięć minut? Zleciało jak z bicza strzelił, co?

Tom parsknął śmiechem. Szybko zakrył dłonią usta, udając, że był to nagły atak kaszlu. Elliot zerknął w jego stronę, ale najwyraźniej uwierzył w tę maskaradę. Wyatt zgromiła go wzrokiem, a Beamer uśmiechnął się



konspiracyjnie.

– Zaczynamy symulację – oznajmił Elliot. – Podłączcie się wszyscy.

Kadeci ułożyli się wygodnie na swoich łóżkach i sięgnęli po kable, którymi mieli połączyć swe mózgi z centralną symulacją. Wtyczki wsuwały się z cichym trzaskiem w gniazda umieszczone na ich karkach, tuż pod linią włosów. Tom był tak podniecony, że aż trzęsły mu się ręce, gdy odwijał kabel.

– Chwileczkę, szybki Billu.

Dopiero gdy Elliot położył mu rękę na ramieniu, Tom uświadomił sobie, że te słowa były skierowane do niego.

Elliot podniósł palec. Przysiadł na skraju łóżka Toma, czekając, aż pozostali włączą się do symulacji. Po chwili zostali sami. Inni kadeci leżeli w całkowitym bezruchu, monitory EKG pokazywały równomierne bicie ich serc.

– Coś się stało? – spytał w końcu Tom.

– Tom, zdaję sobie sprawę, że nie służymy w regularnym wojsku, ale jestem twoim przełożonym, więc powinienes mówić do mnie „proszę pana”.

– Jasne.

Elliot czekał w milczeniu.

– Jasne, proszę pana – dodał Tom.

Elliot się uśmiechnął. Wyjął z rąk chłopca zwój kabli i zaczął rozplątywać je wprawnymi szybkimi ruchami.

– Posłuchaj, Tom. Symulacje stosowane to coś zupełnie innego niż ćwiczenia fizyczne. Podczas ćwiczeń fizycznych znajdujesz

się w sztucznej rzeczywistości, ale nadal jesteś we własnym ciele. W czasie symulacji informacje czuciowe są przekazywane bezpośrednio do twojego mózgu. W podobny sposób używamy procesorów neuronowych, by łączyć się z maszynami podczas walki. Kiedy wchodzisz do symulacji, czujesz się tak, jakbyś trafił do nowego ciała. Możesz nawet nie pamiętać samego siebie, lecz tylko to, co wie twoja postać. Przenosisz się do całkowicie innej rzeczywistości.

– Brzmi świetnie.

– Tak mówisz, ale założę się, że jesteś trochę zdenerwowany.

– Nie jestem.

– Oczywiście, że nie. – Elliot uśmiechnął się porozumiewawczo, ale Tom odpowiedział mu tylko ponurym spojrzeniem. – Wiem, że pierwsze wejście do symulacji może być przerażające, dlatego staram się osobiście przeprowadzać przez to moich kadetów.

– Dam sobie radę. Proszę pana.

Elliot skarcił go jednak surowym spojrzeniem, które przywiodło Tomowi

na myśl panią Falmouth, po czym przeszedł na drugą stronę łóżka.

– Pochyl się do przodu – polecił.

Tom oparł dłonie na krawędziach łóżka i schylił głowę. Słyszał, jak Ramirez przekłada coś za jego plecami. Potem położył mu dłoń na ramieniu i go przytrzymał. Tom zacisnął usta. Elliot był tak blisko, że czuł jego oddech na karku.

– Daj mi znać, jeśli będziesz się bał albo coś ci będzie przeszkadzać, Tom. To zdarza się dość często...

– Nic mi nie będzie – przerwał mu Tom. Po krótkiej pauzie dodał: – Proszę pana.

Końcówka kabla wsunęła się do gniazdka w jego karku, a świat zmienił się w wąski ciemny tunel. Tom poczuł, jak błyskawicznie traci władzę w rękach i nogach.

– To stało się szybciej niż... – Głos uwiązł mu w gardle, nim zdołał dokończyć zdanie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był przesuwający mu się przed oczami sufit.

\* \* \*

Tom nie był Tomem.

Otaczała go oślepiająca biel. Lodowa tundra pod ciężkim szarym niebem. Zimny wiatr wiał mu prosto w oczy, opływał jego ciało, lecz dotyk mroźnego powietrza wydawał mu się miły, krzepiący.

Czuł dziwne pulsowanie w mięśniach, w ścięgnach. Krew, energia, życie. Skoczył naprzód, uderzył łapami o twardy śnieg i pochwycił w nozdrza oszałamiające, cudowne zapachy. Obraz przed jego oczami jakby wyblakł, ustępując miejsca innym doznaniom. Stał nieruchomo z podniesionym łbem, wężąc na wietrze.

Słodki, drażniący zapach własnego terytorium.

Znajomy zapach przyjaciół.

Gorący, smakowity zapach zdobyczy.

Podniósł pysk jeszcze wyżej, wciągnął głębiej powietrze i tę niezwykłą woń, która przywoływała go do siebie, kusila. Ale było w niej coś jeszcze.

Niebezpieczeństwo.

Przysunął nos do skutej lodem ziemi i obwąchiwał ją przez chwilę. W jego umyśle pojawił się obraz drapieżnika o białym futrze, okrwawionych łapach i wielkiej paszczy, z której wydobywał się głuchy ryk.

Niebezpieczeństwo zniknęło na jakiś czas. Potężny drapieżnik się oddalił.

Ruszył naprzód, śladem kolejnych zapachów. Lód... metal... ziemia... człowiek...

Wycie.

W ciszę wdarły się głosy przyjaciół. Bez namysłu poderwał się do biegu i popędził w ich stronę przez ośnieżoną równinę, by jak najszybciej dołączyć do tego chóru. Zapach rodziny stawał się coraz silniejszy, coraz wyraźniejszy. Zapach terytorium jego stada, czegoś ważniejszego od rodziny. Po chwili był już wśród nich, podnosił głowę, a z głębi jego gardła wydobywał się znajomy dźwięk. Donośne wycie sięgało samego nieba, rozciągało się nad doliną, wypełniało ich poczuciem wspólnoty, jakiego nie doświadczyli nigdy przedtem.

Największy i najsilniejszy wpadł w sam środek stada. Pozostałe wilki opuściły ogony w geście poddania. Samiec alfa zawarczał głośno, obrócił się w miejscu i popędził w kierunku słodkiego zapachu zdobyczy, miękkiego ciała wypełnionego pulsującą krwią. Wszyscy ruszyli jego śladem. Stado zamieniło się w szarą falę, która sunęła po zaśnieżonej równinie.

Ciepły, intensywny zapach przybierał na sile, a jego natężenie było jedyną miarą upływu czasu, jaką mógł zrozumieć wilczy

umysł. Biegli stale pod wiatr, który przynosił im woń ofiary i ukrywał ich własny zapach.

W końcu ją zobaczyli. Wielkie rogate zwierzę podniosło masywny łeb i ujrzało horde napastników. Skoczyło do przodu i próbowało uciekać, lecz samiec alfa warknął groźnie i odciął mu drogę. Zwierzę wiedziało już, że nie zdoła umknąć. Gdy samiec alfa ruszył do ataku, stanęło w miejscu i pochyliło głowę, gotowe nabić go na rogi. Wiedziony instynktem wilk uskoczył w ostatnim momencie.

Pozostali członkowie stada otoczyli ofiarę, doskakiwali do niej, cięli zębami; ich warczenie mieszało się z rykiem osaczonego zwierzęcia. Kopyta olbrzyma opadły ciężko na ziemię, a zapach krwi pierwszego zabitego wilka – Beamera – obudził w Tomie ludzką świadomość.

Po chwili ofiarami wielkich rogów stały się kolejne dwa wilki, a samiec alfa wciąż krążył wokół zwierzęcia, podgryzał je z różnych stron, zadawał mu maleńkie, płytkie rany, które nie mogły wyrządzić większej krzywdy tak olbrzymiemu stworzeniu.

Tom czekał więc z boku.

Ignorował głos instynktu, który nakazywał mu przyłączyć się do bezowocnego ataku, a właściwie podprogramy próbujące zmusić go, by realizował plan samca alfa. Śledził spokojnie rozwój wydarzeń i czekał na odpowiednią okazję, jak robiłby to prawdziwy Tom w salonie gier. Kiedy ją dojrzał, nie wahał się ani

chwili. Przeskoczył nad głowami pozostałych wilków szybciej, niż byłby to w stanie zrobić jakikolwiek człowiek, i zacisnął zęby na gardle łośia. Jednym płynnym ruchem rozerwał skórę, mięso i chrząstki,

odskakując jednocześnie na bok. Zbryzgany strumieniem gorącej krwi znalazł się poza zasięgiem ciężkich kopyt, które mogły zmiażdżyć mu głowę.

To był już koniec. Okrwawiony łoś zachwiał się i opadł na kolana, potem próbował się podnieść, lecz pozostałe wilki szarpały już zębami jego ścięgna, zad, miękki brzuch. Tom zlizął z pyska świeżą krew. Czuł się tak ożywiony i wyjątkowo niebezpieczny, że najchętniej zostałby w tej symulacji na zawsze.

Nagle usłyszał głucho warczenie.

W lodowatym powietrzu unosił się zapach zagrożenia.

Tom obrócił się w miejscu. Elliot szedł w jego stronę na sztywnych łapach, z nastroszonym ogonem, postawionymi uszami i obnażonymi kłami. Chciał ukarać go za nieposłuszeństwo. Instykt podpowiadał Tomowi, czego domaga się Elliot, gdy patrzy na niego spod przymrużonych powiek i stroszy sierść. Nie ruszał się. Z gardła Elliota znów wydobyło się groźne warczenie.

Tom wiedział, co to oznacza. Program w jego mózgu kazał mu podporządkować się Elliotowi, lecz zapach i smak krwi były silniejsze. Tom za żadne skarby nie przewróciłby się na grzbiet, nie odsłoniłby brzucha i gardła w geście poddania, choćby miał zginać rozszarpany na strzępy. Czuł w sobie siłę, był pewien, że zdołałby pokonać samca alfa. Przejąc jego stado. Poczł dreszcz podniecenia, gdy zjeżył sierść na grzbiecie, odsłonił zęby i warknął głucho.

Elliot zakończył symulację.

\* \* \*

Tom otworzył oczy i spojrzał na zieloną linię na ekranie elektroencefalografu. Poczucie wspólnoty i przynależności rozwiało się, obróciło w nicość, zostawiając po sobie tylko niewyraźny ból. Usiadł prosto i odczekał chwilę, gdy zrobiło mu się ciemno przed oczami. Widział, jak dokoła podnoszą się również inni kadeci.

Oprócz zabitych. Beamer siedział na skraju swojego łóżka.

– Śmierć od rogów łośia – powiedział, wzruszając ramionami.

Procesor neuronowy w głowie Toma poinformował go, że minęły dwie godziny. Czas nie miał w umyśle wilka żadnego znaczenia.

– Fantastyczne – wyszeptał Tom, oszołomiony.

Elliot również wstał, schował kable pod metalowe łóżko i kazał im ponownie

zasiąść w kręgu. Sala znów przypominała przedszkole.

Ramirez skrzyżował ręce na piersiach.

– Tom, powiedz nam, co zrobiłeś źle.

– Co?

– Powiedz nam, co zrobiłeś źle.

Tom spojrział na otaczających go kadetów, którzy zachowywali ostrożną obojętność, a potem znowu na Elliota.

– Zrobiłem coś źle?

– Celem tych ćwiczeń – zaczął Elliot, wodząc dokoła palcem – jest nie tylko nauka przebywania poza własnym ciałem i współdziałania z innymi formami. Równie istotna jest praca zespołowa.

– Wiem o tym.

– Nie, nie wiesz. Gdybyś wiedział, to realizowałbyś strategię ataku zespołowego i pomógł nam zabić łośia. Ty postanowiłeś zgrywać bohatera i sam załatwić sprawę.

– Ale strategia ataku zespołowego była do kitu. Łoś zabił już troje z nas.

Elliot westchnął i zacisnął palce na przegrodzie nosa.

– Powiedz mi, Tom, jak nazwiesz samotnego wilka, który nie współpracuje z innymi?

Chłopiec rozejrzał się wokół siebie, zdziwiony. To miało być podchwytliwe pytanie, tak?

– Eee... nazwę go samotnym wilkiem.

Elliot wyglądał na zaskoczonego – jakby nie pomyślał wcześniej o takiej odpowiedzi – pokręcił jednak głową.

– Nie, Tom. Taki wilk to inaczej kojot.

W pokoju zapadła cisza.

Wyatt podniosła rękę, jakby siedzieli w sali lekcyjnej. Ku zdumieniu Toma powiedziała dokładnie to, o czym zdążył pomyśleć:

– Kojoty nie są wilkami. Kojoty i wilki to dwa zupełnie odrębne gatunki.

Jeśli nawet Elliot zrozumiał, że powiedział właśnie coś niezwykle głupiego, to nie pokazał tego po sobie. Skinął tylko głową, jakby słowa Wyatt potwierdzały jego racje.

– Otóż to, Wyatt. Otóż to. – Odwrócił się ponownie do Toma. – Pomyśl o tym, co ona powiedziała, Tom. Kojoty i wilki to dwa zupełnie odrębne gatunki. Dobrze się nad tym zastanów.

– Eee... tak, jasne – odrzekł Tom, kompletnie dezorientowany.

## Rozdział 7

# PORUCZNIK RYZERMAN

Tego samego wieczoru Tom wybrał się na zwiedzanie Wieży Pentagonu i znalazł salę rekreacyjną z salonem gier. Stał przez chwilę w ciemnościach, patrząc na ekrany i kable ułożone w schowkach. W końcu głośno westchnął z ulgą. To. Tak, właśnie to. Po całym dniu nowych wrażeń, nowych doświadczeń i nowych znajomości poczuł się wreszcie tak, jakby wrócił do domu.

Założył gogle, wsunął dłonie w cyberrękawice, rozwinął listę gier i omal nie zachłysnął się ze zdumienia.

Wieża miała największą bazę gier, jaką kiedykolwiek widział. Przewinął szybko całą listę – pięć tysięcy trzysta dwadzieścia osiem pozycji. Nieprawdopodobne. Niektóre gry miały trafić na rynek dopiero za kilka miesięcy. O innych nigdy nie słyszał. Jeszcze inne pochodziły z zagranicy i nie zostały dotąd przetłumaczone na język angielski.

Tom postanowił spróbować swoich sił w japońskiej grze z samurajami. Wciąż rozumiał ten język równie dobrze jak angielski.

Kiedy skończył rundę szkoleniową, w jego goglach wyświetliła się lista najlepszych wyników:

1. HAR JEST BOGIEM
2. HAR JEST BOGIEM
3. HAR JEST BOGIEM
4. HAR JEST BOGIEM
5. HAR JEST BOGIEM

Tom uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Witaj, Har – powiedział głośno. – Przygotuj się na porządne lanie.

– Naprawdę?

Tom podskoczył jak oparzony. Podniósł gogle, odwrócił się i zobaczył mężczyznę siedzącego na sofie za jego plecami. Nieznajomy wstał i się wyprostował. Był wysoki, miał gęste ciemne brwi, kręcone włosy i przymrużone oczy o ciężkich powiekach. Procesor neuronowy Toma natychmiast go zidentyfikował:

Imię i nazwisko: Hadrian Ryzerman  
Stopień: porucznik  
Oddział/formacja: USN<sup>11</sup> 0-3, służba czynna  
Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 8

Tom zamrugał oczami, zaskoczony.

– Długo tu jesteś? – zapytał.

– Wystarczająco długo – odpowiedział porucznik, spoglądając na niego wyzywająco. – A poza tym dla ciebie, kadecie, jestem panem porucznikiem.

Tom czuł, że zapowiada się prawdziwie ekscytująca rozgrywka.

– Właśnie miałem wymazać z tablicy twoje wyniki... panie poruczniku.

– Naprawdę? To nie to samo co konkursy ortograficzne.

– Myślisz, że mnie pokonasz, Har? – uśmiechnął się Tom. – O, przepraszam, panie poruczniku.

– Zgniotę cię, kadecie.

– Tylko spróbuj.

I się zaczęło.

Tom nie przepadał za „Wiecznością samurajów”. Może wynikało to z różnic kulturowych, ale nie pociągała go ta gra, nie rozumiał też, dlaczego tak wielu japońskich graczy potrafi godzinami rozprawiać o niej na czacie. Mimo to nigdy jeszcze nie trafił na godnego siebie przeciwnika. Był teraz szybki jak maszyna, ale co zadziwiające, Ryzerman wcale mu nie ustępował, choć był przecież za stary na to, by nosić w głowie procesor neuronowy.

Po kilku minutach gry porucznik oświadczył:

– No dobrze, czas się w końcu zabawić.

Tom natychmiast pomyślał o zakładach, ale Ryzerman jednym ruchem rękawicy wydał komputerowi komendę, która pojawiła się również w goglach chłopca.

Gra przyspieszyła dziesięciokrotnie.

Obrazy przesuwwały się przed oczami Toma w szalonym tempie, ale jego procesor neuronowy nadążał za nimi. Co jeszcze dziwniejsze,

nadążał za nimi również Ryzerman. Tom wymykał mu się raz po raz, starał się przewidzieć jego strategię. Ryzerman szedł za nim krok w krok, zadawał cios za ciosem. Nie czaił się, nie wyczekiwał odpowiedniego momentu. Zmuszał go do nieustannej walki.

Tom wyszkolił wojownika, a porucznik przeciwstawił mu samuraja biegłego

w starożytnej sztuce walki. Jedną z głównych postaci Toma padła, zmobilizował więc roninów uśmierconego samuraja i przygotował zasadzkę, natomiast Ryzerman kazał popełnić harakiri jednemu ze swoich samurajów, by przeciwstawić Tomowi własnych roninów. Facet był bezwzględny i przebiegły.

Dwie godziny później obaj byli śmiertelnie ranni, a liczniki ich życia sięgały już poziomu czerwonych pasków. Ręce i nogi Toma drżały ze zmęczenia, co przypominało mu dobitnie, że choć dysponuje nieludzko szybkim umysłem, jego ciało nie jest równie sprawne. Każdy zamach i cięcie wirtualnym mieczem zmuszały go do ogromnego wysiłku, jakby podnosił stukilogramowe kowadło. Słyszał, że porucznik Ryzerman również goni resztką sił.

W Wieży Wieczności Ryzerman zaskoczył Toma i oblał go smoczym kwasem. Postać Toma cofnęła się o krok, zraniona. Zdołał sparować jedno uderzenie miecza, potem drugie, wiedział jednak, że wkrótce zabraknie mu sił. Postanowił zaryzykować, odsłonił bok, a gdy Ryzerman ruszył do decydującego ataku, odciął mu głowę błyskawicznym ruchem katany.

– Tak! – wrzasnął, wyrzucając w górę rękawice. – Raines miażdży Ryzermana!

Porucznik stał nieruchomo, oszołomiony, i patrzył, jak jego pozbawiona głowy postać osuwa się na podłogę.

– I co ty na to, Ryzerman? Mogę ci powiedzieć, jak to się nazywa: PO-RAŻKA. – Tom triumfalnie wpisał: TOM CHRZANI HARA nad napisami HAR JEST BOGIEM.

Nie uważał, by taki wpis był przesadnie obraźliwy. Choć może trochę był.

Ryzerman ściągnął cyberrękawice i spojrzał groźnie na Toma.

– Nie ciesz się zbyt, kadecie. Wygrałeś bitwę, ale nie wojnę.

– Proszę się nie martwić, panie poruczniku. Ja nie stracę głowy z tego powodu.

Ryzerman skwitował tę uwagę parsknięciem, w którym było tyle bezsilnej złości, że Tom nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Śmiał się jeszcze długo po tym, jak porucznik wyszedł z sali.

Czasami życie było naprawdę zdumiewające.

---

[11](#) US Navy – Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.



## Rozdział 8

# PROGRAMOWANIE

Tom otworzył oczy punktualnie o siódmej. Vik zerwał się z łóżka w tym samym momencie i wymamrotał, że musi pójść sprawdzić, czy Beamer nadaje się do życia, czy też jest nieprzytomny po nocy spędzonej w towarzystwie swojej szwedzkiej dziewczyny i kilku godzinach intensywnego ładowania danych.

Tom odrzucił kołdrę i wyprostował się. Bolały go wszystkie mięśnie. Jego ciało nie było przyzwyczajone do ćwiczeń fizycznych, a już na pewno nie do tak szybkiej i intensywnej walki w wirtualnej rzeczywistości.

Nigdy też nie zdarzyło mu się urosnąć w ciągu nocy o dwadzieścia dwa milimetry

Tom przeżył prawdziwy szok, gdy procesor neuronowy poinformował go o tej zmianie. Zerwał się z łóżka, spojrzął w dół i stwierdził, że rzeczywiście patrzy na ziemię z większej odległości niż poprzedniego wieczoru.

Vik nie żartował. Tom naprawdę zaczął rosnać w zawrotnym tempie.

Coraz bardziej podobało mu się życie pseudomaszyny.

\* \* \*

Zajęcia odbywały się w tej samej sali co poprzedniego dnia, choć w lekcji programowania brali udział elewowie z wszystkich poziomów: kadeci, średniacy, zaawansowani i Kompania Camelotu. Jak wyjaśnił Tomowi Vik, niemal wszyscy radzili sobie z tym przedmiotem kiepsko, musieli więc wciąż uczestniczyć w zajęciach na tym samym poziomie.

Tom usiadł z Vikiem, Yurim i Beamerem w tej samej ławce, którą zajęli dzień wcześniej podczas zajęć cywilnych.

- Programowanie jest trudniejsze niż inne przedmioty?
- O wiele trudniejsze. – Vik położył nogi na oparciu ławki stojącej przed nimi.
- Tutaj procesor neuronowy ci nie pomoże. Musisz użyć rozumu.

Niedobrze. Tom nienawidził używać rozumu.

Nagle z boku przygniótł go wielki ciężar. Odwrócił się i zobaczył, że Yuri osunął się na niego bezwładnie, a jego oczy zasłży mgłą.

Vik zerknął na Toma z rozbawieniem, gdy ten próbował odepchnąć od siebie nieruchome ciało Rosjanina.

– Programowanie jest tajne, więc procesor neuronowy Yuriego po prostu go wyłączył.

– Tak, zauważyłem.

Po krótkich zmaganiach Tom i Beamer zdołali usadzić między sobą Rosjanina tak, by nie przechylał się na żadnego z nich.

– A co pamięta potem z programowania? – zapytał Vika Tom.

– Spytałem go kiedyś, jak mu się podobały zajęcia, a on zaczął bełkotać coś o munchkinach i fraktalach. Wszystko mu się chyba tak miesza, że potem nawet nie wie, że coś mu się pomieszało.

W tym momencie otworzyły się drzwi sali. Tom nie wierzył własnym oczom. Do mównicy energicznym krokiem podszedł porucznik Ryzerman.

– Większość z was przynosi wstyd swojemu krajowi – przywitał ich radośnie.

W głowie Toma pojawił się komunikat: Rozpoczęły się poranne zajęcia.

– Wczoraj wieczorem miałem okazję ocenić wasze projekty zapór sieciowych. Przekonałem się, że większość z was nie traktuje tych zajęć poważnie. – Ryzerman oparł się o mównicę. – Wszyscy doszłicie chyba do wniosku, że nie musicie się wysilać. Wydaje się wam, że skoro możecie załadować do głowy bazę danych, to nie musicie się już uczyć.

Ryzerman powiódł spojrzeniem po sali, zatrzymał je przez moment na Tomie, a potem ponownie odwrócił wzrok.

– Owszem, możecie załadować w nocy podstawy programowania, ale procesor nie pomoże wam napisać kodu źródłowego podczas tych zajęć. Niezdolność samoprogramowania to jedno z najważniejszych zabezpieczeń, w jakie wyposażone są wszystkie współczesne maszyny. Zapobiega to, jak być może słyszeliście, sytuacji zwanej osobliwością. Czy ktoś z was wie, co to takiego?

W górę powędrowała męska ręka, ale odpowiedzi udzielił damski głos:

– Komputer, który sam się programuje.

– Bardzo dobrze, pani Enslow.

– Nie żartowałeś – zwrócił się Tom do Vika. – Ona naprawdę ma ręce męzczyzny.

– Mówiłem ci.

– Jednym z największych zagrożeń, jakich obawia się współczesny świat techniki, jest powstanie sztucznej inteligencji – kontynuował Ryzerman. – Jako że komputer jest wydajniejszy od ludzkiego mózgu, mógłby stworzyć komputer znacznie bardziej zaawansowany niż jakiegokolwiek urządzenie skonstruowane

przez człowieka. Ten komputer z kolei mógłby stworzyć jeszcze lepszy i tak dalej, aż powstałaby sztuczna inteligencja, nad którą nie mielibyśmy żadnej kontroli. Zastanówcie się nad tym, a może w końcu zrozumiecie, że maszyny wymagają szacunku. Pełnej kontroli i biegłości, wystarczy, że odniosę się do własnego doświadczenia. Jestem jednym z prekursorów tego programu szkoleniowego, jednym z pierwszych Amerykanów, którym wszczepiono procesor neuronowy.

Tom zrozumiał teraz, dlaczego Ryzerman był taki szybki. Mógł równać się z jego procesorem, bo sam był wyposażony w podobne urządzenie.

– Okazało się jednak, że procesor wywołał w moim mózgu bardzo nieprzyjemną reakcję. Uaktywnił pewną uśpioną chorobę, która nie występowała w mojej rodzinie już od wielu pokoleń. Zacząłem słyszeć głosy, miałem halucynacje. Był to ciężki przypadek schizofrenii. Innymi słowy, byłem chory psychicznie.

Ryzerman uśmiechnął się i powiódł drapieżnym spojrzeniem po sali, jakby czekał tylko, aż ktoś spróbuje zakpić z jego przypadłości.

– Poszczyliło mi się. Mój wadliwy mózg uchronił mnie przed poważnymi konsekwencjami wszczepienia procesora w dojrzałym wieku, dając ujście nieregularnym impulsom elektrycznym. Dwustu pozostałych członków pierwszej grupy badawczej nie miało tyle szczęścia. Być może nigdy też nie znalazłbym się w tym miejscu, w którym teraz jestem, gdybym nie zapanował nad chorobą poprzez programowanie. Dziś nie słyszę już głosów, chyba że sam tego chcę. Odpowiadają mi, jeśli sobie tego życzę, ale ja nie muszę im odpowiadać. Idę o zakład, że panuję nad swym umysłem w stopniu większym niż którakolwiek z osób obecnych w tej sali – a być może i na całym świecie. Nauczyłem się programować z konieczności, a przeprogramowanie procesora pozwoliło mi dowolnie manipulować aktywnością elektryczną w moim mózgu. Programy, które napisałem, umożliwiają wam normalne funkcjonowanie z komputerami w głowie. To dla was podstawa. Trudno mi nawet określić, jak istotna jest dla was umiejętność ulepszania własnego oprogramowania.

Ryzerman splótł ręce za plecami i przechadzał się tam i z powrotem, jakby nieświadomy, że wpatrują się w niego setki par oczu.

– Gdyby Ruso-Chińczycy kiedykolwiek poznali wasz kod źródłowy, to właśnie wy musielibyście się bronić przed cyberatakiem. Mogliby unieszkodliwić was za pomocą jednego wirusa komputerowego. Pomyślcie o tym. Zastanówcie się, co mógłby zrobić z wami wróg, gdyby dostał w swoje

ręce choćby jeden z procesorów i obejrzał go dokładnie. Jeśli nie nauczycie się samodzielnie modyfikować programów, będziecie w takiej sytuacji zdani na jego łaskę i niełaskę.

Po sali przebiegł szmer, uczniowie poprawiali się na swoich krzesłach.

– Tak. – Ryzerman uśmiechnął się złowrogo. – Wyobraźcie sobie, co mogliby zrobić, gdyby wiedzieli choć połowę z tego, co ja wiem o kodach w waszych głowach... Dobraliby się do waszych receptorów bólu, wmówiliby waszym mózgom, że jesteście ślimakami, pokazałoby wam bardzo dosadnie, czym jest szaleństwo... Mam nadzieję, że potraktujecie moje uwagi nie tylko jako próbę zastraszenia, ale też zachętę do wzmożonego wysiłku. Zapory sieciowe, które stworzyliście, są po prostu żałosne.

Porucznik zapatrzył się przez moment w przestrzeń.

– Jest ósma trzynaście. Ulepszcie je. Macie na to czas do dziesiątej dziesiąt. Wtedy wybiorę kogoś na próbę. Jestem pewien, że jeśli przełamie jego zapórę, nie będzie to dla niego zbyt przyjemne doświadczenie.

Tom siedział nieruchomo, podczas gdy wszyscy dokoła zabrali się do gorączkowej pracy. Nie miał zapory, którą mógłby poprawić, musiał więc zacząć od samego początku. Kiedy włączył program komputerowy, przyszła mu do głowy przerażająca myśl.

Nie umiał programować.

Ani trochę.

Zupełnie nic o tym nie wiedział. Nie znał nawet podstaw programowania, które powinien był załadować do procesora we śnie.

Usłyszał za sobą czyjeś kroki. Podniósł głowę i zobaczył Ryzermana, który przystanął obok jego ławki.

– Wyglądasz na zdenerwowanego, Raines.

– Nie mam żadnych informacji na ten temat – odparł Tom. – Załadowałem wszystko. Powiedziano mi, że wszelkie zadania z tego tygodnia są już zainstalowane w mojej głowie. Ale tego nie ma. Nie wiem, jak to zrobić.

Ryzerman pochylił się i spojrzał na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś mógł się włamać wczoraj wieczorem do twojego umysłu i usunąć całą wiedzę o programowaniu tylko po to, żeby dziś cię pogrążyć?

Tom patrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Dopiero po kilku sekundach zdołał wykrztusić:

– Naprawdę ktoś to zrobił?

Na ustach Ryzermana pojawił się złowrogi uśmiešek.

– Staraj się nie tracić głowy, kadecie.

Porucznik ruszył z powrotem w stronę podwyższenia. Tom odprowadził go pełnym przerażenia wzrokiem. Vik spojrzał na niego ze współczuciem.

– Dlaczego się na ciebie uwziął?

– Bo jest dupkiem? – zaryzykował Tom.

– To oczywiste. Ale dlaczego akurat na ciebie?

– Wygrałem z nim w grze wideo – wyjaśnił Tom. Po chwili wahania dodał: – I naśmiewałem się z niego. I żartowałem.

– Tom, nie zadzieraj z Ryzermanem.

– Trochę za późno na ostrzeżenia!

– Na to wygląda – zgodził się z nim Vik.

– Żywy trup – wtrącił Beamer, co bynajmniej nie podniosło Toma na duchu.

Tak, teraz to mogli zachować dla siebie wszystkie dobre rady. Tom próbował znaleźć w sieci jakieś informacje o programowaniu

w języku Zorten-II, który zalecał im Ryzerman, ale potem miał w głowie tylko jeszcze większy mętlik.

O dziesiątej dziesiąt stąło się to, co musiałó się stać. Ryzerman wybrał „losowo” osobę do pokazu. Wywołał na podwyższenie Toma. Potem zaatakował jego adres IR włamał się do jego procesora neuronowego i zainstalował tam program, który kazał Tomowi szczekać jak pies i chodzić na czworakach po sali. Przy wszystkich. Na oczach stu trzydziestu siedmiu rechoczących elewów. Karl Masters, wielki, potężnie umięśniony Dżyngis-chan, wszedł nawet na podwyższenie i umocował obręcz, przez którą na jego polecenie skakał Tom. Biedak po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego nie miałby się zachowywać jak pies.

Trwał w przekonaniu, że nim jest, jeszcze po zakończeniu zajęć. Kilku starszych elewów zastanawiało się głośno, co ma zrobić ze spiałym chłopcem.

– Nie wiem, ile to potrwa, ale mam trochę czasu, więc mogę poczekać. Spróbuj podrapać go za uszami. Mój pies Buckley zawsze to lubił – stwierdził Elliot Ramirez.

Tom uświadomił sobie nagle, że siedzi na podłodze między Heather i Elliotem, który klepał go właśnie po głowie. Zerwał się natychmiast na równe nogi, czerwony jak burak.

– Znów masz dwie nogi? – zauważył Ramirez. – Czujesz się lepiej czy prosisz w ten sposób o smakołyk? – zachichotał, rozbawiony własnym żartem.

Tom czuł, jak ogarnia go niepohamowana wściekłość.

– Prosisz w ten sposób o fangę w nos?

Elliot roześmiał się tylko, a Heather podniosła się z klęczek i ku upokorzeniu Toma podrapała go po głowie.

– Spokojnie, mały, spokojnie.

Tom nie wiedział, kogo chce zabić najpierw: Elliota czy Ryzermana.

\* \* \*

Kiedy Tom wszedł do kantyny, powitały go chichoty i głupawe uśmieški. Karl Masters podsunął mu nawet plasterek bekonu.

– Masz, Lassie – rzucił.

Tom zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

**Imię i nazwisko: Karl Masters**

**Sygnal wywoławczy: Pogromca**

**Stopień: kadet USIF, VI stopień,**

**Kompania Camelotu**

**Oddział: Oddział Dżyngis-chana,**

**Kwatera Westmorlanda**

**Pochodzenie: Chicago, USA**

**Osiągnięcia: dwukrotny zwycięzca**

**mistrzostw zapaśniczych**

**stanu Michigan w wadze**

**ciężkiej, zdobywca**

**Nagrody Johna Schultza**

**w wadze ciężkiej,**

**wicemistrz świata**

**organizacji Terminator**

**Status: aktywny**

**IP: 2087:db7:lj71::231:113:6e8**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 6**

Zacisnął zęby i poszedł dalej. Najchętniej wepchnąłby ten bekon Karlowi w gardło, ale facet był po prostu za duży.

Kiedy dotarł do stołu kadetów Oddziału Aleksandra, zastał tam Vika i Yuriego, który próbował namówić Wyatt Enslow, by usiadła razem z nimi.

– Zawsze siedzisz sama – mówił. – Prosiłem cię tyle razy, żebyś usiadła z nami.

– To nie mój stół – odparła Wyatt.

– To nie odprawa śniadaniowa. Nikt nie będzie protestował.  
– Ale siedzi tu Vik – nie poddawała się Wyatt. – Nie lubię go.  
– Chwileczkę – oburzył się Vik i spojrzał na nią groźnie. – Siedzę dobre pół metra od ciebie.

– No i co z tego? Mówisz o mnie „Męskie Ręce”.

– Bo masz męś... – Vik przerwał w pół słowa, gdy zobaczył Toma.

Wyatt również odwróciła się do niego, a Yuri przesłał mu pełen współczucia uśmiech.

– Timothy. Lepiej się już czujesz?

– Tak, doskonale – burknął Tom i opadł ciężko na swoje miejsce.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. W końcu Wyatt wypaliła:

– Jak to jest być psem?

Tom jęknął tylko cicho.

– Aż tak fajnie? – powiedział Vik.

Tom warknął ze złością, na co jego towarzysze zareagowali tłumionym chichotem, przekonani zapewne, że zrobił to celowo. Odłożył kanapkę na blat i wstał. Nie mógł w to uwierzyć. Jeszcze

wczoraj wszystko układało się tak dobrze, a dziś znów był Tomem Nieudacznikiem z Rosewood.

– Tom, poczekaj.

Ale Tom szedł dalej. Musiał jak najszybciej wyjść z tej sali, walnąć pięścią w ścianę. Vik dogonił go już za drzwiami.

– Daj spokój. Mogło być znacznie gorzej. Musisz zrozumieć, że w pewnym sensie to było nawet zabawne.

– Myślałem, że jestem psem! – wybuchnął Tom. – Nie mogłem przestać czekać.

Vik przypatrywał mu się z ponurą miną. Potem jednak jego usta zadrżały i zaczęły wyginać się ku górze.

– I ta obręcz, którą przyniósł Karl Masters. Skąd on ją w ogóle wziął? Kto nosi ze sobą obręcz?

Vik nie kontrolował już swojej twarzy.

– Aha, i dzięki, że mnie zostawiliście. Kiedy się ocknąłem, Elliot Ramirez głaskał mnie po głowie! Wyobrażasz sobie coś gorszego?

Vik parsknął w końcu śmiechem.

– Uważasz, że to jest zabawne? – spytał Tom.

Hindus zgiął się wpół, wstrząsany atakami śmiechu. Nagle Tom poczuł, że i jego usta wykrzywają się w uśmiechu, a po chwili już sam głośno rechotał.

Bo Vik śmiał się nie tylko z niego. Śmiał się również z nim.

Tom nigdy wcześniej nie przebywał w jednym miejscu tak długo, by się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. Teraz zaczął jednak rozumieć, od czego są przyjaciele: przypominają, że w gruncie rzeczy nie jest tak źle. Że trzeba umieć śmiać z samego siebie.

Mógł być Tomem Nieudacznikiem. Ale Wieża w niczym nie przypominała Rosewood.



## Rozdział 9

# MEDUZA

Zajęcia z taktyki wyglądały zupełnie inaczej niż programowanie. Aula Garibaldiiego, która znajdowała się na najwyższym piętrze Wieży, była w istocie wielkim planetarium. Nad głowami elewów wisiał wielki półkolisty ekran. Schemat, który wyświetlił się w głowie Toma, informował, że dach i ekran mogły się rozsunąć, odsłaniając niebo. Kompania Camelotu spotykała się tutaj po wykonanych misjach, by wspólnie analizować przebieg bitew i błędy popełnione w trakcie walki.

Tutaj również kadeci analizowali dawne bitwy KomCa.

Tutaj uczyli się prawdziwej wojny.

Tom przyglądał się major Isabel Cromwell, która przeszła przez salę i zajęła miejsce na podwyższeniu. Uważny obserwator mógł zauważyć, że lekko utyka, a jej zwinęte w pięści dłonie, które ułożyła na mównicy, nieustannie drżą.

– Usiądźcie.

Chrapliwy głos kobiety wypełnił całą salę, choć wcale nie krzyczała. Ostatni maruderzy zajęli swoje miejsca, nim jeszcze w

ich głowach rozbrzmiał komunikat: Rozpoczęły się popołudniowe zajęcia.

– Załadowaliście te informacje – zaczęła Cromwell – więc załatwmy to szybko. Charakter działań wojennych i sposoby walki zmieniały się w czasie, nikt nie może temu zaprzeczyć – kontynuowała rzeczowym tonem. Tom miał wrażenie, że chce jak najszybciej mieć za sobą zajęcia. – Na przestrzeni wieków przemoc i zniszczenia wojenne dotykały zwykłą ludność w coraz mniejszym stopniu. W zamierzchłej przeszłości armie atakowały całe narody. Rozwój techniki doprowadził do tego, że zamiast całych społeczności mogliśmy niszczyć konkretne jednostki, a zamiast angażować wielkie armie, przeprowadzaliśmy precyzyjne ataki z powietrza. W czasie ostatniego konfliktu, jaki rozgrywał się na Ziemi, ginęli ludzie, podczas gdy budynki i infrastruktura pozostawały nietknięte.

Te słowa wywołały oddźwięk w organicznej części mózgu Toma. Neil często mówił o tamtej katastrofie, szczególnie gdy był pijany. Twierdził, że to nie była

wojna, lecz ludobójstwo. Wszystko wydarzyło się po tym, jak wyginęły ostatnie żywe organizmy, a jedynym źródłem pożywienia stały się patentowane formy życia korporacji Montando. Korporacja Huangwey już wcześniej zmonopolizowała dostawy wody dzięki patentowi na łagodny środek chemiczny, który przeniknął do ziemskich zasobów wodnych. Do tych dwóch firm należał praktycznie cały świat.

Tragedia rozegrała się w ciągu doby. Mieszkańcy Bliskiego Wschodu pogwałcili prawa autorskie i odmówili Montando płacenia za uprawę zbóż, a Huangwey za korzystanie z wody. Na polecenie Montando wojska amerykańskie rzuciły bomby neutronowe,

które zabiły ludzi, a pozostawiły nietknięte budynki. Tego samego dnia Huangwey zleciła chińskiej armii przeprowadzenie podobnego ataku. Ziemia wciąż kręciła się dokoła swojej osi i krążyła wokół Słońca, ale w ciągu jednego dnia jej populacja zmniejszyła się o ponad miliard ludzi, a cały obszar Bliskiego Wschodu właściwie opustoszał. Wszystkie budynki i zasoby naturalne pozostały nietknięte, dostępne do kupienia na wolnym rynku – gdyby tylko ktoś potrafił pozbyć się miliarda trzystu milionów ciał, które pozostały po ataku dwóch armii.

Oczywiście obie korporacje przeprosiły publicznie za tę niewyobrażalną tragedię i rzuciły całą winę na jedną z firm zależnych Montando – Black Raven. Ta została sprzedana korporacji Balliharton i przemianowana na Junction. Kilku menedżerów niższego szczebla trafiło do więzienia, wartość akcji spadła na jakiś czas, by potem ponownie wzrosnąć. Międzynarodowe korporacje stworzyły własną koalicję, teoretycznie po to, by „koordynować i kontrolować wspólne działania”, w rzeczywistości jednak chciały połączyć siły i bronić się przed konsekwencjami ludobójstwa, którego dopuściły się na Bliskim Wschodzie. Dwanaście zjednoczonych firm kontrolowało poczynania wszystkich ważniejszych polityków na świecie – po władzę sięgali tylko ludzie finansowani przez te spółki.

Oczywiście nadal odbywały się wybory. Nadal wykonywano rytualne gesty. Wciąż istniały „republiki” i „demokracje”. Wciąż istniały też kraje nazywane oficjalnie Chinami, Stanami Zjednoczonymi, Indiami i Rosją. W trzeciej wojnie światowej teoretycznie walczyły ze sobą poszczególne narody.

Jednak jedyną realną siłą była Koalicja. Jedynym znaczącym konfliktem była wojna pomiędzy Huangwey i Montando. To właśnie te korporacje kontrolowały najważniejsze zasoby na świecie i zdążyły pokazać, że potrafią być silniejsze i bezwzględniejsze niż jakikolwiek naród w historii świata. Mogły bez końca zmagać się ze sobą, lecz każde zagrożenie z zewnątrz... cóż, właściwie nie było

już takich zagrożeń. Cały świat dobrze pamiętał, co się stało, gdy Montando i Huangwey znalazły wspólnego wroga.

– Prawda jest taka, kadeci – kontynuowała Cromwell – że ludzie zawsze pozostaną tylko ludźmi. Koniec kropka. Technika i postęp nie zmieniają podstaw ludzkiej natury. Dopóki ludzie są zdolni do zazdrości i nienawiści, dopóty na świecie będą wojny. Pytania, które stawiamy sobie na tych zajęciach, dotyczą zmieniających się sposobów wyrażania wrogości. Jak można wygrać współczesną bitwę? – Kobieta zawiesiła na moment głos, po czym przeszła do kolejnej części wykładu: – Jesteście pionierami nowej taktyki. Każda era miała swoich idealnych żołnierzy. Basil Hart powiedział kiedyś: „To raczej utrata nadziei, a nie życia, jest czynnikiem decydującym o losach wojen, bitew, a nawet drobnych potyczek”. A kto niszczy nadzieję wroga? Największym wojownikiem starożytności był Achilles, przed którym drżały całe armie. W późniejszych wiekach największą chwałą okrywali się generałowie. A teraz? Jakie imię niszczy nadzieję? Kto jest współczesnym Achillesem?

Tom jęknął w duchu, pewien, że Cromwell powie zaraz: „Elliot Ramirez”.

Jednak kobieta napisała coś na klawiaturze przymocowanej do mównicy i odwróciła się do półkolistej ściany. Tom podniósł wzrok

na potężny ekran. Nagle ujrzał przed sobą zapierający dech w piersiach widok kosmosu. Obraz skupił się na planecie Wenus, a potem na ruso-chińskim wojowniku, którego sygnał wywoławczy Tom znał z wiadomości.

Słyszał już o nim, choć niewiele – ten wojownik nie był wspierany przez żadną korporację, więc rzadko mówiono o nim na antenie. Ale plotki krążące w internecie głosiły, że jest najlepszy. Że nigdy jeszcze nie przegrał.

– Dzisiaj – przemówiła ponownie Cromwell – wojownik idealny nazywa się Meduza.

W sali zapadła martwa cisza. Wszyscy kadeci śledzili przebieg bitwy, obserwowali w milczeniu, jak ruso-chińskie statki sterowane przez Meduzę tańczyły wokół indo-amerykańskich sił i systematycznie je unicestwiała.

Zimny dreszcz przebiegł Tomowi po plecach. Widział już fragmenty bitew, ale były to jedynie ocenzone urywki, które wojsko zdecydowało się pokazać szerszej publiczności. Nigdy nie oglądał pełnego starcia, nigdy nie miał okazji podziwiać niezwykłego kunsztu wojownika zwanego Meduzą.

Salę ponownie wypełnił chrapliwy głos major Cromwell:

– W ciągu ostatnich sześciu miesięcy ten jeden kosmiczny wojownik odmienił losy wojny. Skąd wiemy, że to właśnie on, a nie grupa różnych osób? Przyjrzyjcie się dobrze. Zdolny taktyk rozpozna znajomego wroga na odległość.

W tej sytuacji też możecie rozpoznać umysł, który stoi za tymi manewrami.

Kiedy Cromwell zaczęła odtwarzać nagranie bitwy na księżycu Jowisza Io, Tom od razu wiedział, którymi wojownikami po

stronie ruso-chińskiej kieruje osławiony Meduza, bo wydawało się, że tylko oni biorą aktywny udział w walce. Tylko oni przewidywali ruchy przeciwnika i odpalali pociski tuż przed tym, jak wlatywały w nich wrogie statki; tylko oni widzieli dziesięć kroków naprzód, podczas gdy pozostali kierowali się jedynie tym, co mieli przed oczami. To oni wprowadzali przeciwników prosto na wulkany, wykorzystywali przeciwko nim siły natury.

Potem obejrzeni starcie na Merkurym. Sprytne zagranie Meduzy wyrzuciło z orbity indo-amerykańskich wojowników i posłało ich prosto w Słońce.

Następny film pokazywał potyczkę w pasie planetoid. Indo-Amerykanie zostali rozerwani na strzępy gradem asteroid w postaci kosmicznych głazów, które Meduza wykorzystał jako potężne pociski.

Ostatnia bitwa rozgrywała się na Tytanie, największym księżycu Saturna, gdzie Meduza wybił wielką dziurę w warstwie lodu i wypuścił do atmosfery płynny metan. Podpalił go, otaczając indo-amerykańskie statki olbrzymią chmurą ognia.

Tom oglądał to wszystko z zapartym tchem, ani na moment nie odrywając spojrzenia od maszyn Meduzy. Meduza. Meduza. Oto król. Oto bóg.

Tom, niewidzialny chłopiec, który przez tyle lat włóczył się za Neilem, chłopiec porzucony przez matkę – nie pragnął niczego bardziej, niż stawić czoła Meduzie.

Gdyby został tym właśnie człowiekiem; tym, który pokonał największego spośród wojowników, wtedy byłby naprawdę kimś.

Kiedy zapaliły się światła, a Meduza zniknął z ekranu, major Cromwell zakończyła zajęcia. Tom był jedynym kadetem, który wyszedł z sali odurzony, jakby dopiero co wybudził się z jakiegoś dziwnego snu. Na jego ustach malował się szeroki rozmarzony uśmiech.

Meduza.

## Rozdział 10

# CAMELOT

Meduza zaprzętał myśli Toma podczas ćwiczeń fizycznych następnego dnia. Nie mógł zapomnieć o ruso-chińskim wojowniku, choć trafił w sam środek bitwy o Stalingrad.

– Sprawdziłem w sieci mit o Meduzie. – Tom biegł obok Vika przez zrujnowaną ulicę, którą ostrzeliwali zarówno Niemcy, jak i Sowietci. Dowiedział się, że Meduza była postacią z greckiej mitologii, odrażającą kobietą potworem, która samym spojrzeniem zmieniała żywe istoty w kamień. – Myślisz, że Meduza to dziewczyna?

Vik uchylił się przed zabłąkaną kulą.

– Nie! – odparł, przekrzykując huk wystrzałów. – Meduza to tylko sygnał wywoławczy. Nie wiadomo, czy masz do czynienia z facetem, czy z babką. Ten ktoś wybrał sobie taki pseudonim, bo wystarczy, że na ciebie spojrzy i już po tobie. Barn, nie żyjesz.

Tom wbiegł za nim do zniszczonego budynku wstrząsanego potężnymi eksplozjami. Wiedział, że Ruso-Chińczycy przyjmują sygnały wywoławcze z tego samego powodu co Indo-Amerykanie

i że wybierają je sobie wtedy, gdy awansują do grupy uczestniczącej w czynnej walce. Pseudonimy tworzone na potrzeby ogółu społeczeństwa. Nim trafił do Wieży, Tom widział czasem urywki wiadomości o Enigmie, Ognistej Burzy, Pogromcy, Kondorze i pozostałych członkach Kompanii Camelotu. Teraz oczywiście znał nazwiska ludzi, którzy ukrywali się pod tymi przydomkami: Heather Akron, Astor Mancini z Oddziału Hannibala, Karl Masters, Alec Tarsus z Oddziału Aleksandra.

– Jaki będzie twój sygnał wywoławczy? – krzyknął do Vika, gdy wybuch bomby rozerwał dach nad ich głowami.

Vik tylko uśmiechnął się szeroko. Uskoczyli przed wielkim kawałkiem betonu i wbiegli do zbrojowni, gdzie znaleźli całą ścianę obwieszoną nunchaku.

– Będzie świetny – odpowiedział w końcu Vik. – Tyle tylko mogę ci powiedzieć. Nie pytaj więcej, bo przyniesiesz mi pecha.

Tom sięgnął po najbliższą parę nunchaku – broń była o wiele za ciężka, by mogła przydać się w walce, wiedział jednak, że w tym wypadku ma mu służyć raczej do ćwiczeń niż do obrony.

– I co teraz? Znowu samurajowie?

– Nie wygłupiaj się. Skąd w Stalingradzie samurajowie?

Vik wyprowadził Toma na płonący dziedziniec budynku, gdzie kilku kadetów walczyło już z faszystowskimi wojownikami ninja.

Tom wskoczył między walczących, zadowolony, że jego mózg wie, jak posługiwać się nunchaku, a nawet zna podstawy kung-fu. Zabity Beamer leżał pośród gruzów z rękami założonymi za głowę. Na widok Vika i Toma wyszczerzył zęby w uśmiechu. Yuri

walczył z trzema ninja naraz, wykorzystując kung-fu i swoją nieprzeciętną siłę fizyczną.

Tom uchylił się przed mieczem jednego z wojowników.

– Vik, twój sygnał będzie angielski czy hinduski?

– Przestań wreszcie! – Vik pchnął Toma prosto na przeciwnika, który przebił go mieczem.

Chłopiec nie czuł bólu, ale jego procesor neuronowy wysłał do mózgu sygnał, który kazał mu się położyć na ziemi. Potem przed oczami Toma pojawił się komunikat: Sesja wygasła. Włączono tryb bezruchu. Oznaczało to, że został wykluczony z ćwiczeń fizycznych, a przynajmniej z tego etapu.

Vik zabił wojownika ninja, z którym zmagał się od dłuższego czasu, po czym stanął zdyszany nad Tomem.

– Przepraszam, stary. Nie chciałem cię zabić.

Tom podniósł ku niemu drżącą rękę.

– Vik...Viiiiik...

Hindus pochylił się nad nim z niemym pytaniem w oczach.

– Jest jeszcze jeden – wydyszał Tom.

Vik nachylił się jeszcze bardziej, zaintrygowany.

– Kto jeszcze jeden?

– Skywalker – dokończył zdanie Tom, zacharczał chrapliwie i opadł z powrotem na ziemię.

Vik trącił go czubkiem buta.

– Grałem w „Gwiezdne wojny” chyba z milion razy i zapewniam cię, Tomie Raines, że daleko ci do Yody.

– Uczucia zraniłeś moje. Ale Vik, poważnie...

– Co takiego? – spytał ponownie Hindus, roztargniony i zirytowany.

W tym samym momencie doskoczył do niego z tyłu jeden z wojowników ninja i przebił go mieczem. Vik spojrzął na swój brzuch.

– Żartujesz sobie ze mnie? Nigdy nie umieram na ćwiczeniach fizycznych! – Potem opadł na ziemię obok Toma. – No dobra, jestem tu. Co chciałeś mi powiedzieć?

– Za tobą był. – Tom uśmiechnął się do zabitego przyjaciela, który leżał z nim w ruinach płonącego Stalingradu, wśród nazistowskich ninja. – Ostrzec ciebie zapomniałem.

– Zamknij ty lepiej się już! – warknął Vik. – Albo zabić cię znowu muszę.

\* \* \*

Tom drugi raz w życiu rozwiązał bezbłędnie wszystkie testy, udało mu się nawet nie zasnąć z nudów, gdy Elliot opowiadał o zaletach medytacji i sile pozytywnego myślenia.

Gdy w końcu włączyli się do symulacji, przybrał postać rycerza Gawaina z legend arturiańskich. Znajdowali się we wnętrzu potężnego zamczyska. Ramirez, który odgrywał, oczywiście, króla Artura, zasiadł na tronie i oznajmił, że najpierw wszyscy złożą mu hołd.

Tom przyglądał się, jak inni kadeci, rycerze Okrągłego Stołu, klękają przed Elliotem i całują go w rękę, a ten klepie ich po ramieniu swym mieczem. Chłopiec wzdrygnął się z obrzydzenia. Niemal płaszczyli się przed nim.

Elliot wyciągnął do Toma dłoń, czekając, aż ten ją pocałuje. Tom stał prosto.

– Nie złożysz mi hołdu, Tom?

– Jeśli chcesz, żebym przysiągł ci wierność, zrobię to. Ale bez klęknięcia i całowania ręki.

– Taki jest zwyczaj, wymaga tego również duch pracy zespołowej.

– Nie klękam przed ludźmi. Wydaje mi się to takie nieamerykańskie. Przykro mi.

Elliot westchnął.

– To mnie jest przykro, że nie doceniasz wartości wspólnej pracy. Skoro jednak nie chcesz grać tak jak wszyscy pozostali, to przydzielę ci inną rolę. Nie będziesz Gawainem.

Tom omal nie podskoczył z radości. Miał nadzieję, że Elliot każe mu odgrywać saskiego barbarzyńcę. To byłoby naprawdę fantastyczne.

Elliot podniósł rękę ku niebu, modyfikując symulację.

Ciało Toma przybrało postać Ginewry.

Chłopiec stał jak rażony gromem i wpatrywał się w swoją długą, sięgającą

podłogi suknię, falujące brązowe włosy, które spływały mu po ramionach aż do talii, i w swoje... piersi. Wciąż przyglądał się temu wszystkiemu, gdy pozostali rycerze wyszli na dziedziniec, by dosiąść koni i wyruszyć przeciwko Sasom. Tom ruszył ich śladem, lecz potknął się o rąbek sukni i omal nie runął jak długi na podłogę. Co gorsza, nie do końca panował nad swoimi nogami, które wydawały mu się wygięte pod dziwnym kątem.

– Poczekajcie! – zawołał. – Zniknęła moja zbroja.

– Nie, zniknęła zbroja Gawaina – odparł Elliot ze złośliwym uśmiechem. – Moja ukochana żona Ginewra nie walczy z barbarzyńcami. Udziela nam tylko moralnego wsparcia. Żegna nas, gdy wyjeżdżamy w pole, i czeka na nasz powrót.

– To nie będę walczył? – wybuchnął Tom.

– Tylko ludzie, którzy składają mi hołd, mogą brać udział w walce.

Elliot uniósł brwi, czekając na reakcję Toma. Chłopiec dobrze wiedział, czego oczekuje: przeprosin i aktu skruchy, poddańczego pokłonu i pocałunku w rękę. Tom nie mógł tego zrobić. Nie klękał przed ludźmi ani nie kłaniał im się w pas, nie całował też facetów, nawet w rękę. Nie ma mowy.

– No i dobrze.

– No i dobrze. – W głosie Elliota pobrzmiwał tłumiony śmiech. – Opowiemy ci, jak było.

Tom stał na dziedzińcu, wsłuchany w oddalający się stukot kopyt. Nagle ktoś pociągnął go lekko za rękaw. Jedna ze służek królowej przemówiła nieśmiało:

– Wasza wysokość, właśnie zaczęłyśmy szydełkować. Zechcesz do nas dołączyć?

W umyśle Toma pojawiła się instrukcja szydełkowania. Ginewra lubiła szydełkować. Ponieważ był Ginewrą, on także lubił...

Potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie szydełkuję! – wrzasnął i odszedł od wirtualnej kobiety.

Przez głowę przebiegały mu dziesiątki pomysłów na to, jak zagospodarować pozostałe trzy godziny i dwadzieścia osiem minut symulacji. W końcu podjął decyzję, że wyruszy w pole tak czy inaczej, na piechotę, i że będzie walczył jako Ginewra. Okazało się jednak, że nie może nawet przejść przez most zwodzony. Brak parametrów dla takiego działania – poinformowała go symulacja.

Postać Ginewry nie mogła więc opuścić zamku. A ręce aż świerzbiły ją do szydełkowania. Wszystko to przerażało Toma.

Przez jakieś dziesięć minut.

Potem postanowił przejść do działania. Uzbrojony w świeczniki atakował



przypadkowych strażników i wyzywał ich na pojedynek. Ci tylko przyglądali mu się z uśmiechem i odmawiali udziału w czymś tak niegodnym jak walka z damą. Tom niezrażony walił ich kandelabrami po głowach, a rycerze wrzeszczeli na niego, że oszalał, nie ośmielili się jednak unieruchomić psychotycznej królowej.

To podsunęło Tomowi świetny pomysł.

Wydał odpowiednie rozkazy strażom zamku i wysłał gońca z wiadomością. Potem pozostało mu już tylko czekać. Aby uniknąć szydełkujących dworek, włóczył się po zamku i zaglądał w różne zakamarki. Znalazł ciężki ceremonialny miecz, który Ginewra z trudem podnosiła obiema rękami, ale z pewnością była to lepsza broń niż świeczniki. Metal tarł ze zgrzytem o kamienną podłogę, gdy Tom chodził po wąskich korytarzach, szukając jakiegoś dobrego miejsca do obrony.

Dotarł do wielkiej biblioteki i zobaczył uzbrojonego rycerza, który pochylał się nad stertą zwojów. Doskonale. Zabije tego faceta i zabierze mu zbroję i miecz.

– Hola, parszywy szcurze! – zawołał Tom, podnosząc ciężki miecz. – Przygotuj się na spotkanie ze Stwórcą!

Rycerz westchnął, po czym obrócił się i skrzyżował ręce na swej szerokiej piersi.

Była to Wyatt w postaci Lancelota.

– To jest legenda arturiańska, Tom, a nie piracki statek – zbesztła go.

– Do stu tysięcy beczek rumu – zaklął Tom i opuścił miecz, który uderzył z brzękiem o podłogę. – A co ty tu właściwie robisz? Lancelot miał jechać z Arturem i walczyć z Sasami.

Wyatt uniosła dumnie głowę.

– Najwyraźniej odgrywam nieco bardziej uczonego Lancelota, który woli siedzieć tutaj i czytać.

– Lancelot nie ma być uczony. Ma być Lancelotem. – Tom podszedł do stołu i spojrzał na zwój ułożony na blacie. – Czytasz dla przyjemności? Po co, skoro możesz załadować każdy tekst, jaki tylko zechcesz?

– Skoro tak mówisz, to z pewnością sam nie lubisz czytać. To nie to samo.

– Ale symulacja polega właśnie na tym, żeby napadać na innych i walczyć z nimi.

– Więc śmiało, idź i walcz.

– Nie mogę opuścić zamku.

– Więc idź po prostu gdzie indziej.

Tom zignorował tę uwagę i usiadł na stole. Wbrew pozorom nie było to takie

łatwe, bo wciąż nie panował do końca nad ciałem Ginewry – miał wrażenie, że biodra wyginają się pod dziwnym kątem, a ciężar ciała opiera się na innych punktach.

– Nie mogę sobie poradzić z tymi babskimi kulasami – poskarżył się, próbując usadowić się wygodnie. Kiedy odchylił się i rozłożył szeroko nogi, Wyatt spojrzała na niego z przyganą i zgorzeniem, uznał jednak, że tak właśnie siedzi mu się najlepiej,

i pozostał w tej pozycji. – Wilk ma zupełnie inne ciało, więc zakładam z góry, że będzie się poruszał inaczej, ale ciało dziewczyny jest na tyle podobne do mojego, że ciągle próbuję traktować je tak samo.

– Przyzwyczaisz się po kilku symulacjach.

Uwagę Toma przykuł nagle widok jego własnych piersi. Sięgnął do nich i wsunął rękę za dekolt. Wyatt odchrząknęła znacząco.

– No co? – bronił się Tom. – Są moje.

– Chyba nie zamierzasz siedzieć tutaj i obmacywać się na moich oczach? To trochę niegrzeczne, nie uważasz?

Tom opuścił rękę, nieco zawstydzony.

– Daj spokój, ty też masz całkiem nowy sprzęt. Nie jesteś ciekawa?

– To nie jest pierwsza symulacja, w której gram rolę mężczyzny.

Tom uśmiechnął się szeroko.

– Jasne. A więc już zdążyłaś sobie wszystko pomacać.

– Nie to miałam na myśli – zaprotestowała, czerwieniąc się przy tym tak mocno, że Tom omal nie parsknął śmiechem.

– To niezwykle doświadczenie, co? W końcu ile dziewczyn ma okazję poczuć, jak to jest być facetem?

– Nie obmacuję się, Tom!

– Nikomu nie pisnę ani słowa, jeśli tego się obawiasz, Wyatt. – Tom bawił się coraz lepiej.

– Nie, nie o to chodzi.

– Więc spróbuj, śmiało.

– Nie! I nie będę dłużej rozmawiać na ten temat.

Wyatt zebrała zwoje i ostentacyjnie przeniosła się do innego stolika.

Ale Tom dopiero się rozkręcał. Zeskoczył ze stołu i ruszył jej śladem w nadziei, że uda mu się jeszcze trochę podokuczać Wyatt, lecz w tej samej chwili zamek wypełnił się głuchym dudnieniem. Zza otwartych drzwi biblioteki dobiegały pełne przerażenia krzyki.

„Wreszcie” – pomyślał podekscytowany Tom i skierował się do drzwi.

– Poczekaj! – zawołała za nim Wyatt. – Co się dzieje?

Tom obrócił się w miejscu i przypomniał sobie, że Wyatt ma miecz, którego nie zamierza używać. Podeszedł do niej szybko i wyciągnął go z pochwy, nim zdążyła zaprotestować.

– Co ty chcesz z tym zrobić? Mówiłeś, że Ginewra nie może wyjść z zamku.

– Nie może. Ale królowa Ginewra może opuścić most zwodzony i kazać strażnikom zejść z posterunku. – Tom uśmiechnął się szelmowsko do dziewczyny w ciele rycerza. – I to właśnie zrobiła królowa Ginewra dziesięć minut temu. Aha, i może też wysłać do króla Sasów gońca z wiadomością, że Camelot został bez obrony.

Wyatt wpatrywała się w niego z rozdziawionymi ustami.

– Te dźwięki na zewnątrz... To saska armia, tak?

– Yuri ma rację. Naprawdę jesteś bystra. – Z korytarza znów dobiegły krzyki i Tom ruszył w jego stronę energicznym krokiem. Przed wyjściem pomachał Wyatt jej własnym mieczem. – Do zobaczenia po masakrze!

## Rozdział 11

# DŻYNGIS-CHAN

Kiedy Tom obudził się w sobotę, natychmiast tego pożałował. Wszystko go bolało. Wszystko. Stawy, kości, głowa. Przypomniał sobie krwawą bitwę z Sasami – ale to nie wydarzyło się w realnym życiu. To była jedynie symulacja załadowana do jego procesora neuronowego. Wszystkie rany, które wczoraj otrzymał, nie były prawdziwe – były tylko złudzeniem. Jego ciało nie mogło od nich ucierpieć.

- Wstawaj – klepnął go Vik. – Idziemy dziś do miasta.
- Za wcześnie – jęknął Tom.
- Daj spokój, stary. Ludzie z procesorami neuronowymi nie muszą dosypiać.
- Ja muszę – odrzekł Tom, choć nie była to prawda.

W ogóle nie mógł spać – z bólu. Każdy oddech wypełniał jego klatkę piersiową bolesnymi ukłuciami, każdy ruch sprawiał, że przez jego kończyny przepływał prąd, jakby ktoś podłączył go do instalacji elektrycznej.

Tom zacisnął zęby i przykrył głowę poduszką. Pomyślał, że trochę się prześpi, a potem poczuje się lepiej. Może został pobity i

dostał w głowę tak mocno, że zapomniał o tym? Nie... Przejrzał w myślach wspomnienia z poprzedniego dnia. Nie znalazł w nich żadnych luk. Procesor neuronowy był nawet na tyle uczynny, że opatrywał każde wspomnienie datą i godziną, Tom miał więc pewność, że niczego nie pominął.

Kiedy przeszył go kolejny paroksyzm bólu, procesor neuronowy rozpoczął proces przeglądania i analizy.

- Co? – mruknął Tom w poduszkę.

W jego umyśle pojawiały się i znikwały różne wartości, dane i skróty: pH, CO<sub>2</sub>, HCO<sub>3</sub>, WBC, RBC, RDW, temp. 36,100C, tętno 72, 16 oddechów na minutę... Tom przyciągnął mocniej poduszkę, jakby mógł w ten sposób zatrzymać proces skanowania.

Nagle przed jego oczami pojawiła się liczba, która wprowadziła go w osłupienie.

Był o dziesięć centymetrów i sześć milimetrów wyższy niż w środę.

Tom przetoczył się na plecy, co natychmiast wywołało kolejny atak bólu.

Zignorował go i spojrzał na swoje nogi. Naprawdę wydawały się dłuższe. Poruszał palcami stóp, by upewnić się, że nadal jest we własnym ciele. Nawet one były dłuższe. A stopy większe.

Tom podniósł ręce do twarzy, zaciskał i rozprostowywał palce, dziwiąc się wielkości swoich dłoni.

– Męskie ręce – mruknął.

– Mówiłeś coś o Enslow? – spytał Vik z drugiego końca pokoju.

– Nie, o sobie.

Tom odchylił głowę i uznał, że właściwie ból mu nie przeszkadza. W końcu nie mogło być tak źle, jeśli teraz miał duże męskie ręce.

\* \* \*

W miarę upływu czasu coraz trudniej przychodziło mu ignorować ból. Początkowo wystarczało tylko, by nie poruszał się zbyt szybko. Jednak wkrótce nawet gdy siedział w bezruchu na łóżku i surfował po internecie, miał wrażenie, jakby ktoś wgniatał mu w stawy rozbite szkło.

Jedyną rzeczą, która pozwalała mu zapomnieć o tym choć na chwilę, był Meduza, ruso-chiński wojownik. Tom załadował wszystkie nagrania starć Meduzy z siłami indo-amerykańskimi, jakimi dysponowała Wieża. Potrafił leżeć przez kilka godzin z zamkniętymi oczami i odtwarzać je w głowie dzięki procesorowi neuronowemu. Patrzył, jak Meduza przebija się przez pierścienie Saturna, zmienia trajektorię lotu komety i rzucają w indo-amerykańską platformę wiertniczą na Tytanie. Meduza wymknął się z pułapki, w którą wrodzy wojownicy wmanewrowali Ruso-Chińczyków: koronalny wyrzut masy zniszczył większość ruso-chińskich okrętów, lecz nie dosięgnął tego jednego. Meduza uniknął ognia kilkunastu statków, które polowały tylko na niego, a potem zdołał jeszcze zwabić indo-amerykańskie siły na Wenus. Umieścił swój statek w prądzie wiatru, który wyniósł go na orbitę, podczas gdy ścigający go Indo-Amerykanie zostali ściągnięci w dół i ostatecznie rozbili się o powierzchnię planety.

Tom był tak pochłonięty oglądaniem Meduzy i wyobrażaniem sobie, co by zrobił, gdyby spotkał go w prawdziwej walce, że nie

usłyszał pukania. Zerwał się z łóżka, gdy ktoś uchylił drzwi.

– Ogłuchłeś czy co? – spytał dziewczęcy głos. – Nie słyszałeś, jak pukałam?

Wyatt Enslow jak zwykle spoglądała na niego z marsową miną.

– Miło, że tak czy inaczej weszłaś. Nie przyszło ci do głowy, że celowo nie reagowałam?

Wyatt wyraźnie zrzędała mina.

– Więc mogłeś mi poświęcić dwie sekundy i powiedzieć, żebym sobie poszła.

Tom poczuł się tak, jakby kopnął szczeniaka.

– Byłem zajęty, inaczej bym cię wpuścił – wyjaśnił szybko. – Naprawdę. A tak właściwie, to dlaczego jesteś w Wieży w sobotę? Nie poszłaś do miasta?

– Yuri mnie nie poprosił. Tylko on gdziekolwiek mnie zaprasza – odparła beznamiętnym tonem.

Tom poczuł się jeszcze większym dupkiem niż przed chwilą.

– Elliot nawrzeszczał na ciebie za tę historię z Sasami? – spytała.

Tom przypomniał sobie minę Ramireza z poprzedniego dnia. Król Artur i rycerze Okrągłego Stołu zrozumieli w końcu, że Sasi nie pojawią się na polu bitwy. Kiedy Elliot wszedł do głównej sali, zobaczył zbryzganego krwią Toma, który rozsiadł się na jego tronie, a obok głowę króla Sasów zatknęta na włócznie. Pokręcił głową.

– To nie w jego stylu.

Elliot obdarzył go tylko surowym spojrzeniem, które wyrażało oburzenie i rozczarowanie zarazem, choć Tom w wiernopoddanym geście ofiarował mu głowę barbarzyńskiego władcy.

Wyatt przestąpiła niepewnie z nogi na nogę. Wciąż stała w drzwiach; czyżby nie wiedziała, jak należy wchodzić do czyjegoś pokoju?

– Możesz wejść – powiedział Tom.

Dziewczyna zrobiła kilka niepewnych kroków i rozejrzała się czujnie dokoła, jakby spodziewała się ataku ukrytych ninja.

– Posłuchaj – przemówiła ponownie, wyjawiając wreszcie powód swej wizyty.

– Chciałam cię poprosić, żebyś nie mówił nikomu, że wczoraj czytałam, zamiast brać udział w symulacji.

– Dlaczego miałbym komuś o tym mówić?

Wzruszyła swoimi chudymi ramionami.

– Niektórzy ludzie robią takie rzeczy. Wiesz, żeby inni wyglądali gorzej od nich.

– Ja bym tego nie zrobił – zapewnił ją Tom.

Oboje umilkli. Skrępowany widokiem Wyatt, która wciąż stała przy drzwiach i spoglądała na niego niepewnie, Tom spróbował rozluźnić atmosferę.

– Hej, lubisz gry?

Natychmiast tego pożałował. Teraz Wyatt mogła zostać na dłużej i oboje czuliby się jeszcze bardziej zakłopotani.

Ale ona zmarszczyła tylko brwi, jakby go nie zrozumiała.

- Gry?
  - No wiesz, wirtualna rzeczywistość – wyjaśnił Tom, zirytowany. – RPG. Gry strategiczne. Strzelanki.
  - Nie lubię walczyć.
  - No to może jakaś gra strategiczna?
- Właściwie jemu też to odpowiadało. W większości gier strategicznych nie musiał się ruszać. Uruchomił „Korsarzy”.
- Gra ta opierała się głównie na negocjacjach i handlu. Nie należała do ulubionych rozrywek Toma, ale nadawała się dla bystrych i zdolnych ludzi, pomyślał więc, że przypadnie do gustu Wyatt.
- I tak też się stało. Nie brylowała w negocjacjach, ale wykreślała najlepsze trasy, jak zawodowiec.
- Jesteś w tym naprawdę niezła – stwierdził Tom, gdy dopłynęła przed nim do Polinezji.
  - To czysta matematyka.
  - Słusznie. Lubisz matematykę, co? Dlatego cię zwerbowali.
  - Kiedyś byłam w tym dobra – odpowiedziała szorstko. – Ale teraz, kiedy wszyscy mają tu procesory neuronowe, zdolności matematyczne praktycznie się nie liczą. – Zerknęła na niego z ukosa. – Na pewno rozumiesz, o czym mówię, bo z ortografią jest tak samo. Dzięki procesorom wszyscy znają ją równie dobrze jak ty.
- Tom z największym trudem powstrzymał się od śmiechu.
- Tak, wkurzam się, kiedy widzę, że wszyscy piszą poprawnie. To umniejsza mój talent.

\* \* \*

W niedzielę Tom był o ponad piętnaście centymetrów wyższy niż w chwili, gdy przybył do Wieży. Działo się z nim coś dziwnego.

Jego procesor neuronowy bezustannie przeprowadzał analizy. W końcu w umyśle chłopca zaczął migotać komunikat: CA 7,3 (8,9-10,3).

- Vik – zaczął Tom, zwracając się do przyjaciela, który siedział na swoim łóżku i grał. – Co to jest CA 7,3?
- CA... może Kalifornia?
- Chyba nie. – Po chwili Tom przyznał: – Strasznie mnie bolą kości. Nie mogę się ruszać.

Czuł też dziwne mrowienie w palcach i wargach, jakby pod jego skórą pełzały setki robaków. Vik przyjrzał mu się uważniej.

- To chyba nie jest normalne.
- Tak myślisz?
- Lepiej idź do ambulatorium i zapytaj.

Tom jęknął w duchu. Ambulatorium mieściło się na parterze.

Coraz poważniej jednak zastanawiał się, czy nie dzieje się z nim coś naprawdę niedobrego. Rozmawiał o tym z Wyatt poprzedniego wieczoru, a dziewczyna wyliczyła około dwudziestu śmiertelnych chorób, na które mógł zapaść, co wcale nie poprawiło mu humoru. Uwaga Vika w końcu zmotywowała go do tego, żeby zacisnąć zęby i ruszyć chwiejnym krokiem w głąb korytarza.

Dotarł tylko do świetlicy kadetów.

Przy stole bilardowym stała grupa Dżyngis-CHANÓW. Znajomy głos zawołał:

- Patrzcie, to Burek!

Tom podniósł wzrok i ujrzał Karla Mastersa, który tak ochoczo dołączył do „zabawy z psem” urządzonej kosztem Toma przez

Ryżermana. Teraz Masters szczyrzył zęby do swojej ulubionej ofiary.

Tom nie był w nastroju do żartów.

- Czego chcesz?

Uśmiech Karla zamienił się w paskudny grymas. Kiedy Tom ruszył w stronę windy, Dżyngis-CHAN stanął mu na drodze.

- Nie jest zbyt miły, prawda? Niegrzeczny piesek.

Tom próbował przepchnąć się obok niego, lecz jedno mocne uderzenie w pierś odrzuciło go do tyłu. Uderzył plecami o ścianę i się wyprostował. Serce biło mu jak oszalałe.

- Słyszałem, że utrudniasz życie mojemu Elliotowi – powiedział Karl.

- Twojemu Elliotowi? A to ciebie obchodzi?

Karl spojrzał na swoich kolegów, trzech wielkich facetów i chudą blondynkę o szczurzej twarzy.

– Jesteś mistrzem ortografii, prawda, Biały Kle? Jak się pisze: „Jeśli nie nauczę się mówić z większym szacunkiem do lepszych od siebie, dostanę po gębie?”.

Tom nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem:

- To proste: K-A-R-L.

Pięść Karla wystrzeliła błyskawicznie w kierunku jego twarzy. Tom uchylił się w ostatnim momencie. Zaciśnięta dłoń Dżyngis-CHANA spotkała się gwałtownie ze ścianą, czemu towarzyszył paskudny chrzęst, a potem rozdzierający krzyk bólu. Tym razem Tom nie potrzebował dodatkowego ostrzeżenia ze strony procesora, by wiedzieć, że ma spore kłopoty. Przemknął obok Mastersa i ruszył



w stronę windy. Natychmiast jednak zrozumiał, że nie zdąży do niej wsiąść, pobiegł więc dalej, licząc na to, że uda mu się ukryć w innym oddziale.

Miał szczęście – pierwsze drzwi, do których dotarł, od razu się przed nim otworzyły. Wpadł do środka i zamknął je za sobą. Sekundę później usłyszał łomot i wściekle wrzaski ścigających go Dżyngis-CHANÓW.

Tom roześmiał się cicho. Upojony niespodziewanym triumfem, niemal zapomniał o dziwnym bólu stawów.

– Zabłądziłeś?

Tom drgnął gwałtownie, niczym przeszyty prądem, obrócił się na pięcie i zobaczył znajome bursztynowe oczy.

– Heather.

Uśmiechnęła się i oparła o ścianę korytarza, poprawiając od niechcienia rozpuszczone włosy.

– Wiesz, że to terytorium Machiavellich, prawda?

Tom skrzywił się mimowolnie, gdy ktoś ponownie załomotał z wściekłością w drzwi.

– Nie możecie udzielić mi schronienia? Ścigają mnie.

– Kto cię ściga?

– Banda Dżyngis-CHANÓW. Wielkich, rozjuszonych Dżyngis-CHANÓW.

– A co im zrobiłeś, Tom?

– Nic. Przysięgam. Prawie nie znam tego Karla Mastersa. Rzucił się na mnie, bo mam na pieńku z Elliotem.

– Och, oczywiście. – Heather oderwała się od ściany, wzięła Toma pod ramię i zaprowadziła go do salonu z krzesłami ustawionymi w kręgu.

– To dlatego, że Elliot jest Napoleonem. Oddziały Napoleona i Dżyngis-CHANA są sprzymierzeńcami. Powinieneś być pójsć do Hannibali, oni trzymają z Aleksandrą. Ochroniliby cię.

– Nie wiedziałem, że bawicie się w politykę. Myślałem, że tutaj wszyscy zajmują się wyłącznie wojną.

Heather dźgnęła go palcem w ramię.

– Tom, polityka to także wojna, choć toczy się ją za pomocą innych środków.

– A co z Machiavellimi? Z kim jesteście sprzymierzeni?

– Machiavelli nie zawierają trwałych układów. Jesteśmy wolnymi strzelcami.

– Tak, wolność to najlepszy wybór. Jestem całym sercem za wolnością.

Całym sercem był też za tym, by ręce Heather nadal lgnęły do niego tak jak w tej chwili. Podprowadziła go do krzesła.

– Cóż, wolność ma też swoje wady. Jestem jedynym Machiavellim

w Kompanii Camelotu, bo sprzymierzeńcy zwykle trzymają ze sobą, gdy przedstawiają potencjalnych wojowników swoim sponsorom. Właściwie dlatego znajduję się teraz na poziomie kadetów. Tutaj spotyka się najwięcej ludzi, a nasz oddział stara się wprowadzić drugiego Machiavellego do KomCa. Mamy nadzieję, że pomoże nam w tym ktoś z innego oddziału.

Tom uniósł brwi, zaciekawiony.

– Którego Machiavellego?

Heather również uniosła brwi i wskazała głową kogoś za nim.

– Nigela.

Tom odwrócił się i zobaczył w korytarzu chuderlawego chłopca o delikatnej, dziewczęcej urodzie, czarnych włosach i twarzy, którą raz po raz wykrzywił jakiś nerwowy tik.

**Imię i nazwisko: Nigel Harrison**

**Stopień: kadet USIF, V stopień,  
zaawansowany**

**Oddział: Oddział Machiavellego,  
Kwatera Lee**

**Pochodzenie: Cambridge, Anglia**

**Osiągnięcia: zwycięzca międzynarodowej  
olimpiady lingwistycznej,  
członek Brytyjskiego**

**Towarzystwa Językoznawstwa  
Komputerowego**

**Status: w zawieszeniu**

**IP: 2087:db7:lj71::262:113:6e8**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 5**

– Pewnie słyszałeś naszą rozmowę – zwróciła się do niego Heather. – Wiesz już o kłopotach Toma, prawda?

– Tak. To ludzie z Oddziału Dżyngis-chana chcą się tu dostać, prawda? – Nigel mówił z charakterystycznym brytyjskim akcentem, który Tom słyszał czasem w wiadomościach ze świata. Wszystko w Nigelu wydawało się gładkie, począwszy od jego nażelowanych włosów po wyjątkowo lekki, bezszelestny chód. Jedynym wyjątkiem była twarz – nieustannie coś w niej drgało, jakby Nigel nie do końca nad nią panował.

– Tak. – Tom starał się nie gapić na chłopca. – Przepraszam za to zamieszanie.

– Nie szkodzi – odparł Nigel i spojrzał na Heather.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie, jakby łączyła ich jakaś telepatyczna więź.

– Tom – odezwała się wreszcie Heather. – Mógłbyś poczekać w którymś z pokoi, a ja i Nigel dokończylibyśmy naszą rozmowę? Zaraz do ciebie przyjdę i wymyślimy razem, jak cię stąd wydostać. Oczywiście, jeśli trzeba będzie trochę poczekać, mogę dotrzymać ci towarzysztwa – dodała dziewczyna, puszczając do niego oko.

„Dobry Boże...”. Tom stracił na moment dech w piersiach. Ten jej uśmiech naprawdę mógł rozsadzać skały.

– Tak, tak, poczekam.

Przeszedł do najbliższego pomieszczenia, zaczepiając po drodze ramieniem o futrynę.

Gdy znalazł się w środku, parsknął śmiechem. W obecności Heather nawet jego procesor neuronowy zaczynał szwankować.

Przysiadł na skraju łóżka i zamknął oczy, przeglądając w głowie plan Wieży i szukając jakiejś drogi ucieczki przed Dżyngis-chanami. Liczba poprzedzona skrótem CA, która migotała wciąż w jego umyśle, systematycznie malała; znów poczuł nieprzyjemne mrowienie w palcach...

Drzwi pokoju otworzyły się cicho. Potem rozległy się czyjeś ciężkie kroki.

Za ciężkie na Nigela lub Heather.

Tom unióśł szybko powieki, przejęty grozą.

Ujrzał nad sobą Karla Mastersa, posiniaczonego i zakrwawionego. Pięść Dżyngis-chana opadła prosto na twarz Toma.

\* \* \*

Ocknął się, gdy Karl wciągał go do korytarza Machiavellich. Nigel i Heather przyglądali się temu od drzwi Kwatery Lee. Tom zakrzusił się krwią, która płynęła z jego nosa; próbował wyrwać się z uścisku Karla, lecz potężne ramię zaciśnięte na jego szyi nawet nie drgnęło.

– Dzięki, piękne dzięki – mówił Masters do Machiavellich.

– Uderzyłeś go? – spytała Heather. – Tego nie było w umowie.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Znam reguły: żadnego bicia chłopaka u Machiavellich. Przepraszam.

Tom znów próbował się wyrwać. Wszystko zrozumiał – Heather go sprzedała.

Nigel postąpił krok do przodu.

– Pamiętaj o oświadczeniu. Podpisałeś je pod przysięgą. Musisz dotrzymać

słowa.

– Wiem, wiem. Dotrzymam. Daliście mi chłopaka, więc przy następnym otwarciu KomCa zabiorę cię na spotkanie z dyrektorami Montando. Być może zgodzą się ciebie sponsorować.

Heather uśmiechnęła się promiennie do Toma, jakby uważała, że zdoła go oczarować nawet teraz, gdy z powodu jej zdrady trafił w ręce wielkiego sadystycznego Dżyngis-chana.

– Wybacz, Tom, musisz zrozumieć: potrzebujemy więcej Machiavellich w Kompanii Camelotu. To kwestia dumy naszego oddziału.

Tom ponownie spróbował się wyrwać z uścisku Karla, lecz ten nie bez powodu był utytułowanym zapaśnikiem. Wykręcił mu obie

ręce do tyłu, objął je swą wielką dłonią i wygiął tak, że chłopiec musiał się mocno pochylić, by kości nie wyskoczyły mu ze stawów.

Karl wplótł wolną rękę w krótkie włosy Toma, przygiął jego głowę do ziemi i prowadził przed sobą w ten upokarzający sposób.

– Bardzo dobrze. Dalej, Lassie.

Chcąc nie chcąc, Tom wszedł z Karlem do świetlicy, gdzie zebrał się już tłum Dżyngis-chanów. Zobaczył, że drzwi Oddziału Aleksandra są zablokowane sofami, by nikt nie mógł przyjść mu z pomocą.

Wyglądało na to, że ma naprawdę poważne kłopoty.

Karl przemówił donośnym głosem:

– Panie i panowie, czasami trafiają się kadeci, których trzeba nauczyć pokory.

To mówiąc, Masters wygiął Tomowi ręce jeszcze mocniej, jakby chciał je połamać. Chłopiec był zmuszony znowu się pochylić.

– Chciałbyś nas przeprosić, kundelku? – Karl szarpnął głową Toma, co wyglądało tak, jakby ten skinął potakująco. – Na pewno. Zrób to głośno i wyraźnie, żeby wszyscy cię słyszeli.

– Nie – odparł Tom przez zaciśnięte zęby.

– To nie jest zbyt miłe, co? – Wielka dłoń Dżyngis-chana szarpała głowę Toma na wszystkie strony. – Nie podoba ci się to, prawda? Chcesz, żebym przestał? To zaszczekaj dla nas, Azorku, no już, szczekaj.

Tom nie mógł stłumić jęku bólu, gdy Karl podniósł mu ręce jeszcze wyżej. Ale nie miał zamiaru szczekać. Bez względu na to,

jak bardzo miałyby cierpieć. Wolałyby raczej wyrwać sobie wnętrzności, niż zrobić to, czego żądał od niego Masters.

– Zrób to albo wyrwę ci ręce ze stawów, Burku!

– Więc wyrwij! Zrób to, bo nie będę szczekał!

– Myślisz, że blefuję? No to zaraz ci pokażę!

Tom wrzasnął przeraźliwie, gdy Masters wygiął mu ręce jeszcze bardziej. W tym samym momencie sala wypełniła się dziwnymi dźwiękami, jakby ktoś wpuścił do niej stado gdaczących kur. Tom podniósł wzrok najwyżej, jak mógł, i przekonał się, że nie widzi już ani jednego Dżyngis-chana. Usłyszał zdumiony okrzyk Karla:

– Co to ma...

Potem Karl go puścił, cofnął się o krok i uklęknął na ziemi.

– Ko-ko-ko – zagdakał.

Tom odsunął się od niego.

– Co?

– Ko-ko – powtórzył Karl, po czym zaczął dziobać dywan nosem. – Kod-ko-da.

Tom potarł obolałe ramiona, zastanawiając się, czy padł ofiarą halucynacji.

– Poszło całkiem nieźle.

Chłopiec drgnął, zaskoczony, obrócił się na pięcie i ujrzał Wyatt Enslow, która stała w drzwiach Oddziału Hannibala z przenośną klawiaturą umocowaną na nadgarstku.

– Co się dzieje? – spytał Tom. – Gdzie pozostali?

Wyatt podeszła bliżej i stanęła obok niego.

– Są kurami.

I rzeczywiście, kiedy Tom przeszedł za sofę, zobaczył, że inni członkowie Oddziału Dżyngis-chana również dziobią dywan jak Karl.

– Opracowałam to na podstawie programu Ryzermana – wyjaśniła Wyatt. – Wcześniej nie miałam okazji wypróbować.

Tom odwrócił się i spojrzał na nią zupełnie inaczej niż dotąd.

– Wyatt, wyciągnęłaś mnie z naprawdę poważnych tarapatów.

– Yuri zawiadomił mnie, że potrzebujesz pomocy, a on nie może się wydostać z Oddziału Aleksandra.

– Ale kto powiedział Yuriemu... – zaczął Tom, po czym domyślił się prawdy.

Szybko odwrócił głowę i dostrzegł Heather, która stała w drzwiach Oddziału Machiavellego, opierała się o futrynę, i uśmiechała się triumfalnie niczym bogini o ciemnych rozpuszczonych włosach spływających lśniąca falą po jej ramionach.

– Tom, naprawdę myślałeś, że pozwolę im cię pobić?

– A co z umową z Karlem?

– Nadal jest ważna. Podpisał oświadczenie – tutaj, w Wieży, to wiążący

dokument. Zgodziłam się, żeby zabrał cię od nas, a on zgodził się pomóc nam we wprowadzeniu Nigela do Kompanii Camelotu. – Heather uśmiechnęła się szelmowsko. Ale w umowie nie było ani słowa o tym, czy mogę wezwać kogoś na pomoc.

## Rozdział 12

# KOŚCI

Pół godziny po wyjściu z Oddziału Aleksandra Tom dotarł w końcu do ambulatorium. Powiedział porucznikowi Changowi o sygnale „CA 7,3”, który wyświetlał się w jego głowie. Pielęgniarz otworzył szeroko oczy, wyraźnie zaniepokojony.

– Co? – spytał Tom z przestraszeniem. – Co się dzieje?

– Nic, nic takiego – odparł pośpiesznie Chang i wezwał doktora Gonzalesa. – Obejrzymy dokładniej te ramiona.

Stawy bolały Toma, nim Karl zechciał mu łaskawie nadwerężyć parę więzadeł. Chang podał chłopcu morfinę, która w znacznym stopniu uśmierzyła ból, a kilka minut później Tom mógł już prawie zapomnieć o swoich zmartwieniach, gdy drzemał w stożkowej maszynie, która „badała gęstość kości”.

Potem przy jego łóżku stanęła Olivia Mastenson.

– Jak się czujesz, Tom? – spytała.

Chłopiec spojrział na nią ze zdumieniem, bo była przecież niedziela, a nie przypuszczał, by pracowała również w weekendy.

Procesor neuronowy wyświetlił w jego głowie krótką informację:

**Imię i nazwisko: Olivia Mastenson**

**Stanowisko: pracownik socjalny**

**Klucz tajności: tajne, poziom 3**

Nie rozmawiał z Olivią, odkąd przybył do Wieży, ale słyszał o niej od innych elewów. Powiedziała mu, że pracuje w Pentagonie, by służyć pomocą dzieciakom, wspierać je moralnie i tak dalej, ale Tom już się przekonał, że nikt do niej nie chodzi. Elewowie traktowali ją raczej jako przedmiot żartów, drwili sobie z ludzi, którzy zachowywali się jak mięczaki, mówiąc: „Och, skoro ci się tu nie podoba, to może pójdziesz się wypłakać do pracownika socjalnego, kadecie?”.

Dlatego Tom czuł się nieco zakłopotany, gdy Olivia stanęła przy jego łóżku

i przyglądała mu się z troską. Miał nadzieję, że żaden z elewów nie zobaczy go w tej sytuacji i nie pomyśli, że sam się do niej zgłosił.

– Świetnie. Sprawdzają mi gęstość kości czy coś takiego, ale to żaden problem.

Olivia przyjrzała mu się uważniej, jakby nie do końca wierzyła w jego słowa.

– Doktor Gonzales powiedział, że masz naderwane więzadła. Co się stało?

– Ach tak, potknąłem się i przewróciłem.

– Procesor neuronowy powinien pomóc ci zachować równowagę.

– Tym razem nie pomógł.

Miał nadzieję, że w ten sposób zakończy rozmowę, ale Olivia nie zamierzała dać mu spokoju.

– Jak ci się układa w Wieży?

Tom nie od razu odpowiedział. Wieża była wspaniała. Choć czasami również okropna. Zawarł pierwsze przyjaźnie. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu znalazł sobie też śmiertelnego wroga. Co rano budził się w przekonaniu, że za chwilę usłyszy chrapanie Neila, a jego twarz znów będzie pokryta szpecącym trądzikiem.

Kiedy spojrzął ponownie na Olivie, zrobiło mu się trochę wstyd, że tak ją odtrąca, podczas gdy ona naprawdę starała mu się pomóc.

– Pani Mastenson, naprawdę nie ma powodu do obaw. Wszystko jest w porządku.

– Nie, nie jest – zaprzeczył ktoś nagle.

Do pokoju wszedł doktor Gonzales z wynikami badań.

**Imię i nazwisko: Alberto Gonzales**

**Stopień: porucznik, lekarz  
medycyny**

**Oddział/formacja: USAF 0-3, czynna służba**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 6**

Tekst zniknął z umysłu Toma, gdy doktor Gonzales poinformował go rzeczowym tonem:

– Masz nadwerężone stawy i zbyt małą gęstość kości. Poziom wapnia w surowicy jest za niski, dlatego pewnie czujesz mrowienie w palcach. Ten gwałtowny wzrost nadmiernie obciąża twój organizm.

Tom zmartwiał.

– Mówiłem już, że upadłem. Stąd ten ból.

Doktor Gonzales pokręcił głową.



– Uraz to tylko konsekwencja przeciążenia organizmu, przyczyna, a nie skutek. Nie masz po prostu dość budulca, który umożliwiłby tak szybki rozrost kości. Będę musiał dostać się do twojego procesora neuronowego i zatrzymać proces wzrostu.

– Ale potem będzie pan mógł go wznowić? Kiedy będę miał więcej... eee... budulca?

– To nie miałyby sensu. Gdy tylko organizm przestanie wytwarzać hormon wzrostu, twoje chrząstki nasadowe skostnieją. Ponowne uruchomienie tego procesu doprowadziłoby jedynie do akromegalii.

Procesor neuronowy Toma natychmiast wyjaśnił mu ten termin.

– Mówi pan o gigantyzmie? Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie byłbyś wyższy. Miałbyś nienaturalnie duże dłonie i stopy.

Tom zrozumiał, że ten facet po prostu nie zamierza pozwolić mu dłużej rosnąć.

– Chwileczkę, chwileczkę. Nie może pan poczekać jeszcze kilku dni?

– Nie mogę czekać nawet godziny – odparł doktor Gonzales, odwracając się do komputera. – Powinieneś być tutaj przyjsć, gdy tylko pojawił się ból. Twój organizm dysponuje ograniczoną ilością budulca. Próbowaliśmy wspierać ten proces suplementami, ale nie da się w ciągu kilku tygodni nadrobić czternastu lat kiepskiego

odżywiania. Sądząc po stanie twoich tętnic, przez całe życie żywiłeś się niezdrowym jedzeniem i nigdy nawet nie widziałeś warzyw.

– To nieprawda. – Tom niemal codziennie jadł przecież frytki.

– Włóż to – polecił doktor, wręczając mu kabel neuronowy.

Chłopiec nie podniósł jednak ręki.

– Nie możemy poczekać, aż urosną do metra osiemdziesięciu albo metra osiemdziesięciu pięciu?

Doktor Gonzales uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Oczywiście, a kiedy odwapnią ci się kości i w wieku trzydziestu pięciu lat dorobisz się osteoporozy, pozwiesz mnie do sądu za niewłaściwą opiekę lekarską.

Trzydzieści pięć lat? Tom nawet nie potrafił sobie wyobrazić, kiedy osiągnie taki wiek.

– Nie pozwę pana. Przysięgam. Podpiszę... – Jak nazywała się ta umowa Heather z Karlem? – ...oświadczenie, jeśli pan zechce.

Doktor Gonzales parsknął tylko, a potem obrócił głowę Toma i sam włożył wtyczkę do gniazdko.

– Ta decyzja nie należy do ciebie.

Tom opadł na łóżko. Czuł, jak niemoc ogarnia jego kończyny.

– Nie rozumiem. To moje ciało i moja osteoporoza. Nie jestem własnością wojska.

– Nie, ale jest nią procesor w twojej głowie, który steruje twoją przysadką mózgową.

Olivia ujęła dłoń chłopca.

– Kiedyś mu za to podziękujesz.

Tom z rozgoryczeniem słuchał, jak doktor Gonzales pisze coś na klawiaturze komputera, zatrzymując wytwarzanie hormonu wzrostu. Nie będzie mu za to wdzięczny. Nigdy. Już do końca życia będzie niski.

No, może już nie taki niski. Ale też nie taki, jak by chciał. A chciał być potężnym mężczyzną. Wielkim facetem, z którym Karl Masters nie odważyłby się zadzierać, który nie musiałby liczyć na pomoc Wyatt Enslow. Wysokim mężczyzną, który mógłby podrywać dziewczyny takie jak Heather.

Zamknął oczy, a w jego umyśle pojawiły się obrazy niedawnych wydarzeń. Karl Masters wykręcający mu ręce, jego szyderczy głos: „Zaszczekaj dla nas, Azorku, szczekaj”.

Był pewien, że mimo konfliktu z Elliotem nie znalazłby się na celowniku Mastersa, gdyby nie Ryzerman i ta historia z psem.

Ryzerman. Wszystko sprowadzało się do Ryzermana, który wygrał bitwę, choć nawet nie brał w niej udziału.

Tom zamierzał wygrać wojnę.

Musiał zostać na noc w ambulatorium, podłączył się więc do wirtualnej rzeczywistości i zaczął wyszukiwać gry, w których na liście najlepszych wyników na samej górze znajdował się wpis: „HAR JEST BOGIEM”. Wszedł do pierwszej z nich, a kiedy uzyskał najlepszy rezultat, wpisał hasło: „TOM JEST BOGIEM HARA”. Potem zrobił to samo w jeszcze kilku grach, nim w końcu dopadła go senność – zamykał oczy z poczuciem, że w końcu widzi światelko zwycięstwa w długim ciemnym tunelu.

## Rozdział 13

# RUTYNA

Przez kolejne dwa miesiące Tom doświadczał czegoś, czego przedtem nigdy nie było mu dane zaznać: rutyny.

Codziennie rano, z wyjątkiem weekendów, odbywała się odprawa śniadaniowa. Dwa razy w miesiącu kadeci Oddziału Aleksandra musieli wstawać godzinę wcześniej niż zwykle, ustawiać się przy drzwiach i co pięć minut wykrzykiwać aktualny czas. Wieczorami Tom pobijał rekordy Ryzermana i przesiadywał w towarzystwie Vika, Yuriego, Beamera, a czasami nawet Wyatt Enslow, jeśli Yuri ją zaprosił. Ładował też do procesora zadania domowe i przeglądał nagrania walk Meduzy.

Właściwie znał już na pamięć wszystkie ruchy ruso-chińskiego wojownika, ale to nie miało dla niego większego znaczenia. Wciąż układał się wygodnie na łóżku, wyszukiwał w procesorze odpowiedni plik i podziwiał poczynania Meduzy, jakby widział je pierwszy raz. Gdy nudził się na zajęciach, również sięgał do nagrań Meduzy. Kiedy Elliot wygłaszał długie przemówienia o nieciekawych rzeczach, oglądał Meduzę. Był pewien, że gdyby pomimo procesora mógł śnić, widziałby we śnie jego bitwy.

Życie stało się wygodnie przewidywalne. W poniedziałki, środy i piątki miał ćwiczenia fizyczne, po których następowały zajęcia z cywilnymi instruktorami, a popołudnia spędzał pod okiem Elliota Ramireza. Choć Elliot nigdy nie wystąpił otwarcie przeciw Tomowi, traktował go z wyczuwalnym chłodem.

Karl nie odważył się zaatakować Toma po tym, jak został upokorzony przez Wyatt Enslow. Pewnego dnia Alec i Emefa, dwoje Aleksandrów z Kompanii Camelotu, odciągnęli Toma na bok i zapewnili, że otoczą go ochroną, jeśli Masters znów spróbuje dobrać mu się do skóry.

– Ale staraj się nie wchodzić mu w drogę, jeśli to możliwe – powiedział Alec. Miał długie czarne włosy ściągnięte w kucyk i poważną twarz filozofa. – I bez tego musimy się naprawdę bardzo starać, żeby w KomCa nie dochodziło do ostrzejszych konfliktów.

**Imię i nazwisko:** Alec Tarsus  
**Sygnal wywoławczy:** Kondor  
**Stopień:** kadet USIF, VI stopień,  
**Kompania Camelotu**  
**Oddział:** Oddział Aleksandra,  
**Kwatera Marshalla**  
**Pochodzenie:** Nowy Orlean, USA  
**Osiągnięcia:** stypendysta Fundacji  
**Nadziei Status:** aktywny  
**IP:** 2087:db7:lj71::203:U3:6e8  
**Klauzula tajności:** ściśle tajne, poziom 6

Emefa Austerely, szczupła ciemnoskóra dziewczyna o wysokim dumnym czole, skinęła głową.

– I wierz mi, jeśli zaczniesz sprawiać za dużo kłopotów, będziesz miał do czynienia nie tylko z Dżyngis-chanami.

**Imię i nazwisko:** Emefa Austerely  
**Sygnal wywoławczy:** Polaris  
**Stopień:** kadet USIF, VI stopień,  
**Kompania Camelotu**  
**Oddział:** Oddział Aleksandra,  
**Kwatera Greene'a**  
**Pochodzenie:** Houston, USA  
**Osiągnięcia:** laureatka nagrody dla  
nastoletnich działaczy  
na rzecz światowego  
pokoju, zdobywczyni  
tytułu Najbardziej  
Wartościowego Gracza  
w koszykówce, zawodniczka  
drużyny piłki nożnej  
przyszłych olimpijczyków  
**Status:** aktywny  
**IP:** 2087:db7:lj71::206:113:6e8  
**Klauzula tajności:** ściśle tajne,  
poziom 6

– Rozumiem. – Tom skinął głową.

Dobrze wiedział, co chcą mu przekazać: „Nie pozwolimy, żeby cię pobili, ale nie utrudniaj nam życia”.

I starał się nie utrudniać, naprawdę.

Opanował się nawet wtedy, gdy Masters, przechodząc obok niego, szczerknął głośno. Vik odplącił mu jednak pięknym za nadobne, gdakając głośno jak kura. Tom parsknął śmiechem i odciągnął przyjaciela na bok.

– Jeszcze powiedzą, że go prowokujesz.

– I cóż z tego? To tobie nie wolno go prowokować, ja mogę.

Wyatt dostała się do nagrań z kamer ochrony Wieży i zmontowała krótki klip przedstawiający dziobiących Dżyngis-CHANÓW. Pokazywała go w Oddziałach Aleksandra i Hannibala. Jakimś cudem film rozszedł się po całej Wieży. Któregoś wtorku Ryzerman pokazał go nawet na zajęciach.

– To dobry program – przyznał. Kiedy w ławkach zajmowanych przez Dżyngis-CHANÓW rozległ się gniewny pomruk, porucznik zmierzył ich lodowatym spojrzeniem. – O co chodzi? Kwestionujecie dobór materiałów, które przygotowuję na zajęcia?

Cisza.

Ryzerman zwrócił się ponownie do pozostałych elewów.

– Jak już mówiłem, niektórzy z was radzą sobie z tym całkiem nieźle. Przejdźmy więc na następny poziom. Będziemy programowali ataki dostosowane do jednostkowych celów. Jacyś ochotnicy?

Tom nie miał pojęcia, dlaczego Ryzerman zadaje czasem to pytanie. Nikt nie zgłaszał się na ochotnika na jego zajęciach. Nigdy.

Nikt nie chciał poddawać się dobrowolnie temu, co przygotował dla nich porucznik.

Tom był przekonany, że taka sytuacja odpowiadała też Ryzermanowi, bo na jego ustach pojawił się złośliwy uśmieszek. Podniósł lewą rękę, wypisał na klawiaturze komendę, która uruchomiła program losujący, i w ten sposób wybrał nazwisko swojej ofiary.

– Panie Raines – powiedział głośno, szukając wzrokiem Toma. – Zapraszam do mnie.

Tom jęknął w duchu i powlókł się na przód sali. Ryzerman znów coś wystukał na przenośnej klawiaturze i wskazał na ekran komputera.

– Skup się na tym obrazie – polecił.

Tom próbował wpatrywać się w ekran, choć nie było to łatwe. Ryzerman

przygotował urządzenie, które wyglądało jak olbrzymie skierowane w dół szpony. Urządzenie zawisło nad Tomem niczym ręka gotowa urwać mu głowę. Ryzerman nacisnął jakiś guzik, a z wielkich palców wystrzeliły wąskie promienie niebieskiego światła skierowane na skronie chłopca.

– Patrz na ekran, Raines.

Tom wbił spojrzenie w drżącą linię na monitorze. Przypominała mu węża albo pająka. Ogarnął go nagle lęk podsycany stukiem klawiszy, w które uderzał Ryzerman, nie odrywał jednak wzroku od linii. W jego głowie pojawiło się wspomnienie z dzieciństwa – Neil spędzał tamten weekend w szpitalu, a Tom musiał zatrzymać się w domu swojego kumpla Eddiego. Otworzył szafkę i znalazł tam kilka skorpionów. Eddie zaczął krzyczeć, ale Tom roześmiał się i rozdeptał...

– Świetnie – powiedział głośno Ryzerman.

Tom drgnął, wyrwany raptownie ze wspomnień.

Ryzerman pokazał mu, by odwrócił się do klasy.

– Nazywamy to analizatorem pamięci. Mamy nadzieję, że uda się nam zastosować podobną technologię w walce. Wykorzystuje indeksowanie, standardowy proces stosowany we wszystkich procesorach neuronowych, gdzie przechowywane są wasze wspomnienia.

Ryzerman zamilkł i znów napisał coś na klawiaturze.

Tom ponownie spojrzął na ekran i linię, która nagle zaczęła przypominać mu skorpiona. Wrócił pamięcią do chwili, gdy otworzył tę szafkę, z której wyszły skorpiony. Zaczęły wspinać się na jego spodnie, kąsać go po nogach. Krzyczał przeraźliwie z bólu, a potem trafił do szpitala; pamiętał zapach środków antyseptycznych i ból, jad, który palił go żywym ogniem w łydki...

Głos Ryzermana przywołał go do rzeczywistości.

– Wyciągnij rękę, Raines – rozkazał porucznik.

Tom spojrzął na niego podejrzliwie.

– Dlaczego?

– Zrób to.

Tom podniósł rękę.

– Dłonią do dołu.

Tom posłusznie obrócił dłoń, a Ryzerman położył coś na jego skórze.

Najpierw to poczuł, a dopiero potem zobaczył. Dotyk maleńkich spiczastych nóg, drobne kanciaste ciało. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, ogarniają go mdłości, a ręce i nogi zaczynają drżeć. Serce biło mu coraz szybciej i głośniejsze, miał wrażenie, że brakuje mu powietrza, że się dusi. Wbił spojrzenie

w skorpionia, który siedział na jego dłoni.

– Nie ruszaj się. – Ryzerman odsunął się, by lepiej go widzieć.

– C... co...

– Powiedziałem: nie ruszaj się. Stój nieruchomo, Raines.

Tom wciągał łapczywie powietrze, jego skóra pokryła się zimnym potem. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł. Wiedział, że skorpion ukąsi go jak wówczas, gdy wszystkie wybiegły z szafki, pamiętał dobrze ten krzyk, choć był wtedy jeszcze małym dzieckiem; czuł, jak wzbiera w nim strach. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, miał zawroty głowy. Nie mógł tego znieść. Wiedział, że zaraz zacznie krzyczeć. Straci panowanie nad sobą na oczach wszystkich elewów, zemdleje z przerażenia i znów stanie się pośmiewiskiem.

– Może zechce pan powiedzieć swoim kolegom, jak się pan czuje, panie Raines?

Tom spojrzął na Ryzermana, ogarnięty wściekłością. Wiedział już, o co chodzi. Ryzerman chciał go upokorzyć. Chciał, by wyszedł na żalostnego tchórzliwego słabeusza w oczach Karła, Heather, Elliota i wszystkich swoich przyjaciół.

Tom wolałby raczej wydlubać sobie oczy, niż do tego dopuścić.

Chwycił więc skorpionia prawą ręką, ścisnął go najmocniej jak potrafił, a potem podniósł i odgryzł mu głowę. Usta chłopca wypełnił gorzki smak triumfu. Wypluł głowę zwierzęcia i uświadomił sobie ze zdumieniem, że nie został ukąszony.

Ryzerman wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Co to miało być? – spytał w końcu. – Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że gdyby to był prawdziwy skorpion, a nie baton, któremu twój procesor neuronowy nadał jego kształt, to miałbyś spore kłopoty?

Tom spojrzął na pozbawione głowy truchło, które trzymał w ręce, i uświadomił sobie, że istotnie jest to kawałek szarawej bezkształtnej masy. Baton energetyczny. Ugryzł kawałek.

– Co się z tobą dzieje? Kto tak postępuje? – nie mógł się nadziwić Ryzerman.

– Nie przemyślałem tego – przyznał Tom.

– Tak, to świadczy tylko o tym, że jesteś szaleńcem albo skończonym głupcem. – Ryzerman postukał w klawiaturę, a przed oczami Toma przemknęło kilka linijek kodu. – Wracaj na swoje miejsce, kadecie.

Tom usiadł w ławce, drżący i zlany potem. Znów myślał o skorpionach, przypominał sobie, jak wybiegły z szafki. W tamten weekend to Tom trafił do szpitala, nie ojciec. Ryzerman zmienił jego wspomnienia.

Tymczasem porucznik zwrócił się do elewów zebranych w sali.

– Teraz pokażę wam wspomnienie uaktywnione przez analizator pamięci w chwili, gdy poddałem jego działaniu pana Rainesa, a potem zmodyfikowaną wersję, którą wprowadziłem do jego procesora neuronowego za pomocą języka programowania Klondike. Miałem nadzieję, że pokażę wam praktyczne zastosowanie analizatora, ale przypuszczam, że będzie to raczej wgląd w sposób działania chorego umysłu.

Tom rozsiadł się wygodniej w ławce, ignorując śmiech, który przebiegł po sali.

Ryżerman pokazał im obie wersje sytuacji z szafką widziane oczami Toma, a potem wyjaśnił, jak wygląda proces tworzenia fobii.

– Wyobraźcie sobie, jak można by wykorzystać tę technologię. Co stałoby się, gdybyśmy zdołali przekonać ruso-chińskich wojowników, że boją się maszyn, którymi sterują. Albo... – Umilkł na moment i ponownie spojrzął w stronę Toma, choć tym razem nie patrzył na niego, lecz na Yuriego.

– Panie Ivanov, słyszy nas pan? Proszę sprawdzić jego status, panie Ashwan.

Vik dźgnął Yuriego w policzek. Rosjanin nawet nie mrugnął.

– Jest wyłączony.

Tom domyślił się przyczyn nagłej podejrzliwości Ryżermana; porucznik zauważył zapewne, że procesor neuronowy Yuriego przestał zniekształcać jego dane.

– Panie poruczniku? – odezwał się Beamer, podnosząc rękę. – Mieszkam z nim. Może mi pan zaufać. Jest nieprzytomny.

Ryżerman zmrużył oczy.

– Postawiłbyś na to swoją karierę, panie Beamer? Wiem, że to niezbyt wysoka stawka...

– Tak, panie poruczniku, postawiłbym – odrzekł Beamer z nietypową dla niego powagą i stanowczością.

Ryżerman przyglądał im się jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do wykładu.

– Jak już mówiłem, gdyby nie wyjątkowo głupie zachowanie pana Rainesa, obejrzelibyście jego paniczną reakcję na odpowiedni bodziec. Domyślcie się chyba, jak przydatny mógłby się okazać w realnej walce...

Tom zerknął na Yuriego, który wpatrywał się nieobecny wzrokiem w przestrzeń. Zauważył, że przygląda mu się także ktoś inny – Wyatt – i przez moment obserwował, jak dziewczyna patrzy na Rosjanina.

Nagle ogarnął go dziwny lęk, jakby na chwilę zajrzał za zasłonę przyszłości i dojrzał tam coś niepokojącego, potem jednak Wyatt odwróciła wzrok, a Tom odsunął od siebie złe myśli i wrócił do rzeczywistości.

\* \* \*



Major Cromwell na zajęciach z taktyki powiedziała im, że czasami najdotkliwszym ciosem dla wroga nie jest atak na cele o istotnej wartości, ale na te, które to jemu wydają się najcenniejsze. Tom przypomniał sobie tę mądrość później, gdy wymazywał kolejne rekordy Ryzermana. Porucznik wydawał się owładnięty dziwną obsesją, która kazała mu zwyciężać we wszystkich grach symulacyjnych dostępnych w Wieży. Tom uważał, że działa w słusznej sprawie, usuwając z pierwszych miejsc hasło „HAR” wszędzie tam, gdzie tylko mógł.

W bazie danych Wieży znajdowało się kilka tysięcy gier – a Ryzerman wpisał swoje imię we wszystkich – Tom wiedział więc, że może minąć sporo czasu, nim porucznik w ogóle zauważy jego dywersyjną działalność.

Zajmował się nią przez kilka tygodni, nim ktokolwiek zwrócił na to uwagę.

– Gdzie ty znikasz codziennie po kolacji? – spytał go kiedyś Vik.

Tom wyjaśnił, na czym polega jego plan usunięcia Ryzermana ze wszystkich list najlepszych wyników. Vik był tak rozbawiony tym pomysłem, że grał w swoje ulubione gry dopóty, dopóki sam także nie pobił Ryzermana.

– Tom, spójrz tylko.

Tom zobaczył, że jego przyjaciel umieścił na samej górze napis „TOM RAINES”.

– Dlaczego wpisałeś moje nazwisko? Nie chcesz, żeby wszyscy widzieli, że to ty go pokonałeś?

– Nie, posłuchaj, to będzie przezabawne. Namówimy parę osób, żeby pobijały jego rekordy i wpisywały twoje nazwisko. Ryzerman nie będzie nawet wiedział, skąd miałeś tyle czasu, żeby usunąć wszystkie jego zwycięstwa.

Tom natychmiast zrozumiał plan Vika. Już sobie wyobrażał, jaką minę będzie miał Ryzerman, gdy odkryje, że przepadły długie lata jego pracy, a to wszystko właśnie za sprawą Toma Rainesa.

– Vik, jesteś geniuszem. Szalonym hinduskim geniuszem.

– Jestem po prostu pomysłowy, Tom.

\* \* \*

Weekend Rodziców był wielkim wydarzeniem w Wieży Pentagonu. Wszyscy zbierali się w Sali La Fayette'a, gdzie pouczano ich – jak gdyby nie mogli sobie załadować tych zasad – jakie informacje mogą zdradzać swoim rodzicom, a jakich nie, i które części Wieży były dla nich dostępne, a do których nie mogli już wejść.

– Przez cały czas muszą nosić identyfikator i przebywać w waszym towarzystwie. Nie możecie ujawniać im nazwisk swoich kolegów, choćby nie

wiadomo, ile razy o to pytali. Po prostu nie odpowiadajcie. Jeśli uda im się jakoś przemyścić aparat, odbierzcie go. Jesteście odpowiedzialni za wszelkie akty sabotażu lub szpiegostwa, których dopuszczą się wasi rodzice podczas pobytu w Wieży. – Marsh nie wydawał się zadowolony, gdy elewowie zareagowali na tę uwagę śmiechem.

– Brak czujności doprowadził do zguby już niejeden kraj!

Tom słuchał generała jednym uchem, przeglądając jednocześnie profil, który pojawił się w jego głowie:

**Imię i nazwisko: Terry Marsh**

**Stopień: generał brygady**

**Oddział/formacja: USAF 0-7,**

**Status: aktywny, weteran**

**Klauzula tajności: ściśle tajne, poziom 11**

Choć słowa generała wzbudziły ogólną wesołość, Tomowi nie było do śmiechu. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby Neil spróbował wyrządzić jakiejś szkody w Wieży. Może nie dopuściłby się sabotażu czy szpiegostwa, ale mógłby umieścić w dobrze widocznym miejscu napis szkalujący Koalicję. Ojciec Toma nienawidził wszystkiego, co reprezentował ten budynek.

Po odprawie chłopiec natknął się w holu na Olivię, która poprosiła go o chwilę rozmowy.

– Tom, przygotowywałam listę rodziców, którzy mogą przyjechać tu z wizytą. Nie udało mi się skontaktować z twoim tatą i przekazać mu zaproszenia.

Tom wzruszył ramionami.

– Nic dziwnego. Ciągłe podróżuje. Nie ma telefonu, nie korzysta z wirtualnej rzeczywistości. Nigdy nie uda się go pani namierzyć.

– Nie wiesz przypadkiem...

– Tylko traci pani czas. Zresztą i tak by tu nie przyjechał.

Olivia zacisnęła usta, a Tom skorzystał z okazji i uciekł.

Przeżył więc szok, gdy leżąc samotnie w swoim pokoju w Weekend Rodziców, otrzymał komunikat: Zgłoś się do holu, rodzic czeka.

Tom zastygł w bezruchu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie ma mowy. Nie, nie, nie. Czyżby Neil dowiedział się jednak, gdzie go szukać? Przyjechał tu? Jak to możliwe?

Zgłoś się do holu, rodzic czeka – rozległo się ponownie w jego głowie.

Wciąż zszokowany, Tom zerwał się z łóżka, doprowadził włosy do stanu

względnej przyzwoitości, a potem ruszył w stronę wind. Neil naprawdę tu przyjechał?

Kiedy winda jechała już na dół, przyszło mu do głowy, że to nie musi być jego ojciec.

To może być jego matka.

Nie. Wykluczone. Ona nie robiła takich rzeczy. Odwiedził ją w tamtym tygodniu, gdy Neil siedział w więzieniu. Wpatrywała się w niego, zdumiona, jakby nie mogła uwierzyć, że urodziła takie brzydkie dziecko. Zamienili ze sobą może ze trzy słowa. Poza tym właściwie nie było jej w domu, a Tom zajmował się grami, korzystając z zestawu, jaki mu kupiła. Potem pojawił się jej chłopak Roderick i zmienił ten kilkudniowy pobyt w koszmar.

Tom czuł się tak, jakby trafił do jakiegoś dziwnego snu, gdy wyszedł z windy i przepychał się przez tłum rodziców. Yuri rozmawiał ze swym wielkim łysiejącym ojcem, Vik stał w otoczeniu licznej rodziny, Beamerowi towarzyszyli rodzice i pyskata rudowłosa siostrzyczka.

– Pokaż nam broń, Stephen!

– To zabronione, Crissy, już ci mówiłem.

Dostrzegł nawet Wyatt w rogu sali. Jej ojciec, ubrany w sweter, mówił coś do niej cicho, a wyprostowana jak struna matka siedziała sztywno na skraju krzesła i rozglądała się niepewnie po sali. Tom domyślił się, że to właśnie po niej Wyatt odziedziczyła wiele cech charakteru, w tym brak pewności siebie i nieśmiałość.

W końcu przecisnął się przez tłum i stanął pod złotym orłem. Zobaczył swojego gościa i nagle wszystko stało się jasne.

Oczywiście.

Tom uśmiechnął się pogardliwie, zniesmaczony własną naiwnością. Czego właściwie się spodziewał?

– Co tu robisz, Roderick?

– Cześć, stary, jak leci?

Roderick jak zawsze miał nażelowane włosy, elegancki garnitur i lizusowski uśmiech na twarzy. Zmierzył Toma taksującym spojrzeniem. Chłopiec żałował, że nie dorósł do metra osiemdziesięciu, bo wtedy ten okropny facet już nigdy nie mógłby patrzeć na niego z góry.

Nie ruszył się z miejsca. Zacisnął dłonie w pięści i przygryzł wargę. Był naprawdę ciężkim idiotą, skoro pozwolił sobie myśleć, że to może być któryś z jego rodziców.

– Powiedz tylko, czego chcesz.

Roderick zmrużył oczy, porzucając wszelkie pozory grzeczności.

– Nie mów do mnie tym tonem, śmieciu.

Proszę bardzo. Prawdziwy Roderick.

Po chwili mężczyzna westchnął i odwrócił wzrok.

– Przyszedłem tutaj z partnerem biznesowym. Moim emerytowanym współpracownikiem. Jego syn jest w Wieży.

Nazywa się Karl Masters.

Tom parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Partner biznesowy Rodericka i Karl wydawali się po prostu idealnie dobraną parą.

– Wybierał się w odwiedziny do Karla, więc pomyślałem, że też wpadnę i zobaczę, co u ciebie słychać. O mało nie spadłem z krzesła, kiedy się dowiedziałem, że tu jesteś. Nie sądziłem, że kiedykolwiek uda ci się coś osiągnąć.

– Wiem, o co ci chodzi – odrzekł beznamytnie Tom. – Jeśli myślisz, że pomogę ci dostać się do Wieży, to się grubo mylisz. – Odwrócił się, gotów wrócić do swojego pokoju.

– Ach, ach...

Roderick chwycił go za ramię. Tom odtrącił jego rękę i obrócił się w miejscu.

– O co chodzi?

Mężczyzna zniżył głos do szeptu.

– Posłuchaj, dzieciaku. Chyba nie rozumiesz mechanizmów rządzących tym miejscem. Jak myślisz, kto ma szansę dostać się do tutejszej elity? Dołączyć do Kompanii Camelotu?

Tom przyjrzał mu się uważniej, ciekaw, czy Roderick wie coś, o czym on nie miał pojęcia.

– Potrzebujesz sponsorów. Korporacji, które będą cię wspierać. Jak myślisz, dlaczego w zeszłym tygodniu utracono kandydaturę Nigela Harrisona?

– Wiesz o tym?

Tożsamość elewów była utajniona podobnie jak proces naboru do Kompanii Camelotu. Roderick nie powinien był wiedzieć o tym, że Nigel został zgłoszony jako kandydat na członka Kompanii, a potem odtrącony, bo nie mógł znaleźć w Koalicji sponsora, który wspierałby jego kandydaturę.

Roderick wyprostował się dumnie i strzepał niewidzialny pyłek ze swojego drogiego garnituru.

– To oczywiste, że wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje. Pracuję dla Montando, a ona w znacznej mierze wspiera działania wojenne Indo-Ameryki. Mógłbym wymienić co najmniej pół tuzina członków Kompanii Camelotu,

z którymi się kontaktujemy. Sponsorujemy Karla i wyznaczamy go do konkretnych starć i zadań jako naszego wojownika; dostarczamy mu maszyny wojenne.

Tym razem, gdy Roderick nachylił się do Toma, ten nie próbował się odsuwać.

– Przedtem byłeś bezużyteczny, ale tutaj mógłbyś mi się przydać. Na dłuższą metę obaj moglibyśmy skorzystać na tej znajomości. Jeśli Montando będzie cię sponsorować, to w końcu trafisz do KomCa.

– A co ty będziesz z tego miał?

– Za rok albo dwa lata, gdy znajdziesz się w KomCa, będziemy mieli kolejny sygnał wywoławczy związany z Montando. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę, ale Elliot Ramirez nie jest jedynym chodzącym znakiem towarowym z Wieży. Ludzie chcą

wiedzieć jak najwięcej o pozostałych wojownikach. Enigma, Matador, Ognista Burza, Szpila – wszyscy mają swoje fankluby, blogi poświęcone ich działaniom. To cały rynek. Pewnego dnia korzyści wynikające z ujawnienia waszych nazwisk przewyższą koszty, staniecie się prawdziwymi gwiazdami. Skorzystają na tym też wasi sponsorzy. Kiedyś mógłbyś reprezentować Montando, Tom. Dobrze, że pozbyłeś się tego paskudztwa z twarzy. W sumie niebrzydki z ciebie dzieciak. Odziedziczyłeś urodę po matce, to dobrze. Przynajmniej nie krzywisz się ciągle jak ta pokraka Nigel.

Tom pomyślał o Nigelu i jego nerwowym tiku, a potem spojrzał z odrazą na Rodericka. Wiedział, że gdyby kiedykolwiek pomógł temu człowiekowi, zdradziłby swojego ojca. I siebie. Siebie. Miał ochotę roześmiać mu się w twarz. Nie mógł jednak potraktować Rodericka jak całkowitego zera. Nie miał prawa tego zrobić, jeśli chciał zająć wyżej.

Nie mógł go upokorzyć, jeśli chciał dołączyć kiedyś do Kompanii Camelotu.

– No dobrze, ale zanim dostanę się do KomCa, minie jeszcze sporo czasu – powiedział głośno. – Nie sięgam myślami tak daleko.

– To zacznij. – Roderick postukał palcem w skroń. – Pokaż światu, że jesteś mądrzejszy niż twój stary.

Tom wbił pięści w kieszenie, zacisnął zęby i się odwrócił.

– Pomyśl o tym! – zawołał za nim Roderick.

Tom z największym trudem poruszał nogami, zmuszał je, by oddalały go od tego faceta. Dziękował losowi, że Roderick nie

zawołał go ponownie, by znów powiedzieć coś złego o jego ojcu, bo gdyby to zrobił...

Cóż, prawdopodobnie nie miałby najmniejszych szans na dołączenie

do KomCa, gdyby uderzył w twarz jednego z dyrektorów Montando.

## Rozdział 14

# MEDUZA W ZBROI

W piątek podczas symulacji stosowanych Elliot zadał im ćwiczenie medytacyjne, w czasie którego wyobrażali sobie białe światło współdziałające z wszystkimi ich „czakrami”. Potem kazał im usiąść w kółku.

– Do tej pory skupialiśmy się na działaniach zaczepnych. Głodne wilki atakowały łosia. Grecy bogowie napadali na bogów nordyckich. Terminatorzy polowali na Predatorów. Dziś będziemy ćwiczyli zespołową obronę. Chcę, żebyście przygotowali się do odparcia ataku.

Po chwili znaleźli się w symulacji. Tom stał na potężnych murach obronnych jakiegoś miasta, uzbrojony w miecz i tarczę. Strumień informacji w jego procesorze neuronowym przedstawił mu pokrótce sytuację: znajdował się w starożytnej Troi obleganej przez olbrzymią grecką armię, która rozłożyła się na piaszczystej równinie wokół miasta.

Tom od razu pomyślał o tym, żeby zejść z murów i zaatakować Greków, lecz Elliot znał go już na tyle dobrze, że przewidział taki scenariusz.

– Nie, Tom. – Ramirez pokręcił głową. – Dziś ćwiczymy obronę.

Tom spojrzał ponownie na grecką armię – morze błyszczących hełmów, lśniących mieczy, brzęczących zbroi, żołnierzy trzymających się w bezpiecznej odległości od murów.

– Ale oni nas nie atakują. Jak mamy ćwiczyć obronę, skoro nikt na nas nie napada?

Elliot tylko się uśmiechnął.

– Ta wojna trwała dziesięć lat. Trojanie nie wychodzili codziennie za mury, by walczyć z Grekami.

Tom skrzywił się z irytacją.

– Więc będziemy tu stać przez trzy godziny?

– Potraktuj to jako lekcję cierpliwości. Przyda ci się. Możesz ćwiczyć się w tej trudnej sztuce jako zwykły wartownik albo jako... Helena Trojańska.

Tom zrozumiał pogrózkę. Uważał, że trafiła mu się nieciekawa postać, ale jeśli zdenerwuje Ramireza, dostanie jeszcze gorszą.

Elliot przydzielił sobie rolę Hektora, księcia, który mógł poruszać się swobodnie po całej Troi. Imogene Malley z Oddziału Dżyngis-chana była Parysem, a Wyatt Enslow Eneaszem. Znalazło się wśród nich nawet miejsce dla króla Priama, w którego wcielił się John Marconi, kadet z Oddziału Napoleona. Wszyscy mogli się swobodnie przemieszczać. A Tom?

Był tylko strażnikiem. Nie mógł opuścić murów.

Podobnie jak Beamer.

Tom doszedł do wniosku, że Elliot chciał w ten sposób zemścić się na nich za środową symulację. Byli wtedy ławicą piranii.

Beamer postanowił zwabić krokodyla pływającego w pobliżu. Machał energicznie ogonem w nadziei, że zostanie pożarty („Nigdy jeszcze nie zabił mnie krokodyl” – powiedział potem Tomowi). Tom zobaczył, jak krokodyl zjada Beamera, i zdecydował się ugryźć gada w oko. Zabrał się do tego jednak tak niefortunnie, że naprowadził drapieżnika prosto na Elliota. Nim Latynos zrozumiał, co się dzieje, wpadł w paszczę krokodyla.

Tom pocieszał się myślą, że zdołał wygryźć jedno oko potwora, nim sam został przez niego pożarty.

Beamer przyczłapał do Toma. Odgrywana przez niego postać ociekała potem, spalona bezlitosnym trojańskim słońcem.

– Boże, ale nudy – jęknął, rzucając ciężką tarczę z brązu, która upadła z głośnym brzękiem na kamienny mur. – Nie ma tu nawet nikogo, kto mógłby mnie zabić. Chcesz popełnić ze mną samobójstwo? Moglibyśmy nabić się nawzajem na miecze, co ty na to?

– Nie, dzięki. To zbyt sentymentalne, wiesz, jak Romeo i Julia. Poczekam, aż Elliot sobie stąd pójdzie, i zejdę powalczyć z Grekami. – Tom obejrzał się przez ramię, ale Elliot-Hektor ani na moment nie spuszczał z nich oka.

Tymczasem na dole, w szeregach greckiej armii, wszczął się ruch. Tom wychylił się, zaintrygowany, i obserwował, jak uzbrojeni mężczyźni zbierają się w większe grupy i układają jakieś worki pod murem. Trącił Beamera łokciem.

– Patrz, zbierają się pod miastem. Będą atakować.

– Jak? Nie wejdą przecież na te mury.

Tom sięgnął myślami do Iliady, którą załadowali niedawno do swoich procesorów.

– Boska interwencja?

Beamer zerknął obojętnie w dół, a potem wyciągnął miecz.

– Nie, moim zdaniem chcą sobie urządzić piknik w cieniu. Będę musiał sam ze sobą skończyć.



– Nie rób tego, nie! Jesteś jeszcze taki młody! – zawołał dramatycznie Tom.  
– Muszę. Powiedz mojej dziewczynie, że ją kochałem – odrzekł Beamer, odgrywając wspólnie z nim komedię. Podniósł miecz, który błysnął w słońcu. – Do zobaczenia w następnym życiu, Tom.

– Tak, na razie.

Beamer opuścił gwałtownie miecz i wbił go sobie w brzuch. Na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia, potem zrobił się śmiertelnie błydy, wytrzeszczył oczy i wydał z siebie przerażający krzyk.

Tom przyglądał mu się z irytacją. Śmierć w symulacjach wyglądała nieco inaczej niż na ćwiczeniach fizycznych; sprawiała ból, ale nie gorszy od dokuczliwej migreny, co miało ich nakłonić do utrzymywania się przy życiu. Nie był to jednak ból na tyle dotkliwy, by zniechęcić Beamera do umierania przy pierwszej nadarzającej się okazji. A już na pewno nie mógł go skłonić do takiej reakcji.

– Och, och, o Boże! – wrzeszczał Beamer. – O Boże! Jak to boli!

Tom parsknął śmiechem.

– Jasne... Drugi raz nie dam się nabrać na tę samą sztuczkę, Beamer.

– O Boże, Boże, to naprawdę boli! To boli, Tom!

– Nie uważasz, że trochę przesadzasz, stary?

Ale Beamer osunął się na ziemię, a z jego rany wypłynął strumień krwi.

– Tom, Tom, pomóż mi! Wyłącz to! To boli!

Uśmiech zniknął z twarzy Toma, gdy jego przyjaciel zaczął wić się na ziemi. Chłopiec poczuł dreszcz niepokoju, zrozumiał, że Beamer wcale nie udaje. Śmiertelna rana usuwała ofiarę z symulacji. Natychmiast. Nie powinien się rzucać i wyć z bólu. Powinien wyzdrowieć albo zniknąć.

– Beamer, hej, co się dzieje?

Tom ukląkł przy swoim przyjacielu i spojrzał na kałużę jasnoczerwonej krwi, która zbierała się pod jego ciałem. Beamer podniósł udręczone oczy na Toma i próbował coś powiedzieć. Wycharczał jednak tylko coś, co brzmiało jak prośba o pomoc, a potem zgiął się wpół i zakasłał krwią.

Tom klęczał nieruchomo, choć serce waliło mu jak oszałałe. Nie mógł się ruszyć, jakby jakaś niewidzialna siła przygniotła go do ziemi, zamieniła w lód. Usłyszał czyjeś kroki, potem dwie śniade ręce przytrzymały ciało Beamera.

– Co się stało? – zapytał Elliot.

Tom podniósł na niego oszołomiony wzrok.

– Nie wiem... nie wiemy...

– Beamer? – zawołał Elliot, przyciskając ramiona chłopca do ziemi. – Beamer?

Tom spojrzął na swoje zakrwawione ręce, a potem na Elliota, który wciąż pytał Beamera, co się dzieje, jakby to nie było oczywiste. Beamer nadal charczał, jęczał, wił się i rzucał po ziemi, próbując uciec od bólu i rąk, które trzymały go za ramiona.

W końcu Elliot podniósł dłoń w rękawicy i poruszył palcami zgodnie z ustalonym kodem, który kończył program. Zmarszczył brwi.

– Nie mogę wyłączyć symulacji.

Beamer krzyczał, a Tom wodził wzrokiem od Elliota do swojego przyjaciela. Ramirez wciąż poruszał palcami, Beamer wciąż krzyczał, a symulacja trwała.

Tom zrobił więc jedyną rzecz, która mogła usunąć Beamera z programu. Wyjął miecz i odciął mu głowę.

Elliot poderwał się z krzykiem na równe nogi i odsunął od fontanny krwi, która chlusnęła na kamienie.

– Wyłączyłem go – wydyszał Tom.

Elliot wpatrywał się w niego z rozdziawionymi ustami.

Wyraz jego twarzy i absurdalność całej sytuacji przejęły Toma grozą. Przypomnił sobie film, w którym ludzie umierali w grze wideo, a potem także w realnym życiu... Tak jak tutaj. Beamer umarł w zepsutej symulacji: a jeśli usterka była tak poważna, że umarł też w sali szkoleniowej?

– O Boże, on naprawdę cierpiał – jęknął Tom. – Chyba nie myślisz, że umarł też w realu, co?

– Nie – odpowiedział od razu Elliot.

– Zabiłem Beamera!

– Tom, programy czasami źle działają. Ludzie nie umierają w symulacjach.

Tom stał nieruchomo, wpatrywał się w pozbawione głowy ciało i wciąż myślał o tamtym filmie. Nie mógł przypomnieć sobie tytułu. Nie wiedział, dlaczego wydawało mu się to takie ważne, ale wciąż się nad tym zastanawiał. Drżał na całym ciele.

Elliot położył mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze. Uwolniłeś Beamera z symulacji, na pewno nic mu nie jest. Zrobiłeś to, co należało. Nie zabiłeś go. Czujesz się już lepiej, Tom?

– Tak.

– Jesteś pewien?

Tom skinął głową.

– Nic mi nie jest.

Nagle sztucznie wykreowanym światem zatrzęsła potężna eksplozja.

Niebo przesłonił obłok pyłu. Mury zakołysały się, zrzucając ich na piaszczystą

równinę. Tom w ostatniej chwili złapał się wystającego kamienia i zawisł w powietrzu, nad grecką armią, która wdzierała się do miasta przez otwór wybity w umocnieniach.

Elliot wciągnął go z powrotem na mur i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– To był wybuch. W tym programie nie ma żadnych materiałów wybuchowych.

Tom spojrzął na swojego zwierzchnika, czekając, aż ten podejmie decyzję. Potem w jego głowie rozległ się sygnał i komunikat: Integralność programu została naruszona wskutek zewnętrznej interwencji.

Na twarzy Elliota pojawił się wyraz ulgi i zrozumienia.

– To wtargnięcie.

Wtargnięcie!

Nagle wszystko stało się jasne.

Tom zapomniał o przerażeniu, które natychmiast zastąpiła ekscytacja. Przejęty dreszczem podniecenia, wbił wzrok w obłok pyłu i dymu. Wtargnięcie!

Słyszał już wcześniej o wtargnięciach, jakie zdarzały się w Wieży. Dochodziło do nich dość często, szczególnie nim Ryzerman zaczął uczyć programowania. Ruso-chińscy wojownicy włamywali się czasem do kanału symulacji stosowanych i żartowali sobie z Amerykanów, odgrywając rolę nieprzyjaciół, a nawet uruchamiając indo-amerykańskie receptory bólu, by napędzić im strachu.

Tom ponownie spojrzął na Greków roziskrzonymi z radości oczami.

– Musimy natychmiast skończyć ten program. – Elliot podniósł rękę i wykonał kilka gestów odpowiadających komendom, które miały zamknąć symulację.

Ale Tom wcale tego nie chciał. Wpatrywał się jak urzeczony w greckich wojowników, świadom, że tym razem nie są to tylko wirtualni przeciwnicy. To byli prawdziwi wrogowie. Wrogowie, którzy zmodyfikowali program tak, by jak najbardziej upodobnić go do rzeczywistości. Włączyli receptory bólu. Odcięli im drogę ucieczki.

Skoro byli tu Ruso-Chińczycy...

To być może był tu też Meduza.

Największy wojownik na świecie był w tej samej symulacji co Tom. W jego zasięgu. A on stał jak kołek, bezużyteczny wartownik, który nie mógł wziąć udziału w bitwie.

– Tom, udało mi się – powiedział Elliot, a w głowie Toma rozbrzmiał następny komunikat: Sekwencja wyjścia rozpoczęta.

– Poczekaj – odwrócił się do swojego zwierzchnika, przejęty

i zdeterminowany. – Walczmy z nimi, Elliot. Ty i ja. Hektor i... zwykły strażnik. Walczmy z Grekami. Z Ruso-Chińczykami.

– Oszalałeś? Receptory bólu działają z pełną mocą. Jeśli ktoś przebije cię mieczem, poczujesz się tak, jakby naprawdę cię wybebeszył.

– Zaryzykuję! Mówię ci, Elliot, spróbujmy. Pokażmy im, że Amerykanie nie są tchórzami!

Tymczasem grecka armia wdzierła się do miasta. Z dołu dochodziły krzyki ginących mieszkańców Troi. Większość elewów już zniknęła. W symulacji zostali tylko Tom i Elliot.

– Elliot, proszę! – nalegał Tom. – To moja jedyna szansa. Ty ciągle walczysz z tymi ludźmi. Ja być może nigdy nie trafię do KomCa. Nigdy nie będę miał okazji walczyć z nimi w rzeczywistości.

Elliot pokręcił głową, zirytowany i jednocześnie rozbawiony.

– Urodziłeś się w niewłaściwej epoce, Tom. Powinieneś być wikingiem. Walcz z nimi, skoro chcesz. Ale jako prawdziwy wojownik. – Ramirez ponownie podniósł rękę i jednym gestem zmienił ciało Toma.

Chłopiec miał już zamordować swego dowódcę, kiedy zobaczył, że znów stał się kobietą, potem jednak uświadomił sobie, że była to postać najlepszego wojownika, w którego nikt jeszcze nie wcielił się w tej symulacji: Pentezylei, królowej Amazonek.

– Nie przynieś wstydu swojemu krajowi. Powodzenia – powiedział Elliot i opuścił symulację, nim Tom zdążył mu podziękować.

I w ten sposób Tom został jedynym wirtualnym obrońcą Troi, który zamierzał stawić czoło całej greckiej armii. Obrócił się w miejscu i westchnął z satysfakcją. Nie przejmował się wcale tym,

że prawdopodobnie zginie w męczarniach jak Beamer. To był jego moment chwały.

Czekał na to. Czekał, aż pokaże się ten jeden człowiek, wojownik, którego poznałby wszędzie.

Kiedy dostrzegł go w tłumie, pośród obłoków pyłu i kurzu, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Meduza wcielił się w Achillesa. Najpotężniejszy wojownik na świecie przyjął postać najgroźniejszego wojownika starożytności.

Ten scenariusz wydawał się Tomowi tak niesamowity i trafny, że miał ochotę krzyczeć z radości.

Opanował emocje i rozejrzał się dokoła. Zobaczył zbłąkanego, przerażonego konia, który pędził prosto na niego. Poczekał na odpowiedni moment, po czym

wskoczył na grzbiet wierzchowca. Pentezylea nie miała z tym najmniejszego problemu. Była wojowniczką. Jej umięśnione nogi ścisnęły boki rumaka, kierując go ku bitwie. Tom pochylił się nad karkiem zwierzęcia i przynaglił je do szybszego biegu.

Nie zwracał uwagi na wojowników, którzy próbowali go zatrzymać. Byli tylko przeszkodami na drodze do Meduzy. Chciał ściągnąć na siebie jego uwagę, próbował więc wypatrzeć pośród wirtualnych żołnierzy innych Ruso-Chińczyków.

Dostrzegł Rusałkę, czyli Swietlanę Moriakową, rosyjską odpowiedź na Elliota Ramireza i jedyną postać spośród ruso-chińskich wojowników, która nie ukrywała swej tożsamości ani twarzy. Zdradził ją fakt, że trzymała się z tyłu i pozwalała, by to inni wzięli na siebie cały ciężar walki. Tom widział już tyle nagrań kosmicznych bitew, że rozpoznał ją od razu. Rzucił włócznią, która przebiła gardło jej postaci -Agamemnona.

Potem znalazł Czerwonego Diabła; w symulacji grał rolę Odyseusza. On także zachowywał się w charakterystyczny sposób: zabijał najsłabszych, maruderów i tchórzy. Tak samo walczył w kosmosie – zawsze najpierw atakował słabe punkty. Tom przemknął obok niego w pełnym galopie i odciął mu głowę.

Chwilę później starł się z Kałasznikowem, który przyjął postać Patroklosa. Kałasznikow jak zwykle zagrał nieczysto i zabił konia, którego dosiadał Tom. Chłopiec zeskoczył z wierzgającego rozpaczliwie zwierzęcia, przetoczył się po ziemi, wyrwał łuk z rąk martwego obrońcy Troi i strzelił prosto w oko nieprzyjaciela.

I wtedy zobaczył go Meduza.

Zawrócił rydwan, którym pędził pośród walczących wojowników, i zatrzymał się zaledwie kilka metrów od Toma.

Chłopiec, zdyszany, zaciskał dłoń na rękojeści miecza i uśmiechał się szeroko. Wpatrywał się w Meduzę, a Meduza patrzył na niego. W chwili, która była spełnieniem jego marzeń, Tom potrafił powiedzieć tylko:

– Jak leci?

Natychmiast pożałował tych słów, pewien, że zabrzmiały idiotycznie.

Meduza uśmiechnął się złowrogo.

– Nie uciekłeś z innymi.

– Nigdy nie uciekłbym przed tobą.

– Nazwałbym cię odważnym – odrzekł Meduza. – Ale przypuszczam, że jesteś raczej bardzo głupi.

Tom roześmiał się, oszołomiony. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to wszystko

dzieje się naprawdę.

– Od razu mnie rozszyfrowałeś... Meduzo.

Meduza drgnął, zaskoczony.

– Znasz mnie.

– Poznałbym cię wszędzie – wyznał Tom. – Stale o tobie myślę.

Miał świadomość, że zabrzmiało to dość dziwnie, ale wcale się tym nie przejmował.

– Zachowujesz się jak szaleniec – zauważył Meduza.

– Ostatnio wiele osób mi to mówi.

– Więc może powinieneś się nad tym zastanowić.

Nagle Meduza poderwał się do ataku.

Tom wiedział, że nie ma szans na otwartej przestrzeni. Rzucił się między wojowników walczących armii, by zyskać na czasie. Jednocześnie rozglądał się dokoła, szukając czegoś, co mogłoby przydać mu się w walce. Dostrzegł wklęsłą tarczę leżącą obok zabitego Greka i bukłak z wodą. Wyjął sztylet i przebił skórzany pojemnik, świadom, że Meduza przedziera się ku niemu przez trojańską armię niczym anioł śmierci. Gdy turkot kół zagłuszył bitewny zgiełk, a na plecach Toma padł cień rydwanu, chłopiec wylał wodę z bukłaka na tarczę i obrócił się, ustawiając ją tak, by odbił się od niej blask słońca.

Oślepiony Meduza rzucił włócznią, która przemknęła ze świstem tuż obok głowy Toma.

Chłopiec cisnął tarczą w przeciwnika, wytrącając go z równowagi, a potem doskoczył do rydwanu i ciął mieczem w szyję jednego z koni. Nie tylko Czerwony Diabeł umiał grać nieczysto.

Ranne zwierzę runęło na ziemię, pociągając za sobą innego konia i przewracając rydwan. Tom uskoczył przed upadającym pojazdem, widział też, jak Meduza zwała się na ziemię. Uśmiechając się drapieżnie, chłopiec poderwał się do ataku, gotów zabić przeciwnika, nim ten odzyska swój miecz.

Meduza wykorzystał jedyną broń, jaką miał pod ręką: garść piasku trafiła Toma prosto w oczy i oślepiła go na sekundę. Chłopiec opuścił miecz, a potem poleciał do tyłu, odrzucony potężnym kopniakiem, który pozbawił go na moment tchu.

Meduza poderwał się już na równe nogi, a jego miecz zmierzał ku głowie Toma, ten jednak błyskawicznie przetoczył się na bok, wdzięczny Elliotowi za wyjątkowo sprawne ciało Amazonki. Zablokował mieczem kolejne uderzenie Meduzy. Ale Achilles był znacznie silniejszy od Pentezylei; ramiona Amazonki ugięły się pod jego potężnym ciosem. Kiedy heros zamierzył się ponownie, Tom

nawet nie próbował zablokować uderzenia, lecz wykorzystał jego siłę, by zmienić pozycję. Wykonał błyskawiczny obrót i ciął Meduzę od tyłu.

Czubek jego miecza przesunął się po ramieniu przeciwnika, zostawiając po sobie głęboką, krwawą linię. Meduza krzyknął z bólu, lecz uchylił się przed następnym ciosem. Kiedy Tom postąpił do przodu, by kontynuować atak, poczuł na ramieniu piekący zacisk. Próbował odskoczyć i uświadomił sobie, że zaplątał się w uprząż zabitego konia. Tymczasem Meduza zacisnął sznur jeszcze mocniej, wskoczył na grzbiet ocalałego konia i poderwał go do galopu. Tom runął jak długi, pociągnięty przez sznur, który trzymał Achilles. Wrzasnął przeraźliwie, gdy jego gołe nogi zaczęły szorować

po piasku. Zamachnął się rozpaczliwie mieczem, przeciął linę i opadł ciężko na ziemię.

Meduza odjechał jeszcze kilka metrów, a potem zawrócił konia. Blask słońca odbijał się od jego stalowego hełmu i zbroi.

Tom stanął powoli na drżących nogach Pentezylei i uniósł miecz, przygotowując się do starcia. Czekał. Brakowało mu sił, dyszał ciężko, a poranione ciało paliło go żywym ogniem. To nie mogło już potrwać długo.

Meduza ruszył do ataku. Galopował coraz szybciej; jego koń pojękiwał z wysiłku. Tom podniósł miecz jeszcze wyżej, ogłuszony stukotem kopyt i osłepiony obłokiem pyłu. Jednak w ostatniej chwili Meduza zeskoczył z konia, a ten wpadł rozpędzony prosto na Amazonkę. Potężna masa zwierzęcia uderzyła Toma w klatkę piersiową i brzuch niczym pocisk. Chłopiec czuł, jak po jego wnętrznościach rozlewa się palący kwas z pękniętego żołądka.

Tom usiadł prosto. Kwas wypełniał jego tułów piekącym bólem, każdy oddech był niczym cios sztyletem – koń zmiażdżył mu również płuco. Widział, jak zbliża się do niego cień Achillesa. Zobaczył podniesiony miecz, który opadł ku niemu szerokim łukiem.

Początkowo nie czuł bólu. Początkowo. Potem Meduza wyjął z jego ciała zakrwawione ostrze, przewrócił go kopniakiem na ziemię i stanął nad nim, przesłaniając blask słońca. Tom miał wrażenie, jakby w jego brzuchu wybuchła bomba atomowa. Płynny ogień trawił go od środka, sięgał do rąk i nóg, wypełniał każdy nerw. Chłopiec otworzył usta, by wykrzyknąć swoje cierpienie, lecz z jego gardła wydobyło się tylko chrapliwe bulgotanie. Nie mógł oddychać, nie mógł oddychać...

Meduza pochylił się nad nim.

– Teraz pewnie żałujesz, że nie wyniosłeś się z innymi.

Świat przed oczami Pentezylei zaczął przygasać, jej ciało wygięło się w łuk,

daremnie próbując zaczerpnąć powietrza. Achilles schylił się jeszcze niżej, obserwował jej śmierć. W ostatnich przeblyskach świadomości Tom czuł, jak wielka dłoń herosa wsuwa się pod ciężką głowę Amazonki i zsuwa z niej hełm, uwalniając okrwawione włosy. Potem Achilles zdjął swój hełm i spojrzał na Pentezyleę. Gdy Tom osuwał się już w ciemność, wydawało mu się, że dostrzega na ustach Meduzy uśmiech uznania – i pomimo straszliwego bólu również wykrzywił wargi w krwawym uśmiechu. Jesteś spełnieniem moich marzeń.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał z symulacji, była dłoń Meduzy podtrzymująca jego głowę aż do chwili, gdy wszystko okrył mrok.

\* \* \*

Tom otworzył oczy w sali symulacji.

Elliot siedział na skraju jego łóżka z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Pozostali elewowie otaczali Toma ciasnym wianuszkiem i wpatrywali się w niego jak w dziwny obiekt badawczy. Kiedy próbował usiąść prosto, kilka osób natychmiast przyszło mu z pomocą.

Tom sięgnął ręką do obolałej głowy. Elliot uniósł ciemne brwi.

– Pod koniec serce waliło ci jak szalone. Martwiliśmy się o ciebie. Jak poszło?

– Załatwiłem Kałasznikowa, Czerwonego Diabła i Rusałkę – zameldował Tom z dumą.

Elliot parsknął śmiechem.

– Rusałka pokonana przez kadeta. Przypomnę o tym Swietłanie, kiedy spotkamy się na szczycie w Kapitolu.

– Potem dopadł mnie Meduza.

– Dobra robota, Tom – powiedział Elliot, klepiąc go po plecach.

Tom zamarł na moment, zszokowany, a potem uśmiechnął się szeroko. Choć wciąż nie mógł uwierzyć do końca w to, co wydarzyło się przed chwilą, to wiedział z całą pewnością, że już nigdy nie nazwie Elliota idiotą.

Pozostali elewowie rozeszli się po sali, by uporządkować kable i ułożyć je pod metalowymi łózkami. Wyatt Enslow przyglądała się Tomowi z zagadkowym wyrazem twarzy, lecz nie próbowała nawiązać z nim rozmowy, za co właściwie był jej wdzięczny. Nie ochłonął jeszcze z emocji, więc nie potrafiłby spokojnie odpowiadać na jej pytania. Podeszedł chwiejnym krokiem do Beamera, który siedział na swoim łóżku i obejmował rękami podciągnięte pod brodę kolana. Był równie blady jak jego postać w symulacji, pomarańczowe piegi na twarzy kontrastowały ostro z bielą skóry chłopca. Kołysał się do przodu i do tyłu,



wpatrzony gdzieś w przestrzeń. Wydawało się, że nawet nie zauważył kolegi.

Tom pomachał mu ręką przed oczami. Beamer odsunął się gwałtownie i zsunął z łóżka, chwytając łapczywie powietrze.

– Odejdź!

– Tom, zostaw go w spokoju – polecił łagodnie Elliot, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Tom, pomyśl: przed chwilą go zabiłeś – dodał Latynos przyciszonym głosem.

– Daj spokój... – Tom odwrócił się do Beamera i spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Przecież nie zabiłem cię naprawdę. Ja też umarłem. Miecz w bebechy.

Złapał się obiema rękami za brzuch i zacharczał przeraźliwie jak kilka minut wcześniej w symulacji, a potem upadł teatralnie na podłogę. Jednak gdy się podniósł, Beamer nawet na niego nie patrzył.

Tom czuł, jak ogarnia go irytacja. Beamer umierał kilka razy dziennie. Tym razem nie poszło mu najlepiej, ale przecież ostatecznie nic mu się nie stało. Tom też umarł i nigdy dotąd nie czuł się tak podekscytowany i naładowany energią.

– Przestań już, Beamer! – wybuchnął. – Odciałem ci głowę dla twojego dobra.

Beamer spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem, jakby go nie widział. Elliot próbował odwrócić uwagę chłopca – położył mu dłoń na ramieniu i spytał:

– Stephen, chcesz, żebym sprowadził tu pracownika socjalnego?

– Tak, na pewno od razu poczuje się lepiej – stwierdził Tom. – Nazwij go jeszcze mięczakiem.

Beamer w końcu spojrzał wprost na kolegę. Patrzył na niego przez chwilę, po czym wybiegł z sali.

Elliot westchnął ciężko i odwrócił się do Toma, zaciskając palce na przegrodzie nosa.

– Przypomnij mi, żebym nauczył cię czegoś o wrażliwości emocjonalnej, Tom.

Chłopiec wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Beamer.

Co? Co takiego zrobił?

Spojrzał na Wyatt, która przyglądała się temu wszystkiemu w milczeniu. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może ma gorszy dzień?

– Może.

Cóż, Wyatt także nie mogła uchodzić za autorytet w dziedzinie „wrażliwości emocjonalnej”.

## Rozdział 15

# GRY I ZABAWY

Wtargnięcie wywołało prawdziwą burzę w Wieży. Wszyscy członkowie grupy symulacyjnej Elliota musieli udać się na przesłuchanie do specjalnie zabezpieczonego pokoju zwanego Komnatą Wspomnień. Ryzerman podłączał każdego po kolei do analizatora pamięci i odtwarzał wydarzenia z symulacji. Razem z Marshem i major Cromwell oglądali ich wspomnienia na ekranie.

Tom, jako jedyny, który pozostał w symulacji dłużej, został przesłuchany na samym końcu. Siedział na krześle pośrodku Komnaty Wspomnień; smugi niebieskiego światła padały na jego skronie, a na ekranach pojawiały się obrazy z jego pamięci.

Porucznik Ryzerman pokręcił głową i zwrócił się do Marsha:

– Dlaczego chłopak tam został?

Tom natychmiast się zjeżył, zirytowany tym, że Ryzerman mówi tak, jakby go tutaj nie było.

– Uważałem, że to dobra zabawa – oznajmił.

Ryzerman spojrzał na niego z ukosa.

– Intruzi włączyli receptory bólu.

– Tak, zauważyłem – parsknął Tom. – A mówiąc poważnie, co jest gorsze: uciec i przynieść wstyd swojemu krajowi czy stanąć do walki?

– Obowiązują nas określone zasady, panie Raines – włączył się do rozmowy generał Marsh. – Zostały zapisane w twoim procesorze neuronowym. Wiedziałeś, że powinieneś opuścić symulację.

Tom miał wrażenie, że mimo tych ostrych słów stary generał pochwała jego wybór.

Podobnie jak major Cromwell, która przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Widzę, że ich zidentyfikowałeś. Prawdziwych Ruso-Chińczyków.

– Tak. – Tom skinął głową. – Wyeliminowałem Rusałkę, Czerwonego Diabła i Kałasznikowa.

– I namierzyłeś Meduzę – dodała major.

Meduza. Tak, to było najlepsze w tym wszystkim.

Tom wrócił do wspomnień, odtwarzał je w głowie, podczas gdy dorośli zaczęli spierać się o zabezpieczenia symulacji.

– ...była pańska zapora, poruczniku – mówił Marsh.

– Mówiłem, że potrzebuję więcej programistów, jeśli mam utrzymać tę zaporę na przyzwoitym...

– A ja mówiłem, że nasz budżet...

I tak dalej, i tak dalej. Tom przypomniał sobie uśmiech, który pojawił się na twarzy Meduzy, gdy umierał w symulacji. Chciał ponownie się z nim zmierzyć. Niczego bardziej nie pragnął. Jedno spotkanie to za mało. Następnym razem wygra. Był tak blisko -

przegrał tylko przez tego konia. Ale następnym razem... następnym razem...

Marsh wezwał ich wszystkich na dwudziątą do Sali La Fayette'a, by omówić zaistniałą sytuację. Miejsce Beamera było puste. Tom wodził wzrokiem po tłumie, wypatrując znajomej piegowatej twarzy, potem jednak zrozumiał, że jego przyjaciel w ogóle nie przyszedł na spotkanie.

– Można by pomyśleć, że zabiłem go, bo chciałem mu dokuczyć – powiedział do Vika.

– Przejdzie mu – machnął ręką Hindus.

Marsh wszedł na mównicę, a w sali zapadła cisza. Generał stał pośród flag i patrzył na nich z powagą.

– Jak pewnie już słyszeliście, doszło dzisiaj do poważnego naruszenia zasad bezpieczeństwa. Kilku Ruso-Chińczyków zdołało przebić się przez naszą zaporę sieciową i wejść do symulacji. Zrobili to tylko po to, by wprowadzić zamęt w grupie symulacyjnej kadetów, ale niepokojący jest sam fakt włamania. Nie tylko dlatego, że zdołali rozprawić się z naszą zaporą, ani dlatego, że jeden z kadetów nie zastosował się do przepisów i nie opuścił symulacji...

Tom opadł na oparcie krzesła, kiedy pozostali elewowie zaczęli zerkać w jego stronę. Dajcie spokój. Po prostu nie uciekł jak ostatni tchórz. Tak powinni postępować wszyscy, jeśli nie chcą uchodzić za mięczaków.

– ...lecz także dlatego, że większość z was nie dysponowała umiejętnościami programowania, które pozwoliłyby wam odeprzeć ten cyberatak. W związku z tym jutro załadujecie do swoich procesorów drugi plik reguł zachowania w symulacji wraz z nową

listą kar za niesubordynację. Poza tym przychyliam się, oczywiście, do prośby porucznika Ryzermana, który wnioskuje o zwiększoną liczbę zajęć szkoleniowych z programowania.

Ryzerman, który stał obok mównicy niczym osobisty ochroniarz generała,

uśmiechnął się paskudnie.

Marsh pochylił się nad mównicą i dodał:

– Moi drodzy, potrzebujecie więcej gier wojennych.

\* \* \*

Ryzerman przedstawił im reguły następnego dnia na porannych zajęciach.

– To będzie konflikt obejmujący całą Wieżę, rozgrywany wyłącznie na poziomie programowania. W języku Zorten-II. Jeśli ktoś czuje się na siłach, może oczywiście korzystać z Klondike, choć wydaje mi się, że tylko dwoje z was jest w stanie kodować na tym poziomie.

W sali zapanowało poruszenie. Tom nie mógł usiedzieć na swoim miejscu, podekscytowany perspektywą nowej zabawy.

– Generał Marsh uważa, że potrzebujecie ćwiczeń w zakresie programowania ofensywnego i obronnego. Nie życzy sobie jednak, żeby to była rywalizacja oparta wyłącznie na wrogości i konfliktach. Dlatego też zastosujemy system punktowy oparty na zasadach obowiązujących w popularnej amerykańskiej grze.

– Baseballu? – zawołał ktoś.

– Nie, futbolu amerykańskim – sprostował Ryzerman. – Każde trafienie powoduje odjęcie trzech punktów z puli waszego oddziału.

Niepełne trafienie, które uznam jednak za udaną próbę, równa się odjęciu dwóch punktów. Trafienie, które obejmie jednocześnie kilku członków oddziału, to po minus sześć punktów za każdy cel; siedem, jeśli uznam je za naprawdę imponujące. Za każdym razem, gdy będziecie uruchamiać program ofensywny, prześlecie mi kod źródłowy, bym mógł go przeanalizować. Jeśli stwierdzę, że odpowiada moim standardom, również zdobędziecie punkty dla swojego oddziału. Przypuszczam jednak, że tylko nieliczne programy będą na tyle udane, by zrobić na mnie wrażenie, więc wygra zapewne ten oddział, który będzie miał najmniej punktów ujemnych.

Ktoś z przednich rzędów podniósł rękę.

– To dość arbitralne kryteria. Tylko pan decyduje o tym, kto zdobędzie punkty?

– Tak, panie Tarsus. – Ryzerman się uśmiechnął. – Tylko ja o tym decyduję.

System jest całkowicie arbitralny.

– A co dostaniemy, jeśli wygramy?

– Nic. Kompletnie nic.

W sali zapadła cisza.

Potem ktoś inny – Heather? – spytał:

– Dlaczego mielibyśmy ze sobą walczyć, skoro nic na tym nie zyskamy?

Ryzerman zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Liczę na ułomności ludzkiej natury. Setki nastolatków mieszkają w jednym budynku, na ograniczonej przestrzeni, i nie ma między nimi żadnych zatargów, żadnych ukrytych antypatii? Żadnych uraz, o których nie chcą zapomnieć? – Powiódł spojrzeniem po sali. – Żadnych powodów do zemsty, z którą czekają tylko

na odpowiednią okazję? Oto najprostszy powód.

Tom zorientował się nagle, że patrzy na Karla. Ich spojrzenia się spotkały, a Masters przeciągnął dłoń w poprzek szyi. Tom ułożył palce na kształt pistoletu i udał, że do niego strzela.

„Gra się rozpoczyna” – pomyślał z radością.

– Wszystko, co zaprogramujecie, musi być odwracalne i łatwe do usunięcia – ostrzegł ich Ryzerman. – Nie wolno wam wyrządzać trwałych szkód. Ciało przeciwnika i jego oprogramowanie mają ostatecznie pozostać nietknięte. Ani doktor Gonzales, ani ja nie mamy ochoty po was sprzątać. Nie chcę też widzieć ani jednego wirusa, który mógłby fizycznie uszkodzić procesor neuronowy. Każde z tych urządzeń jest warte więcej niż wy wszyscy razem wzięci.

Karl wyraźnie oklapł, załamany zapewne wiadomością, że nie może wyrządzić nikomu trwałej fizycznej krzywdy. Tom pomyślał, że i on powinien się tym zmartwić, tym bardziej jednak chciał od razu przejść do działania.

– Nie przeprowadzamy żadnych ataków podczas zajęć – kontynuował Ryzerman. – Choć mogą zacząć się przed zajęciami, a jeśli ich efekty potrwają dłużej... – Porucznik wykonał gest, który miał zapewne oznaczać, że wcale go to nie obchodzi. – Nie atakujecie również po wygaszeniu świateł, przed siódmą rano i poza terenem Wieży. Nie wchodzicie na obszary zakazane, między innymi do damskich toalet i łazienek w przypadku mężczyzn, i odwrotnie. Podobnie ma się sprawa z szatniami. Nie wolno wam przeprowadzać ataków dotyczących funkcji biologicznych, bo potem wszyscy możemy zostać pozwani do sądu za spowodowanie

trwałych urazów psychicznych. Kierujcie się zdrowym rozsądkiem. Podejmuje spore ryzyko i zakładam, że naprawdę macie choć trochę rozumu.

Vik dźgnął Toma łokciem, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Ty i ja, Tom.

Tom również wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ty i ja.

– Duet Śmierci.

Tom zacisnął dłonie w pięści.

– Siewcy Zniszczenia.

– Doktorzy Śmierci.

Tom zamyślił się na moment.

– A nie ma już Doktora Śmierci?

– Nie, jest Doktor Śmierć, ten z Fantastycznej Czwórki. My będziemy w liczbie mnogiej, ze śmiercią w dopełniaczu.

Tom znów zastanawiał się przez chwilę, po czym wyszeptał:

– Dobra, niech będzie. Mamy tytuły doktorskie w dziedzinie śmierć.

– Nie, nie, jesteśmy doktorami medycyny. Widzisz, jako naukowcy musielibyśmy też mieć zajęcia na uczelni. Jako lekarze zajmowalibyśmy się medycyną.

– Dlaczego Doktorzy Śmierci mieliby się zajmować medycyną?

– Uprawialibyśmy diaboliczną medycynę.

Elewowie z sąsiednich ławek spoglądali ze złością w ich stronę, więc Tom jeszcze bardziej ściszył głos.

– Ale prowadząc zajęcia, moglibyśmy wychowywać sobie sługi. Diabelskich żołnierzy, stary.

– Dobra – zgodził się Vik. – Ty będziesz naukowcem, a ja lekarzem. Obaj będziemy doktorami.

– ŚMIERCI! – dodał Tom, nieco za głośno.

Nagle podskoczyli z Vikiem, jakby przeszył ich prąd. W ich głowach pojawił się komunikat: Przekaz danych. Program Zamknijcie się, bo reszta nic nie słyszy rozpoczęty.

Tom rozejrzał się dokoła i zobaczył Wyatt Enslow, która patrzyła na niego ze złością i pokazywała mu podniesioną klawiaturę.

W odpowiedzi Tom uśmiechnął się wyzywająco i strzelił do niej z palca.

Gra się rozpoczęła.

Zajęcia dobiegły końca. Ktoś zapytał Ryzermana, kiedy zaczną się gry wojenne. Porucznik, który schodził właśnie z podwyższenia, zatrzymał się w pół kroku i uśmiechnął szelmowsko.

– Gdy tylko wyjdziecie na korytarz – odrzekł.

W sali zapadła głucha cisza.

Ryzerman zachichotał pod nosem i zostawił ich samych.

Natychmiast rozległ się szmer – członkowie poszczególnych oddziałów pochylali się ku sobie i rozmawiali szeptem, planując ucieczkę.

– Założę się o dziesięć dolarów, że Ryzerman ogląda teraz obraz z kamer ochrony i pęka ze śmiechu – mruknął Tom do Vika.

– Mogę założyć się o to samo.

Tom poczuł burczenie w brzuchu. Na pewno nie on jeden był głodny, ale nikt nie wstawał nadal z ławek. Wszyscy czekali, ciekawi, co spotka tych, którzy odważą się pierwsi opuścić salę – czy ktoś zdążył już przygotować jakiś program i zaatakować.

– Umieram z głodu. Rzucamy się na głęboką wodę, doktorze? – Spojrzał na Vika, licząc w duchu, że przyjaciel nie usłyszy, jak głośno wali mu serce.

Vik uśmiechał się szeroko, a jego oczy błyszczały prawdziwym szaleństwem.

– Powinniśmy to zrobić, doktorze.

Tom również się uśmiechnął.

– Doktorze.

– Doktorze – powtórzył Vik głębokim, męskim głosem.

– Na trzy.

– Raz, dwa...

– Trzy – dokończył Tom, po czym obaj zerwali się na równe nogi.

Oczy wszystkich obecnych w sali skierowały się na nich. Tom zignorował ich i przecisnął się do przejścia między rzędami ławek. Cisza wypełniała mu uszy, niemal fizycznie go przytłaczała, gdy szedł w stronę drzwi. Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność.

Vik parsknął śmiechem. Szalony Hindus podniósł triumfalnie ręce i zacisnął dłonie w pięści, jakby prowokował innych do ataku. Tom również się uśmiechnął, lecz natychmiast spoważniał, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Karl Masters podnosił się ze swojego miejsca.

Tom uderzył Vika otwartą dłonią w plecy.

– Szybciej!

Nie musiał tego powtarzać. Chłopiec poderwał się do biegu i w błyskawicznym tempie dopadł drzwi. Tom deptał mu po piętach.

Kiedy obejrzał się przez ramię, Karl Masters i grupa Dżyngis-CHANÓW przepychali się między ławkami.

\* \* \*

Biegli co sił w nogach, dysząc ciężko jak na ćwiczeniach fizycznych. Dotarli do pustej kantyny, zanim przyszło im do głowy, że właśnie tam w pierwszej kolejności przyjdzie im szukać Karl i że nie będą tam mogli liczyć na wsparcie innych Aleksandrów.

– Poszukajmy miejsca, w którym będziemy mogli się bronić! – Tom przejrzał w myślach wszystkie znane mu gry wideo i znalazł odpowiednie odniesienie. –

To będzie nasze „Alamo”<sup>12</sup>.

- Chwileczkę, czy Davy Crockett nie zginął w Alamo?
- Dobra, w takim razie będziemy atakującymi cyborgami.
- Pod Alamo nie było żadnych cyborgów.
- Owszem, były, Vik.
- Nie rozumiem. Mówisz o grze „Alamo” czy o prawdziwym oblężeniu?
- Zaraz, to Alamo istniało naprawdę?

Vik pacnął go otwartą dłonią w tył głowy.

- Nawet nie jestem z twojego kraju, a o tym wiem.

Porwali z najbliższego stołu kilka tac z jedzeniem, na wypadek gdyby oblężenie miało potrwać dłużej, a potem wybiegli z kantyny.

Kiedy pędzili korytarzami, Tom zastanawiał się, co zrobi, jeśli za następnym rogiem natkną się na Karla. Pomyślał, że rzuci w niego swoją tacą, potem jednak przypomniał sobie, że nie wolno im używać siły fizycznej.

- Vik, musimy się dostać do komputera, jeśli mamy programować.
- Słusznie, słusznie.

Wpadli do pokoju z wirtualnymi grami i zamknęli za sobą drzwi. Tom usiadł przy klawiaturze i zaczął pisać kod w języku Zorten-II, by przygotować porządnego wirusa na nieuniknioną chwilę, gdy dogoni ich grupa Dżyngischanów.

Drzwi sali otworzyły się bezszelestnie i stanął w nich Karl. Vik wydał z siebie okrzyk, który zupełnie nie licował z wizerunkiem Doktora Śmierci, a Tom poczuł dreszcz przerażenia.

Karl uśmiechnął się złowrogo i podszedł do komputera.

Ale zamiast jakiegoś gwałtownego finału nastąpił długi przestój w rozwoju akcji, kiedy to grupa Dżyngischanów zebrała się wokół jednej klawiatury, a Tom i Vik przy drugiej.

– Tak się tego nie robi... – Vik zauważył, że Tom popełnił błąd przy wpisywaniu kodu źródłowego i sam się do tego zabrał. Tom zerkał przez ramię, pewien, że lada moment zaatakuje ich wirus przygotowany przez Karla i jego towarzyszy. Jednak ci również nie radzili sobie z językiem Zorten-II.

- Ty matole, to nie działa! – warknął Karl.
- Zaraz, jak się uruchamia program, który sprawdza błędy?
- Dlaczego to ma wartość zerową? Co to znaczy?
- To znaczy, że nie działa, idioto.

Tom odsunął się od przyjaciela i oparł o ścianę. Poczucie zagrożenia i ekscytacja powoli ustępowały miejsca rozbawieniu. Słuchał stukotu klawiszy,



przekleństw Vika, który znów pomylił się przy wpisywaniu kodu, i zirytowanych głosów Dzyngis-chanów, którzy klócili się nad swoim programem.

Wreszcie parsknął śmiechem.

Karl odwrócił się do niego, rozwścieczony.

– Co cię tak bawi, Burku?

– To czysta głupota – stwierdził Tom. – Żaden z nas nie umie dobrze programować.

Towarzysze Karla wymienili zakłopotane spojrzenia. Tom miał rację.

– Siedzimy tu od dziesięciu minut, a nikomu nie udało się jeszcze przeprowadzić ataku.

– Więc co proponujesz, kadecie? – Karl skrzyżował na piersiach potężne ramiona.

– Rozejdziemy się, spokojnie coś zaprogramujemy i spotkamy się później.

Masters zmrużył oczy.

– Coś w rodzaju pojedynku?

– Tak, coś w tym rodzaju. Dziś o ósmej wieczorem. W świetlicy kadetów.

Karl potarł brodę w zamyśleniu.

– Dobra, niech tak będzie – odrzekł w końcu. – Ale nie dzisiaj, tylko jutro wieczorem.

– Jutro?

– Tak, a masz jakiś problem? Proponuję jutro, bo dziś mam umówioną wizytę u fryzjera. Nie mogę jej odwołać w ostatniej chwili.

– Dobrze, w takim razie jutro. – Tomowi nawet odpowiadał taki układ.

Zostawało mu więcej czasu na programowanie.

– Poza tym i tak nie znam nikogo, kto w dziesięć minut napisałby przyzwoity program – przyznał Karl.

W tym momencie, zupełnie jakby czekała na te słowa, w drzwiach pokoju pojawiła się Wyatt Enslow

– Witajcie. Powiedzcie: beee...

– Bee? – powtórzyli Karl i Tom ze zdumieniem.

Wyatt uśmiechnęła się i wcisnęła jakiś guzik na swojej przenośnej klawiaturze, atakując adresy IP wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu. Natychmiast w umyśle Toma pojawił się napis: Przekazywanie danych. Program Beczące owce rozpoczęty.

\* \* \*

Tom ocknął się w chwili, gdy przeżuwał jakąś roślinę doniczkową w arboretum za kantyną. Nie był osamotniony. Ofiarą Wyatt padło co najmniej dwadzieścia lub trzydzieści osób, które miały nieszczęście znaleźć się na jej drodze.

– Tfu... – Otarł rękawem usta, pozbywając się resztek mięsistych liści, po czym ruszył do wyjścia, ignorując żalosne pobekiwania ludzi, którzy nieświadomie udawali owce.

Odszukał Vika i trącił go stopą, nie zwracając uwagi na gniewne „bee” przyjaciela. Musiał szturchnąć go jeszcze kilkakrotnie, nim biedak wrócił wreszcie do rzeczywistości.

– Co... co...

Tom wziął go pod rękę i pomógł mu się podnieść z podłogi.

– Nieważne, co czuje do niej Yuri. Doktorzy Śmierci nie mogą puścić płazem takiej zniewagi.

\* \* \*

Tom i Vik postanowili odwiedzić wieczorem Yuriego i spytać go wprost, czy pomoże im rozprawić się ze swoją podłą przyjaciółką. Ale Yuriego nie było w Kwaterze Gavina.

Był za to Beamer.

Vik wszedł do środka.

– Beamer, widziałeś Androida?

Beamer milczał. Tom i Vik wymienili zaniepokojone spojrzenia. Ich przyjaciel nie był tego dnia na zajęciach. Prawdopodobnie w ogóle nie wychodził ze swojego pokoju.

– Co się z tobą dzieje, Beamer? – spytał Vik. – Dlaczego zachowujesz się dzisiaj jak ostatni mięczak?

Tom wiedział już, że w ten sposób niczego nie wskórają. Spojrzał znacząco na Hindusa i pokazał mu drzwi. Vik wzruszył ramionami i wyszedł.

Tom zajął jego miejsce u boku Beamera, ale uświadomił sobie, że on także nie ma pojęcia, co mu powiedzieć.

– Posłuchaj, Beamer, przykro mi, że ściałem ci głowę, rozumiesz?

Chłopiec otworzył oczy

– Rany, Tom, jesteś taki egotyczny! Tu wcale nie chodzi o ciebie.

– Więc o co? Nie rozumiem. Chcesz, żebym wezwał pracownika socjalnego?

Beamer pokręcił głową i wbił wzrok w sufit.

– Posłuchaj, nie chcę się z ciebie nabijać. Naprawdę mogę tu wezwać Olivię. – Tom wziął głęboki wdech i postanowił coś, co było z jego strony chyba

największym poświęceniem, na jakie zdobył się w życiu. – Powiem, że chodzi o mnie, jeśli się wstydzisz.

„Proszę, powiedz: nie” – pomyślał.

– Nie – odparł Beamer.

Tom odetchnął z ulgą.

– Naprawdę tego nie rozumiesz, Tom? Nie wiesz, w czym problem?

– Cóż, myślałeś, że coś popsuło się w programie i że umrzesz, więc spanikowałeś.

– Nie. To znaczy tak, ale nie tylko. Widzisz, to dało mi do myślenia. Zacząłem się poważnie zastanawiać. Nad tym. – Beamer postukał palcem w głowę. – I nad tym, co zrobiłem. Myślałem, że to będzie dobra zabawa. Życie w Wieży, gry i tak dalej. Ale nie przemyślałem tego dobrze. Nie zastanowiłem się, czy naprawdę tego chcę. A jeśli zginę?

Tom parsknął śmiechem.

– Beamer, nie sądzę, żebyś umarł w ciągu najbliższego półwiecza. Masz dopiero czternaście lat.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Beamer usiadł prosto. – Nie wiemy nawet, co właściwie włożyli nam do głowy. Widziałeś jakichś osiemdziesięciolatków z procesorami neuronowymi?

– Osiemdziesiąt lat temu nie robili jeszcze takich rzeczy. Ale spójrz tylko na Ryzermana. Ma od dawna wszczepiony procesor. Jeśli nie liczyć nagłego nawrotu choroby psychicznej, nic mu się nie stało.

Beamer przewrócił tylko oczami i opadł z powrotem na łóżko. Tom przyznał w duchu, że fraza: „jeśli nie liczyć nagłego nawrotu choroby psychicznej”, zabrzmiała w tej sytuacji wyjątkowo głupio, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego przyjaciel tak bardzo przejmuje się nagle szczegółami.

– Nie chodzi nawet o to, Tom. Nie rozumiesz? Nigdy się tego nie pozbędziemy. Nigdy. Zgodziliśmy się na kilka lat pobytu w Wieży, ale przez to paskudztwo w głowach jesteśmy związani z wojskiem do końca życia. Pomyślałeś kiedyś o tym? Zawsze będziemy na linii frontu. Kto to naprawi, jeśli coś się zepsuje? Kto uratuje nasze mózgi przed zniszczeniem, jeśli Ruso-Chińczycy stworzą nowego wirusa komputerowego?

– Daj spokój. Teraz ludzie nie zabijają się podczas wojen.

– Tom, to jest wojna. Wojna. Kiedyś wyglądała ona tak jak pod Stalingradem, rozumiesz? I pewnego dnia być może znów tak będzie wyglądać. Ktoś może sobie przypomnieć, że to trzecia wojna światowa. Ryzerman sam to powiedział, nie pamiętasz? Powiedział, że zajrzeliby nam do głów, gdyby mogli.

„Pomyślcie, co mógłby zrobić z wami wróg, gdyby dostał w swoje ręce choćby jeden z procesorów i obejrzał go sobie dokładnie”.

– Ryzerman chciał nas tylko nastraszyć. To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja też się tym martwiłem, zanim wszczepili mi procesor.

Beamer uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Ty. Martwiłeś się.

Tom wzruszył ramionami, wracając pamięcią do rozmowy z Heather. Ze zdziwieniem stwierdził, że wspomnienia z czasów

przed wszczepieniem procesora wydają mu się teraz nierealne, mętne – jakby należały do innej osoby.

– Tak, martwiłem się. O tę nieoczekiwaną operację mózgu, o to, że w pewnym sensie będę należał do armii. Ale... daj spokój, Beamer. Rozejrzyj się dokoła. Kto inny robi takie rzeczy jak my? Kto inny będzie taki jak my? Możemy w ciągu jednej nocy zdobyć kilka nowych umiejętności, wystarczy tylko transfer danych. Możemy mówić wszystkimi językami świata. Jesteśmy szybsi i bystrzejsi niż zwykli ludzie. Możemy robić wszystko.

Beamer ponownie wbił spojrzenie w sufit.

– Wcześniej też mogłem robić wszystko, jeśli bardzo tego chciałem. Miałem swój interes. Robiłem koszulki z napisami w rodzaju: „Nie jestem mangustą”, a ludzie to kupowali, wiesz? Sprzedawałem takie rzeczy. Zarabiałem. Radziłem sobie całkiem nieźle, zanim wszczepili mi procesor. Ty też mogłeś robić wszystko, Tom. Byłeś mistrzem ortografii, pamiętasz? Musiałeś długo na to pracować.

Tom milczał. Wiedział przecież, że nie wygrał żadnego konkursu ortograficznego, nie przyczynił się też do powstania największej na świecie kuli woskowiny. Stary Tom Raines nie radził sobie nawet w szkole specjalnej.

– Długo się zastanawiałem – kontynuował Beamer – i doszedłem do wniosku, że nie chcę tego. Chcę się normalnie zestarzeć, mieć normalne życie. Pójść na studia. Kupić dom. Mieć dzieci, ożenić się, spotykać z sąsiadami i urządzać grilla.

Tom uczeplił się tego ostatniego zdania jak koła ratunkowego.

– Beamer, jeśli chcesz grillować, możemy to zaraz zrobić, ty i ja, co? Wyjdziemy wieczorem, przed ciszą nocną, i urządzimy sobie grilla, zgoda?

Beamer spojrzał na niego z rozpaczą.

– Nie rozumiesz, Tom. Nie możesz tego zrozumieć.

Odwrócił się twarzą do ściany i przykrył kołdrą.

Tom uświadomił sobie, że rzeczywiście nie rozumie. Że nie potrafi tego zrozumieć. Beamer chciał być normalny. On nawet nie umiał sobie wyobrazić, że chciałby kiedykolwiek być nikim.

Nigdy nie zrezygnowałby z tego, co miał tutaj. Nie oddałby dobrowolnie procesora neuronowego i życia pełnego możliwości.

Nie mógłby znów być bezwartościowym, pozbawionym jakichkolwiek perspektyw nastolatkiem. Wolałby raczej umrzeć.

---

[12](#) Oblężenie fortu Alamo było jednym z najważniejszych wydarzeń powstania osadników amerykańskich przeciwko władzom Meksyku (1835-1836), które ostatecznie doprowadziło do utworzenia Republiki Teksasu, późniejszego stanu USA

## **Rozdział 16**

# **POJEDYNEK**

Nazajutrz Tom stanął naprzeciwko Karla w pustej świetlicy. Spojrzał na niego spod przymrużonych powiek, gotowy do starcia. Spędził z Vikiem cały poprzedni wieczór na programowaniu czegoś naprawdę wyjątkowego, co nazwali po prostu Częstym i głośnym pierdzeniem.

Sądząc po złowieszczym uśmiechu, który malował się na twarzy Karla, on również przygotował coś naprawdę paskudnego.

– Na trzy.

Vik nie spuszczał z oka towarzyszkę Karla, drobnej blondynki o małych paciorkowatych oczach.

**Imię i nazwisko:** Lyla Mortenson

**Stopień:** kadet USIF, IV stopień,  
średnio zaawansowana

**Oddział:** Oddział Dżyngis-chana,  
Kwatera Custer

**Pochodzenie:** West Palm Beach, USA

**Osiągnięcia:** sześciokrotna mistrzyni  
kraju i świata w boksie

amatorskim, w wadze  
muszej

**Status:** w zawieszeniu

**IP:** 2087:db7:lj71::275:113:6e8

**Klauzula tajności:** ściśle tajne, poziom 4

– Raz, dwa, trzy! – zawołała nagle Lyla, a Tom był zbyt zaskoczony, by od razu zareagować.

– Ha! – krzyknął Karl i uderzył pierwszy, atakując adres IP Toma.

Nic się nie stało. W umyśle Toma pojawił się napis: Przekazywanie danych. Program Wściekły Burek rozpoczęty. Wartość zerowa.

– Nic z tego, stary. – Uruchomił Częste i głośne pierdzenie, kierując je na adres IP Mastersa.

Karl czekał. I czekał. W końcu roześmiał się głośno.

– Wartość zerowa, kadecie.

Vik podniósł przenośną klawiaturę, którą skrywał dotąd za plecami, i uruchomił ich program awaryjny: Tajny hinduski atak ninja.

– Już po was! – krzyknął triumfalnie Tom.

Karl i Lyla spojrzeli na nich pytająco. Lyla podrapała się po nosie.

– Swędzi mnie nos. Ciebie też? – zwróciła się do Karla.

– Nie. – Dżyngis-chan pokręcił głową.

– Tajny hinduski atak ninja nie wywołuje swędzenia nosa – powiedział Vik.

– Rozumiem – odrzekła Lyla. – Ale tylko to zauważyłam. Swędzenia nosa.

– Kolejne zero, kadeci! – warknął Karl.

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę. Karl uderzał pięścią w otwartą dłoń, najwyraźniej sfrustrowany tym, że nie może im przetrzepać skóry w stary i sprawdzony sposób. Potem rozeszli się do swoich oddziałów.

– Najgorszy pojedynek w historii – uznał Tom.

– Tom – powiedział Vik, gdy weszli do Kwatery Stonewalla. – Jesteśmy tak beznadziejni, że aż mi przykro.

\* \* \*

Niestety, Ryzerman zgodził się z nimi. Odtworzył ich pojedynek na zajęciach i śmiał się głośniej niż którykolwiek z elewów.

Tom doszedł do wniosku, że nienawidzi analizatora pamięci. Kiedy przesłali swoje kody źródłowe Ryzermanowi, ten kazał całej czwórce zgłosić się do niego na pobranie wspomnień.

Porucznik zwrócił się do elewów, wciąż uśmiechając się krzywo. Ku uciesze wszystkich odtworzył całą serię żalonych i nieudanych programów, którą zwieńczył heroiczny bój Toma i Karla.

– Pierwsze dwa dni projektu potwierdziły moje przypuszczenia – powiedział. – Przeważająca część z was jest, ujmę to łagodnie, beznadziejna. Dlatego Hannibale to jedyny oddział, który jest teraz na plusie. Wygląda na to, że za większość tych punktów odpowiada panna Enslow, jak również Nigel Harrison, choć w znacznie mniejszym stopniu. Gratulacje, panno Enslow.

Salę La Fayette'a wypełniły oklaski i radosne pokrzykiwania pozostałych Hannibali. Tom zauważył, że policzki Wyatt zrobiły się całkiem czerwone. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie znalazła się w centrum uwagi tak dużej

grupy osób, a już z pewnością nie była obiektem tylu pochwał.

– Doszły mnie słuchy o kilku atakach na pana Ramireza – mówił dalej Ryzerman. – Generał Marsh nie życzy sobie, by pan Ramirez brał udział w tych rozgrywkach...

Elliot natychmiast podniósł się ze swojego miejsca.

– Panie poruczniku, naprawdę nie mam nic...

– Panie Ramirez, za trzy tygodnie weźmie pan udział w szczycie na Kapitolu. Ponieważ teoretycznie będzie pan reprezentował Indo-Amerykę, nie możemy pozwolić, by coś się stało z pańskim oprogramowaniem. Pana wsparcie zostanie wyłączone z tego projektu, kiedy już pan kogoś wybierze. Dlatego nikt nie może go atakować. Jest pod ochroną, rozumiano?

Tom zaklął cicho, a Elliot usiadł na swoim miejscu, zakłopotany.

– A co do reszty... – Ryzerman zrobił krótką pauzę i powiódł spojrzeniem po sali. – To weźcie się w garść i przestańcie robić z siebie durniów. To rozkaz.

\* \* \*

W drodze powrotnej, gdy jechali windą, Tom spytał Vika:

– Co właściwie Ryzerman miał na myśli, mówiąc, że Elliot będzie teoretycznie reprezentował Indo-Amerykę?

– Chyba wiesz, o co tak naprawdę chodzi w tym szczycie – odrzekł Vik. – Montando jest sprzymierzona z Indo-Ameryką i kontroluje światowe zasoby żywności. Huangwey sprzymierzyła się z Ruso-Chinami i kontroluje źródła wody pitnej. Więc o tej porze roku Koalicja Międzynarodowych Korporacji spotyka się na Kapitolu i ustala, że choć toczy wojnę w kosmosie, na Ziemi nadal będzie solidarnie strzec swoich patentów i interesów. To także ważne wydarzenie w sferze public relations. Nasz najlepszy kosmiczny wojownik walczy z najlepszym Ruso-Chińczykiem, żeby światowi przywódcy i członkowie Koalicji mieli o czym pogawędzić w trakcie negocjacji.

– Ale to Elliot walczy podczas tego szczytu – zauważył Tom. – A on nie jest najlepszy w KomCa.

Winda zatrzymała się na ich piętrze. Tom i Vik weszli do świetlicy kadetów i ruszyli w stronę swojej kwatery.

– Owszem, ale tak o nim mówimy – tłumaczył Hindus. – Z zewnątrz będzie wyglądało, jakby rzeczywiście walczyli ze sobą Elliot i Swietłana, bo oboje mają ładne buzie i dobrze się prezentują w telewizji. Będą więc grać przed kamerami, podczas gdy tak naprawdę do walki przystąpią ich ukryci zastępcy.

Tom parsknął śmiechem.



– Chwileczkę, to on tam tylko siedzi i udaje, że walczy?

Vik również się uśmiechnął.

– Tak. To dosyć zabawne; widzisz, ludzie nic nie wiedzą o procesorach neuronowych, dlatego Elliot i Swietłana mają nawet drążki i panele sterownicze, jakby kierowali statkami w kosmosie, podczas gdy w innym miejscu ich zastępcy faktycznie łączą się z maszynami i nimi sterują.

– Kto jest zastępcą Elliota?

– W zeszłym roku był nim Alec Tarsus, ale ponieważ w tym roku Swietlanę na pewno zastąpi Meduza, a Alec zawsze zbiera od niego baty w kosmosie, więc pewnie wybiorą kogoś innego. Może Heather albo tego Dżyngis-chana, „Josefa Saide'a? Nie pokona Meduzy, ale zrobi wszystko, żeby obaj stracili.

W drodze do kwatery natknęli się na Beamera, który szedł właśnie do toalety.

– Hej! – zawołał Tom. – Jak myślisz, kto...

Ale chłopiec przeszedł obok nich, jakby w ogóle ich nie widział. Tom stanął jak wryty i nie ruszył się z miejsca, dopóki Vik nie pociągnął go za sobą.

\* \* \*

Gry wojenne toczyły się nadal, a Hannibale zyskiwali coraz większą przewagę nad pozostałymi oddziałami. Tom zrozumiał wreszcie, że stoi przed nim jedno ważne zadanie: ustrzelić Wyatt Enslow.

Wyatt nie ograniczała się już tylko do groźnych i niezmiennie skutecznych ataków. Zainfekowała prace domowe i bazy danych innych elewów trojanami. Stworzyła też zapory, które blokowały przekazywane do procesorów neuronowych ostrzeżenia przed infiltracją wirusów innych niż wirusy Hannibali.

Vik, zniechęcony, odwrócił się od stworzonego naprędce schematu połączeń neuronowych Wieży.

– Doktorze, musimy podjąć stanowcze kroki. Spójrzmy prawdzie w oczy: Męskie Ręce programują jak sam diabeł. Dopóki

gry wojenne się nie skończą, należy postrzegać tę dziewczynę nie jako dziwną i skrytą Wyatt Enslow, lecz jako diabolicznego złoczyńcę, którym tak naprawdę jest. Jej nowe przezwisko to Podła Jędza z Najmroczniejszych Zakamarków Mordoru.

– Za długie. – Tom pokręcił głową.

– Więc tylko Podła Jędza. No dobrze, każdy złoczyńca ma jakąś piętę achillesową. Jaką słabość ma ona?

Tom zmarszczył brwi i zamyślił się głęboko. Wyatt Enslow nie miała hobby. Nie mogli przemycić żadnego wirusa do symulacji. Lubiła czytać, ale Tom nie

miał bladego pojęcia, jak mogliby jej podrzucić trojana do książki. Nigdy nie ładowała ich z sieci, tylko czytała słowo po słowie, jak normalny człowiek.

Nagle tknęła go pewna myśl.

– Yuri.

Vik spojrzał na niego z uznaniem.

– Android. Oczywiście. To jej jedyny przyjaciel.

– Przez niego podrzucimy jej trojana.

– Jest jednym z nas. Sam to zrobi.

Plan wydawał się idealny.

Pojawił się jednak pewien problem: Yuri był przerażony tym pomysłem.

– Nie mogę tego zrobić!

Dopadli go rano, kiedy wracał z joggingu. Yuri raz po raz kręcił głową.

– Nie musisz właściwie nic robić – namawiał go Vik. – Poproś ją tylko, żeby zerknęła na twój program, a kiedy się podłączy...

– Bam. Już ma wirusa – dokończył Tom. – Myśleliśmy o Dzikim wrzasku w połączeniu z Uliczną łaciną.

– Przecież to oszustwo – protestował Yuri.

Vik rozłożył ręce.

– Dajże spokój, gdzie twój patriotyzm? Jesteś przecież Aleksandrem, na miłość boską!

– I będę atakował inne oddziały. Ale nie podoba mi się pomysł ataku akurat na nią.

– Nie bój się, Podła Jędza nie porzuci cię dla reszty swoich przyjaciół...

– Nie chcę stracić jej zaufania.

– Rozumiemy, że się nad nią litujesz i że... – zaczął Tom.

Yuri wyprostował się raptownie.

– Dlaczego miałbym się nad nią litować? Jest wspaniała. To najinteligentniejsza osoba, jaką kiedykolwiek widzia... – Rosjanin umilkł w pół słowa, być może dlatego, że Tom i Vik patrzyli na niego jak na wariata, a być może dlatego, że poczuł, jak się czerwieni.

Tom nagle doznał olśnienia. Odwrócił się do Vika, zszokowany.

– On ją lubi.

– Yuri, nie – jęknął Vik.

Rosjanin zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

– Yuri, zlituj się – błagał Tom.

Yuri wzruszył ramionami.

– Oddziały nie mogą rozdzielić ludzkich serc.

– O Boże! – zawołał Vik. – A teraz zaczyna jeszcze wygadywać jakieś sentymentalne bzdury. Powstrzymaj go, Tom!

– Nie mogę – wyjęczał Tom. – Moje uszy... One krwawią. Krwawią!

– To wylew krwi do mózgu! Zamordował nas! – przyłączył się do niego Vik.

– Morderca! – krzyknął Tom, osuwając się teatralnie na podłogę.

Yuri westchnął ciężko i pokręcił głową.

– To nie jest zbyt dojrzałe zachowanie.

Ale obaj chłopcy leżeli już na podłodze i udawali, że wiją się w nieopisanym bólu. Rosjanin westchnął ponownie i przeszedł nad nimi do drzwi.

\* \* \*

Pewnego popołudnia Tom po wejściu do kantyny zauważył przy stole oficerów Ryzermana i natychmiast zrozumiał, że coś się święci. Porucznik nigdy nie przychodził tu na lunch, więc ktoś musiał mu powiedzieć, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego.

Wirus o nazwie Rickroll uaktywnił się punktualnie o dwunastej dziesiąt. Członkowie wszystkich oddziałów prócz Hannibali zaczęli nagle śpiewać i tańczyć, odtwarzając chórem jakąś sentymentalną piosenkę o miłości<sup>13</sup>, która zakończyła się zbiorowym wsadzeniem twarzy w tacę zjedzeniem.

Kiedy Tom w końcu się ocknął, podniósł głowę znad talerza i otarł twarz z tarty, usłyszał powolne oklaski i głos Ryzermana:

– Dobra robota. Siedem punktów za każdą ofiarę.

Tuż po lunchu pozostałe oddziały oraz KomCa w trybie pilnym zwołały zebranie. Elewowie w poplamionych jedzeniem bluzach uznali jednogłośnie, że ich oddziały muszą się zjednoczyć i pokonać Hannibali. Ogłosili zawieszenie broni i tymczasowe przymierze.

Rozejm zerwano już dziesięć minut później.

Dżyngis-chani zaatakowali Aleksandrów wirusem o nazwie Wszy, choć wszyscy podejrzewali, że w rzeczywistości za atakiem stoją Machiavelli. Ci utrzymywali najpierw, że zostali wrobieni, potem zaś przyznali się do wszystkiego, twierdząc, że Dżyngis-chani tak czy inaczej wypuściliby wirusa i obarczyli ich odpowiedzialnością.

W odpowiedzi Oddział Aleksandra aktywował wirusa, którego Cadence Gray nazwał Latynoską gorączką. Tom, przechadzając się tego dnia po korytarzach Wieży raz po raz napotykał Dżyngis-CHANÓW, którzy próbowali tańczyć zmysłową salsę z każdym, kto akurat znalazł się na ich drodze. Vik i Tom świetnie się bawili. Odszukali Karla i skierowali w jego stronę niczego

niepodejrzewającego Yuriego. Karl zdołał porwać go do tańca na jakieś dziesięć sekund, potem jednak Rosjanin wyswobodził się z jego objęć i rozkwasił mu nos.

Oddział Napoleona uruchomił Nigela Harrisona, trojana, który zainfekował informacje przekazane nocą do procesorów neuronowych, i sprawił, że wszyscy elewowie prócz Napoleonów co pięć minut krzywili się nerwowo. Tom przy tym nie był, ale słyszał, że gdy Nigel wszedł do kantyny i ujrzał morze wykrzywionych twarzy, przeżył załamanie nerwowe.

– Przestańcie, przestańcie! – wołał, wymachując tacą niczym mieczem.

Kiedy Nigel się denerwował, wykrzywił twarz jeszcze mocniej niż zwykle, co z kolei wywoływało gwałtowniejsze grymasy u otaczających go elewów. Nigel uciekł z kantyny, zalewając się łzami. Kilka osób wołało za nim, by poszedł na skargę do pracownika socjalnego.

Jedynym oddziałem, który nie padł ofiarą żadnego ataku, byli Hannibale mający zapory sieciowe odporne na wszelkie wirusy. Jakiś czas później Machiavelli zdołali wydobyć od nich kod źródłowy, który przekazali potem Napoleonom w zamian za nietykalność z ich strony.

Kiedy konflikt wciąż przybierał na sile, a Ryzerman nadal upokarzał ich na zajęciach, pokazując porażki i niepowodzenia, nagle zaczęło się dzieć coś dziwnego.

Tom zauważył to w salonie gier, gdy zamierzał pobić rekordy Ryzermana w grach, które wyznaczył sobie na ten tydzień. Na pierwszym miejscu listy wyników widniał już napis „TOM”.

– Ty to zrobiłeś, Vik? – spytał.

Hindus, który grał obok w „Żelazny statek kosmiczny”, spojrział na niego przelotnie.

– Nie.

Tom zmarszczył brwi, zaintrygowany. Nie sądził, by była to sprawka Beamera, bo ten właściwie nie wychodził z pokoju, nie mówiąc już o wyprawach do salonu gier. Yuri wpisałby go jako Tima. Wyatt nie grała w tego rodzaju gry. W końcu Tom wzruszył ramionami i przeszedł do następnej, gdzie na pierwszym miejscu listy wyników znów znalazł napis „TOM RAINES”. Sprawa

wyjaśniła się dopiero w piątkowy wieczór, gdy w salonie gier Tom natknął się na grupę kadetów z Oddziału Machiavellego, którzy zakończyli właśnie grę „Zemsta Rudolfa” i wpisywali jego nazwisko.

– Kto wam o tym powiedział? – spytał Jenny Nguyen z Kwatery Eisenhowera. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Słyszałam, że wszyscy to robią. Nienawidzę Ryzermana. Naprawdę go nienawidzę.

Wkrótce okazało się, że nienawiść do Ryzermana zjednoczyła całą Wieżę, a jej wyrazem było imię i nazwisko Toma wpisywane w różnych konfiguracjach na pierwszych miejscach list wyników zajmowanych dotąd przez porucznika.

---

[13](#) Chodzi o piosenkę Ricka Astleya Never Gonna Give You Up, która jest tematem popularnego żartu internetowego zwanego Rickrollingiem.

## Rozdział 17

# ZAKŁAD

Yuri nie chciał im pomóc, a Beamer skupiał się na swoim załamaniu nerwowym, więc Vik i Tom sami próbowali wymyślić sposób, by ominąć zapory sieciowe Wyatt i jej algorytmy antywirusowe. Tom rozważał od jakiegoś czasu pewien pomysł i postanowił przedyskutować go z Vikiem.

– A gdybyśmy skorzystali z zewnętrznego nadajnika?

– Chciałbyś dołączyć wirusa do wiadomości od jej rodziców? – spytał Vik.

– Nie, ktoś już próbował to zrobić. Zorientuje się. Widzisz, nasze procesory neuronowe są połączone z Wieżą, a Wieża z satelitami. A gdybyśmy tak wykorzystali satelitę i przesłali coś bezpośrednio do niej? Znamy przecież jej IP.

– Jak chciałbyś się podłączyć do satelity? Myślisz, że tam nie ma zapór?

– Jestem pewien, że moglibyśmy to obejść. Pamiętasz, jak instalowali ci procesor neuronowy i połączyłeś się z internetem? Ja pamiętam, że łączyłem się wtedy z różnymi miejscami na świecie,

między innymi z satelitą. Moglibyśmy zrobić teraz coś podobnego.

Vik patrzył na niego jak na szaleńca.

– Nie miałeś czegoś takiego? – spytał Tom.

– Eee... nie.

– Aha... – Może mu się to tylko przyśniło?

Był jednak pewien, że naprawdę to przeżył.

Tom wiedział, że wszystkie kanały internetowe elewów były zagrożone. Gdyby podłączył się do któregoś z nich, z pewnością zostałby zainfekowany. Dlatego pewnego ranka, tuż po pobudce, wjechał na jedenaste piętro, na poziom oficerów.

Ze schematu, który widniał w jego głowie, wynikało, że oficerowie mają własną sieć internetową, a nawet neuronowy port dostępu w świetlicy oficerskiej – przeznaczony prawdopodobnie dla samego Ryzermana. Tom rozsiadł się w fotelu, wyjął swój kabel neuronowy i podłączył się do sieci.

Przez kilka minut zaglądał w różne miejsca, nie wiedząc, jak właściwie wykorzystać bezpośrednie połączenie z internetem. Wiedział, że Beamer

spotykał się w ten sposób ze swoją dziewczyną, a niektórzy brali udział w symulacjach, by zintensyfikować wrażenia. Próbował wybierać linki na chybił trafił, ale narobił sobie tylko mętliku w głowie.

Pamiętał, że ostatnim razem wyglądało to zupełnie inaczej. To dziwne wspomnienie z instalacji wydawało mu się całkiem realne.

Usiłował skupić się na swoim procesorze neuronowym. Potraktować go jak odrębną jednostkę pulsującą w mózgu, wysyłającą impulsy elektryczne do węzła komunikacyjnego w Wieży.

Nic się nie działo, nic...

Nagle, jakby przeszyty prądem, Tom oderwał się od własnego ciała. Jego kończyny wydały mu się zimne i obce, a mózg połączony z Wieżą – potężnym źródłem energii, budowlą, która była jednocześnie nadajnikiem z reaktorem o hybrydowym rdzeniu, wysyłającym w kosmos sygnały będące...

Sygnał porwał Toma jeszcze dalej, rzucił go do satelitów, które oplatały Ziemię pierścieniem w postaci impulsów elektrycznych, olbrzymim strumieniem zer i jedynek przepływającym przez umysł chłopca. Nagle znów poczuł się jak To spoglądające na świat przez czujniki elektromagnetyczne.

Ogarnął go strach wywołany świadomością, że mógłby tak łatwo się w tym zatracić...

Wrócił do własnego ciała i procesora neuronowego tak gwałtownie, jakby strąciła go jakaś olbrzymia kosmiczna dłoń. Otworzył oczy i napotkał zimne spojrzenie Ryzermana.

– Aaa! – Tom poderwał się z fotela, przerażony, odłączając przy tym kabel neuronowy.

Ryzerman siedział naprzeciwko niego i przyglądał mu się już zapewne od kilku dobrych minut.

– Co ty tu właściwie robisz? – spytał.

– Nic!

– Wydawałeś się czymś bardzo zaabsorbowany. – Porucznik spojrział na interfejs neuronowy i zmrużył podejrzliwie oczy. – Mam nadzieję, że nie używałeś mojego interfejsu, żeby przeglądać strony dla dorosłych.

Tom otworzył i natychmiast zamknął usta. Nic chciał przyznać przed Ryzermanem, że szukał sposobu, by oszukać i przechytrzyć Wyatt w grach wojennych. Uznał, że nie wyglądałoby to najlepiej. Ale nie podobało mu się także oskarżenie porucznika.

– Po prostu surfowałem sobie po internecie dla zabicia czasu, kiedy czekałem na... na pana.

– Na mnie? – Ryzerman uśmiechnął się sceptycznie.

– Tak. Bo widzi pan, chciałem zapytać o... o... – Tom dostrzegł pogardliwy uśmiezek Ryzermana i nagle zapragnął zetrzeć go z jego twarzy. – O tę sytuację, kiedy pan zwariował.

Strzał był celny. Ryzerman jeszcze mocniej zmrużył oczy, a podejrzliwość i pogarda, aż nazbyt widoczne w jego spojrzeniu, ustąpiły miejsca irytacji.

– I cóż takiego chciałbyś wiedzieć?

Porucznik wstał, a Tom, pewien, że trafił w czuły punkt, ruszył za nim w stronę windy.

– Rozumiem, że kiedy wstawili panu procesor, popadł pan w obłąd. Zastanawiałem się, czy to stało się od razu, w ciągu jednego dnia, czy był to dłuższy, stopniowy proces?

– Dziwi mnie, że w ogóle pytasz o takie rzeczy. Masz jakieś kłopoty ze zdrowiem psychicznym, Raines?! – warknął Ryzerman.

– Nie, po prostu jestem niesamowicie ciekaw.

Porucznik zmierzył go wściekłym spojrzeniem i zacisnął zęby, jakby z trudem powstrzymywał się, żeby go nie uderzyć. W końcu jednak uśmiechnął się nieszczerze i nacisnął guzik jednego z niższych pięter.

– Wszczepienie procesora neuronowego może spowodować trwałe uraz mózgu. Osoby z procesorem są też w większym stopniu narażone na zaburzenia równowagi chemicznej w mózgu niż zwykli ludzie. Dlatego kandydaci na elewów przechodzą bardzo szczegółowe i wyczerpujące badania psychologiczne, zanim się tutaj dostaną.

Badania psychologiczne? Tom wbił wzrok w drzwi windy. Nie przypominał sobie żadnych badań.

– A jeśli chodzi o to, jak szybko dopadła mnie choroba... – Ryzerman strzelił palcami przed twarzą Toma. – Stało się to właśnie tak. Jednego dnia byłem całkiem normalny, a następnego miałem halucynacje i byłem święcie przekonany, że Koalicja zamierza zarzucić cały kraj bombami neutronowymi i tylko ja mogę ją powstrzymać. Wielu z was również może w każdej chwili stracić rozum. Wystarczą tylko odpowiednie cechy genetyczne i jakiś bodziec. To może spotkać każdego. Nawet kogoś takiego jak... powiedzmy, Stephen Beamer?

Tom podniósł wzrok na Ryzermana, zdumiony tym, że porucznik wie o załamaniu nerwowym Beamera. On sam, Vik i Yuri starali się utrzymać to w tajemnicy.

– Tak – dodał Ryzerman groźnym tonem. – Wiem o wszystkim, co dzieje się



w tych murach. I dowiem się, co robiłeś z moim interfejsem neuronowym. Możesz być tego pewien, Raines.

\* \* \*

Beamer już wcale nie wychodził ze swojego pokoju. Kiedy przestał się pokazywać na zajęciach, a nawet na odprawie śniadaniowej, po Wieży rozeszły się plotki, że zostanie wyrzucony, odesłany do

domu, a może nawet do szpitala dla psychicznie chorych.

Tymczasem gry wojenne trwały w najlepsze. Tom nauczył się w końcu programować, bo tylko w ten sposób mógł pokonać Karla. Pewnego dnia, dwa tygodnie po rozpoczęciu konfliktu, wszedł do windy i natknął się tam właśnie na Mastersa. Obaj aż podskoczyli na swój widok i sięgnęli do klawiatur, które nosili na przegubach. Karl zaatakował Toma wirusem, który kazał mu mówić różnymi językami, Tom zaś umieścił w procesorze Karla program zmuszający go do ciągłego skręcania w prawo.

Podczas gdy Masters kręcił się w kółko pośrodku windy, Tom dotarł, nieco spóźniony, na zajęcia z matematyki.

Vik spojrzał na przyjaciela, kiedy ten siadał obok niego w ławce.

– Gdzie byłeś? – spytał.

– Oladae holovii inuladus – odrzekł Tom.

– Złapałeś Lindę Blair<sup>14</sup>, co?

Tom próbował odpowiedzieć twierdząco, lecz wrzasnął przeraźliwie:

– Pożrę twoją duszę!

Doktor Lichtenstein spojrzał z niepokojem w ich stronę. Vik zachichotał.

– Co takiego, Tom? Możesz powtórzyć?

Tym razem Tom odpowiedział w sposób niewerbalny, pokazując przyjacielowi wyprostowany palec.

\* \* \*

Tymczasem Yuri postanowił wreszcie kierować się uczuciami, a nie tylko rozsądkiem, i usiłował namówić Wyatt na wspólne wyjście do miasta.

Problem polegał na tym, że jego aluzje nie trafiały do dziewczyny, która nie umiała odczytywać tego rodzaju sygnałów.

Tom i Vik obserwowali poczynania Rosjanina z fascynacją i rozbawieniem. Ledwie powstrzymywali się od śmiechu, gdy na zajęciach Yuri ostentacyjnie ziewał, a potem obejmował Wyatt ramieniem, ta zaś skarżyła się, że zabiera jej miejsce. Kiedy Yuri zapraszał ją do kina, mówiła, że proponowany przez niego film to straszny kicz. W końcu Rosjanin zdołał ją przekonać, by wybrała się

z nim do muzeum, lecz i wtedy Wyatt nie domyśliła się, o co naprawdę mu chodzi, bo spytała Toma i Vika, czy z nimi pójdą.

– Jasne, że pójdziemy – odpowiedział Tom i uśmiechnął się bezwstydnie, a Vik przesłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

Chłopcy założyli się o to, kiedy Yuri zdoła wreszcie zdobyć względy Wyatt, a Tom przegrałby zakład, gdyby doszło do tego tak szybko.

W sobotę wybrali się więc wszyscy do Instytutu Smithsona<sup>15</sup>. Tom i Vik szli kilka kroków za Yurim i Wyatt.

– Jeśli będziesz im przeszkadzał, przegrasz – poinformował Vik przyjaciela, gdy mijali wystawę o ludziach jaskiniowych.

– Daj spokój. Sami sobie przeszkadzają.

– Patrz, chyba w końcu to zrobi – syknął Vik i złapał Toma za ramię.

Przykucnęli za modelem tygrysa szablastozębego i obserwowali parę z ukrycia. Wyatt wpatrywała się w szkielet mamuta, a Yuri w nią. Na twarzy Rosjanina malował się wyraz determinacji. Pochylił się i wyciągnął ręce, by wziąć dziewczynę w ramiona, lecz ta odwróciła się w tym samym momencie i uderzyła czołem w jego czoło.

Tom parsknął śmiechem. Vik zakrył mu usta dłonią, by stłumić ten zdradliwy dźwięk.

– Au! – jęknęła Wyatt. – Dlaczego uderzyłeś mnie głową?

– Ja... ja tylko...

Tom opadł na posadzkę, dusząc się ze śmiechu. Nie mógł się podnieść. Po prostu nie mógł. Vik zaciągnął go do sąsiedniej sali i również osunął się na podłogę, zaśmiewając się do łez.

– To było... takie... – wykrztusił, gdy w końcu odzyskał głos – ...po prostu... cała Enslow.

Tom wciąż trzymał się za brzuch.

– Płać, Vik. Ratuj resztki godności.

Zwiedzający zaczęli przyglądać im się z ciekawością, ale też potępieniem. Vik się podniósł. Tom po chwili do niego dołączył.

– Nie poddam się, Raines. Yuri może jeszcze raz spróbować. Stawiam podwójną sumę, że Android do wieczora zdobędzie Męskie Ręce.

– Naprawdę mi tyle zapłacisz? Jedyne, co może się udać Yurimu, to... – Tom nagle zamilkł.

Wyatt stała w drzwiach i wpatrywała się w nich, blada jak ściana. Uśmiech zniknął z twarzy Vika, a Tom poczuł się jak największy dupek świata.

– Rozumiem – odezwała się po chwili Wyatt. – Zastanawiałam się, dlaczego

właściwie zaprosiliście mnie do miasta, ale teraz już wszystko rozumiem. To miał być żart, tak?

Tom zamrugał oczami. Chwileczkę, ona myślała, że wszyscy brali w tym udział?

Za plecami Wyatt pojawił się Yuri.

– Chłopaki, może zechcielibyście...

Dziewczyna odwróciła się raptownie i go odepchnęła.

– Zostaw mnie!

Twarz Rosjanina stężała, przejęta niemal fizycznym bólem.

– Jeśli szukasz ofiary, z której będziesz mógł się nabijać ze swoimi przyjaciółmi, to znajdź sobie kogoś innego!

Wyatt odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Tom stał przez chwilę w bezruchu, a Yuri pocierał obolałe czoło i patrzył bezradnie na oddalającą się dziewczynę.

– Źle to rozegrałem – westchnął.

– Tu nie chodzi o ciebie, stary – zapewnił go Vik, który miał równie udręczoną minę jak Tom.

Hindus spojrzał bezradnie na przyjaciela. Tom wypuścił głośno powietrze.

– Rozumiem. – Skinął głową, po czym odwrócił się i ruszył śladem Enslow.

\* \* \*

Znalazł ją przed muzeum. Stała na chodniku z rękami skrzyżowanymi na piersiach, co jakiś czas sięgając do twarzy, by otrzeć ją

skrajem rękawa. Tom nie przypuszczał, że cokolwiek może skłonić ją do płaczu. Czuł się naprawdę jak najgorsza świnia.

– Daj spokój, Wyatt, nie płacz.

Dziewczyna podskoczyła, przestraszona.

– Nie płaczę! Mam alergię. – Ruszyła w kierunku stacji metra, ale Tom nie odstępował jej na krok.

– Nie możesz tak prostu sobie pójść, rozumiesz?

– Nie jestem głupia. – Odwróciła się i spojrzała na niego gniewnie. – Wiem, że ludzie mnie nie lubią. Myślałam tylko, że Yuri... że wy jesteście inni.

Tom otworzył i zamknął usta, nie wiedząc, co powinien powiedzieć. Widział, że Wyatt jest w fatalnym stanie, podobnie jak Beamer po wtargnięciu, i że jeśli nie rozegra tego we właściwy sposób, cała historia może zakończyć się równie niefortunnie. Nie był tylko pewien, jak wygląda ten właściwy sposób.

Elliot ostatecznie nie udzielił mu lekcji na temat wrażliwości emocjonalnej,

a teraz bardzo przydałaby mu się taka wiedza.

– Posłuchaj, Wyatt. Yuri rzeczywiście jest inny. To naprawdę miły facet. A ja... Ja nie jestem.... Wyluzuj już, dobra? Wcale nie powiedziałem, że cię nie lubię. Jesteś w porządku dziewczyna.

Wyatt tylko parsknęła.

– Posłuchaj – mówił dalej Tom. – Vik i ja jesteśmy trochę stuknięci. Ten zakład nic nie znaczył. Tylko się wygłupialiśmy. Yuri nie miał o nim pojęcia, rozumiesz? Wcale nie próbowaliśmy cię wkręcić. A Yuri po prostu się w tobie zakochał.

– We mnie – powtórzyła słabo Wyatt.

– Tak. Daj spokój, na pewno to zauważyłaś. Nawet nie zgodził się nam pomóc, kiedy chcieliśmy cię zaatakować w grach wojennych.

– Ale jego przyjaciel Vik mówi o mnie Męskie Ręce.

– To tylko taki żart! Vik prawie wszystkim nadaje jakieś przezwiska. Jest trochę stuknięty na tym punkcie. To wcale nie znaczy, że wszyscy faceci na świecie myślą tak samo. Poza tym możesz się na Viku odegrać, możesz mu powiedzieć, że myśli tak dlatego, że sam ma delikatne, dziewczęce dłonie. Tak to działa. Poza tym wcale nie jesteś... no wiesz. Męska. Jesteś ładna. Naprawdę.

Wyatt zatrzymała się w końcu, jakby postanowiła jednak przemyśleć słowa Toma.

– To jak, dasz Yuriemu szansę? Wiesz, on próbował cię pocałować i przypadkiem stuknęliście się głowami. Yuri myśli, że uciekłaś przez niego, że to wszystko jego wina. Teraz musi się czuć naprawdę paskudnie.

Wyatt spojrzała na niego bezradnie.

– Więc co mam zrobić?

– Po prostu wróć tam i... nie wiem. Nie bij go? Albo coś?

– A co z waszym zakładem?

Tom potarł dłonią kark.

– Lubisz Yuriego?

Wyatt zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Tak? Nie? – nalegał Tom. – Jeśli nie, to powinnaś mu to powiedzieć.

– Tak. Tak, okej?

Tom wzruszył ramionami.

– W takim razie przegrałem.

opętanej przez demona w horrorze Egzorcysta.

[15](#) Instytut Smithsona – największy na świecie kompleks muzeów i ośrodków edukacyjno-badawczych, mieszczący się głównie w Waszyngtonie.

## Rozdział 18

# KLUB BERINGERA

Tom nie wrócił do muzeum. Pomyślał, że lepiej będzie dać Wyatt i Yuriemu szansę, by wyjaśnili sobie wszystko sami. Był pewien, że Vik również wkrótce opuści budynek i będzie chełpił się swoją wygraną.

Stał więc na krawężniku i cierpliwie czekał, gdy nagle tuż przed nim zatrzymała się limuzyna, a z jej luksusowego wnętrza dobiegł głos:

– Tomie Raines! Wsiadaj!

Tom znał ten głos aż nazbyt dobrze. Powiódł wzrokiem w stronę limuzyny i napotkał spojrzenie Rodericka.

– Jestem zajęty

– Nie, wcale nie jesteś – odparł Roderick. – Wsiadaj. Czekałem już wystarczająco długo, żebyś wyszedł. Chodź.

– Czego chcesz?

– Nie bądź niegrzeczny.

Kierowca wysiadł z auta i otworzył drzwi przed Tomem. Chłopiec przypomniał sobie, że Roderick pracuje dla Montando i że nie może go tak po prostu zbyć.

Wsiadł do samochodu, opadł na fotel naprzeciwko Rodericka i włożył ręce do kieszeni.

– Nie mogę jechać daleko.

– Jasne. – Mężczyzna skinął głową na kierowcę i po chwili mknęli już ruchliwymi ulicami Waszyngtonu. – Jak leci, stary? Słyszałem, że prowadzicie te... jak to się nazywa...

– Gry wojenne.

– To dobrze, to dobrze, poćwiczycie trochę. – Roderick nalał sobie do szklanki odrobinę brązowego płynu, a potem podsunął butelkę Tomowi. – Whisky?

Tom pokręcił głową.

– Nie wolno nam.

– Myślisz, że wyrzuciliby cię za to z Wieży? Wiem, że mają określone zasady, ale wystarczy jedno moje słowo, a nikt nie odważy się zwrócić ci uwagi.

– Nie lubię alkoholu.

Sam zapach whisky przyprawiał Toma o mdłości. Zbyt często widział, jak pijany Neil zatacza się i wygaduje kompletne bzdury, by teraz chciał chociaż dotknąć tego świństwa.

Roderick pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Przypomina ci twojego starego, co?

Tom zacisnął pięści. Miał ochotę wyrwać Roderickowi szklankę z dłoni i roztrzaskać ją na jego głowie.

– Nieważne. – Mężczyzna machnął ręką, przechodząc do innego tematu. – Mieliśmy już kiedyś okazję porozmawiać o wsparciu Montando i twojej karierze.

– Tak, i nie bardzo to rozumiem – odparł Tom. – Jestem dopiero kadetem. Daleko mi jeszcze do KomCa.

– Te sprawy rozstrzygają się szybciej, niż przypuszczasz, Tom. W przeszłości nie dbaliśmy wystarczająco o względy kosmicznych wojowników, a potem gorzko tego żałowaliśmy, kiedy inni nas ubiegli. Jesteśmy najpotężniejszą korporacją w Koalicji, więc trudno pojąć, dlaczego mamy w KomCa tylko jednego wojownika.

Tom nagle wszystko zrozumiał. Roześmiał się.

– Hm, jak myślisz, co ich zniechęca? Ty jako przedstawiciel Montando czy ta historia z ludobójstwem?

Roderick zmrużył oczy, ale nie przestał się uśmiechać.

– Moglibyśmy mieć więcej wojowników, gdybyśmy chcieli, ale zależy nam tylko na tych właściwych. Tych, którzy będą umieli nas zadziwić.

Tom zaśmiał się ponownie.

– Karl Masters – powiedział, pewien, że nie musi dodawać nic więcej.

Roderick skrzywił się mimowolnie.

– To całkiem inna historia. A jeśli chodzi o te zarzuty... To, co wydarzyło się na Bliskim Wschodzie, było straszliwą tragedią. Żałujemy tego do dziś, ale w tamtym regionie było tak wiele różnych konfliktów, że gdyby nie bomby, nigdy nie doczekalibyśmy się pokoju. Odkąd zneutralizowaliśmy tamten obszar, na wojnie nie zginął ani jeden człowiek. To dzięki tym bombom obecnie na świecie panuje pokój.

– Jasne, nikt już nie idzie na wojnę – parsknął Tom. – Nie ma innego wyjścia, skoro Koalicja rządzi wszystkimi politykami. A nikt nie odważy się wam przeciwstawić, bo inaczej zniknie z powierzchni ziemi.

– Mówisz jak twój ojciec.

– Nie, to ja. To ja mówię... – Tom zdał sobie nagle sprawę z tego, do czego zmierza. – ...mówię „nie”. Nie ma mowy Nigdy, przenigdy nie pomógłbym Montando. Nawet gdyby była to jedyna szansa, żeby dostać się do KomCa, nie zrobiłbym tego. – Wyjrzał przez okno i uświadomił sobie, że odjechali od muzeum znacznie dalej, niż przypuszczał. – Wypuść mnie, Roderick. Moja odpowiedź brzmi „nie” i nic jej nie zmieni. Sprawa zakończona.

– Nie wygłupiaj się, Tom. Nie musisz podejmować decyzji dzisiaj.

– Już ją podjąłem.

– W porządku. – Roderick podniósł szklankę do toastu. – Już ją podjąłeś. Ale nie zaprosiłem cię tutaj, żeby rozmawiać o tym, co ty możesz dla nas zrobić, Tom. Chciałem ci pokazać, co my możemy zrobić dla ciebie.

– Nie ma na świecie rzeczy, która skłoniłaby mnie do zmiany zdania.

– Oczywiście. Oczywiście. Chcę tylko, żebyś rzucił na coś okiem. O nic więcej cię nie proszę.

Limuzyna się zatrzymała i Roderick czekał, aż szofer otworzy przed nim drzwi – jakby samodzielne wyjście z samochodu było dla niego zbyt trudnym zadaniem. Tom wysiadł za nim. Stali na zacienionej ulicy, przy rozłożystych drzewach, pod którymi zalegało wilgotne powietrze. Tom dojrzał w oddali kopułę Kapitolu.

Roderick podszedł do drzwi opuszczonego budynku, na których widniał napis **OBIEKT STRZEŻONY**.

– Chodź, Tom – powiedział, stukając palcem w drzwi. – To oznacza, że dziś jest otwarte. Kiedy wywieszają tabliczkę

**UWAGA, ZŁY PIES**, jest zamknięte. Napisy typowe dla podmiejskich dzielnic, prawda? To taki nasz mały żart.

Tom miał dość. Chciał wracać do Wieży.

Rozejrzał się dokoła, jednak nie widział nigdzie stacji metra ani nawet postoju taksówek. Mógłby pójść gdzieś dalej i go poszukać, ale Roderick wszedł już na klatkę schodową, a Tom był ciekaw, co właściwie chciał mu pokazać. Ruszył więc za nim schodami w dół, do podziemi budynku.

Im głębiej schodzili, tym więcej mijali drzwi i tym ładniej wyglądała klatka schodowa. Drewniane skrzypiące stopnie zamieniły się w eleganckie marmurowe schody, a byle jak otynkowane odrzwia przyjęły postać rzeźbionych portyków. Na samym dole Roderick pochylił się i przysunął oko do czytnika siatkówki. Metalowa siatka w przejściu podniosła się niczym krata w bramie twierdzy i otworzyła im drogę do wnętrza następnego pomieszczenia.

Znaleźli się w obszernej sali z barem z polerowanego szkła. Sufit i ściany



zakrywał olbrzymi ekran, na którym wyświetlał się piękny zielony krajobraz, w niewielkich niszach wokół sali stały stoły z krzesłami.

Roderick, obracając się, zatoczył ręką koło.

– To jest Klub Beringera, Tom. Tutaj przychodzi wypoczywać elita Waszyngtonu. Politycy, członkowie Koalicji, ambasadorowie i różni bardzo wpływowi ludzie, o których być może nawet nie słyszałeś. Ogólnie rzecz biorąc, najważniejsze i najbogatsze osoby w społeczeństwie. Teraz ty także możesz tu przychodzić. Jako elew Wieży masz pewnie Monetę Uznania?

Tom sięgnął do kieszeni i wyjął monetę z napisem „Amerykańskie Siły Układu Słonecznego”. Dostawali je wszyscy kadeci, by w razie potrzeby potwierdzić swoją tożsamość.

Roderick postukał w monetę swoim wypielegnowanym palcem.

– To jest twoja przepustka do tego miejsca, Tom. Możesz tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz. Możesz też zamawiać, co zechcesz, ja za wszystko zapłacę. Potraktuj to jako pierwszą z wielu okazji do poznania „właściwych ludzi”.

– Ja należę raczej do tych niewłaściwych – odrzekł Tom, rozglądając się dokoła.

Strzałki z napisami kierowały gości do różnych atrakcji, jakie oferował ten przybytek: sauny, kortów tenisowych, spa i innych miejsc, które w ogóle nie interesowały Toma.

Odwrócił się, by powiedzieć o tym Roderickowi, lecz w tej samej chwili dostrzegł po drugiej stronie sali panel do gier.

Roderick zachichotał.

– Ach, to także, oczywiście. Głównie korzystają z tego dzieci kongresmenów, czasami przychodzą też ludzie z Wieży. Dlatego mamy tu osobne pokoje z dostępem do wirtualnej rzeczywistości. Nawet porty procesorów neuronowych.

– Co? Mógłbym się tutaj podłączyć?

– Członkowie Kompanii Camelotu przychodzą tu dość często, Tom. Tutaj mogą poczuć się wreszcie swobodnie. Każda transmisja w Wieży jest monitorowana. Trochę cię to ogranicza, kiedy na przykład chcesz się spotkać z dziewczyną albo wejść do niektórych symulacji. – Pochylił się i uśmiechnął znacząco. – Pamiętam, jak byłem nastolatkiem.

Tom zrozumiał aluzję, choć wcale nie podobał mu się obleśny uśmiech na twarzy Rodericka.

„Ten facet spotyka się z moją mamą” – pomyślał zniesmaczony.

– Robisz to wszystko dla mnie z dobroci serca? – spytał.

– Zgadza się – odpowiedział Roderick. – Uważam, że akty szczodrości wcześniej czy później do nas wracają.

Innymi słowy, chciał, by Tom tutaj przychodził, zadłużył się, a potem czuł się zobowiązany do spłaty długu. Chłopiec zerknął ponownie w stronę neuronowych portów. Pomyślał, że warto byłoby mieć swobodny dostęp do internetu, ale nie za wszelką cenę. To miejsce wywoływało w nim niedobre skojarzenia. Ludzie rozmawiali ze sobą półszepem, otoczone parawanami stoliki były oddalone od siebie o co najmniej trzy metry, przy każdym zamówieniu klienci zbliżali oko do czytnika, to samo musieli robić, by wejść do sali. Brak okien i stalowa siatka w drzwiach sprawiały, że Tom sam nie wiedział, czy jest to ekskluzywny klub, czy ekskluzywne więzienie.

– No dobrze, dzięki, że mi to wszystko pokazałeś. Teraz muszę już wracać.

Ale Roderick przywołał gestem jednego z pracowników klubu, potężnie zbudowanego mężczyznę o grubym karku i krótko przyciętych włosach.

– Hayden, możesz pokazać panu Rainesowi pokój z portem dostępu? Potem trzeba go będzie zawieźć do Pentagonu.

Hayden skinął głową.

Tom, zirytowany, ruszył za mężczyzną.

– Nikt nie musi mnie odwozić. Sam znajdę stację metra.

Hayden odsunął się, odsłaniając pomieszczenie z portem neuronowym. Tom ogarnął je spojrzeniem. Tak, wyglądało całkiem przyjemnie. Z pewnością było przytulniejsze niż sala w Wieży, nie wspominając o tym, że zamiast metalowych łóżek stały tu wygodne rozkładane fotele, z których każdy był wart zapewne tyle co roczna pensja przeciętnego Amerykanina.

– Bardzo fajne. Teraz muszę już...

Ale Hayden parł naprzód, wpychając Toma do pokoju niczym ruchoma ściana. Kiedy chłopiec próbował przejść obok niego, mężczyzna chwycił go za rękę i siłą zaprowadził do fotela.

– Zaraz, zaraz! – wrzasnął Tom, szarpiąc się w jego uścisku. – Co ty robisz? Puszczaj mnie!

W drzwiach pokoju pojawił się Roderick.

– Hayden, potrzebujesz pomocy? Mogę jeszcze kogoś zawołać.

– Dam sobie radę. – Hayden przycisnął Toma do fotela z taką siłą, że chłopiec nie mógł oddychać. Potem szeroka dłoń chwyciła go za podbródek i unieruchomiła jego głowę. Tom kopnął napastnika – miał wrażenie, że równie dobrze mógłby kopać ścianę – i w tej samej chwili poczuł znajome ukłucie

na karku. Wtyczka kabla neuronowego wsunęła się do gniazda w pniu jego mózgu.

Pole widzenia Toma ograniczyło się nagle do niewielkiego kręgu, stracił czucie w kończynach. Przypominało to początek sesji na symulacjach stosowanych, ale tym razem chłopiec nie przeniósł się do innego świata, nie znalazł się w środku symulacji. Czuł tylko dobrze mu znany paraliż mięśni, otępienie zmysłów. Hayden ułożył go na plecach. Tom spojrzał na niego ze zgrozą. Co oni mu robili?

Mężczyzna w końcu go puścił. Tom zdołał otworzyć usta:

– Co... Co... – mamrotał.

– Mam zaczynać, proszę pana? – spytał Hayden niskim, dudniącym głosem.

– Tak, przygotuj wszystko – odrzekł Roderick. – Chłopak nie chce współpracować, więc najpierw tym się zajmij. Na początek wprowadź modyfikację zachowania. – Pochylił się, by zobaczyć, co pisze Hayden. – Tak, właśnie ten program. To potrwa jakieś cztery godziny?

– Mniej więcej. I proponuję, żeby na razie na tym poprzestać. W Pentagonie mogliby się trochę zdziwić, gdyby znaleźli w jego głowie za dużo danych nieznanego pochodzenia.

– Zgoda. Resztę załadujemy stopniowo. Będzie nam znacznie łatwiej, kiedy chłopak zacznie z nami współpracować. Pamiętaj, żeby zainstalować mu coś, co zmusi go do powrotu po następny pakiet oprogramowania. Spróbujemy go też ściągnąć w tygodniu.

Tom czuł, jak ogarnia go coraz większa panika. Próbował się poruszyć, zejść z fotela. Nie mógł.

– Roderick, co ty mi robisz?

Roderick wyjął z kieszeni cygaro.

– Zawsze zwracasz się do mnie po imieniu. To świadczy o braku szacunku, Tom. Od tej pory mów do mnie „panie Cohagen”.

– Wypuść mnie, Roderick, albo cię zabiję!

Roderick zapalił cygaro i zaciągnął się dymem. Zapiszczały kółka, ktoś przysunął mu krzesło. Usiadł obok Toma i założył nogę na nogę.

– Nie ma się czego bać, Tom. To nie będzie bolało. – Obojętne wzruszenie ramionami. – A przynajmniej tak mi mówiono.

– Dlaczego to robisz?

Tom wyteżył wzrok, szukając Haydena, który pisał coś na klawiaturze. Coś, co miało trafić do jego mózgu. Ta myśl przyprawiała go o mdłości. Co chcieli wsadzić mu do głowy?

Roderick zachichotał. W powietrzu unosił się dym z jego cygara.

– Daj spokój, synu, myślałeś, że zostawię ci swobodę wyboru? Naprawdę? Jesteś aż tak naiwny?

Tom gotował się ze złości. Udusiłby tego człowieka gołymi rękami. Zrobiłby to, gdyby tylko mógł się ruszyć.

– Wypuść mnie albo wepchnę ci to cygaro do gardła!

– Wypuszczę cię, Tom, wypuszczę, już niedługo. I będziesz wtedy znacznie lepszym chłopcem. Musisz się jeszcze bardzo zmienić, jeśli masz z nami pracować.

– Nie będę z wami pracował!

– Spokojnie, Tom. Zapewniam cię, że będziesz. Naprawdę doskonale się składa, że jesteś teraz kimś znaczącym. Wygląda nawet na to, że masz protektora, bo ktoś bezustannie podsyła do Komisji Obrony twoją kandydaturę na członka Kompanii Camelotu. Robi to, odkąd pojawiłeś się w Wieży, choć nie mam pojęcia dlaczego.

Tom był tak zdumiony, że zapomniał na moment o strachu.

– Nie mógłbyś reprezentować Montando z takimi poglądami na temat naszej firmy. – Roderick postukał Toma w czoło. – Dlatego Hayden zainstaluje w twojej głowie trochę danych, dzięki którym

zrozumiesz swój błąd i zapomnisz o wypaczonych opiniach, jakie przekazał ci twój ojciec. Potem będziemy dobrymi kolegami, Tom, zapewniam cię.

– Nie, nie będziemy.

– Och, sam się przekonasz. Aha, i jeszcze jedno... – Roderick trącił chłopca porozumiewawczo w ramię. – Będziesz w Kompanii Camelotu. Zostaniesz prawdziwym bohaterem. Pomyśl tylko o dziewczynach, Tom. Nigdy nie miałeś dziewczyny, prawda? Nie będziesz się mógł od nich opędzić.

– Zamknij się. Po prostu się zamknij.

– Pierwsza partia gotowa, panie Cohagen – zameldował Hayden.

„Nie – pomyślał Tom z przerażeniem. – Nie, nie, nie”.

Roderick zachichotał.

– Udziel naszemu chłopcu pierwszej lekcji.

Informacje zaczęły płynąć szerokim strumieniem do umysłu Toma. Roderick rozsiadł się wygodnie na swoim krześle i zaciągnął cygarem, obserwując twarz chłopca, gdy programy najpierw ładowały się do jego procesora neuronowego, a potem przekazywały określone dane do mózgu. Tom walczył z nimi. Zaciskał zęby i walczył, odrzucając je. Początkowo.

Potem sam już nie wiedział, co tam powinno być, a czego nie. Nie potrafił

określić, co pochodzi od niego, a co zostało mu narzucone. Strach i opór powoli się ulatniały, odchodziły w nicość. Tom wbił wzrok w sufit i spokojnie przyjmował kolejne komendy i kody; nie pamiętał już, czego tak się bał jeszcze przed chwilą. Leżał w bezruchu i pozwalał, by jego mózg poddawał się modyfikacji.

Roderick przyglądał się z lekkim uśmiechem, jak Tom zamienia się w innego człowieka. Po godzinie Hayden zameldował:

– Pierwsza warstwa zainstalowana.

Roderick podniósł się z krzesła.

– Świetnie. Dobry z ciebie chłopak, Tom. Wkrótce będziemy kumplami, prawda?

Tom podniósł na niego wzrok.

– Eee... tak.

Czuł się dziwnie oszołomiony, ale był pewien, że Roderick ma rację.

– Tak, panie Cohagen, jasne?

– Tak... panie Cohagen.

– Zuch chłopak. – Roderick poklepał Toma po policzku. – Do zobaczenia w przyszłą sobotę.

\* \* \*

Tom nie wiedział, dlaczego Hayden pokazał mu neuronowy port dostępu. Stał na środku pokoju, trzymając się za obolałą głowę, i zastanawiał się, o co mu właściwie chodziło. Wpatrywał się przez moment w port, zdezorientowany. Miał wrażenie, że o czymś zapomniał, że w jego umyśle kołata się jakaś myśl, której nie może umiejscowić i zatrzymać.

– Panie Raines? – Hayden wsunął swą wielką głowę do pokoju. – Pański samochód czeka przed wejściem.

– Och. Tak. – Tom wciąż czuł się dziwnie ogłupiały.

Nie wiedział nawet, co stało się z Roderickiem. Pewnie wyszedł po tym, jak poprosił Haydena, by pokazał mu to miejsce.

Wewnętrzny zegar mówił mu, że jest piąta po południu. Minęło już tyle czasu? Dlaczego... Jak to... Czy... Czy był może...

Coś w jego mózgu ucięło tę myśl.

Ograniczony dostęp.

Ten komunikat rozbrzmiewał w jego głowie jak upiorny refren.

Ograniczony dostęp. Ograniczony dostęp.

Zrobiło mu się zimno, gdy jego myśli starły się z tą frazą, gdy uświadomił

sobie, że nie ma dostępu do części własnego umysłu. Jednak gdy próbował obejść lub pokonać tę barierę, wspomnienia z niedawnej przeszłości wyblakły, a on sam nie pamiętał już, co go tak przeraziło.

W końcu wzruszył ramionami i ruszył w stronę schodów. Nagle tknęła go jakaś myśl. Przystanął i rozejrzał się po Klubie Beringera, niemal już opustoszałym. Wiedział, że musi tu po coś wrócić w przyszłym tygodniu, ale nie pamiętał po co.

Skierował się ponownie do pokoju z neuronowym portem dostępu i spojrzął na fotel, zastanawiając się, dlaczego na jego widok podnoszą mu się włosy na karku. Był pewien, że musi tu coś zrobić. Musi przyjść tutaj w przyszłym tygodniu. Miał jakiś ważny powód.

Ale jaki? Co się z nim dzieło?

Co takiego miałby tu robić za tydzień?

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Rzeczywiście mógł zrobić coś ważnego. Coś, czego bardzo pragnął, a właśnie tutaj, dzięki swobodnemu dostępowi do sieci, mógł w końcu zrealizować.

Ktoś mógłby to uznać za zdradę.

Ale Tom musiał spróbować.

Z drżeniem serca zamknął się w pokoju i podłączył do maszyny. Połączenie z siecią Klubu Beringera wydawało mu się dziwnie znajome, choć korzystał z niego pierwszy raz. A może...

Ograniczony dostęp.

Przerażenie ścisnęło go za gardło, ustąpiło jednak, gdy program w jego mózgu zablokował przepływ informacji z pamięci krótkotrwałej do długotrwałej. Wciąż czuł nieokreślony niepokój, choć nie wiedział dlaczego.

Zalogował się i zajrzał na kilka stron z ogłoszeniami. Doszedł do wniosku, że nie powinien zostawiać wiadomości w zbyt wielu miejscach, by niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Najpierw otworzył tablicę ogłoszeń portalu społecznościowego Zakazane Miasto, a potem wszedł do podobnego serwisu o nazwie Dzieci Moskwy. W obu miejscach zostawił taką samą wiadomość:

Zabijasz mnie swym kamiennym spojrzeniem:

Jestem obłąkany, jasne. Ale zaryzykuję, nawet gdybyś znów ciągnął mnie po piasku i patroszył. Za tydzień o tej samej porze. Ty wyznacz miejsce.

Tom wyjął kabel i odetchnął głęboko. Czy Meduza odbierze jego wiadomość? Czy się pojawi? Czy nie był zbyt subtelny – a może właśnie za bardzo bezpośredni?

Nie wiedział nawet, czy Meduza korzysta z internetu i portali

społecznościowych.

Jednak gdy wyszedł wreszcie z budynku, prosto na słońce, w jego głowie kłębiły się setki myśli i nadziei, a świat wydawał mu się inny niż jeszcze przed kilkoma godzinami, nim zrobił coś

niebezpiecznego i zabronionego. Czuł się tak, jakby pozbył się niewidzialnej osłony, uwolnił z więzów. Cały dzień był dziwny, jakby otulony narkotyczną mgiełką.

W drodze do samochodu znów pomyślał o Rodericku. Może do tej pory nie był dla niego sprawiedliwy. Nienawidził go z całego serca, ale nie wiedział dlaczego.

Przypomniał sobie uśmiech mężczyzny i zapach jego cygara...

Ograniczony dostęp.

Co? Te słowa przeniknęły go niczym prąd o wysokim napięciu, były czymś obcym w jego mózgu. Otworzył szeroko oczy, przerażony. Co to... dlaczego...

Obawy Toma rozplynęły się wraz z tym mglistym wspomnieniem, a jego umysł ponownie skupił się na nieszkodliwych myślach. Neil często mówił, że Montando zniszczyła wszystkie naturalne uprawy i zastąpiła je swoimi genetycznie modyfikowanymi roślinami. Ale prawda wyglądała inaczej. To był wypadek. Stało się tak, bo zboża Montando były lepsze. Tylko przez przypadek firma została właścicielem wszystkich zasobów żywności. Zwykle zapylenie krzyżowe. Jasne, mieli swój udział w tym tragicznym bombardowaniu, ale czy nie ratowali codziennie miliardów ludzi, zapewniając im pożywienie? I może rzeczywiście zmuszali wszystkich, by płacili im za możliwość uprawy zbóż, ale czyż nie był to dla obu stron dobry interes?

Gdy Tom zajął miejsce w limuzynie o przyciemnianych szybach, aż kręciło mu się w głowie od rzeczy, o których nigdy wcześniej nie myślał. Klub Beringera był naprawdę wyjątkowym miejscem. Kierowca już wiedział, że Tom wróci tu za tydzień,

jakby czytał w jego myślach, i zaproponował, że zabierze go w przyszłą sobotę spod Wieży punktualnie o jedenastej.

Chłopiec rozsiadł się w skórzanym fotelu i przez całą drogę powrotną myślał o tym, że być może jednak Roderick jest całkiem fajnym facetem.

## Rozdział 19

# ZŁOCZYŃCY

Kiedy Tom wrócił do Oddziału Aleksandra, przekonał się, że Vik był już wcześniej w Kwaterze Stonewalla i zostawił mu wiadomość: „Płać, frajerze! Parada zwycięstwa na dole”.

Tom przygotował się w duchu na spotkanie z triumfującym przyjacielem, a idąc do windy, zajął do Beamera, by sprawdzić, czy nie uda się wyciągnąć go na kolację.

– Beamer, chcesz... – zaczął, po czym zamilkł w pół zdania.

Na łóżku Beamera nie było pościeli. Olivia Mastenson pakowała do walizki rzeczy chłopca: kilka czasopism, zdjęcie jego dziewczyny, trochę cywilnych ubrań.

– Gdzie jest Beamer?

– Witaj, Tom.

– Gdzie on jest?

Olivia złożyła ręce na piersiach i przysiadła na skraju łóżka.

– Chcesz usiąść?

– Nie – odparł Tom, nie ruszając się od drzwi.

Zniknięcie Beamera oznaczało zmianę. Nie lubił zmian. Przywykł już do myśli, że świat nie musi ulegać przemianie z tygodnia

na tydzień, a teraz znów musiał układać sobie wszystko na nowo.

– Beamer przeżywa bardzo trudny okres. Przez kilka dni będzie na obserwacji. Zbadamy go i przekonamy się, czy potrzebuje pomocy.

– Więc dlaczego pakuje pani jego rzeczy?

Olivia odchrząknęła.

– Prawdopodobnie potrwa to trochę dłużej niż kilka dni.

– Beamer jest teraz wariatem jak Ryzerman?

Olivia wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby próbowała stłumić śmiech, po czym odparła:

– Nie. Beamer przeżywa pewne lęki. Przeżył szok w tamtej symulacji i nie może się z niego otrząsnąć.



– To co się z nim stanie? Nie mogą wyhodować dla niego nowego kawałka mózgu? Czytałem, że można coś takiego zrobić. Może to by mu pomogło?

Olivia zasunęła walizkę.

– Tom, tego rodzaju przeszczepy stosuje się bardzo rzadko: kiedy z jakiegoś powodu noworodek ma za mało substancji szarej w płacie czołowym mózgu albo w przypadku socjopatów, psychopatów i ludzi z uszkodzeniami mózgu. Beamer tego nie potrzebuje. – Spojrzała na niego z powagą. – Nie mogę ci zagwarantować, że tutaj wróci, Tom, ale myślę, że nie powinieneś się o niego martwić. Nie miał zbyt długo procesora neuronowego. W najgorszym wypadku pozbędzie się go i wróci do normalnego życia.

Tom poczuł, że robi mu się słabo. Wiedział, że niepotrzebnie się przejmuje i że Beamer chciał opuścić Wieżę, ale przerażała go świadomość, że tak łatwo i szybko mógł wszystko utracić.

Znalazł Vika, Yuriego i Wyatt na dole.

Yuri był zbyt zajęty trzymaniem Wyatt za rękę, a Wyatt znoszeniem tego uścisku, by którekolwiek z nich mogło się przejąć losem Beamera. Dziewczyna mamrotała coś o programie, który koniecznie chciała mu pokazać, a Yuri próbował jej powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że odwzajemnia jego uczucia. Wydawało się, że tylko do Vika dotarła sensacyjna wiadomość Toma. Skinął głową, jakby wcale go to nie zaskoczyło.

– Myślę, że to było nieuniknione. Nie pomyślałeś o tym, kiedy zaczął opuszczać zajęcia? Nie można robić tego bezkarnie.

– Oni nie chcą go ukarać, Vik. Myślą, że zwariował.

– Posłuchaj, Tom. – Hindus przeciągnął dłonią po włosach. – Beamer jest świetnym facetem. Naprawdę. Jest dowcipny i wyluzowany, ale czasami to może stanowić problem. Przyszedł tutaj i co zrobił? Ludzie daliby sobie uciąć rękę, żeby robić to co my. A co robił Beamer? Spotykał się w sieci ze swoją dziewczyną. Ładował informacje w ostatniej chwili. Umierał najszybciej, jak tylko mógł, w symulacjach i na ćwiczeniach fizycznych.

Tom wpatrywał się z niedowierzaniem w przyjaciela.

– Mówisz tak, jakby na to zasłużył.

– Mówię tylko, że może po prostu nie powinno go tu być. Może nie pasuje do tego miejsca. Pamiętasz te wszystkie testy psychologiczne, które musieliśmy przejść, zanim się tutaj dostaliśmy, wszystkie te badania?

Tom ponownie spojrzał na Vika, później na Yuriego i Wyatt. Jakie badania? Jakie testy? O czym oni mówili?

Dlaczego wszyscy kiwali głowami, jakby doskonale wiedzieli, o co chodzi

Vikowi?

– Beamer powinien był zdawać sobie sprawę z tego, że to poważna sprawa – kontynuował Vik. – I może w końcu sobie zdał.

Te słowa nie były dla Toma żadnym pocieszeniem.

\* \* \*

Gry wojenne miały trwać tylko do środy wieczorem, do godziny dziewiętnastej. Każdy chciał zakończyć je mocnym akcentem, bo potem członkowie Kompanii Camelotu zamykali się we własnym gronie i wyznaczali osobę, która miała być zastępcą Elliota w czasie szczytu na Kapitolu. Kadeci z kolei czekali na informację, czy zostaną promowani na poziom średnio zaawansowany.

Murowaną kandydatką do wygranej była Wyatt Enslow. Zaczęła środowe rozgrywki od wprowadzenia do pakietu danych w ich głowach wirusa, który zakłócał działanie podwzgórza i powodował problemy z regulacją temperatury. Tom i Vik obudzili się, drżąc z zimna, lecz gdy wyszli na korytarz, ociekali potem.

– Musimy dopaść Enslow – burknął Vik. – I pozbyć się choć na chwilę Yuriego!

Rosjanin nie odstępował Wyatt ani na krok, mimo że oficjalnie jego oddział pozostawał w stanie wojny z oddziałem dziewczyny. Co jakiś czas zerkał podejrzliwie na Toma i Vika, jakby pełnił funkcję jej ochroniarza, chłopcy musieli więc pokonać dodatkową przeszkodę, jeśli chcieli dobrać się Wyatt do skóry.

Na ćwiczeniach fizycznych znów drżeli z zimna, brnąc przez lodowatą wodę ku plażom Normandii podczas Operacji Neptun. Nagle ktoś zaczął krzyczeć, że w morzu są syreny.

Tom i Vik spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Nazistowscy ninja i hiperinteligentne karaluchy wielkości słoni były przerażające, ale syreny? Bez przesady.

Kiedy więc ludzie zaczęli znikać pod wodą, Tom uznał, że są po prostu za wolni. Potem w morskich falach zniknął również Vik, co oznaczało, że trzeba się naprawdę pospieszyć, by przetrwać ten etap. Hindus prawie nigdy nie pozwalał się zabić na ćwiczeniach fizycznych. To musiały być wyjątkowo niebezpieczne syreny.

Pociski uderzały w wodę wokół Toma, a nad zboczami wzgórz unosiły się kłęby dymu.

Nagle Tom pomyślał o Rodericku palącym cygaro, o jego uśmiechu i wzroku

skierowanym na...

Ograniczony dostęp.

Te dwa słowa uderzyły w niego z taką siłą, że zadrżał na całym ciele. Co... jak...

Pamięć krótkotrwała znów zaczęła się rozmywać, ustępując miejsca wydarzeniom, które absorbowwały go w tym momencie. Z góry spadał grad pocisków, grzmiały działa, syrena wgryzała się w jego nogę...

– Hej... – zaczął Tom.

Syrena wrzasnęła przeraźliwie i wciągnęła go pod wodę.

Tom westchnął tylko, gdy program pozbawił go możliwości ruchu, a wirtualny potwór zaczął zjadać jego ciało. Śmierć z rąk syreny. Brakowało mu Beamera.

\* \* \*

Każdy z oddziałów miał chwilę chwały. Dżyngis-chani wystraszyli cywilnych instruktorów, gdy zaprogramowali członków innych oddziałów tak, że wszyscy zasnęli nagle w środku zajęć i zaczęli chrapać. Kiedy Tom się obudził, zobaczył kilku nauczycieli, którzy stali na podwyższeniu i rozprawiali z oburzeniem o „braku szacunku” ze strony młodych.

Oddział Aleksandra dostał się do systemu nawigacji w bazie danych Wieży i pozbawił innych elewów umiejętności docierania do celu. Przez cały lunch Tom, Vik i pozostali siedzieli w kantynie i śmiali się do rozpuku, obserwując na podglądzie, jak ludzie, którzy chcieli się dostać do jadalni, trafiali do planetarium, Komnaty Wspomnień, a nawet do starego Pentagonu.

Machiavelli przeprogramowali symulacje stosowane w taki sposób, że kadeci płci męskiej z innych oddziałów zalogowali się do tej samej symulacji, repliki starego klubu, gdzie z potężnych głośników nieustannie płynęła piosenka Y.M.C.A. Wszyscy przez dwie godziny tkwili w tym dziwnym miejscu, rozglądając się niepewnie dokoła, nim wreszcie symulacja dobiegła końca.

Oddział Napoleona wpuścił do sieci trojana, który aktywował się, gdy tylko jego kadeci weszli do kantyny. Wkrótce pozostali kłaniali im się w pas i robili to do samego wieczora.

Tom czekał na grillowaną kanapkę z serem, gdy ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się, zobaczył uśmiechniętą twarz Elliota i bez namysłu złożył mu głęboki ukłon.

– W końcu doczekałem się tego hołdu. – Elliot zachichotał.

Tom zaklął pod nosem.

On sam czekał z Vikiem na odpowiednią chwilę do przypuszczenia finalnego

ataku. Obaj unikali Napoleonów, żeby nie kłaniać im się ciągle w pas, a jednocześnie śledzili na planie Wieży kropkę oznaczającą Wyatt. Zatrzymała się w arboretum, prawdopodobnie po to, by coś poczytać. W odróżnieniu od pozostałych elewów spoza Oddziału Aleksandra nie błąkała się po całym kompleksie, szukając drogi do swojej kwatery. Yuri wyznał im kiedyś, że Wyatt zaprogramowała specjalnie dla siebie Matkę wszystkich zapór, jednak nabrał wody w usta, kiedy zaczęli wypytywać go o szczegóły.

Ale Tom i Vik zostali już tyle razy sponiewierani przez Wyatt, że musieli się na niej odegrać. Doktorzy Śmierci przygotowali precyzyjny plan zemsty. Tom miał odegrać rolę przynęty, ściągnąć na siebie atak Wyatt i opóźnić jej reakcję, a wtedy Vik zamierzał wyskoczyć z ukrycia i zaatakować ją druzgocącym programem – połączeniem Lindy Blair, Nigela Harrisona, Idź tylko w prawo, Tajnego ataku ninja i oczywiście Głośnego i częstego pierdzenia.

Żaden z tych programów oddzielnie zapewne nie przedarłby się przez zapórę Wyatt, lecz wypuszczane kolejno sparaliżowałyby system na tyle, by choć jeden z nich przedostał się do procesora dziewczyny i odpłacił jej pięknym za nadobne. Nim doszłaby do siebie, gry wojenne już by się zakończyły, więc nie mogłaby się na nich odegrać. Chłopcy zdołali nawet zwabić Yuriego do Komnaty Wspomnień i zamknąć go tam na klucz, aby nie mógł przyjść z pomocą swojej dziewczynie.

Tom sprawdził godzinę. Osiemnasta pięćdziesiąt pięć. Dotarli do arboretum i zajęli pozycje. Tom pokazał Vikowi podniesiony kciuk.

– Już czas. Wchodzę, Doktorze.

– Powodzenia, Doktorze.

– Doktorze... – Tom żałował, że już wkrótce będą musieli pożegnać się z tym tytułem.

Począł, aż Vik się ukryje, po czym ruszył w stronę Wyatt, pogwizdując pod nosem.

Dziewczyna siedziała pod paprocią i czytała książkę. Kiedy Tom ją zobaczył, wydał z siebie okrzyk przestachu, na co Wyatt zerwała się na równe nogi, zrzucając książkę i sięgając do klawiatury.

– Chwileczkę, chwileczkę. – Tom podniósł ręce i schował się za jedną z roślin doniczkowych. – Nie wiedziałem, że tutaj jesteś.

Wyatt przyjrzała mu się uważnie, gdy w końcu wyszedł zza szerokich liści.

– Nie wiedziałeś?

– Pewnie, że nie. Przyszedłem tutaj, żeby ukryć się w ostatnich minutach gier wojennych. – Włożył ręce do kieszeni i uśmiechnął się bezradnie. – Możemy

to rozegrać na spokojnie?

Wyatt podniosła książkę i ponownie usiadła pod paprocią.

– Jesteś już zmęczony tą nieustanną walką?

– O tak, ciągle muszę się mieć na baczności... To wyczerpujące. – Tom zobaczył, jak Vik wysuwa się z ukrycia za plecami Wyatt, i zachichotał w duchu.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z uwagą.

– Możesz mi coś powiedzieć, Tom? Coś ważnego?

Chłopiec zawahał się, ale nie dał jeszcze sygnału Vikowi.

– Co takiego?

Wyatt opuściła wzrok na swoją książkę.

– Chciałam tylko wiedzieć, jak bardzo, twoim zdaniem, jestem głupia?

Tom zamrugał oczami.

– Co?

– Mówię poważnie. Czy naprawdę masz mnie za idiotkę? Uwielbiasz walczyć. Robiłbyś to cały czas, gdybyś tylko mógł. Jesteś takim brutalem, że byłbyś Dżyngis-chanem, gdybyś nie kochał walczyć tak bardzo, że musiałeś zostać Aleksandrem.

– To nie... ale...

– Przypuszczam, że teraz próbujesz tylko odwrócić moją uwagę, podczas gdy Vik skrada się gdzieś za mną, żeby zaatakować mnie paskudnym programem.

Vik zamarł w bezruchu. Tom czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Wcześniej ukryli sygnał Vika przed programem namierzania Wieży, ale najwyraźniej nie zrobili tego wystarczająco dobrze.

– Oczywiście. – Wyatt odłożyła książkę. – Nie mieliście jednak pojęcia, że to ja was tutaj zwabiłam. Nie podejrzewaliście nawet, że od dawna planowałam tę ostateczną rozgrywkę.

– Ostateczną rozgrywkę? – powtórzył Tom z niedowierzaniem.

Vik poruszał bezgłośnie ustami jak ryba wyrzucona na brzeg. Nie tak to miało wyglądać. To Wyatt miała wpaść w ich pułapkę, a nie oni w jej. To ona ich tutaj zwabiła?

Wyatt posępnie skinęła głową.

– Widzisz, Tom, obaj postępujecie zgodnie z moimi przewidywaniami. Wiedziałam, że spróbujecie zwabić mnie w pułapkę. Liczyłam na to. Co więcej, uruchomiłam już...

Minęła godzina dziewiętnasta. Gry wojenne dobiegły końca. Tom nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Stał nieruchomo, zszokowany. Vik postąpił krok do przodu.

– Co... co...

Kiedy Tom spojrział ponownie na dziewczynę, ta uśmiechała się szelmowsko.

– Mam was, chłopaki.

– Wcale nie – zaprotestował. – Chciałaś nas właśnie zaatakować jakimś diabelskim programem. Sama to powiedziałaś. Zabrakło ci czasu.

– Naprawdę uwierzyłeś, że was tutaj zwabiłam? Nie. Yuri zawiadomił mnie, że zamknęliście go w Komnacie Wspomnień, więc domyśliłam się, że spróbujecie mnie zaatakować. Nie miałam nawet w pogotowiu żadnego przyzwoitego programu, dlatego postanowiłam was zagadać, dopóki czas się nie skończy.

– Co takiego? – zdumiał się Tom.

Wyatt chwyciła Vika za rękę, na której nosił klawiaturę, i wywołała kod źródłowy ich wielkiego ataku.

– Brawo. – Pokiwała głową z uznaniem. – Myślałam, że jesteście okropnymi programistami, ale ten program naprawdę robi wrażenie. Gdybyście go użyli, nie mogłabym się obronić. I zrobilibyście to w ostatniej chwili, więc nie miałabym się nawet kiedy zemścić.

Tom i Vik wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami, oniemiaли ze zdumienia.

– To niesamowite, jak niewiele brakowało, byście mnie pokonali – rozmyślała głośno Wyatt, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. – Muszę was o coś zapytać. O coś ważnego... Jak smakuje porażka? Jest gorzka? Widzicie, jestem ciekawa, bo sama jeszcze nigdy jej nie doświadczyłam.

Tom tylko patrzył na nią w milczeniu. Naprawdę była diabolicznym złoczyńcą.

Wyatt przyglądała im się jeszcze przez jakiś czas, jakby nie mogła się nasycić tą chwilą ostatecznego triumfu. W końcu odwróciła się do wyjścia, rzucając na odchodnym:

– Potraktujcie to jako podziękowanie za tamtą historię z zakładem.

\* \* \*

Kiedy już wrócili do Kwatery Stonewalla, Tom westchnął.

– Przykro mi, Vik.

– Nie rozumiem tego. – Hindus kręcił głową. – Przemówienie superzłoczyńcy, w którym wyjaśnia cały swój podły plan, ostatecznie mu szkodzi, a nie pomaga.

Spojrzał na Toma z taką konsternacją na twarzy, że ten parsknął śmiechem.

– Może to my jesteśmy superzłoczyńcami, stary.

– Doktorzy Śmierci?

– Tak. Mamy tylko groźny pseudonim, ale poza tym należymy do tych

patałachów, którym nigdy nic nie wychodzi.

Przed zgaszeniem świateł zastanawiali się wspólnie, co powinni zrobić, by w następnej rundzie gier wojennych działać skuteczniej

niż do tej pory. Gdy zapadła ciemność, Tom usłyszał ciche kliknięcie – to Vik podłączył kabel do swojego procesora i zaczął ładowanie zadania domowego. Miał już zrobić to samo, gdy nagle ogarnęło go dziwne uczucie, nieokreślony i przejmujący niepokój.

Wyskoczył z łóżka, choć sam nie wiedział dlaczego. Umysł podpowiadał mu, że musi wyjść na zewnątrz. Tom posłuchał tego głosu, ale gdy już znalazł się na korytarzu, niepokój wcale nie ustąpił. Musiał opuścić swój oddział, co było niezgodne z przepisami, jednak to zrobił. Przeszedł do świetlicy i stanął w ciemnościach.

„Co ja tutaj robię? Co ja tutaj robię?” – zastanawiał się nieustannie.

Nagle rozsunęły się drzwi innego oddziału. W wejściu do kwater Dżyngischanów stanął Karl Masters.

– Chodź – powiedział i cofnął się do korytarza swojego oddziału, nie czekając na Toma.

Chłopiec przebiegł przez świetlicę, by zdążyć za Karlem, nim zasuną się drzwi, choć jego mózg omal nie eksplodował ze zdumienia. Co on robi? Co się z nim dzieje?

Karl wszedł po schodach na wyższe piętro Oddziału Dżyngis-chana. Otworzył drzwi pustej Kwatery Meade'a i wpuścił Toma do środka.

– Jesteśmy na miejscu, Burku. – Masters otworzył pudełko i wyjął ze środka pendrive połączony z kablem neuronowym.

Tom wpatrywał się w niego, zdezorientowany.

– Nie wiem, dlaczego tu jestem.

– Tak, rozumiem. Kładź się na łóżku. Na brzuchu.

Serce Toma waliło coraz mocniej i mocniej. Położył się posłusznie na pryczy, choć wszystko się w nim buntowało. Karl mógł go teraz bez przeszkód pobić, a on nie umiałby nawet wytłumaczyć, dlaczego trafił do Oddziału Dżyngis-chana po zgaszeniu świateł.

– Byłem wściekły, kiedy mi powiedzieli, że to ty będziesz pracował z Montando – mówił tymczasem Karl. – To moja działka, jasne? Ale prawie umarłem ze śmiechu, gdy się dowiedziałem, że odmówiłeś. Z przyjemnością sobie popatrzę, jak cię będą sterylizować, Burku. Masz się za twardziela, co? Zobaczymy, jaki będziesz twardy, kiedy już wsadzą ci do mózgu te wszystkie programy. Za kilka tygodni będziesz warzywem.

Tom zacisnął zęby. Nienawidził teraz tej kwadratowej twarzy bardziej niż kiedykolwiek. Nie musiał znać przyczyn całej tej sytuacji, by zrozumieć, że dzieje się tu coś strasznego i że Karl bierze w tym udział.

– Nie chcę tego – zdołał wykrztusić, zanim Dżyngis-chan podszedł do niego z kablem w dłoni.

– To masz pecha. Miłych snów, Lassie. – Karl włożył wtyczkę do pnia jego mózgu.



## Rozdział 20

### GŁOS

W sobotę o jedenastej rano pod Wieżę zajechał prywatny samochód, który zabrał Toma do Klubu Beringera. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem OBIEKT STRZEŻONY, co oznaczało, że lokal jest otwarty. Tom zszedł po schodach, przytknął Monetę Uznania do czytnika i wszedł do środka.

Hayden już na niego czekał. Zaprowadził go do stolika, przy którym Roderick popijał whisky. Mężczyzna zmierzył go wzrokiem, a potem wskazał na krzesło.

– Siadaj i zamów sobie lunch, Tom. Spotkamy się z kilkoma ludźmi z firmy.

Tom spojrzął na menu, lecz słowa rozmywały mu się przed oczami. Nie mógł się na nich skoncentrować.

– Karl wprowadził ci dodatkowe dane? – spytał Roderick.

– Jasne, że wprowadziłem. – Masters usiadł na krzesło naprzeciwko Toma i oparł łokcie na stole. – Postawi nam pan lunch, panie Cohagen? Chyba sobie też zasłużyłem, prawda?

Roderick spojrzął na Dżyngis-chana z niesmakiem, a przynajmniej tak się wydawało Tomowi.

– Chciałem pokazać Toma kilku pracownikom firmy. Mam nadzieję, że nasze modyfikacje behawioralne przyniosły zamierzony skutek.

– Ja myślę! – Karl wybuchnął śmiechem i strzelił palcami przed nosem Toma. Chłopiec aż podskoczył na krzesło, ale nie odezwał się ani słowem. – I co, nie masz nic do powiedzenia, Biały Kle?

Roderick ścisnął palcami nasadę nosa.

– Karl, proszę.

– Tak, przepraszam. – Masters uśmiechnął się zjadliwie do Rodericka. – Nie wiem, co tam w niego wsadzacie, ale mi się to podoba.

– Staramy się, by kosmiczni wojownicy, których sponsorujemy, byli ludźmi na odpowiednim poziomie: uprzejmymi, kulturalnymi i poważnymi, bo to oni tworzą wizerunek naszej firmy – mówił Roderick, spoglądając wymownie na Karla, lecz młody Dżyngis-chan, uśmiechnięty od ucha do ucha i ogromnie z siebie zadowolony, najwyraźniej nie zrozumiał przytyku. – Tom bardzo dobrze

znosi przeprogramowanie.

Przeprogramowanie. A więc poddawali go przeprogramowaniu. Dziwna, złowieszcza atmosfera ostatnich dni zaczęła w końcu przybierać konkretną formę, znalazła logiczne wyjaśnienie. Tom wiedział już, co się z nim dzieje, lecz nie był w stanie przełożyć myśli na czyny. Spojrzał na wejście do klubu, na stalową kratę, która mogła zamienić to miejsce w więzienną celę. Mógł wstać i wyjść, zamknąć ich tutaj. Wtedy by go nie złapali. Musiał jednak użyć do tego rąk i nóg. Jego mózg musiał się na to zgodzić. Mógłby uciec i powiedzieć komuś...

Nagle umysł Toma przerwał mu w pół zdania myślą, która wydała się całkiem obca, choć przecież powstała w jego głowie: „To nie byłby dobry pomysł. Pan Cohagen wspaniałomyślnie poświęca mi swój czas i uwagę. Dlaczego miałbym stąd wychodzić?”.

Tom nie mógł uciec. Nie mógł się nawet poruszyć. Roderick uśmiechnął się do niego, a chłopiec również odpowiedział mu uśmiechem. Jednak dwa przeciwstawne impulsy – pragnienie ucieczki i nakaz posłuszeństwa – wciąż zmagaly się ze sobą w jego głowie. Pochłonięty wewnętrzną walką, nie zdążył wybrać żadnego dania przed przyjściem kelnera, więc Roderick zrobił to za niego. Zamówił łososa.

Karl wskazał palcem na Toma.

– On ma olbrzymie problemy z dyscypliną, dlatego pana nie posłuchał i nic nie zamówił.

Roderick zbył go machnięciem ręki.

– Jeszcze nad tym popracujemy. Ważne, że nie robi nic, czego nie powinien robić. Poza tym zostały mu tylko dwie części programu do zainstalowania.

Po lunchu Roderick chodził z Tomem od stolika do stolika i przedstawiał go różnym menedżerom z Montando oraz sprzymierzonych firm. „Najnowszy nabytek”, bo tak mówił o nim Roderick, posłuszenie ścisnął dłonie nieznanym mu ludzi i odzywał się tylko wtedy, gdy go o coś pytano. Jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu postępować w sposób zasługujący na pochwałę ze strony tych, którzy inwestowali w niego swój czas i pieniądze.

– Dobra robota, Roderick. To bardzo grzeczny i elokwentny młodzieniec. – Szefowa działu prawnego Montando, pani Menard,

ujęła Toma pod brodę i obróciła jego głowę w lewo i w prawo, przyglądając mu się uważnie. – Jesteś pewien, że nikt z rodziny nie zauważy zmiany osobowości? Moglibyśmy mieć spore kłopoty, gdyby ta sprawa trafiła do sądu.

– W jego przypadku ten problem nie istnieje. Na Zachodnim Wybrzeżu jest

teraz popołudnie, tak? Jego ojciec pewnie leży jeszcze w kałuży wymiocin z poprzedniego wieczoru, prawda, Tom? – Roderick poklepał chłopca po plecach.

Tom podniósł na niego wzrok. Oczami wyobraźni ujrzał, jak wydłubuje mu oczy, lecz w tym samym momencie głos w jego głowie przemówił z naciskiem: „Pan Cohagen jest moim przyjacielem. Pan Cohagen zawsze ma rację. Nie wypada mi publicznie okazywać złości”.

Dłoń Rodericka zacisnęła się na jego ramieniu.

– Mam rację?

Zgódź się z panem Cohagenem. Zgódź się z panem Cohagenem. ZGÓDŹ SIĘ Z PANEM COHAGENEM.

– Tak, prawdopodobnie tak to właśnie wygląda. – Tom poczuł nagle ogromną ulgę, jakby ktoś przestał mu ścisnąć głowę w imadle.

Roderick uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli chodzi o matkę, to także nie ma się czym przejmować. Jak już mówiłem, Tom jest idealnym kandydatem. Teraz chyba czas, by pobrał następną część programu. – Mężczyzna wskazał na pokój z portem neuronowym.

– Cieszysz się, że z nami pracujesz? – spytała pani Menard, obserwując go uważnie.

Tom skinął głową.

– Tak, pani Menard. Dzięki Roderickowi z każdym dniem staję się... – zakrztusił się słowami, które miał właśnie wypowiedzieć. Niemal zadławił się nimi, jakby były jakąś paskudną substancją, którą ktoś wepchnął mu do gardła. Imadło znów zaczęło ścisnąć mu głowę, a wewnętrzny głos powtarzał z naciskiem polecenie. Wreszcie chłopiec dokończył zdanie: – ...staję się lepszym człowiekiem.

Otoczające go twarze rozpromieniły się w uśmiechach. Karl śmiał się tak mocno, że spadł z krzesła. Roderick uśmiechał się najszerzej ze wszystkich.

Jakiś czas później lądowanie trzeciej części programu dobiegło końca. Tom wiedział, że przed budynkiem czeka na niego samochód, który zabierze go do Pentagonu. W ostatniej chwili jednak przypomniał sobie o swoim projekcie i otworzył strony, które odwiedził podczas poprzedniego pobytu w klubie, lecz nie znalazł żadnych wiadomości od Meduzy. Nic.

Nie rozumiał, dlaczego w zeszłym tygodniu miało to dla niego tak duże znaczenie, ale głos w jego głowie nie protestował, więc ponownie zamieścił ogłoszenie. Na wszelki wypadek. Może później przypomni sobie, po co w ogóle to robi. Może.

\* \* \*

Kilka dni później Karl znów zaprowadził Toma do Kwatery Meade'a, by załadować do jego procesora następną część programu.

– Stój tu przez chwilę, Lassie – przykazał mu.

Tom posłusznie stał na środku pokoju, obserwując, jak Karl ustawia kamerę. Czuł, że ogarnia go niepokój.

– Widzisz, to będzie ostatni pakiet danych, które zmienią twoją osobowość – przemówił Karl, uśmiechając się do niego złowieszczo. – Potem facet, którego znam i nienawidzę, zniknie na zawsze, tak? Zostało mi więc mało czasu.

– Możesz wgrać mi te dane? – spytał Tom.

Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce.

Ale Karl włączył kamerę, skierował ją na Toma i usiadł na krześle.

– Pewnie, że mogę, Burku. Najpierw jednak zaszczekaj dla mnie.

Krew tętniła głucho w uszach Toma.

– Zrób to, Burku. Stań na czterech łapach jak dobry piesek i zaszczekaj.

Tom zamknął oczy. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, bo polecenie: Posłuchaj Karla i przyjmij program, walczyło z innym: Wypruj mu flaki. Wypruj mu flaki – a wiedział, że agresywne myśli są czymś niewłaściwym i należy się ich wystrzegać.

– Nie mogę – wykrztusił, zmagając się z siłą, która próbowała go do tego nakłonić.

– Owszem, możesz, Burku. I zrobisz to teraz, żebyś mógł wszystko nagrać. – Karl uśmiechnął się do niego zza kamery. – Myślisz, że cię nie rozumiem? Chcesz być tu najważniejszy. Myślisz, że jesteś samcem alfa, ale to nieprawda, Raines. To ja nim jestem. Więc zrobisz to, co ci każę, zanim cię zniszczę. Zrobisz to albo nie załaduję ci danych – a program w twojej głowie nie pozwoli ci stąd odejść bez ostatniej części nowego software'u.

– Nie zrobię tego. – Tom drżał na całym ciele, starając się zmusić do wyjścia z pokoju, podczas gdy inny głos nakazywał mu wykonać polecenie Karla.

– Raines, potraktuj to jak rozkaz.

Coś w tonie głosu Mastersa i sekwencji samych słów sprawiło, że Tom opadł na kolana i zaczął szczekać. Pokój wypełnił się szyderczym śmiechem Karla. Nim w końcu Dzyngis-chan wsunął wtyczkę do pnia mózgu chłopca, ten drugi głos w jego głowie umilkł ze wstydu i przerażenia.

## Rozdział 21

# KOLEJNY CAŁKIEM NOWY FACET

– Co się z tobą dzieje?

– Co masz na myśli? – odpowiedział Tom na pytanie Vika.

Wpatrywał się w swoje nowe lustro w Kwaterze Stonewalla i starannie układał włosy przed odprawą śniadaniową. Były już na tyle długie, że mógł coś z nimi zrobić, a Roderick dał mu żel za dwieście dolarów, by nie wyglądał jak „ulicznik”.

– Pindrzysz się przed tym lustrem już pół godziny.

Tom zmarszczył brwi, potem jednak szybko wygładził czoło. Wiedział, że kiedy ludzie robią miny, szybciej dostają zmarszczek, a musiał przecież dbać o swoją młodzieńczą urodę.

– Wygląd ma znaczenie, Vik.

– Boże, Tom, zgubiłeś gdzieś swój chromosom Y? Mam nadzieję, że nie leży na podłodze, bo mógłbym go rozgnieść. – Vik rozejrzał się ostentacyjnie dokoła.

Tom westchnął ciężko.

– Przykro mi, że nie rozumiesz, jakie znaczenie ma odpowiednia prezencja. – Było mu naprawdę żal współlokatora.

Kilka tygodni temu powiedziałyby, że Vik jest jego najlepszym przyjacielem, ale ostatnio zauważył, że Hindus z dnia na dzień staje się coraz dziwniejszy. Traktował go jak dziwoląga. Uśmiechał się drwiąco, gdy Tom ćwiczył rano przed zajęciami, kiedy zawsze jako pierwszy zgłaszał się do odpowiedzi i gdy zaproponował, że oprowadzi po Wieży delegację senatorów i biznesmenów.

Tom nie rozumiał zachowania Vika. Przecież tak postępuje każdy, kto chce coś osiągnąć w życiu. Zadawał się z właściwymi ludźmi, starał się robić na innych dobre wrażenie, dbał o swój wygląd i wykorzystywał nadarzające się okazje. Tak mówił Roderick, a wszystko, co mówił ten niezwykle człowiek, było prawdą.

– Nie rozumiem go, panie Cohagen – zwierzał mu się Tom w środowy wieczór podczas przymiarki włoskiego garnituru za jedenaście tysięcy dolarów.

W następną sobotę w Klubie Beringera miało się odbyć spotkanie dyrektorów Montando. Roderick uznał, że po miesiącu przeprogramowywania Tom jest już gotowy do ostatecznej prezentacji.

Krawiec wyszedł z przymierzalni. Roderick został z Tomem i przeglądał eleganckie krawaty ułożone na półce.

– Może już czas, żebyś znalazł sobie nowych przyjaciół, Tom. Coś mi się wydaje, że ci dotychczasowi nie należą do ludzi, z którymi powinieneś się zadawać.

– Lubię moich przyjaciół.

– Zobaczmy, czy tak samo będziesz myślał, kiedy załadujemy ci dodatkowy pakiet danych.

– Nie chciałbym ich stracić.

Roderick podszedł do niego.

– Tom, wszystko, co robię, robię wyłącznie dla twojego dobra.

– Wiem. – Tom nie miał pojęcia, skąd to wie; po prostu był tego pewien. Wraz z tą pewnością poczuł dziwne zawroty głowy.

Roderick się uśmiechnął.

– W takim razie wiesz dobrze, że nie należy kwestionować moich decyzji. Przymierz to.

Tom wziął od niego krawat i obejrzał go ze wszystkich stron. Znał ponad sześćdziesiąt różnych węzłów, ale nie mógł znaleźć w procesorze neuronowym żadnych informacji o wiązaniu krawata.

– Ach, oczywiście. Pewnie nigdy nie kupowałeś z ojcem garnituru. Patrz uważnie. – Roderick założył sobie krawat na szyję i zawiązał go powoli, by Tom zdążył powtórzyć tę czynność. Potem cofnął się o kilka kroków i przyjrzał mu się krytycznym wzrokiem. – Tak, myślę, że ten będzie dobry. Pasuje do twoich niebieskich oczu. Na wszelki wypadek umieścimy tę umiejętność w następnym pakiecie danych.

Słowa te powróciły do Toma jakiś czas później, gdy Roderick przysłał mu skórzaną walizkę z następną częścią oprogramowania. Chłopiec siedział z nią w kantynie, zadziwiony niechęcią, jaką budziła w nim myśl o załadowaniu tych danych. Od dwóch tygodni sam uzupełniał swój software. Wiedział, że Roderick wyświadcza mu ogromną przysługę, pozwalając uczestniczyć w tym procesie

reedukacji. Nadużyłby jego zaufania, gdyby nie załadował danych.

Mimo wszystko...

Obserwował Vika i Yuriego pogrążonych w rozmowie z Wyatt. Ufał

Roderickowi. Ufał mu całkowicie. Roderick zawsze miał rację. Robiło mu się jednak niedobrze na myśl, że kiedy to podłączy, wymaże wszystko, co jeszcze przed miesiącem miało dla niego ogromne znaczenie. Jego pierwsi prawdziwi przyjaciele. Nie mógł znieść myśli, że ich straci, ale Roderick uprzedził go przecież, że wcześniej czy później do tego dojdzie.

Usłyszał czyjeś ciężkie kroki za plecami. Ktoś położył mu dłoń na karku, nachylił się do niego i wyszeptał:

– Idź na górę i zrób to, Azorku.

Tom westchnął ciężko.

– Tak, proszę pana.

Karl odszedł. Tom sprawdził, czy walizka jest dobrze zamknięta, po czym podniósł się z krzesła, by wykonać jego polecenie. Dwie pary rąk chwyciły go za ramiona i pchnęły z powrotem na krzesło.

– Co to było? – spytał Vik z niedowierzaniem.

– Co masz na myśli? – Tom zmarszczył brwi.

– Słyszałem. Powiedziałaś do Karla Mastersa „proszę pana”!

– I co z tego?

– Nie zwracasz się tak nawet do Marsha! – wykrzyknął Vik.

Yuri skinął głową.

– To do ciebie niepodobne, Tim.

Tom spojrzał na Rosjanina, a potem na Hindusa. Teraz już rozumiał, co miał na myśli Roderick, mówiąc o ich złym wpływie.

– Może uszło to twojej uwadze, Vik, ale Karl Masters jest członkiem KomCa. Przewyższa nas stopniem. Zasługuje na nasz szacunek.

Vik aż otworzył usta ze zdumienia.

– Żartujesz sobie, prawda?

– Czego ty ode mnie chcesz? – Tom westchnął. – Nauczyłem się szanować swoich zwierzchników, to wszystko. Może ty też powinieneś się tego nauczyć, Vik.

– Tom – zaczął poważnie Vik, kładąc mu rękę na ramieniu. – Musimy porozmawiać. Jako twój przyjaciel czuję się w obowiązku poinformować cię, że robi się z ciebie straszny lalusz.

– To prawda. – Yuri skinął ponuro głową.

– Sporo rozmawialiśmy o tym z Yurim. Doszliśmy do wniosku, że w ciągu kilku ostatnich tygodni stałeś się prawdziwą zakałą ludzkości.

– To też prawda – przytaknął Rosjanin.

– Świetnie, chłopaki, dziękuję. Prawdziwi z was przyjaciele. – Tom próbował

wstać, lecz Yuri i Vik z powrotem pchnęli go na krzesło.

– Tom Raines, którego znam – mówił dalej Vik – nie spędza pół godziny na układaniu włosów. Nie mówi do Karla Mastersa „proszę pana”. Przestałeś nawet dokuczać Elliotowi Ramirezowi na symulacjach stosowanych. Elliot przyszedł dzisiaj do mnie i spytał, czy nie masz czasem depresji i czy nie potrzebujesz pomocy pracownika socjalnego. Pomyśl tylko, Tom, nawet Ramirez zauważył, że brakuje ci jaj!

Tom uwolnił się z jego uścisku.

– Elliot błędnie ocenia sytuację, podobnie jak wy... Hej! – Zobaczył, że Yuri przygląda się skórzanej walizce, i wyrwał mu ją z rąk. – To moje! Powinieneś mieć więcej szacunku dla cudzej własności!

– Szacunek dla cudzej własności – skąd on bierze te pierdoły? – Vik skrzywił się, spoglądając na Toma. – Jeszcze chwila, a każe nam zostawić w spokoju rekordy Ryzermana!

Tom wcale nie był zadowolony, że inni to robili. Miał unikać Ryzermana i nie ściągać na siebie jego uwagi, bo porucznik najszybciej zauważyłby wszelkie programy, których nie powinno być w jego głowie.

– Więc ten proceder nadal trwa? – spytał. – Trzeba natychmiast położyć temu kres. To niegrzeczne i małostkowe. W dodatku dotyczy jednego z naszych instruktorów. Naprawdę wpisują tam moje imię? Jeśli tak, to wymażę je wszędzie. Nie chcę tworzyć takiego wizerunku swojej osoby.

Vik walnął go w tył głowy z taką siłą, że Tom zobaczył przez moment wszystkie gwiazdy.

– Hej! – zawołał z oburzeniem, rozcierając obolałe miejsce.

– Chcesz jeszcze raz? – spytał Vik, podnosząc rękę.

Yuri złapał go za przegub.

– Nie bij go.

– Trzeba mu porządnie przywalić! – Vik wyrwał dłoń z uścisku Yuriego. – Może to przywróci mu rozum!

– Może to tobie trzeba... – zaczął Tom, zamilkł jednak, nim wypowiedział słowo „przywalić”.

Nie wypadało mu przecież okazywać złości w miejscach publicznych.

– Może czego mi trzeba? No, czego? – Vik rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się wyzywająco.

Tom spojrział na innych elewów zebranych w sali.

– Może trzeba ci więcej spokoju. Ludzie na nas patrzą.

Vik jęknął głośno.



– Tom, to jest żalosne.  
Tom ponownie próbował się podnieść, lecz Yuri go powstrzymał.  
– Wyatt też chciałaby z tobą porozmawiać.  
Jakby na umówiony sygnał dziewczyna usiadła na krześle naprzeciwko i spojrzała z powagą na Toma.  
– Witaj, Thomasie Raines – zaczęła oficjalnie. – Twoje zachowanie budzi nasz niepokój, więc uznaliśmy za konieczne porozmawiać z tobą na ten temat.  
– Nie musisz mówić jak robot! – warknął na nią Vik.  
– A ty może nie potrzebujesz mieć takich delikatnych, kobiecych dłoni – odparowała Wyatt.  
– Co? – zdębiał Vik. – Co jest nie tak... – zaczął, potem jednak pokręcił tylko głową.  
– Zły moment na rewanż – poinformował ją Tom. – Poza tym nie należy obrażać innych, to niegrzeczne.  
Yuri spojrzał na niego z konsternacją.  
– Znów to zrobił.  
– Tak, właśnie o to chodzi, Tom! – ryknął Vik. – Tom Raines, którego znam, nie jest grzeczny.  
– To rzeczywiście dziwne – zgodziła się z nim Wyatt. – Dlatego tu jesteśmy.  
– Co to ma być? – Tom powiódł po nich spojrzeniem. – Interwencja?  
– Tak jest. – Vik skinął głową. – Interwencja. Martwisz nas wszystkich swoim idiotycznym zachowaniem.  
– Tom – odezwała się ponownie „Wyatt. – Czy nie uważasz, że mogłeś załadować do procesora coś, co zmieniło twoją osobowość?  
Tom przycisnął walizkę do piersi.  
– Nie. To absurd.  
– Wszyscy zauważyliśmy, że wkrótce po zakończeniu gier wojennych zaczęło się z tobą dziać coś dziwnego. Zrobiłeś się... inny. Przeróżający.  
– Używałeś ostatnio antywirusa? Może został tam jakiś robak, który zmienia twój umysł?  
– To niedorzeczność – stwierdził Tom. – Kompletna niedorzeczność.  
Nigdy dotąd nie używał tego słowa, lecz teraz pojawiło się w jego głowie jako jedna z jedenastu możliwych odpowiedzi na oskarżenie dotyczące zmian i manipulacji neuronowych.  
– Tylko spytałam. – Wyatt wzruszyła ramionami.  
– Ona chce powiedzieć, że jesteś popieprzony, stary. Co się z tobą dzieje? – spytał Vik.

Tom patrzył na swoich przyjaciół. Mylili się. Bardzo się mylili. Nie rozumieli, że nie dzieje się z nim nic złego. Uczył się, to wszystko. Doskonalił się. Roderick mu to powiedział, a on o niego dbał. Roderick wiedział, co jest dla niego dobre. Mimo to Tom czuł się dziwnie na myśl, że przyszli tutaj, bo im na nim zależało. Znowu poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku i zawroty głowy.

Walizka  
paliła go w rękach niczym rozgrzane żelazo; przez jedną absurdalną chwilę miał ochotę cisnąć nią o ziemię, szybko jednak odsunął od siebie tę irracjonalną myśl.

– Nie wiem, co wam powiedzieć. Nic mi nie jest, naprawdę.

– Dlaczego my w ogóle z nim rozmawiamy? – wybuchnął Vik. – Powinniśmy tu jak najszybciej wezwać jakiegoś egzorcystę.

Tom przewrócił oczami.

– Teraz ty zachowujesz się absurdalnie, Vik.

Hindus zerwał się na równe nogi.

– Mam dość. Odpadam. Jeśli jeszcze trochę pogadam z tym zombi, zwrócę lunch. – Vik zgrzytnął wściekle zębami i wyszedł z kantyny.

– Jest taki niedojrzały. – Tom pokręcił z irytacją głową i wgryzł się w swoją kanapkę.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Wyatt i Yuri patrzą na niego tak, jakby nagle wyrosła mu dodatkowa para rąk.

\* \* \*

O piątej trzydzieści dwie następnego ranka Tom rozgrzewał się właśnie przed porannym treningiem, gdy do drzwi jego kwatery zapukał Yuri.

Tom wyszedł na palcach, by nie budzić Vika – głównie dlatego, że sam widok Hindusa napełniał go odrazą. Yuri wydawał mu się równie irytujący. Zmierzył Rosjanina podejrzliwym spojrzeniem, bo rano nie potrafił sobie nawet przypomnieć, z jakiego powodu tak długo znosił tych ludzi. Czuł się tak, jakby ostatni pakiet danych otworzył mu oczy. Pozostali członkowie Oddziału Aleksandra byli

okropnymi prostakami. Mieli wypaczone spojrzenie na świat. Żadnych ambicji. Musiał odciąć się od tych ludzi. Na zawsze.

– Ach, świetnie, że już wstałeś, Tim – powiedział Yuri z uśmiechem, jakby nie dojrzał irytacji malującej się na twarzy Toma. – Zauważyłem, że ostatnio bardzo dbasz o formę fizyczną.

– Odpowiedzialni ludzie powinni dbać o swoje ciało – poinformował go Tom.

– Zgadza się. Zawsze tak uważałem. Przyszedłem, żeby zaproponować ci wspólne bieganie.

Te słowa obudziły podejrzliwość Toma. Nie ufał temu facetowi. Nie ufał mu ani trochę.

– Oczywiście nie musimy tego robić, jeśli boisz się, że nie dotrzymasz mi kroku – powiedział Yuri z uśmiechem, po czym odwrócił się i poderwał do biegu.

Tom aż zachłysnął się z oburzenia. Nie dotrzyma mu kroku? Rzucił się w pogoń za Yurim, a potem nie odstępował go ani na moment.

Rosjanin był w lepszej formie. Biegał codziennie już od lat, a Tom robił to zaledwie od kilku tygodni. Jednak za każdym razem, gdy zostawał z tyłu, zaciskał mocno zęby, przyspieszał i pędził za Yurim przez korytarze i klatki schodowe Wieży. Rosjanin przemknął obok kwater oficerskich na jedenastym piętrze, otworzył drzwi siłowni i pobiegł prosto do ławki kulturystycznej. Tom obiecał sobie w duchu, że nie będzie od niego gorszy ani o kilogram.

– Może ty zaczniesz, a ja cię będę asekurował.

Tom zmrużył oczy.

– Nie, to ja ciebie będę asekurował.

– Zgoda. Skoro jesteś zbyt zmęczony, żeby od razu wyciskać, chętnie zacznę.

– Nie jestem zbyt zmęczony – odparł Tom, kładąc się na ławce.

Yuri zaczął wkładać na sztangę pierścienie. Tom obserwował, jak dokłada ich coraz więcej.

– Eee...

– Co takiego, Tim? Zakładam tyle, ile sobie, ale może to dla ciebie za dużo?

Tom zacisnął zęby.

– Nie. Dołóż jeszcze trochę. – Pożałował tych słów, gdy Yuri skinął głową.

– Proszę bardzo. – Rosjanin nasunął na sztangę jeszcze kilka pierścieni.

Tom przygryzł wargę, zdenerwowany. Musi to podnieść. Nawet jeśli miałyby zrobić sobie przy tym krzywdę, to podniesie.

Ale gdy Yuri pomógł mu dźwignąć drążek z widełek, a potem go puścił, ręce Toma zadrżały i się ugięły. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, by nie opuścić sztangi zbyt gwałtownie i nie zmiażdżyć sobie żeber. Dysząc ciężko, oparł metalowy pręt na piersiach.

– No dobrze, może trochę przesadziłem. – Z trudem wydobywał głos z gardła, przygnieciony wielkim ciężarem. – Yuri, pomożesz mi?

– Będziesz z tym musiał trochę poczekać, Tim.

Kiedy Rosjanin zniknął mu z oczu, Tom zrozumiał, że padł ofiarą spisku.

– Yuri... Yuri!  
Próbował zsunąć z siebie sztangę, uwolnić się od niej, nie był jednak w stanie. Utkwił pod nią na dobre.  
– Unieruchomiłeś go?  
Wyatt Enslow.  
– Co... co... – bełkotał Tom.  
– Tak, zaklinał się na amen.  
Tom ujrzał nad sobą twarz Yuriego, a potem Wyatt.  
– Widzisz, mówiłam ci, że da się zrobić i spróbuje to podnieść.  
– Myliłem się – przyznał Yuri.  
– Co wy robicie?! – warknął Tom.  
– Rozprawiamy się z Nowym Tomem. – Wyatt pochyliła się nad nim, a kiedy próbował odchylić głowę, Yuri go przytrzymał. Tom dojrzał kabel neuronowy w dłoni dziewczyny i ponownie spróbował się wyrwać z żelaznego uścisku Rosjanina. – Prawdę mówiąc, nie da się już z nim wytrzymać.  
– Co to jest?  
– Matka wszystkich zapór. Sama ją napisałam, w języku Klondike. Blokuje niepożądane programy, ma też funkcję antywirusową.  
– Nie! – Tom nie mógł pozwolić na instalację oprogramowania, które nie zostało zatwierdzone przez Rodericka. W jego głowie pulsowało ostrzegawcze światło, a ciałem wstrząsały impulsy elektryczne, które ponaglały go do natychmiastowego działania. – Przestańcie!  
– Szybko, Wyatt – denerwował się Yuri.  
– Jeszcze nam za to podziękujesz, Tom. – Dziewczyna wsunęła wtyczkę do pnia mózgu chłopca.

\* \* \*

Tom czuł, jak Yuri podnosi sztangę z jego piersi. Przez mózg chłopca przepływał strumień kodów, który wyszukiwał wszystkie elementy oprogramowania Montando i modyfikacji behawioralnych. Wszelkie dane wprowadzone do procesora neuronowego w ciągu ostatnich trzydziestu jeden dni zostały zneutralizowane, usunięte i zastąpione podprogramami zabezpieczającymi. Cały proces trwał dokładnie czterdzieści siedem minut. Tyle czasu potrzebował Tom, by wreszcie zrozumieć, co się z nim dzieje i co działo się w ostatnich tygodniach.

W jego mózgu zamigotał napis: Instalacja zakończona. Chłopiec otworzył oczy. Yuri i Wyatt przerwali rozmowę, wyprostowali się i spojrzeli na niego

z wyczekiwaniem.

– Tom? – zaczęła niepewnie Wyatt.

– Zamorduję Rodericka – oznajmił chłopiec.

Yuri i Wyatt popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

Tom usiadł prosto i roztarł obolałe piersi. Szok i niedowierzenie tworzyły w jego umyśle cienką przezroczystą zaporę skrywającą strumień wściekłości, która pochłonełaby go bez reszty, gdyby stracił nad nią kontrolę. Zbierało mu się na wymioty, kiedy myślał o koszmarze minionego miesiąca. Ze zgrozą przypominał sobie, jak szczekał dla Karla i mówił do niego „proszę pana”, jak mierzył garnitury z Roderickiem, jak uśmiechał się przymilnie do dyrektorów Montando...

Pochwycił hantle i rzucił nimi w stojak ze sprzętem. Yuri zerwał się na równe nogi, gdy ten z hukiem runął na ziemię. Wyatt siedziała w bezruchu na ławce.

Rosjanin spojrzał z przerażeniem na Toma.

– Dobrze się czujesz, Tom?

– Nie! – Nie czuł się dobrze i wiedział, że nie poczuje się lepiej, dopóki nie wyłupi oczu Roderickowi i nie wypruje flaków z Karla.

Przycisnął dłonie do twarzy, ogarnięty ślepą furją, która przyprawiała go o mdłości. Był tak wściekły, że niczego nie pamiętał. Ale nagle przypomniał sobie coś ważnego. Coś zadziwiającego.

Odwrócił się do Yuriego.

– Powiedziałeś do mnie „Tom”. – Był tak zdumiony, że zdołał uwolnić się od wszechogarniającej rozpacz i złości.

Dostrzegł wyraz rezygnacji na twarzy Rosjanina. – Tak mnie nazwałeś. Użyłeś mojego prawdziwego imienia. Ty... – Zamilkł, gdy pomyślał o konsekwencjach tego faktu.

Matka wszystkich zapór...

– Wyatt – zwrócił się do dziewczyny. – Yuriemu też dałaś tę zaporę, prawda?

Wyatt skrzyżowała ręce na piersiach.

– No i co z tego?

– Odkodowałaś go.

– Nie jest szpiegiem.

– Naprawdę nim nie jestem, Tom – powiedział cicho Yuri.

Tom wpatrywał się z niedowierzaniem w Wyatt.

– Kiedy to zrobiłaś? Po muzeum?

– Mniej więcej. Uznałam, że dłużej nie może tak być. Nie znał nawet mojego prawdziwego imienia.

Tom kręcił tylko głową.

Wyatt i Yuri wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Teraz znasz już mój sekret, Tom – przemówił ponownie Rosjanin. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Żartujesz? Dlaczego myślisz, że cokolwiek z tym zrobię?

Yuri musiał jednak dostrzec na twarzy Toma niepokój, bo odchrząknął niepewnie i przestąpił z nogi na nogę.

– Nie jestem szpiegiem, Tom. Urodziłem się w Rosji, to prawda, ale mieszkam tutaj od wielu lat. Zawsze chciałem być astronautą, lecz teraz nikt już nie lata w kosmos. Więc próbowałem zaciągnąć się do sił Układu Słonecznego. Dowiedział się o tym przyjaciel mojego ojca i pomógł mi się tu dostać, ale poza tym zawsze starałem się radzić sobie sam. Dlaczego miałbym szpiegować? Co innego, gdybym rzeczywiście walczył dla Rosji, a wy dla Ameryki, moi rodzice jednak powtarzają, że ta wojna to zupełnie inna sprawa. W niej wcale nie chodzi o interesy poszczególnych krajów.

Tom przypomniał sobie, co zawsze kładł mu do głowy Neil.

– Chodzi o interesy korporacji.

– Otóż to – zgodził się z nim Yuri. – Jakie to ma znaczenie, czy wygra Montando, czy Huangwey? Przyszedłem się tu uczyć i robię to najlepiej, jak potrafię.

– Posłuchaj, przykro mi, że tak się to ułożyło. Pewnie masz do nas żal, że nie próbowaliśmy nic z tym zrobić.

Yuri odwrócił głowę, zakłopotany.

– Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby Wyatt nie dała mi tej zapory. Czułem się dość dziwnie, kiedy zrozumiałem, że nie znam prawdziwych imion moich przyjaciół.

Wyatt przyglądała mu się przez chwilę, a potem wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu. Tom uświadomił sobie, że próbuje w ten sposób pocieszyć Rosjanina. Yuri uśmiechnął się do niej z uwielbieniem.

Tom odwrócił wzrok.

– Nikomu o tym nie powiem. Jestem waszym dłużnikiem.

– Nikomu ani słowa – przykazała mu Wyatt.

– Thomas nas nie zdradzi. – Yuri pochylił się i spojrzał Tomowi w oczy. – Wiem, że dochowa tajemnicy.

– Wolałbym umrzeć, niż powiedzieć o tym komukolwiek – odrzekł Tom i była to najszczęsza prawda.

## Rozdział 22

# MASAKRA

Kiedy Tom wrócił do Kwatery Stonewalla, zostało mu jeszcze dwadzieścia minut do odprawy śniadaniowej. Wciąż nie mógł się pozbierać po ostatnich przeżyciach, nieustannie wracał myślami do filmu, który przesłał mu Karl – filmu, na którym Tom szczekał jak pies. Dotąd niezbyt się nim przejmował, lecz teraz na samo wspomnienie tej sceny zbierało mu się na wymioty.

Usiadł na łóżku i zacisnął zęby, daremnie próbując się uwolnić od dręczących obrazów roześmianego Karla i Rodericka otulonego dymem z cygara.

Vik stał przy swoim łóżku i się ubierał. Spojrzał ponuro na Toma, a potem się odwrócił.

– Jak to, nie będziesz dziś żelował włosów i robił się na bóstwo?

– Nie. – Tom miał wrażenie, że jeszcze chwila, a pęknie mu serce.

Zacisnął pięści, starając się zebrać myśli przepelnione wściekłością i rozpaczą.

– Do zobaczenia, Tchórzliwa Zakała Ludzkości.

Tom patrzył, jak Vik idzie do drzwi. Przerażony i zdesperowany, zebrał wszystkie siły i wyrzucił z siebie jedno słowo:

– Doktorze!

Vik stanął jak wryty, a potem podniósł ramiona niczym drapieżnik szykujący się do ataku. Odwrócił się i spojrzał na Toma z dziwnym błyskiem w oku.

– Doktorze?

– Doktorze – potwierdził Tom.

Na twarzy Hindusa pojawił się przebłysk nadziei.

– Poważnie? Poważnie, Tom?

Chłopiec skinął głową i przełknął z trudem.

– Wygląda na to, że pewni ludzie z Montando wkładali mi jakieś paskudztwa do głowy, żeby zrobić ze mnie grzecznego chłopczyka. Muszę dokonać zemsty. Krwawej wendety, prawdziwej masakry, Vik.

Usta Vika wykrzywiły się w szelmowskim uśmiechu.

– Masz na myśli masakrę w stylu Hamleta?

– Nie – odparł Tom z wściekłością. – Masakrę w stylu Człowieka z blizną.

Vik ryknął śmiechem, a potem ku zdumieniu Toma doskoczył do niego, zamknął go w niedźwiedzim uścisku i rzucił na łóżko.

– Dobrze, że wróciłeś, stary!

– Vik, spotykam się z nim w sobotę. Mam czas do weekendu, żeby coś wymyślić i przygotować. Coś... coś... Jestem... Vik, teraz nawet nie potrafię sobie wyobrazić zemsty, za którą nie trafiłbym do więzienia na co najmniej czterdzieści lat.

– Dlatego jest dwóch Doktorów Śmierci, stary. Nie możesz trzeźwo myśleć? Ja pomyślę za ciebie.

– Słusznie. Słusznie.

Tom kilkakrotnie przesunął dłonią po włosach. W końcu wstał i sięgnął do szuflady po mundur na odprawę śniadaniową.

– Daj sobie z tym spokój. – Vik zamknął szufladę kopniakiem. – Cromwell może zabić nas później. Powiedz mi, co się stało. Potem razem wymyślimy okrutną zemstę.

\* \* \*

Tom i Vik nigdy nie bawili się tak dobrze jak w ciągu kilku dni poprzedzających sobotnie spotkanie dyrektorów Montando. Tydzień wcześniej Roderick podarował Tomowi firmową kartę kredytową. Została wystawiona na nazwisko chłopca, ale wszystkie rachunki miał pokryć Roderick. Limit wydatków na karcie wynosił pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Grzeczny i układny Tom z pewnością nie zawiódłby zaufania swego protektora i nie roztrwonił tych pieniędzy.

Normalny Tom zrobił to z radością.

Przede wszystkim próbował skontaktować się z ojcem i opłacić mu roczny pobyt w jakimś hotelu. Jednak Neil swoim zwyczajem nie ujawniał się w sieci, więc Tom zdeponował na jego nazwisko dziesięć tysięcy dolarów w kasynie Dusty Squanto, w którym wcześniej czy później Neil musiał się pojawić. Potem postanowili z Vikiem sami się zabawić.

Najpierw spędzili cały wieczór w centrum handlowym Pentagon City. Poznali tam grupę dziewczyn, które początkowo nie zwracały na nich uwagi, zmieniły jednak zdanie, gdy Tom zapłacił za ich

zakupy. Od tej pory wyraźnie ich polubiły. Później Tom zabrał wszystkich na kolację i zostawił kelnerowi tysiąc dolarowy napiwek. Zapłacił też za posiłki wszystkich klientów obecnych w restauracji.

W końcu dziewczyny dowiedziały się, że chłopcy mają czternaście i piętnaście



lat i już za żadne skarby świata nie chciały umówić się z nimi na kolejny wieczór. Tom i Vik nie przejęli się tym zbyt. Mogli robić jeszcze wiele ciekawych rzeczy, mając mnóstwo pieniędzy na karcie i niewiele czasu na ich wydanie. Kupili garnitury wszystkim bezdomnym, którzy kręcili się w dzielnicy Dupont Circle. Spędzili kilka godzin w najdroższych symulacjach, po kilkaset dolarów za grę. Na piątkowy wieczór wynajęli cały klub i salon gier, by urządzić pierwszą w historii zabawę dla elewów Wieży.

Tom pokazał ochroniarzom cyfrowe zdjęcie Karla.

– Mieście oko na tego faceta – przykazał im. – Przede wszystkim nie wpuszczajcie go do środka.

– A jak się będzie stawiał?

Tom uśmiechnął się paskudnie.

– Nie cackajcie się z nim. A potem mnie zawołajcie.

Bramkarz nie cackał się z Karlem. Wieczorem wezwał Toma i pokazał mu ciało nieprzytomnego Dzyngis-chana leżące na chodniku. Tom dał mu za to tysiąc dolarów napiwku. Potem wyjął pendrive z kablem neuronowym i zabrał się do pracy.

Nikt nie wiedział, kto urządził to niespodziewane przyjęcie, ale Wyatt domyśliła się prawdy, gdy zobaczyła, jak Tom daje ładnej kelnerce tysiąc dolarów napiwku.

– Skąd masz te pieniądze, Tom?

– Z karty kredytowej.

Vik wyjaśnił jej całą sytuację, bo tak czy inaczej dowiedziałyby się wszystkiego sama.

– Każdy wydatek trafia na rachunek Rodericka, sprawdziliśmy to. Już trzy razy dzwonił operator karty, żeby się upewnić, czy to nie jest jakieś oszustwo, ale wszystko się zgadzało. Facet nie ma innego wyjścia, jak tylko...

– ...zapłacić – dokończył Tom z nieskrywaną satysfakcją.

– Dostanie zawału, kiedy się o tym dowie – poinformowała go Wyatt.

– Liczę raczej na wylew – odrzekł ze śmiechem Tom.

Tak się złożyło – szczęśliwie dla Toma, a mniej szczęśliwie dla Rodericka – że wszystkie rachunki miały dotrzeć do tego drugiego dopiero po kilku tygodniach. Za sprawą pechowego zbiegu okoliczności – a raczej umiejętności Wyatt – telefon i adres Rodericka w firmie obsługującej karty kredytowe uległy niewielkim modyfikacjom. Dlatego też nie otrzymał żadnych informacji o tym, że jakiś nieletni wydaje w jego imieniu pieniądze.

O pechu mógł również mówić Karl, który nie dowiedział się w porę, kto wydał

piątkowe przyjęcie. Tak więc w sobotę o szóstej wieczorem wsiadł z Tomem do limuzyny mającej ich zawieźć do Klubu Beringera.

Tom uśmiechnął się szeroko do swojego towarzysza, kiedy ten zajął miejsce obok niego. Nie mógł się powstrzymać. Widział pomarańczowe smugi na twarzy Karla w miejscach, gdzie pobity Dzyngis-chan chciał ukryć siniaki.

– Cześć, Karl! – zawołał uradowany. – Zrobiłeś sobie makijaż? Całkiem ładnie w nim wyglądasz.

– Zamknij się, Burku! – mruknął Karl.

Przed wyjściem z Wieży Tom ułożył sobie włosy, a potem wycisnął resztę żelu do sedesu. Włożył garnitur, który kupił mu Roderick, zawiązał krawat i w oczach Karla wyglądał zapewne na grzecznego zombi. Wcześniej obawiał się, że trudno mu będzie utrzymać nerwy na wodzy i odgrywać rolę posłusznego, ugrzecznionego i bezmyślnego sługusa, ale okazało się, że doskonale sobie z tym radzi. W duchu zacierał ręce z radości i podniecenia. Dobrze wiedział, co spotka wkrótce jego prześladowców.

Kiedy weszli razem do Klubu Beringera, Roderick spojrział na nich i spytał:

– Karl, czemu zrobiłeś sobie makijaż?

Tom z najwyższym trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Idź to natychmiast zmyć! – syknął Roderick.

Karl spłoszował.

– Ale...

– Natychmiast! Zanim ktoś cię zobaczy!

Karl posłusznie potruchtał do łazienki.

Roderick odwrócił się do Toma. Otaksował go spojrzeniem, jakby oglądał jakiś mebel. Chłopiec popatrzył mu wyzywająco w oczy. Niewiele brakowało, by dał się ponieść wzbierającej fali nienawiści i wypadł z roli, którą dotąd tak udanie odgrywał.

Roderick zaprowadził go do jednego ze stolików; chciał porozmawiać na osobności. Tom siedł za nim z kamienną twarzą, choć w środku aż gotował się ze złości.

– Wiesz, że wszystko, co tutaj robisz, świadczy lepiej lub gorzej nie tylko o tobie, ale przede wszystkim o mnie – zaczął Roderick

– Oczywiście, że o tym wiem, panie Cohagen – odrzekł Tom.

Właśnie na to liczył.

Roderick ścisnął palcami nasadę nosa.

– Niestety, podobnie sprawa ma się z Karlem, choć ja sam nigdy nie wybrałbym go na naszego reprezentanta w KomCa. – Położył dłoń na ramieniu

Toma i ścisnął je lekko. – Miej go na oku, dobrze?

Tom omal nie parsknął śmiechem, gdy wyobraził sobie, jak zareagowałby na te słowa Karl. W porę się jednak pohamował i przygryzł lekko wargę.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, żeby Karl nie przyniósł panu wstydu, panie Cohagen.

Roderick pokiwał głową z uznaniem i spojrzał Tomowi w oczy.

– Świetnie. Dobry z ciebie chłopak, Tom. Jestem z ciebie dumny. Wyrosłeś na grzecznego, godnego szacunku młodzieńca.

Tom znów przygryzł wargę, lecz tym razem zrobił to, by nie zwymiotować na swego rozmówcę.

– Z kolei Karl... – Mężczyzna westchnął ciężko. – Jego ojciec był tutaj dyrektorem. Musieliśmy go przyjąć jako jednego z naszych. Przyjaźnił się z Elliotem, więc mieliśmy nadzieję, że nas z nim skontaktuje. Nic z tego. Balliharton sprzątnęła nam go sprzed nosa. Zostaliśmy więc z Karlem. Do czasu, aż znalazłem ciebie. Poczyniłeś ostatnio ogromne postępy, prawda? Myślę, że już wkrótce będę miał dla ciebie doskonałą okazję.

Roderick poklepał Toma po policzku. Chłopiec miał ochotę pochwycić jego dłoń zębami i odgryźć mu palce.

– Kiedy już obaj zaczniecie pokazywać się publicznie, być może wprowadzę też kilka zmian behawioralnych do jego procesora. – Mężczyzna mrugnął znacząco do Toma. – To będzie taka nasza mała tajemnica, zgoda?

Tom również puścił do niego oko.

– Oczywiście, wszystko zostanie między nami, panie Cohagen.

– Świetnie. Mam dla ciebie jeszcze kilka instrukcji dotyczących etykiety i porządku dzisiejszego spotkania. Idź, załaduj to.

Roderick umilkł i ponownie zmierzył go wzrokiem, gratulując sobie w duchu tak udanej przemiany. W ciągu zaledwie miesiąca zniszczył starego Toma i zastąpił go zupełnie nowym, znacznie lepszym chłopcem.

Tom odszedł w stronę pokoju z portem neuronowym, siląc się na grzeczny uśmiech. Gdyby poddał się emocjom, doskoczyłby do Rodericka i wyłupił mu oczy.

Zamknął za sobą drzwi, spojrzał na port i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Musiał jednak wierzyć, że wszystko się uda. Uda się.

Wyatt zmieniała ustawienia zapory tak, by oparł się wszelkim programom, z jakimi mógł mieć do czynienia tego wieczoru. Mimo to odczuwał głęboki lęk, gdy spoglądał na otwarty port. Z trudem zmusił się do ułożenia na fotelu. Kiedy sięgnął po kabel, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł trafić wtyczką

do gniazda.

Zamknął oczy, wziął głęboki wdech i spróbował zapanować nad drzeniem rąk. Boże, zachowywał się jak ostatnia ofierma. Jeszcze trochę, a będzie potrzebował interwencji Vika.

– Zrób to. Podłącz się, ty tchórze! – warknął na siebie.

Włożył wtyczkę do gniazda.

Natychmiast zaczął tracić czucie w kończynach, zmysły ogarnęło nieprzyjemne ośpienie. Zobaczył linie kodu wpływające do jego umysłu i omal nie wpadł w panikę, uspokoił się jednak, gdy cyfra za cyfrą zaczęły odbijać się od zapory Wyatt. Obserwował ten proces, bo dzięki temu czuł się bezpieczniej. Z przyjemnością patrzył, jak kolejne linie ulegają zniszczeniu lub zostają zneutralizowane za pomocą kilku dodatkowych zer i jedynek. W końcu mógł się zrelaksować, choć jego drogi garnitur lepił się od potu.

Kiedy upewnił się, że nic mu nie grozi, odwiedził moskiewski portal społecznościowy i zdjął z niego swoje ogłoszenie. Wiedział, że po tym wieczorze nigdy już nie pojawi się w Klubie Beringera, a nie chciał, by Meduza czekał na niego gdzieś nadaremnie.

Gdy jednak wszedł do Zakazanego Miasta, na stronie z ogłoszeniami zobaczył coś, co przyprawiło go o szybsze bicie serca.

Do Obląkanego.

„Niemożliwe. Niemożliwe. Niemożliwe” – powtarzał w myślach. Otworzył wiadomość i przeczytał ją, zszokowany.

Będę tu przez godzinę. Tutaj jest link. Hasło to moje imię.

Niemożliwe. Meduza? To naprawdę był Meduza?

Spojrzał na godzinę, o której zamieszczono ogłoszenie. Zostało mu piętnaście minut. Skorzystał z podanego linku. Był tak podekscytowany, że niemal zapomniał, co miał zrobić tego wieczoru. Kliknął w link, otwierając ramkę z hasłem. Wpisał słowo „Meduza”. Zobaczył następny ekran z hasłem, tym razem po rosyjsku,

uzupełnił je więc odpowiednimi literami. I znów zapisaną ramkę zastąpiły puste miejsca, które musiał wypełnić nieco inną, greckim alfabetem. Potem powtórzył tę czynność, korzystając z alfabetu łacińskiego. Odpowiadał na to samo pytanie jeszcze wiele razy, w różnych językach. Był to zapewne swego rodzaju test, który miał zagwarantować, że do programu dostanie się tylko człowiek z procesorem neuronowym.

W końcu zobaczył coś innego.

Otaczały go kamienne ściany oświetlone drżącym blaskiem pochodni. Poczuł

chłodny dotyk wiatru i poruszył się, po czym spojrzął ze zdumieniem na swe potężne, muskularne ciało. Procesor neuronowy odpowiedział mu, że wcielił się w postać Sygurda, legendarnego skandynawskiego bohatera o niezrównanej sile.

– Więc jednak przyszedłeś – rozbrzmiał głęboki kobiecy głos.

Tom odwrócił się na pięcie. Po drugiej stronie komnaty stała wysoka umięśniona kobieta o jasnych włosach. Rozdzielała ich wielka metalowa misa, w której palił się ogień. Płomienie co jakiś czas przesłaniały jej bladą twarz, lecz interfejs programu natychmiast podsunął Tomowi informacje o postaci przeciwnika: była to Brunhilda, walkiria z nordyckiej mitologii, która musiała żyć jako śmiertelna kobieta. Królowa Islandii i najpotężniejszy wojownik na świecie – z wyjątkiem Sygurda, jej ukochanego i jedyne go człowieka, który był w stanie ją pokonać.

Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie mógł się powstrzymać, bo żaden facet nie wybrałby takich właśnie postaci.

– W rzeczywistym świecie jesteś dziewczyną. Teraz już to wiem.

– A ty wkrótce znów umrzesz – odpowiedziała Brunhilda z uśmiechem.

Tom spojrzął na otwarte okna, świadom, że gdzieś w głębi jego mózgu zapora niszczy właśnie strumień danych.

– Tak, mam dość czasu, żeby umrzeć.

Wiedząc, że być może to ostatnia okazja, by powalczyć z Meduzą, Tom chwycił mocniej pikę i ruszył do ataku. Sygurd był tak silny, że bez trudu przeskoczył nad wielkim paleniskiem, potem zaś rzucił się od razu na jasnowłosą kobietę. Gdy jego pika zetknęła się z jej mieczem, broń zamieniła się w dwa słupy ognia.

Tom cofnął się o krok i podniósł swoją włócznię, przyglądając jej się z podziwem.

– Ognista broń. Fantastyczne.

– Sama to zaprogramowałam.

– Jest naprawdę świetna.

– Dzięki. – Meduza wyprowadził szybkie cięcie wymierzone w jego gardło.

Pojedynek nordyckich herosów był odwrotnością ich poprzedniej walki. Tym razem to on był silniejszy, a Meduza zwinniejszy. Zdołał wytrącić mu miecz z ręki, lecz stracił na moment równowagę, a wtedy Meduza oparł się o jego ramię i wykorzystując go jako tyczkę, przeskoczył przez palenisko.

– Nieźle. – Tom pokiwał z uznaniem głową, następnie przewrócił kopniakiem misę z ogniem, wyrzucając w powietrze obłok płomieni i iskier.

Ogień zajął gobeliny wiszące na ścianach. Meduza zerwał jeden z nich i rzucił go na Toma, gdy ten ponownie przystąpił do ataku. Ból zaparł chłopcu na moment dech w piersiach, tuż potem Brunhilda wbiła mu sztylet między żebra. Złapał ją w swoje potężne ramiona i przekręcił jej głowę, chcąc złamać kark. Widział, jak dłonie walkirii przesuwają się po stole ustawionym pod płonąca ścianą, a później zamykają na ciężkim świeczniku. Spróbował ponownie złamać jej kręgosłup, lecz w tej samej chwili uderzyła go kandelabrem między nogi.

Wejście do symulacji było dużym błędem. Czuł wszystko tak, jakby działo się naprawdę.

Ból był straszliwy.

Tom zgiął się wpół, charcząc głośno. Przeciwnik wyrwał się z jego uścisku i odsunął na bezpieczną odległość.

– Jesteś... dziewczyną... – wykrztusił Tom.

Cofnęła się jeszcze dalej, śmiejąc się przy tym chrapliwie.

– Żaden facet nie uciekłby się do takiej sztuczki! – dodał z oburzeniem chłopiec.

Meduza stała na tle płomieni ogarniających ściany zamku. Zar i dym coraz mocniej paliły Toma w gardło. Dyszał ciężko. Zauważył też, że strumień danych przepływających przez jego umysł już się kończy, a ładowanie dobiega końca, co oznaczało, że wkrótce musi wrócić do Klubu Beringera.

– Poczekaj! – zawołał, gdy Meduza schyliła się po swój miecz.

– Za późno. Teraz cię zabiję. Wypatroszę. – Umilkła na moment i przyjrzała mu się uważnie. – Mogę wrócić w przyszłym tygodniu.

Tom zamrugał oczami.

– Naprawdę?

– Spróbujemy czegoś dłuższego.

– Ja... to byłoby... nie mogę.

Twarz Meduzy stężała.

– Rozumiem.

Ruszyła w jego stronę, by go zabić.

– Chciałbym. – Tom podniósł się, ignorując ból. – Ale nie wiem, czy będę jeszcze miał swobodny dostęp do wirtualnej rzeczywistości.

Meduza przystanąła.

– Jesteś członkiem Kompanii Camelotu?

– Nie. I... – zawahał się na moment, bo wolałby się do tego nie przyznawać – ...po dzisiejszym wieczorze na pewno nie będę.

- Dlaczego? – spytała, przekrzywiając głowę.
  - Bo zaraz dokonam okrutnej i wyrafinowanej zemsty. Wszystkich dyrektorów Montando czeka paskudny wieczór, a ja nigdy nie zyskam sponsora.
- Meduza milczała przez chwilę, po czym spytała:
- Jaki jest adres sieciowy tego miejsca?
  - Dlaczego pytasz?
  - Lubię się mścić. Pomogę ci.
- Tom parsknął śmiechem, zachwycony tym pomysłem.
- O tak, możesz mi pomóc.

## Rozdział 23

# PODANE NA ZIMNO

Kiedy już pożegnał Meduzę, zabrał się do realizacji planu, który przygotowali wcześniej z Vikiem. Zajęcia z programowania choć raz okazały się przydatne: bez problemu włamali się do systemu miejskiej sieci kanalizacyjnej.

– Kiedyś w mojej podstawówce w Delhi zrobiliśmy taki żart – zaczął Vik, a kiedy objaśnił mu, na czym polegał ów dowcip, Tom uznał go za genialny w swej prostocie.

Teraz uśmiechnął się do siebie i odszukał węzeł przypisany do Klubu Beringera. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Vik dał mu skomplikowaną sekwencję kodów, lecz Tom nie rozpoznawał tego systemu. Nie przypominał schematu węzła, który pokazywał mu przyjaciół.

Przez moment zastanawiał się gorączkowo, co może zrobić w tej sytuacji. Potem przypomniał sobie o czymś.

O czymś, co To mogło zrobić. Tak samo jak połączyło się z Wieżą, z satelitami, z kamerami ochrony...

Zacisnął zęby. Skoncentrował się. Wyczuł połączenia, złożony system kodów, poleceń i algorytmów sterujących tą maszyną.

Impulsy elektryczne w jego mózgu zaiskrzyły i nagle nie był już w swoim umyśle.

Nie było już jego organicznego ciała. Było tylko zimne, obce urządzenie sterujące węzłem Klubu Beringera.

Ogarnęła go raptem panika, bo znalazł się w morzu danych, pośród strumieni kodów, które ciągnęły go w różnych kierunkach i sam już nie był pewien, kim jest...

„Tom Raines. Jestem Tom Raines”.

Ta myśl go uratowała. Otrzeźwiła go na tyle, że zaczął używać rzeczy, której nie ma żadna maszyna. Woli. On miał wolę, a ta maszyna nie, dzięki czemu wygenerowane przez niego kody zaczęły zmieniać jej funkcjonowanie.

Jakiś głos w głębi umysłu ostrzegał go, że przekracza pewną granicę. Otwiera drzwi, których już nigdy nie będzie mógł zamknąć.



Tom zignorował go i wprowadził decydujący kod.

\* \* \*

Wrócił do klubu na pierwszą część przedstawienia. Przechadzał się między dyrektorami w drogich garniturach, kongresmenami, którzy jedli im z ręki, ich młodymi żonami. Dostrzegł Rodericka i Karla pogrążonych w rozmowie z panem Carolakiem, dyrektorem naczelnym Montando, i ruszył w ich stronę.

Roderick natychmiast przygarnął go do siebie.

– Panie Carolac, to właśnie on. Nasz najnowszy nabytek. Thomas Raines.

Carolac był starszym mężczyzną z niezdrową cerą, workami pod oczami i cynicznym uśmiechem, który upodabniał go nieco do

Rodericka. Uścisnął dłoń Toma i obejrzał go jak jakieś urządzenie.

– Sporo o tobie słyszałem, synu.

– A ja o panu, panie Carolac. – Tom uśmiechnął się, świadom, że wirus, który umieścił poprzedniego wieczoru w głowie nieprzytomnego Karla, lada moment się aktywuje.

Carolac pokiwał głową.

– Ty i Karl jesteście dla nas...

Karl pierdnął.

Carolac podniósł na niego swoje wodniste oczy.

Karl otworzył i natychmiast zamknął usta, czerwieniąc się jak burak.

– Ja...ja...

Dżyngis-chan ponownie wypuścił gazy, tym razem tak głośno, że usłyszeli go wszyscy obecni w sali.

Nagle wytrzeszczył oczy i odwrócił się do Toma, bo w jego głowie wyświetlił się zapewne napis Częste i głośne pierdzenie. Tylko on wiedział, co naprawdę dzieje się w klubie.

– Ty! – wrzasnął, wskazując oskarżycielsko na Toma. – Jego oprogramowanie nie działa!

Tom zrobił zdumioną minę, a potem zmarszczył brwi, gdy z trzewi Karla znowu wydobył się odrażający dźwięk.

– Nie wiem, o czym mówisz, Karl. Nie zrzucaj na mnie winy za to, że potrzebujesz zmiany diety.

Masters ruszył w jego stronę, pierdząc przy każdym ruchu. Powietrze wypełnił paskudny smród. Roderick złapał starszego chłopca za ramię.

– Karl, na miłość boską, idź do łazienki.

– To nie moja wina – odparł Karl płaczącym tonem. – To Raines! Mówię

panu, on...

– Idź!

Karl przemknął ze schyloną głową przez tłum milczących gości. Wszyscy zatykali nosy, gdyż straszliwy fetor przybrał jeszcze na sile.

Nie zdawali sobie sprawy, że Karl nie był temu winien.

Winne były urządzenia węzła sanitarnego przeprogramowane przez Toma. Pompy przepychały ścieki w przeciwnym kierunku, napełniając nimi zlewy i toalety. Tom wiedział, że lada moment śmierdząca ciecz zacznie wylewać się na podłogę.

Odchrząknął głośno i się uśmiechnął.

– Cóż, to było dość krępujące. – Spojrzał na dorosłych zgromadzonych dokoła.

– Przyniosę państwu drinki, może uda się nam zapomnieć o tym przykrym incydencie.

Pan Carolac wydawał się udobruchany.

– Przynajmniej jeden ci się udał, Roderick.

– Bardzo pana przepraszam za Karla... – mówił Roderick, gdy Tom oddalał się od nich.

Wcale jednak nie poszedł do baru. Opuścił klub w chwili, gdy Karl zaczął krzyczeć z łazienki o ściekach wypływających z rur. Tom zamknął kratę i zablokował ją sobie tylko znanym hasłem.

Po chwili do Karla dołączył przerażony głos Rodericka, a potem innych gości. Smród wydobywający się z klubu był tak odrażający, że Tomowi zbierało się na wymioty. Usiadł na schodach i obserwował przez kratę dyrektorów Montando. Z lubością słuchał pełnych wstrętu okrzyków, które wydawali z siebie elegancko ubrani

mężczyźni i ich partnerki, gdy ścieki zaczęły przelewać się z łazienek do sali.

Pan Carolac krzyknął do wszystkich, by się ewakuowali, a gdy okazało się, że nikt nie może otworzyć drzwi, kazał wezwać ślusarza. Tom zaczął się śmiać. Śmiał się jeszcze głośniejszym głosem, kiedy usłyszał, jak goście skarżą się, że ich telefony komórkowe nie działają. To musiała być sprawka Meduzy. Przez moment nie mógł wyjść ze zdumienia: czyżby zdołała unieszkodliwić satelity?

– Dzięki, Meduzo – powiedział cicho.

Wtedy Meduza zrobiła coś jeszcze: z głośników popłynęła ogłuszająca muzyka. Właściwie nie była to muzyka, lecz zgrzytliwe dźwięki metalu pocierającego o metal, nieznośne i przeszywające. Ludzie zaczęli walić pięściami w drzwi, szarpać za kraty.

Między tymi ostatnimi ukazała się twarz Rodericka. Tom podszedł do niego

swobodnym krokiem. Na jego widok mężczyzna odetchnął głośno z ulgą.

– Tom! Tom, Bogu dzięki, że to ty. Jak to dobrze, że zostałeś na zewnątrz, możesz sprowadzić pomoc.

Tom włożył ręce do kieszeni i zmierzył Rodericka chłodnym, drwiącym spojrzeniem.

– Hm... Czy ja wiem... Chyba tego nie zrobię.

Nie zważając na ścieki, które gromadziły się wokół jego skórzanych butów, Roderick wpatrywał się w Toma z rozdziawionymi ustami. Chłopiec napawał się jego zszokowaną miną.

– Tom! – wrzasnął Roderick i uderzył pięścią w kratę. – Natychmiast sprowadź pomoc!

Tom pokręcił głową, nie odrywając spojrzenia od twarzy Rodericka. Potem zszedł ze schodów i zbliżył się do kraty, pozostając jednak poza zasięgiem rąk mężczyzny.

– Może bym ją otworzył – powiedział, uśmiechając się chytrze. – Gdybyś uklęknął i mnie o to błagał.

– OTWIERAJ, TOM!

Chłopiec znów pokręcił głową, uśmiechając się jak wariat. Bezradna wściekłość Rodericka była tak cudowna, że nie mógł się powstrzymać.

– Nie. Klękaj i błagaj mnie. Błagaj, żebym cię wypuścił. Inaczej zostaniesz w tym smrodzie na całą noc. A twój szef z tobą. – Podrapał się ostentacyjnie w głowę. – Ciekawe, co pomyśli o dzisiejszym wieczorze. Najpierw pierdzenie Karla, a teraz to. Wszystko, co robię, świadczy o tobie, prawda?

Roderick wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jego posłuszny mały Tom zwrócił się przeciwko niemu.

– Twój wybór. Jeśli jednak nie zechcesz mnie błagać, ścieki przestaną się cofać za jakieś pół godziny, więc nie utoniecie. Będziecie musieli znosić ten smród, dopóki ktoś się nie zorientuje, że potrzebujecie pomocy I jeszcze jedno... – Tom puścił oko do Rodericka, jakby połączył ich wspólny żart. – Przynajmniej masz otwarty bar.

– Nie waż się nas zostawić!

– Nie to miałeś powiedzieć. Cóż, twój wybór. – Tom odwrócił się i ruszył schodami w górę.

– Poczekaj, poczekaj! Tom, proszę. – W głosie Rodericka pojawiła się nuta hysterii.

Tom obejrzał się przez ramię, ale nie zawrócił.

– Nie klęczysz, Roderick. Nie negocjuję w takich warunkach. Po tym jak przez

cały miesiąc płaszczyłem się przed tobą, mógłbyś choć raz przede mną uklęknąć.

– To garnitur za dwadzieścia tysięcy dolarów.

– To nie mój problem.

Roderick milczał przez chwilę i wpatrywał się w Toma, jakby zapomniał o ogłuszającej muzyce i straszliwym smrodzie. W końcu uklęknął w cuchnącej brei.

– Proszę, otwórz – powiedział przez zaciśnięte zęby głosem pełnym tłumionego gniewu i zranionej dumy. – Proszę, wypuść nas.

Tom spojrzał na niego i pomyślał o dymie cygara, kamerze i o tym, jak niewiele brakowało, by ten człowiek całkiem go zniszczył.

– Nie – odparł, po czym znowu zaczął wchodzić po schodach.

– ZABIJĘ CIĘ ZA TO, RAINES! – ścigał go wściekły krzyk Rodericka. – JUŻ NIE ŻYJESZ, GNOJKU, SŁYSZYSZ? NIE ŻYJESZ! POŻAŁUJESZ, ŻE W OGÓLE SIĘ URODZIŁEŚ...

Tom jednak spokojnie zmierzał do wyjścia, a głos Rodericka powoli cichnął w oddali. Kiedy chłopak wyszedł na ulicę, zamknął drzwi na klucz i obrócił tabliczkę, odsłaniając napis UWAGA, ZŁY PIES, by nikt nie wszedł do klubu i nie znalazł tam uwięzionych szefów Montando.

Tom wbił ręce w kieszenie, zdjął brudne buty i ruszył ulicami Waszyngtonu w kierunku odległej kopuły Kapitolu. O tej porze roku kwitły drzewa wiśniowe ciągnące się gęstym szpalerem wzdłuż betonowych traktów. Kiedy Tom podszedł do fontanny i

zanurzył w niej głowę, by zmyć z włosów żel, różowe płatki opadały wokół niego niczym drobiny śniegu. Zobaczył ulicznego sprzedawcę, który handlował pamiątkami z Waszyngtonu. Oddał mu swój garnitur za jedenaście tysięcy dolarów, a w zamian wziął koszulkę z napisem „Made in the USA”, krótkie spodenki z amerykańską flagą i parę tenisówek.

Potem zszedł na stację metra, wsiadł w pociąg i zostawił Montando oraz Klub Beringera daleko za sobą.

\* \* \*

Pomimo szczegółowej relacji Toma i morderczego spojrzenia, jakim obdarzył go Karl, gdy następnego ranka wrócił do Wieży, jego przyjaciele wciąż obawiali się powrotu Nowego Toma. Chłopiec starał się więc dokazywać jeszcze bardziej niż zwykle, ale nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak naprawdę czuje się okropnie przygnębiony.

Pewnego dnia na symulacjach stosowanych nie popędził wraz z resztą rzymskiego legionu do walki z królową Budyką<sup>16</sup>. Kiedy odszukała go Wyatt, siedział oparty o drzewo i wpatrywał się w swoje ubłocone sandały.

– Nie jesteś znowu Nowym Tomem, prawda?

– Nie.

Wyatt przestąpiła niepewnie z nogi na nogę.

– Ale inni walczą, a ty jesteś tutaj. Uwielbiasz walczyć.

– Myślę, jasne? Nie wolno mi myśleć?

– Zwykle tego nie robisz.

– Dzięki, Wyatt.

Dziewczyna usiadła obok niego, starannie unikając błota.

– Chcesz porozmawiać o swoich emocjach?

– Nie.

Wyatt odchrząknęła z zakłopotaniem.

– Chciałbyś może użyć zdań z czasownikiem „czuję”?

– Co ty robisz? – spytał Tom, zdumiony jej zachowaniem.

– Elliot rozmawiał ze mną o wrażliwości emocjonalnej. Dał mi kilka rad.

Tom przewrócił oczami. Miał ochotę uderzyć głową w pień drzewa, o który się opierał.

– Powiedział, że skoro jesteśmy przyjaciółmi, to powinnam wykorzystać te umiejętności dla twojego dobra.

– Cudownie – mruknął Tom.

– Więc... tego... jesteś teraz smutny?

– Nie! – warknął chłopiec, ogarnięty nagle złością. – Jestem wściekły, jasne? Mam ułożyć zdanie z czasownikiem „czuję”? Proszę bardzo: czuję, że mógłbym teraz kogoś zabić. Ciągle myślę o tym, jak robili ze mnie durnia, i czuję, że powinienem był spalić cały ten klub z Roderickiem Cohagenem w środku. Nawet nie podejrzewałem, że coś się ze mną dzieje! Całymi tygodniami wcierałem we włosy żel i płaszczyłem się przed Karlem, a nie poczułem choćby przez chwilę, że coś się zmieniło!

– Ten program był wyposażony w rootkit – został zaprojektowany tak, żeby się przed tobą ukrywać.

– Nie o to chodzi, rozumiesz? Powinienem był zauważyć, że coś jest nie tak, bo nagle zacząłem ufać Roderickowi. Roderickowi Cohagenowi! Nienawidzę tego faceta! Traktuje moją mamę jak śmiecia. To przez niego nie mam rodziny! I nagle wsadzają mi do głowy program, a ja zaczynam wierzyć, że to najfajniejszy człowiek na świecie? Naprawdę wierzyłem, że robi to wszystko

dla mojego dobra! Byłem o tym święcie przekonany i wcale mnie to nie dziwiło!

– Mówiłam ci, to kwestia programu. Tak został zaprojektowany.

– Ale ja się tak nie zachowuję, jasne? Zawsze wiem, kiedy ktoś mnie kantuje, i nie wierzę nikomu do tego stopnia. Nie ufałem tak nawet własnemu ojcu!

Wyatt spojrzała na niego z ukosa i przygryzła wargę, nie odezwała się jednak ani słowem.

Tom odwrócił wzrok i spojrzał na pole. Każde wspomnienie minionego miesiąca budziło w nim złość i odrazę. Wciąż wracał myślami do chwili, gdy Roderick pokazywał mu, jak wiązać krawat – żałował, że nie może cofnąć się w czasie i udusić go tym krawatem. Miał wrażenie, jakby zrobił coś strasznego, jakby dopuścił się ohydnej zdrady względem swojego ojca, bo nadal pamiętał, co znaczy ufać komuś bezgranicznie, wierzyć ślepo, że Roderick robi wszystko dla jego dobra...

Co najgorsze, tęsknił za tym uczuciem tak bardzo, że czuł w środku okropną, bolesną pustkę...

Podniósł się gwałtownie i wyciągnął miecz.

– Koniec z głupotami. – Musiał się na kims wyżyć. Brutalna bijatyka z wirtualnymi przeciwnikami mogła wszystko uleczyć. – Zapomnijmy o tym.

– Nie chcesz już dodać żadnych zdań z czasownikiem „czuć”?

Tom zaśmiał się ironicznie i ruszył na pole bitwy.

– Nie obraż się, Wyatt, ale beznadziejna z ciebie terapeutica. – Zawahał się na moment, po czym dodał z ociąganiem: – Ale tak czy inaczej, dziękuję.

---

[16](#) Budyka (22-61) – królowa Icenów, plemienia Brytów, która około 60 r. n.e. wznieciła powstanie przeciwko Rzymianom we wschodniej Brytanii.

## Rozdział 24

# PRZESTROGA

Tom przypuszczał, że upokorzeni dyrektorzy Montando zechcą się na nim zemścić, jednak choć od incydentu w Hubie Beringera minęło już sporo czasu, nikt nawet nie próbował go pognębić. Czasem tylko, gdy mijał na korytarzu Karła, ten szeptał:

– Już po tobie, kundlu.

– Jak tam twój problem ze wzdęciami? – odpowiadał uszczypliwie Tom, a wtedy Karl bladł z wściekłości.

Odżył za to konflikt o wiele starszy, o którym Tom niemal zapomniał, aż do dnia, w którym wszedł do salonu gier przy kantynie i zobaczył Ryzermana wpatrzonego w listę wyników.

1. TOM JEST BOGIEM HARA
2. HAR JEST BOGIEM
3. HAR JEST BOGIEM
4. HAR JEST BOGIEM
5. HAR JEST BOGIEM

Tom przystanął raptownie, gotów do ucieczki, lecz Ryzerman już go dostrzegł i uśmiechnął się drapieźnie.

– Panie Raines. Podziwiałem pańską sprawność i wytrwałość.

Chłopiec milczał, zastanawiając się, jak to rozegrać. Kiedy zaczynał bić rekordy Ryzermana, wyobrażał sobie, że któregoś dnia rzuci mu tę wiadomość w twarz. Teraz sam nie wiedział, co zrobić. Nie przypuszczał, że porucznik zareaguje uśmiechem.

– Dzięki. Wiem, że jestem fantastyczny – powiedział w końcu.

– Tak. Naprawdę zdumiewający. – Ryzerman przeszedł do następnej gry i wyświetlił listę wyników. – A do tego bardzo pracowity. Znalazłeś czas, żeby pobić mnie w ponad trzech tysiącach gier.

Tom spojrział ze zdumieniem na listę.

1. TOM JEST SEXY
2. HAR JEST BOGIEM

3. HAR JEST BOGIEM

4. HAR JEST BOGIEM

5. HAR JEST BOGIEM

Hm... Ciekawe, kto wpisał ten rekord.

– Nie uważasz, że to trochę egotyczne?

– Cóż, taki jestem. – Tom nie wiedział, czy przyznaje, że jest sexy, czy raczej, że jest egotykiem.

Ryzerman przeszedł do następnej gry.

1. TOM TO DUPEK

2. HAR JEST BOGIEM

3. HAR JEST BOGIEM

4. HAR JEST BOGIEM

5. HAR JEST BOGIEM

To z pewnością było dziełem Karla lub innego Dżyngis-chana.

Ryzerman zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– No proszę, panie Raines. Czyżby cierpiał pan na rozszczepienie osobowości?

Te zdania wyraźnie sobie przeczą.

Tom wzruszył ramionami.

– Kiepski dzień.

Ryzerman wyświetlił kolejną listę.

1. TOM NIE JEST KACZKĄ

2. HAR JEST BOGIEM

3. HAR JEST BOGIEM

4. HAR JEST BOGIEM

5. HAR JEST BOGIEM

Typowy beameryzm. Tom uśmiechnął się mimowolnie, potem jednak szybko spoważniał.

– Kaczką? – spytał Ryzerman, unosząc brwi.

– To prawda. – Tom pokiwał głową. – Nie jestem kaczką.

– Zdumiewa mnie fakt, że miał pan dość czasu, by pobić te wszystkie rekordy, panie Raines. Za dużo wolnego? Za mało pracy domowej?

– Och, to była dla mnie swego rodzaju praca domowa. Te wpisy były ważne dla pana, a major Cromwell powtarza, że należy sobie wybierać cele o dużym znaczeniu dla przeciwnika. Dla pana

to takie właśnie cele, prawda, poruczniku? Musiał pan na to poświęcić ładnych parę lat. – Tom machnął ręką w stronę ekranu. – I nagle – bach! – wszystkie są moje.



– Tak. – Ryzerman przyglądał mu się przez chwilę. – Zdobywanie rekordów w tych grach było terapią, której poddawałem się, walcząc z chorobą psychiczną. Kiedy przeprogramowałem software swojego procesora neuronowego, by kontrolował impulsy w moim mózgu, konkretny i osiągalny cel – taki jak zdobywanie rekordów w grach – pomagał mi wrócić na dobre do fizycznej rzeczywistości. Przyznam, że przywiązałem się do tych zapisów.

Tom zamrugał oczami, zdumiony. Nawet nie przyszło mu do głowy, że usuwając rekordy Ryzermana, może szkodzić jego zdrowiu psychicznemu.

– Choć z drugiej strony – uśmiechnął się porucznik – to nowe wyzwanie jest znacznie ciekawsze. Nie mogła zrobić tego jedna osoba.

– Nieprawda. Zrobiłem to sam.

– Nie. Zakładam, że cała Wieża zjednoczyła się przeciwko mnie, żeby tego dokonać, a ty byłeś symbolicznym przywódcą tej akcji. Wiesz, co spotyka ludzi, którzy są na tyle głupi, by odgrywać rolę liderów? – Ryzerman nachylił się do niego. – Czeka ich całkowita destrukcja. Jako przestroga dla innych.

\* \* \*

Tom był przekonany, że Ryzerman zemści się na nim już w czwartek, na najbliższych zajęciach z programowania. Nie mylił się.

– Dziś skupimy się na celach o dużym znaczeniu dla przeciwnika – zapowiedział porucznik, spoglądając na Toma.

Kazał im włączyć komputery i wpisać ośmiu elewów, z którymi się nie przyjaźnili, ale których nazwiska od razu przyszły im do głowy.

Oczywiście. Tylko kilka osób kojarzyło się wszystkim z tymi zajęciami: Kompania Camelotu i facet, którego imię wykorzystywali, bijąc rekordy Ryzermana.

Okazało się, że ośmiu elewów wybranych przez pozostałych to: Elliot Ramirez, Heather Akron, Alec Tarsus, Karl Masters, Raphael Malk – wszyscy z Kompanii Camelotu – oraz Tom, Yuri i Nigel Harrison.

– Doskonale. – Ryzerman pokiwał głową. – Dziś poćwiczmy atak. Ponieważ zbliża się szczyt na Kapitolu, członkowie Kompanii Camelotu zostają wykluczeni z zabawy, a pan Ivanov, jak rozumiem, nie jest w stanie w niej uczestniczyć.

Yuri udawał, że wpatruje się nieobecny wzrokiem w przestrzeń i nie ma pojęcia, co dzieje się w sali.

– A więc Tom Raines i Nigel Harrison mają dziś bardzo odpowiedzialne i ekscytujące zadanie. – Porucznik pochylił się nad mównicą i uśmiechnął

zjadliwie do Toma. – Będziecie celami o dużym znaczeniu.

Tom zsunął się niżej na swoim krześle i spojrzął w sufit. Innymi słowy, Ryzerman ogłosił otwarcie sezonu polowań na niego.

– Panie Raines, panie Harrison, jeśli uda się wam uniknąć ataku waszych kolegów do końca zajęć, wygrywacie. Wszyscy pozostali będą rywalizować między sobą o to, kto przypuści

pierwszy udany atak na jeden z celów o dużym znaczeniu. Zwycięzca... – Ryzerman zastanowił się przez moment – ...zwycięzca nie będzie musiał w przyszłości wykonać jednego z zadań.

Wszyscy wyraźnie się ożywili. Nawet Vik usiadł prosto.

– Zdrajca – rzucił w jego stronę Tom.

– Możesz mówić do mnie Benedict Arnold<sup>17</sup> – odrzekł Vik.

Tom zmarszczył brwi, czekając, aż jego procesor poinformuje go, o kim mówi Vik. Hindus trącił go w ramię.

– Hej, stary, przecież to ty jesteś tutaj Amerykaninem. Co z tobą?

– Posłuchaj, Vik, jesteś moim kumplem. Możesz mnie zniszczyć szybciej niż ktokolwiek inny.

– Od tego są przyjaciele – zgodził się Vik.

– Więc jak, panie Raines? – spytał Ryzerman. Potem dodał, jakby po namyśle:

– Panie Harrison? Nie zamierzacie uciekać?

Tom wzruszył ramionami i został przy boku Vika, gotów pozwolić, by to właśnie on jako pierwszy zainfekował go jakimś wirusem. Z pewnością byłoby to coś znacznie łagodniejszego niż program, który zaaplikowałby mu Karl lub inny Dżyngis-chan.

– Nie ma sensu, panie poruczniku. Nie wygram. Tutaj jest stu trzydziestu siedmiu elewów. Równie dobrze mogę zostać i wybrać zwycięzcę.

Spojrzął w stronę Nigela Harrisona i zobaczył, że ciemnowłosego chłopiec również siedzi spokojnie na swoim miejscu.

– Nie będzie bohaterskiej obrony? – droczył się z nimi Ryzerman. – A gdybym dał wam pięć minut przewagi?

Pięć minut niczego nie zmieniało. Niczego.

– Uważacie, że to za duże ryzyko, tak? – spytał porucznik, unosząc brwi.

Krew uderzyła Tomowi do głowy. O nie, tego już za wiele.

– Nie daj się na to nabrać – ostrzegł go cicho Vik.

Tom wiedział, że Ryzerman go prowokuje. Ale nie mógł pozwolić, by ktoś zarzucał mu tchórzostwo lub asekuranctwo. Zamierzał udowodnić porucznikowi, jak bardzo się myli. Zamierzał udowodnić to wszystkim.

Podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku Nigela.

– Chodź, Nigel, wynośmy się stąd.

Twarz chłopca wykrzywiła się w charakterystycznym grymasie. Spojrzał na Ryzermana z nieskrywaną nienawiścią.

– Piętnaście minut albo się stąd nie ruszę.

Ryzerman wyglądał na rozbawionego.

– Dobrze, niech będzie piętnaście. – Ton jego głosu mówił: „To i tak niczego nie zmieni”.

Tom dobrze o tym wiedział, mimo to zmierzał do drzwi. Tym razem Nigel poszedł za nim.

\* \* \*

Tom popędził do windy.

– Słuchaj, Nigel, zrobimy to tak... Nigel!

Nagle uświadomił sobie, że jest sam. Szczupły czarnowłosy chłopiec szedł za nim w irytująco wolnym tempie. Jego blada twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Tom podbiegł do niego i dostosował się do jego tempa.

– Zrobimy to tak – zaczął ponownie, niemal podskakując w miejscu. Choć najchętniej biegłby, ile sił w nogach, to wiedział, że musi współpracować ze swoim partnerem, jeśli mają wygrać tę potyczkę. – Powinniśmy wybrać sobie jakieś bezpieczne miejsce, w którym będziemy mogli kontrolować, kto wchodzi do środka – na przykład Komnatę Wspomnień – i tam się bronić. Damy radę. Możemy wygrać.

– Nie, nie możemy – odparł Nigel.

– Jasne, że możemy! Ty i ja, Nigel, będziemy jak bohaterowie westernów, Wyatt Earp i Doc Holliday. To nasza chwila chwały, dziś możemy wszystkich pokonać. To nasz „O.K. Corral”<sup>18</sup>. Grałeś w to kiedyś? – Miał ochotę chwycić Nigela za rękę i pociągnąć go za sobą, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili.

– Straszny z ciebie dzieciak – mruknął Nigel. – Ty i ten twój stuknięty kolega. Życie nie jest głupią grą wideo, rozumiesz? A poza tym kto nazwałby siebie Doktorem Śmierci? Ukradliście to z Fantastycznej Czwórki.

Tom wcisnął guzik przyzywający windę.

– Po pierwsze, jesteście Doktorami Śmierci, w liczbie mnogiej i w dopełniaczu. Po drugie, to nie ma nic wspólnego z naszą obecną sytuacją, Nigel.

Drzwi windy się rozsunęły. Nigel stał oparty plecami o ścianę i marnował cenny czas, a przecież jeśli mieli wytrwać do końca zajęć, nie mogli pozwolić

sobie na taką rozrzutność.

– Nigel, pospiesz się. Musimy znaleźć dobre miejsce do obrony.

Chłopiec spojrzał na niego swymi zimnymi niebieskimi oczami.

– Czy to prawda, że wysadziłeś w powietrze Klub Beringera?

– Wiesz o tym? – zdumiał się Tom.

– Te gnojki z Montando mnie też wyrolowały – powiedział Nigel. – Najpierw zachowywali się tak, jakby mieli mnie sponsorować, pozwalali mi przychodzić do klubu, kiedy chciałem, a potem anulowali moją nominację do Kompanii Camelotu i zakazali mi wstępu do klubu.

– Przykro mi. – Tom przestąpił niepewnie z nogi na nogę, bo on zostałby kandydatem Montando, gdyby tylko zgodził się na zmianę osobowości.

– Więc zrobiłeś to?

– Nie wysadziłem Klubu Beringera. Zalałem go jedynie ściekami. W środku byli zamknięci wszyscy dyrektorzy.

Nigel przyglądał mu się przez chwilę, a potem na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Wszedł z Tomem do windy i nacisnął przycisk „-1” oznaczający podziemia.

– Myślę, że możemy razem pracować. I wiem, że możemy wygrać.

Tom uśmiechnął się do niego szeroko.

– Więc zróbmy to, stary. – Podniósł rękę, by przybić z Nigelem piątkę, ale ten spojrzał tylko z ukosa na jego dłoń i odwrócił wzrok.

Po wyjściu z windy Tom ruszył w stronę Komnaty Wspomnień, ale Nigel za nim nie poszedł. Stał przy głównym procesorze Wieży – chipie wielkości lodówki, oplecionym kablami i węzami z płynem chłodzącym.

– Najpierw zablokujemy system namierzania, żeby nie mogli nas znaleźć. Podłączę się do niego i...

Tom wpadł nagle na pewien pomysł.

– Poczekaj. To pierwszy program, z którego skorzystają, kiedy zaczną na nas polować, rozumiesz?

Nigel spojrzał na niego i pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Więc wprowadzimy tu wirusa.

– Otóż to.

Chłopiec podszedł do komputera zawieszzonego na ścianie i zaczął coś pisać.

– Mam świetnego trojana. – W jego oczach pojawił się dziwny błysk. – Sam go napisałem. Nazywa się Ostry napad padaczki.

W pierwszej chwili Tom pomyślał, że Nigel żartuje. Kiedy zrozumiał, że mówi całkiem poważnie, złapał go za rękę, nim chłopiec zdołał wprowadzić

odpowiednią komendę.

- Nie możesz tego zrobić, Nigel. To niebezpieczna choroba.
- No i co z tego? – Partner zmierzył go lodowatym spojrzeniem.
- Ludzie umierają od takich ataków. Mógłbyś kogoś zabić.

Nigel uśmiechnął się paskudnie.

- Wiem – odrzekł, po czym ponownie sięgnął do klawiatury.

Tym razem Tom odepchnął go od komputera. Chłopiec był drobniejszy i niższy od niego. Uderzył plecami o ścianę i spojrzał na Toma ze zdumieniem, jakby ten właśnie go zdradził.

– Co ty robisz?! – wrzasnął Tom. – Myślisz, że Marsh puści nam coś takiego płazem?

– Nie użyłbym wirusa przeciwko KomCa, a tylko to obchodzi Marsha. – Niebieskie oczy Nigela płonęły fanatycznym blaskiem. – Zainfekowałbym jedynie pozostałych, ludzi bez znaczenia, a później Ryzerman wszystko by naprawił. Nie rozumiesz tego, Tom? Żaden z nas nie ma już szans, żeby dostać się do Kompanii Camelotu normalną drogą. Ty jesteś spalony w Montando, a mnie odrzucili z powodu mojej twarzy. Musimy spróbować innego sposobu.

- Jakiego? Chcesz wyeliminować konkurencję?

– Nie. Pokażemy Marshowi, że potrafimy być bezwzględni. – Nigel zacisnął dłonie, jakby chwycił jakiś przedmiot widoczny tylko dla jego oczu. – Nadal nie rozumiesz? W KomCa nie ma nikogo, kto byłby w stanie pokonać Meduzę. Szukają kogoś innego. Kogoś, kto różni się od pozostałych. Pokażemy im, że tacy właśnie jesteśmy.

– Nie ma mowy. – Tom stanął między chłopcem a klawiaturą. – Mam tam przyjaciół.

Twarz Nigela znów wykrzywiła się w nerwowym grymasie, oczy błysnęły gniewnie.

- Szczęściarz z ciebie.

– Nie mówiłem wcale, że ty nie...

- Nie – syknął Nigel. – Ja nie mam tutaj przyjaciół.

„Ciekawe dlaczego” – pomyślał Tom, głośno zaś powiedział:

- Być może nie masz, ale to nie oznacza, że pozwolę ci skrzywdzić moich.

– W jakiej ty rzeczywistości żyjesz, Raines? – zirytował się Nigel. – Za kilka minut twoi tak zwani przyjaciele będą na ciebie polować. Oni pomogli ci zadrzeć z całym zarządem Montando. To jedna z najważniejszych firm w Koalicji Międzynarodowych Korporacji, rozumiesz? Ci ludzie praktycznie

rządzą światem, a ty omal nie utopiłeś ich w ściekach! Gdybyś miał prawdziwych przyjaciół, powiedzieliby ci, że jesteś idiotą, skoro w ogóle przyszedł ci do głowy taki pomysł!

– Moi przyjaciele mówią mi, że jestem idiotą! – oburzył się Tom. – Robią to nieustannie!

– W porządku, Raines. Rozegraj to po swojemu.

Tom nie ufał Nigelowi. Odwrócił się do klawiatury, osłaniając ją własnym ciałem, i próbował przywołać z pamięci kody Częstego i głośnego pierdzenia. Wprowadziłby wirusa do systemu namierzania – może pozostali nie szukaliby go tak ochoczo, gdyby musieli radzić sobie z dokuczliwymi wzdęciami.

– Masz naprawdę imponującą zaporę, Raines – zauważył Nigel.

Tom nie odpowiedział. Próbował wstukać odpowiedni kod.

– Imponującą – kontynuował Nigel – ale nie idealną. Powinieneś być mnie posłuchać. Wtedy miałbyś może jakieś szanse.

Tom obrócił się na pięcie, zobaczył, jak Nigel podnosi rękę z przenośną klawiaturą, i rzucił się w jego stronę, ale było już za późno. Wirus zaatakował go z pełną siłą. Tom gwałtownie odrzucił głowę do tyłu i uderzył w coś twardego. Świat przed jego oczami pogrążył się w ciemności.

\* \* \*

Ocknął się na podwyższeniu w Sali La Fayette'a. Usiadł prosto i jęknął, gdy zakręciło mu się w obolałej głowie. Zobaczył, że wszystkie ławki są puste. Oprócz niego w pomieszczeniu był tylko Ryzerman, który pracował przy komputerze. Tom próbował wstać, ale przekonał się, że ma skrępowane ręce, a z tyłu głowy przywiązane jakieś miękkie zawiniątko.

– Co to jest? – spytał.

Ryzerman wstał od komputera, podszedł do Toma i pochylił się nad nim.

– Obudziłeś się. I przestałeś się rzucać.

Nachylił się jeszcze bardziej i zdjął mu więzy.

Tom roztarł obolałe nadgarstki i się podniósł. Znów zrobiło mu się niedobrze.

– Co się stało? Kto wygrał?

Ryzerman wrócił na swoje miejsce i dokończył to, czym zajmował się wcześniej. Tom zobaczył, jak w jego umyśle przesuwają się jakieś kody.

– Zneutralizowałem kod Harrisona. Zdaje się, że dopadł cię, zanim mógł to zrobić ktokolwiek inny. Ponieważ byłeś jednym z dwóch celów o dużym znaczeniu, to właśnie on wygrał.

Podstępny mały... Tomowi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłby

zaatakować Nigela i w ten sposób wygrać.

– Czym mnie załatwił? – Sięgnął do głowy i potarł obolałe miejsce. – Oстрым napadem padaczki?

– Nie. Kto zaprogramowałby coś takiego? Zaatakował cię paskudną odmianą Nigela Harrisona. Zacząłeś nie tylko krzywić twarz, ale też rzucać się na wszystkie strony. Uderzyłeś o coś głową i straciłeś przytomność.

Tom parsknął śmiechem i zachwiał się lekko, wciąż oszołomiony.

– Nigel Harrison załatwił mnie Nigelem Harrisonem? – Miał wrażenie, że podium kołysze się pod jego stopami niczym statek na morzu.

Ryzerman od razu to zauważył.

– Usiądź, zanim znów się przewrócisz.

Tom uświadomił sobie, że to nie podwyższenie się kołysze, lecz on chwieje się na nogach. Nie miał jednak najmniejszej ochoty przebywać dłużej w towarzystwie Ryzermana.

– Nie, nic mi nie jest – oświadczył.

Zeskoczył z podium, stracił równowagę i runął jak długi na podłogę.

– Świetnie ci poszło.

Porucznik uśmiechnął się szyderczo. Podeszedł do chłopca, złapał go wielką dłonią za kark i podniósł.

– Proszę mnie puścić – protestował Tom. – Mam zajęcia z taktyki.

Ryzerman prowadził go do wyjścia.

– Najpierw pójdiesz do ambulatorium.

– Nic mi nie jest – upierał się Tom.

– Ogromnie cenię sobie twoją wiedzę medyczną, Raines, ale nie mam ochoty włączyć się po sądach, a tak by się pewnie stało, gdyby spuchł ci mózg i doznałbyś trwałych uszkodzeń. I bez tego masz z nim spore kłopoty.

– Dzięki... – mruknął Tom, pozwalając, by Ryzerman ciągnął go po korytarzach Wieży.

Chłopak zachwiał się, gdy porucznik oparł go o ścianę przy wejściu do ambulatorium. Przyłożył policzek do chłodnego tynku. Był cudownie twardy i solidny, podczas gdy jemu wciąż kręciło się w głowie. Poczł wzbierającą falę mdłości i ucieszył się w duchu, że jednak nie trafił z powrotem na zajęcia. Nie chciał dawać Karlowi satysfakcji, wymiotując przed wszystkimi elewami.

– Człłby pan jakąs psychotyczną, pokręconą przyjemność, gdyby coś mi się stało, prawda, poruczniku? – powiedział słabym głosem. – Wtedy naprawdę by pan wygrał.

Tom poczuł, jak dłoń Ryzermana zaciska się mocno na jego ramieniu,

i usłyszał zirytowany szept mężczyzny:

– Nie zwalaj wszystkiego na mnie. Sam sprowadzasz na siebie kłopoty, Raines. Niepotrzebnie ze mną zadzierałeś. Wiedziałeś, że się zemszczę. Wiedziałeś, że wygram.

– Nie wygrałeś. Nie boję się ciebie.

Dłoń porucznika zacisnęła się jeszcze mocniej.

– Tak. Wiem. Wciąż próbujesz to udowodnić. Nie bałeś się skorpionia ani wtargnięcia, w którym czułeś prawdziwy ból. Ale nie możesz wygrywać wszystkich bitew, nie możesz wojować z całym światem. To po prostu głupie, autodestrukcyjne. Może i jestem chory, ale to ty jesteś bardziej pokręcony ode mnie. Powiedz mi,

jak udało ci się wszystkich oszukać na testach psychologicznych?

Tom wyrwał się z jego uścisku. Czuł, jak mimowolnie blednie, bo nigdy nie przechodził żadnych testów i coraz częściej go to zastanawiało. Wyraz jego twarzy musiał coś zdradzić Ryzermanowi, bo uśmiechnął się triumfalnie, jakby domyślił się czegoś ważnego.

W tym momencie otworzyły się drzwi ambulatorium i ze środka wyszedł Chang.

– Tak, panie poruczniku?

Przez chwilę Tom myślał, że Ryzerman każe pielęgniarzowi zbadać nie tylko jego zdrowie fizyczne, ale też psychiczne. Rozważał, czy w związku z tym poniesie jakieś surowe konsekwencje.

Ale Ryzerman odwrócił się, rzucając jedynie przez ramię:

– Uderzył się w głowę. Proszę zabrać mi go z oczu.

---

[17](#) Benedict Arnold (1741-1801) – kupiec z Connecticut, który walczył podczas amerykańskiej wojny o niepodległość w stopniu generała. W Stanach Zjednoczonych znany przede wszystkim ze spisku, w wyniku którego Amerykanie musieli poddać Brytyjczykom fort West Point. Jego imię stało się w USA synonimem zdrady.

[18](#) Miejsce, w którym odbyła się słynna na całym Dzikim Zachodzie strzelanina między obrońcami prawa (m.in. Wyatt Earp i Doc Holliday) a gangiem The Cowboys.



## Rozdział 25

# MĄDRALA

Podczas kilku pierwszych spotkań online Tom i Meduza zajmowali się niemal wyłącznie grą. Gry te odbywały się w wirtualnej rzeczywistości, bo Tom nie miał już dostępu do portu neuronowego w Klubie Beringera, a nie śmiał wchodzić do sieci z Wieży. Mimo to starcia z Meduzą były tak absorbujące i zajadłe, że nie miał czasu myśleć o niczym innym. Meduza zawsze wygrywała. Tom wiele razy był bliski zwycięstwa, ale ciągle brakowało mu tego jednego, ostatniego ruchu, który ona wykonywała. Niezmiennie wyprzedzała go o krok.

Meduza nie mówiła zbyt wiele, a Tom wolał walczyć, niż rozmawiać, więc początkowo rzadko korzystali z komputerowo przetworzonych głosów. Potem jednak zaczęli sobie dokuczać. Tom nie wygrywał, więc z chęcią przypominał jej o swoich drobnych zwycięstwach. Wkrótce Meduza również nauczyła się chwalić i odgryzała się, mówiąc o własnych wielkich triumfach. („O nie, gdzie podziła się twoja głowa? Może zirytowała się, że nigdy jej nie używasz, i przeniosła się do kogoś innego?”). Czasami przebywali

w swoim towarzystwie jeszcze jakiś czas po zakończeniu gry i rozmawiali o tym, co się w niej wydarzyło („Gdybym się uchylił, byłoby po tobie. Podnosiłem już topór”, „Nie, bo czekałam, aż się uchylicz, i trzymałam sztylet gotowy do ciosu”). Zdarzało się też, że dyskutowali o bitwach, które Meduza stoczyła w rzeczywistości.

Pewnego razu, gdy Tom zaczął wspominać jej zwycięstwo na Tytanie, spytała, czy naprawdę jest obłąkany i wciąż o niej myśli.

– Tak – potwierdził.

Przyznał nawet, że oglądał jej bitwy ponad tysiąc razy.

Co dziwne, to wyznanie sprawiło, że jeszcze bardziej go polubiła. Odtąd mówiła swoim normalnym głosem, więc i on używał prawdziwego.

Teraz wiedział już z całą pewnością, że Meduza jest dziewczyną.

Którejś niedzieli Tom wylegiwał się na fotelu w salonie gier w centrum handlowym Pentagon City. Skończyli właśnie grać, a on próbował odwlec moment, kiedy Meduza się wyloguje.

– Przez sześć lat ani razu nie przegrałem. Dopóki nie spotkałem ciebie. – Tom ustawił mikrofon tak, by słyszała go dobrze na tle odgłosów dobiegających z salonu gier.

Jego awatarem był muskularny niebieski ogr uzbrojony w miecz samurajski, który mógł również przyjmować postać miotacza plazmowego.

Meduza występowała jako egipska bogini o skrzydłach nietoperza i oczach miotających ogniem.

– Ja nie przegrałam od ośmiu lat, zanim cię spotkałam. I nadal nie przegrywam!

Tom roześmiał się głośno. Meduza coraz częściej żartowała sobie z jego porażek. Przypominała mu pod tym względem... jego samego.

Ich postaci przebywały we wstępnej fazie starej gry fabularnej. Meduza nalegała, by Tom wymyślił dla siebie sygnał wywoławczy, bo nie podobało jej się imię jego awatara Murgatroid. Nie zaakceptowała też przydomka, które zaproponował, czyli Troid.

– Mam – oznajmił Tom. – Merlin.

To też nie przypadło jej do gustu. Egipska królowa zmieniła się w olbrzymiego nietoperza, który przeleciał przez salę, jakby zamierzał całkiem się z niej wynieść. Ogr Toma doskoczył do okna i zablokował drogę ucieczki. Nietoperz wydał z siebie głośne „Buu!”, a z jego oczu wystrzeliły strumienie ognia.

Ogr podniósł swoje potężne ręce, by osłonić się przed płomieniami.

– Dlaczego nie Merlin?

– Za bardzo kojarzy się z Kompanią Camelotu. Myślałam, że nie masz już szans, żeby do nich dołączyć. Wolałabym raczej coś, co uderza w Camelot.

– To chyba ociera się o zdradę, co? – spytał Tom przyciszonym głosem. – Uderzając w Camelot, szkodzę własnej ojczyźnie.

Nietoperz przeleciał obok jego głowy.

– A teraz nie dopuszczasz się zdrady? Spotykasz się z wrogiem.

– Nie przekazuję ci przecież żadnych tajnych informacji. Poza tym oboje spotykamy się z wrogiem.

– Cóż, chyba rzeczywiście nie ma w tym nic złego. Zresztą nie będziemy walczyć ze sobą w prawdziwym życiu. Nie należysz do Camelotu.

– Nie, nie należę do nich. – Starł się ignorować bolesne ukłucie w sercu, które poczuł na myśl, że nigdy nie zmierzy się z nią w prawdziwej walce. – Więc może mi powiesz, jaki powinienem przyjąć sygnał wywoławczy? Skoro i tak nie użyję go w realnej wojnie, to powinno ci być wszystko jedno.

Meduza znów wydała z siebie głośne „buu”.

– Sam musisz to wymyślić.

– Mam dobry pomysł. MOOJ, wielkimi literami – stwierdził z powagą Tom. Meduza odpowiedziała jeszcze głośniejszym buczeniem.

– No dobrze, dobrze – mruknął Tom. – Niech będzie Lord Joostmeister.

Z oczu nietoperza wystrzeliły płomienie.

Tom odchylił się w fotelu, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– A może sir Roostag Potężny i Wolny?

Zastanawiała się nad tym przez sekundę, po czym ponownie zahuczała.

– Rozumiem. Dobra, teraz poważnie. Exabelldon.

Meduza zaatakowała ogra płomieniami strzelającymi z jej oczu. Ogr ryknął wściekle, a Tom parsknął śmiechem.

– Podsuwasz mi teraz najgorsze imiona, jakie przyjdą ci do głowy – zarzuciła mu.

– No dobrze, już dobrze... – Tom rzeczywiście starał się wymyślać jak najgłupsze pseudonimy. – Chcesz czegoś, co wkurzyłoby Camelot? Może... Mordred? On zniszczył prawdziwy Camelot.

Odpowiedziały mu oklaski. Meduza zmieniła się z powrotem w egipską królową i nie próbowała już wylecieć przez okno ani spalić Toma.

– Dobrze, w takim razie zostajemy przy tym sygnale – stwierdził Tom.

Egipska królowa zatrzepotała swoimi długimi czarnymi rzęsami.

– Mordred to seksowne imię.

Tom zaczerwienił się mimowolnie, jakby naprawdę przebywał w jednym pokoju z dziewczyną, która się z nim droczy.

– Tak myślisz?

– Wiem to.

Egipska królowa Meduzy wskoczyła na sofę i wykonała kilka salt do tyłu. Jej suknia powiewała wokół niej niczym eteryczna mgiełka. Ogr Toma zrobił kilka kroków do przodu i zaczęli krążyć wokół siebie, przygotowując się do kolejnego pojedynku.

– Powiedz mi coś. – Tom wpatrywał się z uwagą w awatara Meduzy, jakby kilka megapikseli mogło dać mu pojęcie o człowieku, który krył się za tym obrazem. – Twój ojczysty język to mandaryński?

– Kantoński.

Tom pogratulował sobie w duchu sprytu, który pozwolił mu poznać jej narodowość. Potwierdziła już wcześniej, że jest dziewczyną – bo mówiła kobiecym głosem – a on domyślił się, że pochodzi z Chin, bo odpowiedziała w portalu Zakazane Miasto, a nie Dzieci Moskwy, ale chciał mieć pewność w tej

kwestii. Teraz mógł już tworzyć w wyobraźni jej obraz – lśniąca czarna włosy, żywe

czarne oczy. Prawdopodobnie była niska. Tom to po prostu wyczuwał.

– Jesteś z Teksasu? – spytała Meduza ni stąd, ni zowąd.

– Dlaczego akurat z Teksasu? Wyglądam na Teksasńczyka?

– Teksas i Nowy Jork to jedyne miejsca w Stanach, o jakich słyszałam. Aha, i jeszcze Kalifornia. Ale nie wydaje mi się, żebyś był typowym blond surferem z kalifornijskiej plaży.

– Jestem blondynem, ale nie surferem i nigdy nie byłem w Teksasie.

– Och...

– Ale znam jednego faceta z Teksasu.

Ogr Toma wskoczył na sofę, która przechyliła się pod jego ciężarem. Awatar Meduzy ze śmiechem zeskoczył na podłogę, pozwalając, by ciężki mebel przewrócił się na ogra i go przygniótł.

– Ma na imię Eddie – mówił dalej Tom, poruszając rękami i wygrzebując się spod kanapy. – Najpierw pobił się z moim ojcem, a potem razem poszli na piwo. Nadal są kumplami. Może tak właśnie zawiera się tam przyjaźnie.

– A czy my nie zaprzyjaźniliśmy się w taki sposób? Walcząc? – spytała Meduza, po czym kopnęła ogra w twarz, jakby dla podkreślenia swych słów.

Tom odrzucił w końcu sofę, zerwał się na równe nogi i uderzył egipską królową, podekscytowany. Naprawdę uważała, że są przyjaciółmi?

Zaczęli okładać się pięściami, nie przerywając rozmowy.

– Tak, ale nie tylko walczyliśmy ze sobą – mówił. – Razem zniszczyliśmy Klub Beringera. Aha, i jeszcze zginąłem w męczarniach

z twoich rąk. Okrutne morderstwo zawsze tworzy fundament pięknej przyjaźni.

Egipska królowa wymierzyła mu potężnego kopniaka. Ogr uderzył w ścianę, która runęła na ziemię, grzebiąc go pod wielką stertą kamieni. Tom nie mógł uwolnić się od obrazu powstałego w jego umyśle: ślicznej Chinki, która uwielbia gry wideo, strzela ogniem z oczu i walczy z nim. Aha, i która jest także największym wojownikiem na świecie.

Cieszył się, że Meduza widzi teraz jedynie jego awatara w postaci ogra z wielkim toporem, bo byłoby mu wstyd, gdyby zobaczyła jego wielki radosny uśmiech.

\* \* \*

We wtorek po zajęciach z taktyki w głowie Toma rozległ się komunikat: Proszę

się zgłosić do Elliota Ramireza po ocenę semestralną.

– Och, świetnie... – mruknął Tom.

Doskonale wiedział, co mu powie Elliot.

Wszyscy kadeci podlegali ocenie decydującej o promocji do grupy elewów średnio zaawansowanych, która stanowiła niewielki, lecz istotny krok na wyższy szczebel w hierarchii Wieży. Ostateczna decyzja należała do Marsha, ale instruktor symulacji stosowanych też miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Do tej pory Tom starał się unikać Ramireza, przekonany, że ten wytknie mu nieumiejętność pracy w zespole, brak właściwego podejścia psychologicznego, niesubordynację i temu podobne. Elliot najwyraźniej miał już dość czekania na Toma i sam wezwał go do siebie.

Tom nigdy dotąd nie był na czternastym piętrze zajmowanym przez Kompanię Camelotu. Podobnie jak inni słyszał jedynie różne plotki na temat tego miejsca – że elewowie nie mają własnych pokoi, śpią w salach przypominających koszary, mają basen, materace wypełnione pierzem i saunę, po której przechadzają się nago dziewczyny z KomCa. Do tego jeszcze bar i salon masażu. Kiedy więc za otwartymi drzwiami ukazały się kwatery i świetlica jak na każdym innym piętrze, Tom poczuł się zawiedziony. Stał na miękkim dywanie, spoglądając na pochyłe wysokie okna, za którymi rozciągał się widok na Arlington. Potem obrócił się powoli, wodząc wzrokiem po drzwiach do poszczególnych pokoi.

– Tom.

Chłopiec drgnął, wystraszony. Odwrócił się całkowicie i zobaczył Elliota, który stał w drzwiach Kwatery MacArthura i gestem zapraszał go do środka.

Tom wszedł za nim do pokoju. Jednoosobowy. Przyjemnie.

Przed jego przyjściem Elliot leżał zapewne na łóżku, bo teraz znów się na nim ułożył. Wyciszony ekran na suficie pokazywał bitwę w okolicy Merkurego sprzed kilku miesięcy.

– Czas na twoją pierwszą ocenę – powiedział Elliot, wpatrując się w sufit.

Tom przestąpił z nogi na nogę.

– Tak.

– Usiądź.

Tom usiadł w pluszowym fotelu.

– Przepraszam, że cię tu ściągnąłem, ale musimy się zająć przygotowaniem do szczytu. Generał Marsh ciągle przysyła mi

wiadomości z Indii i prosi, żebym skłonił KomCa do wyznaczenia mojego zastępcy. A ja łudziłem się, że może w tym roku będę walczył samodzielnie.

Tom podniósł wzrok na ekran, bo nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Spośród

wszystkich członków KomCa to właśnie Elliot walczył w sposób najbardziej szablonowy i przewidywalny. Nie bez powodu Marsh nigdy nie pozwalał mu robić tego na własną rękę.

Elliot również ponownie spojrzął na ekran.

– Powiedz mi coś, Tom: jak myślisz, jaki błąd tutaj popełniłem? – Ramirez poruszył palcem i odtworzył raz jeszcze fragment, w którym jego statek otarł się o okręt Meduzy, a potem został trafiony jej pociskiem. Maszyna Elliota eksplodowała i zamieniła się w kulę ognia opadającą ku powierzchni Merkurego.

– Eee... dałeś się trafić.

– To oczywiste. Ale dlaczego do tego doszło? Co zrobiłem źle wcześniej?

– Chcesz, żebym się trochę powymądrzał?

– Tak, Tom, powymądrzaj się.

Tom poprawił się w fotelu, skonsternowany. Z chęcią powiedziała by Elliotowi, co sknocił, ale wydawało mu się, że nie jest to najlepszy moment, by wypominać mu porażki. Poza tym, odkąd Elliot pozwolił mu walczyć z Meduzą w Troi, nie czuł takiej potrzeby.

– Hm, i tak straciłbyś statek. Nawet gdybyś zrobił wszystko, jak należy.

– Ale mógłbym zabrać ze sobą Meduzę, gdybym lepiej to rozegrał. Co powinienem był zrobić?

– Robiłeś wszystko zgodnie z regułami. Znasz się na tym lepiej ode mnie. Znacznie dłużej uczysz się taktyki.

– Ale...

– Powinieneś być w nią wlecieć. Miałeś okazję. Gdybyś rozwalił Meduzę, pozostali byliby w szoku. Mógłbyś ich powystrzelać.

– W nią? – Elliot się uśmiechnął.

Tom skrzywił się mimowolnie, zirytowany własną gafą.

– Nie wiem dlaczego, ale myślę o niej jako o dziewczynie.

– Tak, ja też – przyznał Elliot, po czym znów spojrzął na sufit. – Mam nosa do kobiet.

Oczywiście. Tom opadł na oparcie fotela i również podniósł wzrok na ekran.

– Widzisz, nie przyszło mi do głowy, że mógłbym w nią wlecieć – mówił dalej Elliot. – Albo wtedy – dodał, wyświetlając obraz trzeciej bitwy o Tytana.

W pewnym momencie nie wykorzystał okazji do strzału. Nie był idealnie ustawiony, ale Tom na jego miejscu i tak by wystrzelił: nawet gdyby pocisk nie trafił w główny okręt Meduzy, zniszczyłby na pewno któryś z tyłu.

– Nie wykorzystałeś okazji do strzału – zauważył głośno Tom.

– Wtedy nie przyszło mi do głowy, żeby strzelać. Myślałem, że będę miał jeszcze lepsze okazje, ale się przeliczyłem.

Tom nie miał pojęcia, dlaczego właściwie Elliot wezwał go do siebie, bo jak dotąd wcale nie oceniał jego dokonań, lecz analizował własne porażki.

– Posłuchaj – zaczął Tom. – Nie mogę siedzieć tutaj i mówić, co zrobiłbym na twoim miejscu. Krytykować jest łatwo, ale tak naprawdę nie wiesz, jak sam byś się zachował w danej sytuacji, dopóki rzeczywiście się w niej nie znajdziesz.

Elliot usiadł prosto i mu się przyjrzał.

– Tak, pewnie masz rację. Ale ty, Tom, masz wyjątkowy dar. Przyglądałem ci się wielokrotnie, widziałem, jak skaczesz wrogowi prosto do gardła. Masz instynkt zabójcy. Ja go nie mam. Nie mam szponów ani pazurów, brakuje mi woli walki.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś bezwzględny i agresywny jak ja?

– Można to i tak ująć, Tom. Wiesz, dlaczego chciałem, żebyś mi oddał hołd?

Wówczas Tom miał pewne teorie na ten temat. Myślał o żądzy władzy, o jakimś głęboko zakorzenionym egotyzmie. Teraz nie wydawało mu się to prawdopodobne.

Elliot sam odpowiedział na swoje pytanie.

– Bo żeby tutaj awansować, musisz nie tylko dobrze walczyć. Choćbyś robił to najlepiej na świecie, do niczego nie dojdiesz, jeśli nie zechcesz uczestniczyć w tej grze pozorów. W całej historii świata nie ma człowieka, który osiągnąłby sukces, kierując się wyłącznie dumą, kto nie uśmiechałby się w razie potrzeby do tych, których w gruncie rzeczy nienawidzi, kto nie grałby z innymi, nawet gdyby mu się to nie podobało.

– Rozumiem. Nie umiem grać w zespole.

– Ale mógłbyś się nauczyć. – Elliot nachylił się do niego. – Mógłbyś, Tom. Byłbyś wtedy bardzo cennym, skutecznym graczem. Właśnie takim, który prowadzi zespół do zwycięstwa. Ale musisz brać udział w tej drugiej grze. Musisz nauczyć się...

– Podlizywać? – wypalił Tom bez zastanowienia.

– Zgadza się. Podlizywać.

Tom wpatrywał się w Elliota ze zdumieniem, podczas gdy na ekranie wciąż tańczyły statki kosmiczne.

– Myśl sobie, co tylko zechcesz, Tom, ale niczego nie osiągniesz, jeśli nie nauczysz się zachowywać – od czasu do czasu – jak żaloszny lizus. Możesz brać przykład ze mnie.

Tom nie miał pojęcia, jak zareagować na te słowa. Nigdy nie przypuszczał, że Elliot dobrze wie, jak jego zachowanie wygląda z boku.

Tymczasem Ramirez mówił dalej:

– Podziwiam twoją prawość, Tom. Podziwiam determinację, z jaką bronisz swego. Ale chciałbym też zobaczyć, jak coś zdobywasz, a nie tylko się bronisz. Chciałbym, żeby człowiek obdarzony taką kreatywnością, energią i zapałem jak ty doszedł do czegoś. Nie uda ci się to, jeśli nie nauczysz się kłaniać.

Przez moment Tom był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć. Potem przypomniał sobie, że to wszystko przecież nie ma już większego znaczenia.

– Tak czy inaczej do niczego nie dojdę.

Elliot uniósł brwi.

– Masz na myśli spotkanie dyrektorów Montando w Klubie Beringera?

„Oczywiście” – pomyślał Tom.

Elliot był jedną z osób, które musiały o tym słyszeć.

– Ten postępek z pewnością utrudni ci znalezienie sponsora, przyznaję – powiedział Elliot, wstając z łóżka. – Ale do Koalicji, która inwestuje w indyjskich wojowników, należą jeszcze cztery korporacje. Nie trać tak szybko nadziei.

Tom także podniósł się z fotela, zbity z tropu. Ta rozmowa nie wyglądała wcale tak, jak przypuszczał.

– Dzięki za radę.

– Nie ma za co. – Elliot zatrzymał się przy drzwiach. – Tom, zaproponuję generałowi, by awansował cię do grupy średnio zaawansowanej. Chciałbym jednak, żebyś pamiętał o tym, co ci mówiłem. – Starszy chłopiec puścił do niego oko. – I powodzenia.

Tom, oszołomiony, uścisnął dłoń Elliota, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrozumie tego człowieka. Wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia, gdy opuścił kwaterę Elliota i ruszył do wind – zapewne tylko dlatego nie zauważył Karla, który siedział na sofie i ładował dane do procesora neuronowego.

Masters wyrwał kabel z gniazdka i zerwał się na równe nogi.

– Lassie.

Tom nie miał ochoty na przepychanki. Wcisnął guzik przywołujący windę, modląc się w duchu, by przyjechała jak najszybciej.

– Co, próbujesz mnie ignorować? To do ciebie niepodobne.

Tom usłyszał za sobą ciężkie kroki i odwrócił się plecami do windy.

Ale Karl go nie zaatakował. Uśmiechał się tylko niepokojąco.

– Co? – burknął Tom.



– Przyglądam ci się po raz ostatni.  
– Wyjeżdżasz gdzieś? Daj znać kiedy, urzędę przyjęcie.  
– Nie, nie. Widzisz, kilka dni temu Roderick dostał rachunek za twoje ostatnie przyjęcie.

Tom parsknął śmiechem.

– Podziękowałbym ci za podbite oko – mówił dalej Karl – ale chyba nie muszę tego robić. Tak czy siak, Burku, już nie żyjesz.

– Tak, tak, Karl, ciągle to powtarzasz. A ja wciąż tu jestem.

– Już niedługo. Znikniesz, i to szybko. Dlatego chciałem ci się przyjrzeć. To tak, jakbym obserwował najgorszego wroga, który stoi na krawędzi przepaści i zaraz w nią spadnie.

Ta zawołowana groźba wzbudziła niepokój Toma, zmusił się jednak do uśmiechu.

– Rozumiesz więc, co ja czuję, patrząc na ciebie, Karl. Przyglądam ci się i myślę sobie, jak bardzo cieszy mnie to, co Roderick zamierza z tobą zrobić.

– Nie nastraszysz mnie.

– Nie obchodzi mnie to. Wystarczy, że wiem, co cię spotka. I ta świadomość, że ty o tym nie wiesz.

Na twarzy Karla pojawiły się pierwsze oznaki niepewności.

– Co masz na myśli, Azorku?

– Roderick mówił mi o podprogramach behawioralnych, które chce ci zainstalować. Ciekawe, czy zechce, żebyś wcierał sobie we włosy żel? – Tom zastanawiał się nad tym przez moment, po czym pokręcił głową. – Nie. Powiedzmy sobie wprost: nie może rozegrać tego w ten sam sposób. Jestem ładniejszy od ciebie.

Karl wykrzywił twarz, jakby próbował uśmiechnąć się drwiąco, lecz nie był w stanie.

– Mnie by tego nie zrobił.

– O niczym nie wiesz, prawda? – Tom westchnął. – Roderick powiedział też, że sponsorowali cię tylko po to, żeby dotrzeć do Elliota, ale im się nie udało. Zamierzają więc teraz... jak to kiedyś ująłeś? Już wiem: „wysterylizować” cię. Nie wierzysz? Mogę zjechać do Komnaty Wspomnień i przysłać ci wspomnienie z tej rozmowy.

Karl milczał.

W końcu drzwi windy się otworzyły.

– Wolisz raczej żyć w nieświadomości? Szkoda. – Tom odwrócił się do wyjścia, przepełniony uczuciem triumfu, lecz Karl złapał go za kołnierz

i pociągnął do tyłu.

– Kłamiesz – wydyszał mu prosto w twarz.

– Puść mnie! – warknął Tom, wyrывая się z jego uścisku.

Karl zamierzył się do ciosu, lecz Tom w porę uchylił głowę i roześmiał się głośno, gdy pięść Dzyngis-chana uderzyła w ścianę, a z jego ust wyrwał się krzyk bólu.

– Nie mogę uwierzyć, że znów nabrałeś się na tę sta...

Nie dokończył zdania. Drugi cios trafił go prosto w brzuch i pozbawił na moment oddechu. Tom zgiął się wpół i osunął na ziemię. Przed oczami miał ciemne plamy.

– Przyznaj, że kłamiesz! – warknął z góry Karl.

– Chcesz... żebym... skłamał... że... kłamię? – wydyszał Tom.

– Karl? Co ty wyprawiasz?

Tom nigdy jeszcze nie ucieszył się tak bardzo na dźwięk głosu Elliota. Wciąż oszołomiony, usiadł prosto.

– To nie twoja sprawa, Elliot – mówił tymczasem Karl. – On mnie prowokuje. Mówi, że...

Tom podniósł się powoli, wciąż trzymając się za brzuch i z trudem łapiąc oddech. Elliot stał na środku korytarza i wpatrywał się w Karla.

– Co może usprawiedliwić bicie czternastoletniego dzieciaka?

– Ale Elliot...

– Tom jest jednym z moich kadetów. Chciałbym, żebyś od tej pory zostawił go w spokoju.

Karl poczerwieniał.

– Nie możesz mi rozkazywać.

– Mylisz się, Karl, mogę – odrzekł łagodnie Elliot. – Jeśli chcesz zachować jakieś wpływy w Kompanii Camelotu, masz mnie posłuchać, kiedy każę ci zostawić Toma w spokoju. Zrozumiałeś?

Karl wyglądał tak, jakby miał zwymiotować. Choć chciał uchodzić w oczach Toma za twardziela, z którym nikt nie może zadrzeć, przypominał w tej chwili obrażonego dzieciaka.

– Zrozumiałeś? – Aksamitny głos Elliota stał się twardy jak stal.

Tom obserwował z fascynacją, jak policzki Karla przybierają ciemnofioletową barwę. W końcu Dzyngis-chan skinął głową.

– Czy to znaczy „tak”? – spytał Elliot.

– Tak – odpowiedział Karl przez zaciśnięte zęby.

– Dziękuję, Karl. A teraz idź już stąd.

Tom nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy Karl odszedł pospiesznie w głąb korytarza. Przypominał złego psa, który został właśnie skarcony przez swego pana. Tom nie przypuszczał, że Karl może kogoś słuchać, że może go szanować na tyle, by wypełniać jego polecenia.

Spojrzał na Elliota i wreszcie zrozumiał, co ten próbował mu powiedzieć. Niektórzy ludzie nie musieli walczyć, by obronić swoje pozycje, by osiągnąć wyznaczone cele. Uczestniczyli w innych grach, sięgali po inne zwycięstwa.

– Wszystko w porządku, Tom? – spytał Elliot.

– Tak, dzięki.

Usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi windy. Nim Elliot zniknął we wnętrzu Kwatery MacArthura, Tom zawołał:

– Poczekaj!

Latynos spojrzał na niego przez ramię.

Nieco zawstydzony Tom popatrzył na przeszkloną ścianę.

– Elliot, może nie jesteś bezwzględny, bo masz poukładane w głowie. – Zerknął niepewnie na starszego chłopca, na jego spokojną, życzliwą twarz. – Może jesteś zbyt... – Zamilkł na moment, szukając w myślach właściwego słowa. – ...zbyt spełniony, żeby zachowywać się jak furia.

– Tak uważasz? – Elliot uśmiechnął się.

– Tak. To na razie.

Tom pomachał mu na pożegnanie i wszedł do windy. Miał nadzieję, że Elliot domyślił się, iż były to z jego strony swoiste przeprosiny, forma zadośćuczynienia za to, że nigdy nie dał mu szansy.

## Rozdział 26

### AMORY

Na terenie Wieży nie obowiązywały żadne przepisy, które zabraniałyby flirtów lub bliższych znajomości damsko-męskich. Nie byli przecież prawdziwymi żołnierzami, a Marsh zdawał sobie sprawę, co dzieje się w sytuacji, gdy duża grupa nastolatków mieszka w jednym miejscu. Oczywiście nie zachęcano ich też w żaden sposób do tego rodzaju znajomości. Nie organizowano dyskotek jak w zwykłych szkołach średnich. Jeśli para chciała pójść na randkę, musiała czekać do weekendu i wybrać się do miasta albo zadowolić romantyczną atmosferą barów w centrum handlowym Pentagon City.

Jednak co jakiś czas latem w Wieży organizowano „otwarte wieczory”; dach planetarium otwierał się wówczas i odsłaniał nocne niebo. Oficjalnie miało to służyć starszym elewom, którzy uczyli się astrofizyki, ale w rzeczywistości zapewniało po prostu ładne widoki mieszkańcom Wieży. Właśnie tam migrowały pary już skojarzone lub te, które dopiero bliżej się poznawały. Bywali tam Yuri i Wyatt, a Vik wybrał się pewnego wieczoru, by przysiąc się do Jenny Nguyen. Twierdził, że „robiła do niego oczy” na

symulacjach stosowanych, więc nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Wymyślił już nawet idealny tekst.

– Jaki tekst? – spytał Tom, z trudem zachowując powagę.

– Nie mogę ci powiedzieć. To by przyniosło pecha.

– Jest aż tak kiepski?

– Wszystko zależy od tego, jak to powiesz, Tom!

Hindus przez pół godziny czyścił spodnie i zmieniał koszule, a Tom bezlitośnie się z niego nabijał.

– Zgubiłeś gdzieś swój chromosom Y?

– Zamknij się, Tom. To co innego.

– Jasne, stary. Nie pozwól dziś Jenny na zbyt wiele. Nie będzie cię jutro szanowała.

Vik walnął go pięścią w ramię, ale uśmiechał się od ucha do ucha w swój stary, szalony sposób.

– Nieźle wyglądam.

Tom przyłożył dłoń do serca na znak pełnej szczerości:

– Wyglądasz na szaleńca.

– Mylisz się. To ona oszaleje na moim punkcie.

– Powtarzaj to częściej, może w końcu sam w to uwierzysz.

– Spadaj, stary.

Tom pastwił się nad Vikiem do samego wyjścia chłopca, a potem zaczął grać. Coś go jednak rozpraszało, jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Wyłączył grę, ułożył się ponownie na łóżku i wreszcie zrozumiał, co go dręczy.

Wolał grać przeciwko Meduzie. Ale w miejscu, w którym mieszkała, był teraz dzień, więc nie mógł liczyć na spotkanie.

Pustka i cisza w kwaterach Aleksandrów przytłaczały go nawet wtedy, gdy znów zalogował się do gry. Wciąż wyobrażał sobie

Meduzę jako śliczną Chinkę, która mieszka tuż obok – oczywiście w Oddziale Aleksandra – i może z nim grać, kiedy tylko zechce.

Może nawet jako kogoś, kogo mógłby zaprosić pewnego wieczoru do planetarium... gdyby się odważył.

\* \* \*

Vik wrócił do Kwatery Stonewalla z podbitym okiem i nie chciał powiedzieć Tomowi, co zaszło między nim i Jenny. Tom nabijał się więc ze swojego przyjaciela, wymyślając coraz to absurdalniejsze historie, które mogłyby wyjaśnić ten smutny finał wieczornej schadzki.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyszedł z Wieży i pojechał do salonu gier na obrzeżach Georgetown. Miał godzinę na spotkanie z Meduzą, która potem kładła się już spać.

– Chcesz usłyszeć coś głupiego? – spytał.

Znów walczyli jako Sygurd i Brunhilda, bo Tom zbadał sam tę symulację dość dogłębnie, by obmyślić nową strategię. Niestety, Meduza przemyciła do gry własny dodatek, który dawał jej przewagę nad Tomem: kiedy stawali na określone cegły, dokoła buchał ogień.

Krażyła wokół niego z mieczem gotowym do uderzenia.

– Co?

Tom starał się koncentrować na mieczu Meduzy, a nie na twarzy jej awatara.

– Mamy w Wieży planetarium, w którym rozsuka się dach i czasami można oglądać prawdziwe gwiazdy. Chłopcy chodzą tam z dziewczynami. Więc przyszła mi do głowy taka dziwna myśl, że

gdybyś mieszkała w Wieży, zaprosiłbym cię tam.

Zerknął ukradkiem na Meduzę. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Odwróciła wzrok.

– Głupota, nie?

Milczała. Tom natarł na nią z toporem w nadziei, że zapomni o jego słowach. Meduza sparowała wszystkie uderzenia, a potem jednym potężnym cięciem wypatroszyła go jak rybę. Pchnęła jego ciało na podłogę, a następnie je podpaliła.

– Wygrałaś – przyznał Tom, rozkładając płonące ramiona w geście kapitulacji.

Meduza podeszła do niego z wiadrzem wody i go ugasiła.

– Nie podobałabym ci się w prawdziwym życiu – oświadczyła niespodziewanie. – Założę się, że lubisz ładne dziewczyny.

– Jestem pewien, że ty też jesteś ładna. Dziewczyny zawsze mówią, że nie są ładne, choć tak naprawdę są.

Meduza przyglądała mu się przez kilka chwil. Potem zrobiła coś nieoczekiwanego: pochyliła się i pocałowała go w usta.

Tom nie był podłączony do gry za pomocą procesora neuronowego. Nie czuł niczego. Przebywał w wirtualnej rzeczywistości – w goglach widział piękną twarz Brunhildy tuż przy swojej, jej zamknięte oczy, usta przyciśnięte w miejscu, gdzie znajdowałyby się jego wargi. Cyberwędkawice na jego dłoniach zdrząły, pozorując dotyk, gdy przycisnął je do ramion Meduzy. Kiedy odsunęła się od niego, wyszczerzył zęby w uśmiechu, uradowany i podekscytowany, jakby naprawdę pierwszy raz pocałował dziewczynę.

– Nie tak szybko.

Wyciągnął wirtualną rękę i przygarnął ją do siebie, oddając pocałunek.

Meduza roześmiała się i odsunęła od niego.

– Hej, ja jestem podłączona. Właśnie uderzyłeś zębami w moje zęby.

– Przepraszam. – Tom nie przejmował się nawet tym, że przebywał w publicznym salonie gier i zapewne inni ludzie widzieli przez cienką zasłonę, jak się z kimś całuje. – Czy to oznacza, że jesteśmy parą?

– Nawet nie znamy swoich imion.

– Tak, ale zabijaliśmy się już tyle razy, że to chyba coś znaczy. I... – Tom wziął głęboki wdech, po czym spytał: – Chcesz wiedzieć, jak wyglądam?

Meduza patrzyła na niego błękitnymi oczami Brunhildy.

– Możemy to zrobić oboje. Zrezygnować z awatarów. – Z trudem zdobył się na te słowa, bo nigdy tego nie robił, jeśli nie musiał. Nigdy nie wchodził do wirtualnej rzeczywistości we własnej skórze. Ale chciał ją zobaczyć, nawet

jeśli to oznaczało, że ona zobaczy jego. Poza tym wiedział, po prostu wiedział, że Meduza nie udostępniłaby nikomu jego wizerunku. – I tak nadal nie będziemy znali swoich nazwisk. Nikomu nie pokażę twojego zdjęcia, jeśli nie zechcesz.

Meduza zaczęła się wycofywać, jej awatar przesunął się w głąb symulacji.

– Nikomu nie powiem, jak wyglądasz, nie musisz bać się, że ktoś cię rozpozna – mówił błagalnym tonem Tom. – Nie zrobię tego.

Meduza patrzyła na niego w migotliwym blasku pochodni.

– Musisz o czymś wiedzieć. Wkrótce na Kapitolu odbędzie się szczyt.

– Tak, coś o tym słyszałem – mruknął sarkastycznie Tom, bo media trąbiły o tym od tygodni.

– Będzie tam walczył Elliot Ramirez, ale wszyscy wiedzą, że tak naprawdę będzie miał zastępcę.

– Tak, tak samo jak Swietłana.

– W zeszłym roku był nim Alec Tarsus.

Tom zamarł. Skąd znała to nazwisko?

Kiedy przemówiła ponownie, krew odpłynęła mu z twarzy.

– Teraz może będzie to Heather Akron. Albo Cadence Grey. Albo Karl Masters.

Tom otworzył i natychmiast zamknął usta, przerażony. Wymieniła nazwiska członków Kompanii Camelotu. Nazwiska, które stanowiły ścisłą tajemnicę. Nie mogła ich znać. Nie powinna. Chyba że...

Chyba że doszło do naruszenia tajemnicy.

Do poważnego naruszenia.

Jej wysoki, jasnowłosy awatar spojrzał na niego z powagą.

– Wiem wszystko o ludziach z Kompanii Camelotu. Znam ich nazwiska, adresy sieciowe. Wszyscy je znają. Na pewno będą mówić dziś o tym w wiadomościach. Może powinieneś już iść.

Tom zrozumiał ostrzeżenie. Przełknął ciężko i skinął głową.

– Tak. Pójdę już.

Wylogował się i zdjął gogle. Gwar głosów wypełniających salę tym razem nie przynosił ukojenia, nie uspokajał. Tom wpatrywał się przez chwilę w pusty ekran na ścianie. Dobrze wiedział, że w

internecie nie ma prywatności, że choć starał się spotykać z Meduzą wyłącznie poza Wieżą, w tajemnicy, wcześniej czy później ktoś dotrze do prawdy.

Tożsamość członków KomCa została ujawniona. Taki skandal nie mógł przejść bez echa.

Wiedział, po prostu wiedział, że i dla niego ta historia nie skończy się dobrze.



## Rozdział 27

# PRZECIEK

Bomba, wybuchła, kiedy wracał do Wieży. W metrze słyszał, jak ludzie wymieniają nazwiska i imiona członków KomCa. Nazwiska, których nie powinni znać. Emefa, Alec, Astor, Heather, Yosef, Karl, Raphael, Cadence...

Pełen najgorszych przeczuć dotarł w końcu do Wieży, gdzie panowało istne pandemonium. Sensacyjna wiadomość wprawiła wszystkich w stan niezdrowego podniecenia, z otwartych kwater dobiegały rozgorączkowane głosy, elewowie tłoczyli się wokół stołów w kantine. Tom przeszedł do Kwatery Stonewalla, gdzie Vik zrelacjonował mu to, o czym ludzie rozmawiali przez ostatnią godzinę. Jeden z kanałów chińskiej telewizji publicznej ujawnił nazwiska i adresy sieciowe członków KomCa. Kiedy wiadomość tę podchwyciły amerykańskie stacje, w internecie zawrzało, a media pokazywały wszędzie zdjęcia większości elewów z KomCa, wyszukane w gazetach, szkolnych kronikach i rodzinnych albumach.

Tom czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

– Nie wygląda to dobrze.

Vik opadł na swoje łóżko i oparł nogi o pryczę Toma.

– Tak, zwłaszcza dla Ryzermana. Ktoś musiał włamać się do systemu Wieży i ściągnąć te dane.

– Myślisz? – Tom wiedział, że nie powinien mówić tego z nadzieją.

Gdyby jednak okazało się, że rzeczywiście wszystkim winny jest Ryzerman, obeszłoby się bez śledztwa.

– Tak. Albo mamy przeciek.

Przeciek. Jeśli Ryzerman okaże się niewinny, zapewne nie spocznie, dopóki nie znajdzie źródła przecieku. Tom podszedł do okna i wbił wzrok w dach starego Pentagonu. Miał kłopoty. Śledztwo było zapewne nieuniknione, a jego spotkania z Meduzą na odległość cuchnęły zdradą.

Podsłoczył ze strachu, gdy Vik położył mu dłonie na ramionach.

– Głowa do góry. Pomyśl o Ramirezie.

– Co z nim?

– Ruso-Chiny mają nazwiska i adresy sieciowe członków KomCa – odrzekł z zadowoleniem Vik. – Nie rozumiesz? Jeśli podczas szczytu na Kapitolu ktoś go zastąpi, Ruso-Chiny ogłoszą światu, kto walczy za Elliota, i skompromitują Amerykę. Ramirez musi zastąpić ktoś spoza KomCa. Ktoś z nas.

– To nie będzie nikt z nas, Vik. Jesteśmy kadetami. Prawdopodobnie wyznaczają Nigela Harrisona, bo on był najbliższym nominacji do KomCa.

– Mimo wszystko to będzie ktoś nowy. Od lat nie wprowadzali nowych osób do KomCa. – Vik opadł na swoje łóżko, oszołomiony. – Pomyśl tylko. Twoja pierwsza walka w kosmosie: przeciwko

Meduzie. Wyobraź sobie walkę z Meduzą.

Tom musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie opowiedzieć przyjacielowi o wszystkim.

\* \* \*

Ludzie z procesami neuronowymi nie śnią. Otwierają oczy o zaprogramowanej godzinie i od razu są całkiem wybudzeni. Kiedy więc Tom otworzył oczy o piątej trzynastie, znacznie wcześniej niż zwykle, od razu wiedział, że dzieje się coś niedobrego.

Usiadł na swoim łóżku i zrozumiał, co jest przyczyną przedwczesnej pobudki – tuż obok stał Ryzerman w pełnym umundurowaniu, a w dłoni trzymał kabel neuronowy, który wyciągnął z jego głowy. Za nim, przy drzwiach, czekało dwóch żołnierzy.

Tom poczuł ucisk w żołądku. Poprzedniego wieczoru doszedł do wniosku, że musi przyznać się do spotkań z Meduzą, nim ktokolwiek się o nich dowie. Wyglądało jednak na to, że nie będzie miał takiej możliwości.

– Panie Raines, mamy problem – oznajmił Ryzerman. – Otrzymaliśmy informacje dotyczące pańskich ponadprogramowych zajęć w miejscu zwanym Klubem Beringera. Wynika z nich, że utrzymujesz podejrzaną znajomość w sieci.

Tom parsknął śmiechem i nie mógł przestać, bo nagle wszystko ułożyło się w jedną sensowną i przerażającą całość.

Roderick. Oczywiście, że Roderick. To wszystko było sprawką Rodericka.

– Powiedziałem coś śmiesznego? – spytał ostro Ryzerman.

– Nie – odparł Tom, z trudem zachowując powagę. Jego mózg pracował na pełnych obrotach, łączył ostatnie elementy układanki.

Roderick, który przed kilkoma miesiącami mówił o ujawnieniu nazwisk członków KomCa.

Roderick, który ostrzegł go przez Karla, że czas zemsty jest już bliski.

Roderick, który miał dostęp do historii przeglądania stron w internecie.

A teraz ktoś ujawnił tożsamość kosmicznych wojowników. I kompromitujące informacje o Tomie. To wszystko bardzo przypominało sposób działania Cohagena.

– Mam nadzieję, że rzeczywiście nie dostrzegasz w tym nic zabawnego – odezwał się ponownie Ryzerman, marszcząc groźnie brwi. – Ktoś dopuścił się zdrady, Raines, a wygląda na to, że masz jakiegoś znajomego w Chinach. W świetle wczorajszych wydarzeń ten fakt budzi podejrzenia i sam chyba rozumiesz, że wymaga dalszego śledztwa. Może teraz zechcesz mi wytłumaczyć, dlaczego używałeś mojego portu neuronowego.

Tom wziął głęboki wdech i uczynił w duchu niezłomne postanowienie: będzie musiał jeszcze raz pokonać Rodericka. Podniósł wzrok na Ryzermana. Wiedział, że może to rozegrać tylko w jeden sposób: wyznając całą prawdę.

– Panie poruczniku, używałem pańskiego portu, żeby oszukiwać w grach wojennych. A w Klubie Beringera spotykałem się online z Meduzą. Mieszka w Chinach. Mogę to wyjaśnić. Przysięgam, że mogę.

Ryzerman wyprostował się i zmrużył oczy.

– Pójdiesz ze mną i opowiesz wszystko dokładnie.

To nie była propozycja. Dwaj żołnierze przy drzwiach postąpili krok do przodu, gotowi wyprowadzić chłopca siłą.

Ale Tom nie stawiał oporu. Podniósł ręce w geście kapitulacji, a potem wstał z łóżka i się ubrał. Ryzerman ani na moment nie spuszczał go z oka. Tom nie miał pojęcia, czego właściwie spodziewał się po nim porucznik: nie był przecież na tyle głupi, by przypuszczać, że uda mu się uciec z Wieży.

Vik spał tak twardo, że nie obudził się nawet wtedy, gdy wychodzili z pokoju. Tom zazdrościł mu tej umiejętności.

Przeszli przez korytarz Oddziału Aleksandra do świetlicy, a potem do windy. Żołnierze musieli lawirować między krzesłami i stołami do ping-ponga. Tom przyglądał się z fascynacją ich broni, ciemnym złowrogim kształtom ledwie widocznym w półmroku. Przebiegł go zimny dreszcz, gdy uświadomił sobie powagę sytuacji.

– Wiem, że nie wygląda to dobrze – powiedział do Ryzermana, gdy stanęli przed drzwiami windy.

Ryzerman wcisnął guzik.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

– Naprawdę – zapewnił Tom. – Tak czy inaczej chciałem dziś do was przyjść

i powiedzieć o wszystkim.

Drzwi windy otworzyły się i weszli do środka. Tom odwrócił się do Ryzermana, a żołnierze, zaniepokojeni tym nagłym ruchem, natychmiast podnieśli broń. Tom spojrział niepewnie na karabiny, a potem na porucznika.

– Przysięgam, że spotkałem się z Meduzą tylko kilka razy, żeby pograć i pogadać.

Ryzerman popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Chcesz powiedzieć, że Meduza, wróg numer jeden naszego kraju, jest twoją internetową dziewczyną?

Tom poczerwieniał.

– Nie nazwałbym jej dziewczyną. To znaczy, nie oficjalnie.

– Thomasie Raines, chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że bez względu na to, co nam powiesz, użyjemy analizatora pamięci, by zweryfikować twoje zeznania? Oby okazało się, że nie jesteś zdrajcą, tylko bardzo głupim chłopcem.

Analizator pamięci. Oczywiście. Mógł udowodnić wszystko dzięki analizatorowi pamięci.

Ta myśl przywróciła mu wreszcie spokój ducha. Roześmiał się, zirytowany własnym postępowaniem, które wpędziło go w te kłopoty.

– Może mi pan wierzyć, poruczniku, że w grę wchodzi tylko ta druga możliwość.

\* \* \*

W drodze do ambulatorium Tom nabrał przekonania, że plan Rodericka spalił na panewce. Doktor Gonzales założył mu rękaw do pomiaru ciśnienia, co było standardową procedurą przed, jak to nazywał Ryzerman, „czerpaniem neuronowym” prowadzonym przy użyciu analizatora.

– Czerpanie neuronowe to w gruncie rzeczy wydobywanie wspomnień z mózgu – tłumaczył Ryzerman, obserwując uważnie twarz chłopca. – Analizator pamięci przeszuka skatalogowane wspomnienia za pomocą specjalnego algorytmu. Nie będziesz

sterował urządzeniem jak podczas zwykłego odczytywania wspomnień. Samo będzie sobą kierowało.

Tom zaniepokoił się, gdy lekarz zacisnął mocniej rękaw na jego ramieniu.

– Czy to czerpanie będzie bolało?

Na twarzy Ryzermana pojawił się grymas irytacji. Najwyraźniej pytanie wydało mu się dziecinne.

– Badanie jest bezbolesne. Jak już mówiłem, zmienia się tylko sposób

działania analizatora. Podczas czerpania będzie wyszukiwał te wspomnienia, które próbujesz ukryć.

Tom zaniepokoił się jeszcze bardziej. Spojrzał na zmęczoną twarz doktora Gonzalesa, a potem na Ryzermana.

– Chwileczkę, a co ze sprawami... intymnymi?

Ryzerman uniósł brwi.

– Czyli?

Tom się zaczerwienił.

– No, tego, kiedy myślę o... no, wie pan...

– Nie wiem.

Oczywiście, że wiedział, ale chciał go upokorzyć, zmusić, by powiedział to głośno. Tom zgrzytnął zębami i spojrzał na niego ze złością.

– O dziewczynach.

Nie zamierzał rozwodzić się bardziej nad tym tematem, by nie sprawiać Ryzermanowi perwersyjnej przyjemności. Na szczęście porucznik tym razem mu odpuścił.

– Niestety, w zależności od tego, jak... żywa jest twoja wyobraźnia, będę miał dostęp także i do tych myśli.

– Chyba pan żartuje – parsknął Tom.

– Niestety nie. – Tom musiał przyznać, że Ryzerman wydawał się równie zniesmaczony tą perspektywą jak on sam. – W tej sytuacji brak zahamowań tylko ci się przysłuży. Im szybciej uporasz się ze wstydem, tym szybciej analizator przestanie wydobywać wspomnienia z twojego umysłu.

Kątem oka Tom dostrzegł jakiś ruch.

Spojrzał w stronę otwartych drzwi i zobaczył postać biegnącą korytarzem jak co rano.

Yuri.

Nieokreślony niepokój, który dręczył Toma od kilku minut, zmienił się teraz w prawdziwe przerażenie.

Yuri. I jego nowa zaporę sieciowa.

Znał sekret Yuriego i Wyatt. On nie dopuścił się zdrady, ale oni, owszem. Skoro czerpanie neuronowe ujawniało wszystkie wspomnienia i tajemnice, to ujawniłoby także i tę. Ryzerman dowiedziałaby się, że Wyatt odkodowała Yuriego.

Doktor Gonzales podniósł wzrok na Toma.

– Denerwujesz się?

– Co? – wychrypiał Tom.

– Masz wysokie tętno. Sto sześćdziesiąt na minutę.  
Ryzerman spojrział na monitor.

– N-nie – wyjąkał Tom, lecz jego zdradliwe serce wciąż przyspieszało.  
Sto sześćdziesiąt pięć. Sto siedemdziesiąt dwa. Dlaczego procesor neuronowy uważał, że właśnie teraz potrzebuje zastrzyku adrenaliny? Nie potrzebował jej!

– Nie denerwuję się. Dlaczego miałbym się denerwować?  
Jednak im bardziej starał się nie myśleć o tajemnicy Yuriego, tym częściej do niej wracał i tym większy ogarniał go strach. Ryzerman patrzył na rosnącą liczbę, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Nie mogę wam pokazać tylko spotkań z Meduzą? – spytał Tom, starając się odwrócić ich uwagę. – Dlaczego musicie przeglądać wszystko, co mam w głowie?  
Ryzerman przyglądał mu się z nieskrywaną podejrzliwością.

– Zrobimy to, kiedy będę już pewien, że niczego przede mną nie ukrywasz.

– Bez przesady, poruczniku! – wybuchnął Tom. – Każdy ma prawo do odrobiny prywatności!  
Ryzerman pokręcił tylko głową.

– Nie ty, Raines. Prywatność to luksus, na który już nie możesz sobie pozwolić.  
Doktor Gonzales zdjął z jego ramienia opaskę ciśnieniomierza.

– Jest zdrowy, poruczniku. Mogę podpisać dokumenty.  
Ryzerman podał mu gruby plik kartek. Tom nie mógł oderwać od nich wzroku. Sprawa wyglądała coraz poważniej. Do tej pory nie musiał poddawać się żadnym badaniom przed podłączeniem do analizatora pamięci.

– Potrzebuje pan jeszcze czegoś? – spytał doktor Gonzales, podpisując pierwszy dokument. Potem następny. I jeszcze jeden. I mnóstwo kolejnych. Tom przyglądał się temu z rosnącym niepokojem, zastanawiając się, dlaczego przeprowadzenie zabiegu wymagało aż tylu dokumentów, skoro zdaniem Ryzermana było całkiem nieszkodliwe. – Zalecam pomiar saturacji krwi tlenem, mniej więcej co godzinę. Jeśli trzeba mu podać jakiś środek antylekowy, mogę to zrobić.

– Nie – odparł Ryzerman, spoglądając na papiery. – Lęk jest w tej sytuacji przydatny. Chcę wiedzieć, co usiłuje przed nami ukryć.  
Doktor Gonzales nie odrywał wzroku od kartek, na których składał podpis.

– Mam tu przysłać zapas pieluchomajtek? – spytał.

– Pieluchomajtek? – powtórzył Tom z niedowierzaniem.  
Ryzerman pokręcił głową.

– To nie będzie konieczne.

– Pieluchomajtki?

Ryzerman zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Czerpanie neuronowe wydobywa wspomnienia, których sam możesz już nie pamiętać. Jeśli będziesz na tyle głupi, żeby opierać się temu procesowi, pozbawi cię psychologicznych mechanizmów obronnych. Teoretycznie może zniszczyć twój umysł. – Porucznik uśmiechnął się. – Ale przecież nie będziesz się opierał, prawda?

Serce Toma waliło tak mocno, jakby chciało wyrwać się z jego piersi. Dłonie i czoło chłopca pokryła warstwa potu. Nie miał pojęcia, na co się decyduje, gdy wyraził zgodę na badanie analizatorem pamięci. Jeśli się teraz wycofa, przyzna, że jest winny. Winny. Winny...

Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł wydać swoich przyjaciół. Był ich dłużnikiem. Zeskoczył z łóżka.

– Rozmyśliłem się.

– Nie możesz – odparł Ryzerman.

Tom zareagował śmiechem, w którym pobrzmiwały pierwsze nuty hysterii.

– Owszem, mogę. Właśnie to zrobiłem. Nie ma mowy, nie pokażę wam moich najskrytszych myśli i wspomnień. Ani rzeczy, które myślę o dziewczynach. Potem pewnie pokazałby je pan na zajęciach, żeby mnie upokorzyć!

– Masz mnie za potwora? Nie naraziłbym moich uczniów na takie traumatyczne przeżycie!

– Nie ma mowy! To mój mózg. Nie należy do wojska.

Wiedział, co powie Ryzerman, nim ten jeszcze otworzył usta.

– Masz rację, Raines. Twój mózg nie należy do nas. – Porucznik skinął głową na dwóch żołnierzy, którzy podeszli bliżej. Potem ponownie spojrzał na Toma. – Ale mogę zrobić, co tylko zechcę z procesorem, który nosisz w głowie. To nasza własność.

Doktor Gonzales skończył podpisywać dokumenty i wręczył cały plik Ryzermanowi. Tom powiódł za nim spojrzeniem. Czuł się tak, jakby ktoś zaczął właśnie rzucać ziemię na jego trumnę.

Nie.

Nie mógł do tego dopuścić. Nie mógł poddać się i pozwolić, by Ryzerman poznał tajemnicę Wyatt i Yuriego. Nie mógł zdradzić przyjaciół, którzy się dla niego narażali.

Porucznik dał znak żołnierzom, którzy ruszyli w stronę Toma. Chłopiec opuścił głowę, jakby pogodził się ze swoim losem.

Kiedy od żołnierzy dzieliły go zaledwie dwa kroki, rzucił się na jednego z nich, odepchnął go na bok, po czym wypadł z gabinetu i popędził korytarzem przy akompaniamencie okrzyków: „Łapać go!”.

\* \* \*

Tom nie był na tyle głupi, by przypuszczać, że zdoła uciec z Pentagonu na własną rękę. W tej sytuacji mogła go uratować tylko jedna osoba, ktoś, z kim musiał się liczyć nawet generał Marsh. Miał nadzieję, że ją zastanie. Dopadł do drzwi Olivii Mastenson i załomotał w nie pięściami. Słyszał ciężkie kroki za plecami.

„Dureń, dureń, dureń – powtarzał w myślach, bijąc głową o zimne szkło. – Przecież dopiero dochodzi siódma. Oczywiście, że jeszcze jej nie ma”.

W tym momencie Olivia podniosła się z za biurka i domknęła szufladę, w której czegoś szukała. Tom odetchnął z ulgą. Gdy tylko drzwi gabinetu się rozsunęły, wpadł do środka. Miał ochotę wyściskać ją albo porwać do jakiegoś dzikiego tańca radości.

– Jest pani tutaj na wypadek, gdybyśmy mieli jakieś kłopoty z naszymi wojskowymi opiekunami, prawda? – zaczął Tom bez zbędnego wstępu. – No więc ja mam z nimi ogromny problem.

Olivia zmarszczyła brwi.

– Co się dzieje, Tom?

– Musi mi pani pomóc. Po prostu musi pani.

Usłyszał łomotanie do drzwi i aż podskoczył ze strachu, po czym odsunął się pospiesznie do tyłu, wpadając na biurko. Żołnierze stojący na korytarzu patrzyli na nich w milczeniu. Serce Toma waliło jak oszalałe. Zrobiło mu się słabo, gdy uświadomił sobie powagę sytuacji, w której się znalazł.

– O co chodzi? – spytała Olivia, przenosząc wzrok z Toma na żołnierzy.

Ruszyła w stronę drzwi.

– Proszę tego nie robić! – Tom złapał ją za rękę. – Proszę nie otwierać.

Olivia ujęła go łagodnie za nadgarstek i uwolniła się z jego uścisku.

– Usiądź i uspokój się. Każę im poczekać.

– A jeśli pani nie posłuchają?

W oczach kobiety pojawił się metaliczny błysk. Uścisnęła delikatnie jego dłoń i odrzekła:

– Posłuchają. Usiądź.

Choć Tom wciąż nie mógł ochłonąć ze strachu, w głosie Olivii były spokój i pewność, które dodały mu otuchy i sprawiły, że gotów był jej uwierzyć i zrobić



to, o co prosiła.

Opadł na krzesło za biurkiem, jak najdalej od wejścia, i spojrzał z trwogą na żołnierzy czekających za szklaną taflą. Obserwował, jak Olivia odsuwa drzwi, słyszał jej przytłumiony głos. Żołnierze spierali się z nią przez chwilę, a potem, ku zdumieniu i radości Toma, wycofali się. Nigdy nie przyszedłoby mu do głowy, że uzbrojeni zawodowcy posłuchają tej drobnej kobiety. Wyglądało na to, że rzeczywiście ma tutaj sporą władzę. Tom pomyślał przelotnie o Elliocie i jego stosunkach z Karlem, zapomniał jednak o tym, gdy tylko Olivia zamknęła drzwi i wróciła do biurka.

– Może zechcesz powiedzieć mi, o co tu właściwie chodzi? – spytała.

Tom zamknął oczy, próbując uporządkować myśli. Wiedział, że popełnił błąd, uciekając przed Ryzermanem, ale nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić.

– Ryzerman myśli, że to ja ujawniłem tajne informacje, i chce przesłuchać mnie za pomocą analizatora pamięci. – Otworzył oczy. – Niczego nie zdradziłem, przysięgam. I nie chodzi tu o standardowe odczytywanie wspomnień. Chcą wyrwać je z mojej głowy. Ryzerman powiedział, że jeśli będą używać tego dość długo, mogą mi uszkodzić mózg. Z tego, co mówił doktor Gonzales, wynikało, że mogę utracić kontrolę nad swoimi odruchami. Nie chcę być warzywem, które robi pod siebie. Nie chcę!

Olivia zmarszczyła brwi i obejrzała się przez ramię.

– Nie mają prawa zmuszać cię do tego, Tom. Porozmawiam z Ryzermanem.

– Nie posłucha pani. – Tom był tego pewien.

– Jeśli nie posłucha, to porozmawiam z generałem Marshem.

– Jest w tej chwili w Indiach, rozmawia z jakimiś wojskowymi o szczycie na Kapitolu.

– Zajmę się Ryzermanem do powrotu Marsha.

W tym momencie za drzwiami pojawił się porucznik. Zamienił kilka słów z żołnierzami, a potem wbił spojrzenie w Toma, przyprawiając go o zimny dreszcz. Chłopiec zacisnął pięści i obserwował z przerażeniem, jak mężczyzna ignoruje wątpliwości swoich podwładnych i odpycha ich na bok. Wyjął przewód neuronowy, włożył wtyczkę do gniazdka w ścianie, połączył się z siecią...

Klik. Zamek otworzył się z cichym trzaskiem.

Ryzerman odsunął drzwi. Olivia zerwała się na równe nogi.

– Co pan wyprawia?! – krzyknęła, stając pomiędzy porucznikiem a Tomem. – To moje biuro. Nie ma pan prawa wchodzić tu bez mojego pozwolenia!

Ryzerman zmierzył ją pogardliwym wzrokiem, uznawszy najwyraźniej, że nie musi liczyć się z jej cywilną władzą.

- A to jeden z naszych kadetów. Proszę się odsunąć, pani Mastenson.
- Nie możecie tego zrobić. – Kiedy Ryzerman ruszył w stronę Toma, Olivia położyła dłonie na piersiach porucznika, zastępując mu drogę. – W imieniu rządu bronię praw tego chłopca i nie pozwolę, byście poddali go działaniu jakiegoś niebezpiecznego urządzenia. To nielegalne!
- Doprawdy? – Ryzerman rozejrzał się ostentacyjnie po pustym biurze. – Ma tu pani jakichś ludzi, którzy staną w pani obronie? Jak zamierza mnie pani powstrzymać?
- Jak pan śmie! Ten chłopiec jest cywilem. Przekracza pan swoje uprawnienia, poruczniku!
- Proszę wnieść oficjalną skargę na moje postępowanie. Już trzęsę się ze strachu, kiedy o tym pomyślę. – Ryzerman ujął jej nadgarstki, odsunął ją od siebie i obrócił w miejscu. – Ale w tej chwili mam ze sobą uzbrojonych ludzi i dość czasu, żeby doprowadzić tę sprawę do końca, a pani dysponuje tylko... słowami. – Porucznik odepchnął kobietę, parskając z pogardą.
- Olivia ponownie ruszyła w jego stronę. Tom zerwał się z krzesła, pewien, że spróbuje uderzyć Ryzermana i że nic dobrego z tego nie wyniknie.
- Pani Mastenson, nie warto. Pójdę z nimi.
- Olivia spojrzała na niego z determinacją.
- Tom, wyciągnę cię z tego. Przysięgam.
- Dziękuję. – Tom próbował się uśmiechnąć, lecz nie zdołał nawet odwrócić głowy, gdy dwaj żołnierze zamknęli go w żelaznym uścisku.
- Wiedział, że teraz już nic nie uratuje go przed analizatorem pamięci.

## Rozdział 28

# CZERPANIE

*Tego dnia arena ćwiczeń fizycznych przypominała tropikalną wyspę. Tom pędził naprzód, szybszy i silniejszy od pozostałych uczestników symulacji. W cichej, wypełnionej blaskiem słońca zatoczce poczekał na Heather, by pomóc jej przejść nad przewróconym drzewem. Dziewczyna przeskoczyła nad grubym pniem, potknęła się i pisnęła ze zdumienia, gdy mundur zsunął się z jej ciała.*

*Podniosła na niego swe piękne oczy.*

*– O nie, Tom, co ja teraz zrobię? Zimno mi, a do tego atakują mnie zombi!*

*Grupa zombi rzuciła się na dziewczynę. Tom odrzucał je potężnymi ciosami swoich stalowych pięści. Heather wstrzymała oddech, najpierw ze strachu przed potworami, a potem z podziwu dla męstwa Toma.*

*Tom odwrócił się i podszedł do dziewczyny. Był od niej co najmniej o głowę wyższy, umięśniony równie potężnie jak Sygurd. Piękne oczy Heather syciły się widokiem jego szerokich ramion i twardego jak skała brzucha, którego nie zakrywał już mundur poszarpany podczas walki z zombi.*

*– Och, Tom, jesteś taki dzielny. Jesteś dziesięć razy bardziej męski niż Elliot Ramirez.*

*Wyatt, która przechodziła akurat obok, skinęła głową.*

*– Tak, właśnie taki jest! – powiedziała i poszła dalej.*

*Tom również przytaknął, bo przecież była to oczywista prawda. Potem wziął Heather w muskularne ramiona.*

*– Nie potrzebujesz ubrań, ślicznotko. Nie w towarzystwie Toma Rainesa.*

*Heather zachichotała, rozbawiona tym błyskotliwym dowcipem.*

*Nagle doszedł ich kolejny kobiecy okrzyk.*

*Jenny Nguyen potknęła się na tym samym pniu i też straciła ubranie. Ale nie, to nie była Jenny – ta dziewczyna wyglądała jak jej znacznie piękniejsza naga wersja. To była Meduza.*

*– Och, co ja teraz zrobię, Tom? – Ciemne oczy Meduzy patrzyły na niego błagalnie.*

*– Cóż... – Tom zachichotał – na szczęście mam dwie ręce!*

Wyciągnął do niej rękę, a Meduza podbiegła do niego w radosnych podskokach i przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Heather wydeła usta, nadąsana.

– Nie chcę się tobą dzielić, Tom.

– Może to ja nie chcę się dzielić Tomem z tobą, Heather – odparowała Meduza.

Tom przytulił mocniej nagie dziewczyny.

– Nie bijcie się o mnie, drogie panie. Wielki Tom wystarczy wam obu.

Zaczerwieniły się, mamrocząc coś o tym, jaki jest przystojny i czarujący, a potem spojrzały na siebie.

– Wszystkie twoje fantazje kończą się tak samo – westchnął z rezygnacją Ryzerman. Siedział przy analizatorze pamięci z kawą

w dłoni i oglądał wspomnienia Toma na wielkim ekranie. – Cóż za niespodzianka: dziewczyny się pocałują i pogodzą.

– Nie oglądaj, jak ci się nie podoba! – wrzasnął Tom.

– Spokojnie. Zaczynasz histeryzować... Wielki Tomie.

Tom zamknął oczy. Chciał, by ktoś go zastrzelił. Ale najpierw chciałby zastrzelić Ryzermana. Nie, wypruć mu bebechy. Nie, powiesić za nogi i ćwiartować po kawałku.

Siedział w fotelu pośrodku Komnaty Wspomnień, przywiązany do oparcia, co miało powstrzymać go przed kolejną próbą ucieczki. Snopy jasnego światła wypływające z odwróconych szponów analizatora dotykały jego skroni. Miał nadzieję, że lada moment w Wieżę uderzy meteoryt, który zamieni to wszystko w popiół. Że stanie się cokolwiek, co przerwie ten koszmar.

Tymczasem Ryzerman nadal bezkarnie z niego szydził.

– Ach, cóż za wzruszające zakończenie. Przewyciężyły wzajemną niechęć i połączyły się w podziwie dla twojej niezwyklej osoby. Teraz obejmują się czule. Cynicy twierdzą, że ludobójstwo jest podstawą pokoju na naszej planecie, ale ty w zaciszu swej kwatery wymyśliłeś inny sposób zapobiegania konfliktom.

Tom zamknął oczy.

– Nienawidzę cię, Ryzerman. Nienawidzę cię z całego serca.

– Dla ciebie jestem „panem porucznikiem”, kadecie.

Tom aż zadrżał z tłumionej wściekłości. Dobrze, że był związany, inaczej zabiłby Ryzermana. Zabiłby go.

Początkowo porucznik oglądał ze zniecierpliwieniem i znużeniem niezliczone fantazje Toma, które zawsze zaczynały się od

widoku sufitu w kwaterze chłopca. Gdy jednak zrozumiał, że Tom nie przestanie walczyć z analizatorem pamięci, zirytował się, zamówił wielki kubek

kawy i zaczął wyśmiewać wytwory jego wyobraźni: „Przypuszczam, że to fizycznie niemożliwe. Spytałyśmy pannę Akron?”. „Myślisz, że to takie proste? Och, za parę lat czeka cię spore rozczarowanie”. „Nie sądzę, by jakakolwiek kobieta o takich proporcjach ciała była w stanie dokonać tego rodzaju ewolucji, panie Raines, ale pomysł sam w sobie jest dość zabawny”.

Tom opuścił głowę i zamknął oczy. Promienie analizatora przesunęły się wraz z jego skroniami, czerpanie neuronowe trwało nadal. Na ekranie pojawiła się kolejna fantazja. Tom miał już tego dość. Nie mógł w żaden sposób zatrzymać tego procesu. Widział obrazy przesuwające się pod jego powiekami, wspomnienia, które ukazywały się jednocześnie na ekranie. Postanowił je ignorować, zrozumiał, że nie warto się tym przejmować ani z tym walczyć.

Podniósł wzrok i zobaczył, że obraz uległ zmianie. Po trzech godzinach męki ta seria wspomnień dobiegła końca.

– Wreszcie przechodzimy do rzeczy – oznajmił triumfalnie Ryzerman. Odwrócił się do Toma i uśmiechnął drwiąco. – Wystarczyły tylko trzy godziny. Miejmy nadzieję, że teraz pójdzie nam znacznie szybciej.

Kiedy Tom zobaczył następny obraz, przeniknął go lodowaty dreszcz.

O Boże.

To był pierwszy dzień Toma w szkole. Pani Falmouth przedstawiła go całej klasie i poprosiła, żeby przeczytał coś z tablicy.

Tom próbował się wykręcić, robił uniki, ale nauczycielka była nieustępliwa, przyparła go do muru. Tom znał kilka liter, podjął więc rozpaczliwą próbę przeczytania tekstu o Lincolnie: „Le-in-co-le-in...”. Sala wypełniła się śmiechem, gdy jego koledzy zrozumieli, że chłopiec nie umie czytać.

Tom zacisnął pięści i poczerwieniał.

– To nie zdarzyło się naprawdę. – Nie mógł się powstrzymać przed powiedzeniem tego kłamstwa, bo wolałby raczej wyrwać sobie serce, niż pozwolić, by Ryzerman pokazał to na zajęciach. – To kolejna fantazja.

– Fakt, że jesteś idiotą, Raines, to dla mnie żadna nowina, ale prawdę mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi.

Ryzerman upił kawy ze znużoną miną. Rzeczywiście wyglądał tak, jakby w ogóle go to nie interesowało.

Tom odetchnął z ulgą. Nie chciał patrzeć na ekran, gdy pojawił się na nim kolejny obraz.

Neil.

Tylko nie jego ojciec. Nie w obecności porucznika Ryzermana. Proszę, tylko

nie ojciec.

Tom próbował walczyć, więc analizator uczeplił się tego właśnie tematu.

Pewnej nocy, gdy Tom był jeszcze mały, dwóch mężczyzn włamało się do ich pokoju. Krzyczeli na Neila, domagali się od niego pieniędzy, bili go. Zabrali mu zegarek, bo tylko to mu zostało. Tom był przerażony, schował się pod łóżkiem i zsikał ze strachu. Potem Neil próbował wywabić go stamtąd, mówiąc, że nie ma się już czego bać, że złodzieje sobie poszli, ale Tom chciał do mamy i zakrywał dłońmi uszy, gdy Neil tłumaczył, że mama nie przyjdzie, że nigdy do nich nie wróci...

Tom zerknął na Ryzermana, przerażony. Porucznik wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w logo na swoim kubku, jakby nagle odkrył, że podano mu niewłaściwy produkt, a Tom uświadomił sobie ze zdumieniem, że mężczyzna nawet nie obserwuje jego wspomnień, tylko czeka na jakiś fragment świadczący o jego zdradzie.

Tom stał na dworcu autobusowym w Arizonie i patrzył na odbicie swej przyszczatej twarzy w szybie, za którą wisiał rozkład jazdy. Neil stał nieco dalej, wciąż pijany po nocy spędzonej w kasynie, i wrzeszczał na przechodzących obok ludzi. „Idźcie, barany. Zachowujcie się tak, jakby miało jakieś znaczenie to, czy karmię was lewą, czy prawą ręką – patrzcie tylko! – Podniósł ręce nad głowę. – Obie moje! Nieważne, którą walnę was następnym razem, obie są moje!”. Przechodnie mijali go obojętnie, nieliczni spoglądali z niesmakiem na pijanego wariata. Tom wpatrywał się w rozkład jazdy, upokorzony, udawał, że nie jest z Neilem, że w ogóle go nie zna...

Potem pojawiały się kolejne wspomnienia, niekończący się katalog scen, które już raz sprawiły mu cierpienie i których wolałby nie oglądać nigdy więcej, szczególnie w towarzystwie człowieka pokroju Ryzermana. Tom nienawidził analizatora. Nienawidził. Najchętniej spaliłby go na popiół. Przeniknąłby do jego wnętrza jak do węzła sanitarnego Klubu Beringera i zniszczył od wewnątrz...

Czerpanie neuronowe skupiło się na tym wątku. Tom znów próbował walczyć, przerażony myślą, że porucznik dowie się, jak potraktował najpotężniejszych sponsorów armii. Ryzerman powiedziałaby o tym Marshowi, a wtedy Tom miałby naprawdę spore kłopoty... Ale bezlitosne urządzenie wyświetlało wszystko na ekranie.

Gęsta sieć kabli i podzespołów, świadomość Toma przenikająca do wnętrza instalacji kanalizacyjnej Klubu Beringera. Pompy przepychające ścieki w odwrotnym kierunku...

Ryzerman musiał jednak obserwować, co dzieje się na ekranie, bo nagle zerwał się na równe nogi.

– Co to było, Raines? – spytał, odwracając się do Toma. Jego oczy błyszczały złowrogo w świetle projektora. Tom westchnął z rezygnacją.

– Ci faceci z Montando sami się o to prosili.

– Nie o to pytam. Chodzi mi o maszynę. Co to było? Co tu się przed chwilą pokazało?

– Nic takiego. Przeprogramowałem pompy wężła sanitarnego.

– Przeprogramowałeś? Twój umysł był we wnętrzu tego urządzenia! Sprzęgnąłeś się z nim!

– No tak. Przecież do tego służą procesory neuronowe.

– Tylko w przypadku maszyn zaprojektowanych specjalnie do tego celu. Nie przepompowni. – Ryzerman sięgnął do analizatora i przestawił jakieś kontrolki. Smugi światła dotykającego skroni chłopca zniknęły. Tom miał wrażenie, jakby ktoś naciągnął mocniej gumową opaskę na jego głowę, a potem ją zwolnił. Poczul głęboką, wszechogarniającą ulgę.

Ryzerman odtworzył ponownie ostatnie wspomnienie. Oglądał je jeszcze kilkakrotnie, przysuwając się do ekranu, jakby dzięki temu mógł je lepiej zrozumieć.

– Jak to możliwe?

Zajmował się tym tak długo, że Tom uświadomił sobie wreszcie coś bardzo istotnego: porucznika znacznie bardziej interesował ten fenomen niż odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście jest na tropie

zdrady. Może mógł to wykorzystać. Może mógł odwieść go od głównego tematu i ocalić Yuriego. Tom starał się zachowywać swobodnie, by Ryzerman nie przejrzał jego gry.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego to takie istotne. Ty też masz procesor neuronowy, więc potrafisz zrobić to samo.

– Nikt inny nie potrafi tego zrobić, Raines. – Ryzerman odwrócił się i spojrzał na niego z uwagą. – Robiłeś to jeszcze w innych sytuacjach?

Tom wzruszył ramionami.

– Jasne, kilka razy.

Porucznik głośno wciągnął powietrze.

– Na zawołanie?

– Mniej więcej.

Ryzerman milczał przez chwilę, nie odrywając od niego oczu. „Wydawał się kompletnie zbity z tropu.

– Przerwę czerpanie – oświadczył w końcu, odzyskawszy mowę. – A ty pokażesz mi te inne sytuacje.

Wcisnął jakiś guzik i znów uruchomił analizator pamięci, ale tym razem nie wydobywał wspomnień przemocą. Tom kontrolował ten proces. Pokazał mu dwa momenty: gdy połączył się z satelitami – i został przyłapany przez samego Ryzermana – i pierwsze połączenie z internetem, gdy był jeszcze nieprzytomny po operacji.

Widoki Rio, Wielki Kanion, zbiornik wodny w Karolinie Północnej, autostrada w Bombaju...

– Niesamowite – mruknął Ryzerman.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się ze mną dzieje – wyjaśnił Tom.

– Zupełnie jakby chłopak był wewnątrz tych maszyn – mamrotał Ryzerman. – Nie łączył się z nimi, ale przenikał do ich wnętrza.

– Ten chłopak, o którym mówisz, jest tutaj – poinformował go Tom. – Nie rozumiem, dlaczego zachowujesz się teraz tak, jakby mnie tu nie było, choć w pokoju jesteśmy tylko my dwaj.

Ryzerman oglądał te same obrazy bez końca. Zapomniał o kubku z kawą, który stał zaledwie pół metra od skrępowanej ręki Toma. Mijały godziny, a porucznik wciąż analizował te wspomnienia i mówił do siebie tak cicho, że Tom w ogóle go nie rozumiał. Zaczął się zastanawiać, czy Ryzerman całkiem o nim zapomniał. Zaszło mu w gardle, a w brzuchu burczało tak donośnie, jakby jego żołądek był gotów sam się strawić.

Tymczasem z ust Ryzermana nadal wydobywały się niezrozumiałe słowa i pomruki. Porucznik mówił do siebie coraz głośniej, aż Tom zaczął wychwytywać pojedyncze słowa, a potem całe zdania.

– Jak do tego doszło? I dlaczego właśnie on? Tak. Tak, rozumiem.

– Co rozumiesz? – dopytywał się Tom.

Ryzerman nie zwracał na niego uwagi. Chodził po pokoju i mówił:

– Tak, ale dlaczego ten chłopiec? Nie. Mówiłem, że nie. To nic by nie dało. Spójrz tylko na niego.

Zerknął ukradkiem na Toma i odwrócił głowę.

– Widzisz? On sam siebie nie rozumie. To nic dla niego nie znaczy. Nie ma o tym pojęcia.

Tom czuł, jak podnoszą mu się włosy na karku. Ryzerman nie mówił do siebie. On rozmawiał ze sobą tak, jak rozmawia się z innym człowiekiem.

Ryzerman słyszał głosy.

Po raz pierwszy Tom uświadomił sobie, że porucznika wcale tu nie ma.



Od kilku godzin Ryzerman zanurzał się coraz głębiej w swoim wewnętrznym świecie. Chłopiec wpatrywał się w jego twarz, przerażony myślą, że skrepowany i opuszczony przebywa w jednym pokoju z prawdziwym szaleńcem.

– Tak, tak. Rozumiem to. Ale nie rozumiem czegoś innego. Co takiego jest w tym chłopcu? Dlaczego właśnie on? – Ryzerman odwrócił się ponownie do Toma. – To musi być gdzieś w jego umyśle. Powód. Pomyślmy. Możesz to sobie wyobrazić? Możesz? O, tak.

Tom zrozumiał, że musi to przerwać. Natychmiast.

– Hej, Ryzerman! Co się z tobą dzieje?

Porucznik podszedł do niego energicznym krokiem. Tom odchylił się, lecz Ryzerman przysunął się tak blisko, że niemal wpijał się źrenicami w jego twarz.

– To szalenie niebezpieczne – mamrotał. – Ludzie obdarzeni takimi zdolnościami mogliby osiąść cały świat.

Tom miotał się w fotelu, próbując wyrwać ręce z więzów, bo przerażała go bliskość Ryzermana, jego oddech, którym wionął mu prosto w twarz. Narastała w nim mroczna, lodowata trwoga.

– Poruczniku, wypuść mnie stąd, dobrze? Daj mi trochę odsapnąć, co? Muszę iść do toalety. I umieram z głodu. – Tom spojrział z rozpaczą na zamknięte drzwi. – Mogę dostać coś do picia? Daj spokój, proszę. Odwodnię się na śmierć. Chciałbyś się z tego tłumaczyć przed prokuratorem?

Ale Ryzerman wciąż wpatrywał się w niego uparcie, jakby wierzył, że pozna wszystkie tajemnice wszechświata, jeśli tylko otworzy jego umysł. Tom dostał gęsiej skórki.

– Dlaczego spośród miliardów ludzi na świecie właśnie ten chłopak jest do tego zdolny?

– Ten chłopak jest tutaj. W tym pokoju, ty, psycholu! – warknął Tom.

– To musi być gdzieś tutaj – powtarzał Ryzerman. – W jego umyśle. – Cofnął się o krok. – A jeśli włamiemy się do niego, rozłożymy na czynniki? Co wtedy? Może... Może tak będzie lepiej.

– Gadasz do siebie! – ryknął Tom, tracąc resztki samokontroli. – Ryzerman, RYZERMAN, TY, PSYCHOLU! WYPUŚĆ MNIE!

Porucznik sięgał już do jego głowy, nastawiał analizator na pełną moc – strumienie światła uderzyły w skronie chłopca, przesłoniły cały świat.

Tom sam nie wiedział, czy zdążył krzyknąć. Później pomyślał, że prawdopodobnie to zrobił, bo okropnie bolało go gardło. Uderzył głową w oparcie z taką siłą, że promienisty ból rozszedł się po karku i wzdłuż kręgosłupa, a paski oplatające jego ręce otarły skórę niemal do krwi.

Ryzerman ponownie uruchomił proces czerpania neuronowego. Analizator pamięci sięgał coraz bardziej w głąb umysłu Toma. Chłopiec szarpał się jak szalony, obrzucał porucznika obelgami, których sam nie rozumiał, a przez jego mózg przemykały wspomnienia, na których nie był w stanie się skupić...

Do momentu, gdy zobaczył swoją matkę.

Jego mama wyglądała bardzo młodo, działo się to w czasach, gdy Tom był jeszcze tak mały, że później całkiem o tym zapomniał. Zerknęła na niego przez ramię i uśmiechnęła się; rozpuszczone blond włosy opadały jej luźno na plecy. Niosła go na barana przez jakąś ciemną ulicę.

Obróciła się w miejscu, aż światła latarni zawirowały mu przed oczami.

– Co zjemy na kolację?

– Lody, mamusi!

Mama Toma przystanęła, zachwiała się lekko i roześmiała.

– Kupimy pudełko lodów większe od twojej głowy, Tommy. A do tego polewę karmelową.

Tom roześmiał się radośnie; jej włosy łaskotały go w nos i...

– To bardzo osobiste wspomnienia, prawda, Raines? – rozległ się głos Ryzermana.

– Przestań! – warknął.

– Cierpisz tylko dlatego, że próbujesz coś ukryć.

Wspomnienie sprzed lat paliło go żywym ogniem. Czuł, jak promienie światła wpijają się w jego mózg, nie mógł jednak przestać patrzeć, bo nawet nie pamiętał czasów, gdy mieszkał z matką. Nie zachował żadnych wspomnień, w których mama by go kochała. Znał ją tylko jako tę sztywną, oficjalną kobietę z nowojorskiego mieszkania. Dotąd nie umiał jej sobie nawet wyobrazić w roli matki. Próbował przesunąć głowę, uwolnić się od snopów światła. Nie mógł na to dłużej patrzeć.

– Im bardziej będziesz się opierał, tym więcej wspomnień wyjdzie na jaw – stwierdził swobodnym tonem Ryzerman. – Analizator

przedrze się przez wszystkie twoje zapory psychologiczne, aż nie będziesz już w stanie się bronić. Poddaj się.

I wtedy coś się stało.

Tom patrzył na świat własnymi oczami, a jednocześnie widział go z innej perspektywy. Zobaczył ogień; analizator pamięci połączył się z jego mózgiem, z kontrolki strzeliły snopy iskier, a procesor centralny zamienił się w garstkę popiołu.

Dostrzegł Ryzermana, który ruszył w kierunku urządzenia, by sprawdzić,

co się z nim stało. Gdy tylko mężczyzna zbliżył się do metalicznych szponów, Tom posłał w jego stronę ładunek elektryczny.

Ryzerman wrzasnął jak oparzony, poleciał do tyłu i runął na ziemię.

Tom znów znalazł się we własnym ciele. Serce waliło mu jak młotem, po czole spływały strużki potu. Popatrzył na porucznika, który leżał na podłodze i dyszał ciężko. W końcu podniósł się powoli, przytrzymując zdrową ręką bezwładne ramię.

Ryzerman spojrział najpierw na zniszczone urządzenie, a potem przeniósł wzrok na Toma.

– To byłeś ty, Raines, prawda?

– Tak, i usmażę cię, jeśli jeszcze raz mnie podłączysz! – wrzasnął chłopiec, zdesperowany.

Ale Ryzerman patrzył na niego tak samo jak na Olivię Mastenson, gdy ta próbowała go powstrzymać w swoim biurze – jak na kogoś, kto nie stanowi żadnego zagrożenia.

– Założę się, że nawet nie wiesz, jak to zrobiłeś. Możesz zniszczyć tyle analizatorów, ile tylko zechcesz, mam ich masę.

## Rozdział 29

### OPCJA C

Kiedy Tom się ocknął, wciąż przywiązany do fotela, miał wrażenie, że obolały i nabrzmiały mózg lada moment rozsadzi mu czaszkę. Zobaczył nad sobą twarz Olivii Mastenson. Kobieta rozwiązywała paski krępujące jego ręce i mruzczała pod nosem:

– Cóż za barbarzyństwo... Przecież to jeszcze dziecko.

– Przyszła pani – wychrypiał Tom.

– Tom! – Jej ciepła dłoń ujęła go pod brodę. – Nic ci nie jest?

Skinął głową, choć wciąż czuł dojmujący ból. Olivia pomogła mu wstać i zejść z fotela.

– Czy to się już skończyło?

Olivia zacisnęła mocniej dłoń na jego ramieniu.

– Pracuję nad tym, Tom. Na razie nie jestem w stanie porozumieć się z porucznikiem Ryzermanem. Twierdzi, że coś przed nim ukrywasz.

Tom zachwiał się nagle, przed oczami latały mu ciemne plamy. Z pomocą Olivii usiadł na podłodze. Oparł się o tę kobietę plecami

i zamknął oczy. Czuł, jak Olivia przesuwa palcami po jego włosach. Powróciło do niego wspomnienie matki, dopiero co wydobyte z otchłani zapomnienia. Wciąż nie unosił powiek, pod którymi zbierały się piekące łzy.

– Tom – powiedziała Olivia. – Próbowałam skontaktować się z twoim ojcem.

– Po co? On nic nie może zrobić.

Zdjęła rękę z jego głowy.

– Owszem, może. Może domagać się przywrócenia opieki nad tobą.

Tom otworzył w końcu oczy i usiadł prosto. Znów zakręciło mu się w głowie.

– Naprawdę?

– Wojsko nie może cię zatrzymać, jeśli twój ojciec wycofa się z umowy.

Tom poczuł paskudne gnecenie w brzuchu. Zbierało mu się na wymioty.

– Musiałbym się wycofać? – Krew pulsowała mu w skroniach. – Ale nie możecie przecież usunąć procesora neuronowego.

– Twój mózg stopniowo uzależnia się od procesora, ale nosisz go dopiero pięć

miesiący. Rozmawiałam z doktorem Gonzalesem; powiedział, że nie jest jeszcze za późno. Obecnie robią coś podobnego z twoim przyjacielem Beamerem.

Nie. Nie. Nie mógł do tego wrócić. Nieudacznik Tom wędrujący z ojcem od kasyna do kasyna, bez przeszłości, bez przyszłości, bez niczego...

Jednak gdyby tu został, a Ryzerman nadal grzebałby w jego mózgu...

Straciłby rozum. Nie zniósłby tego dłużej. A wtedy wydałby Yuriego i Wyatt.

Czuł, jak narasta w nim paląca frustracja. Zaciśnął pięść i uderzył nią w podłogę. Świat dokoła nabrał nieco ostrości. Uderzał jeszcze kilkakrotnie, nim Olivia złapała go za rękę.

– Tom, przestań. Zrobisz sobie krzywdę.

Nie obchodziło go to. Fizyczny ból był tylko odległym uczuciem, ukrytym za zasłoną wściekłości. Właściwie przynosił mu ulgę, jakiej nie mogło teraz dać nic poza pobiciem Ryzermana. Próbował wyrwać się z uścisku Olivii, był jednak zbyt wyczerpany.

– Nie będę kontaktował się z ojcem – oznajmił wreszcie. – Potrzebuję opcji C.

– Nie ma opcji C, Tom. Twój ojciec musi mi pomóc, jeśli mam cię z tego wyciągnąć.

Tom podniósł wzrok na analizator pamięci zawieszony nad pustym krzesłem.

– Nie. Albo opcja C, albo nic.

\* \* \*

Następnego ranka Ryzerman przysłał po Toma żołnierzy, którzy przywiązali go znów do fotela pod nowym analizatorem. Chłopiec próbował zerwać więzy, w końcu jednak dał za wygraną i przyglądał się ponuro metalowym szponom. Wciąż czuł się nieco otepiały po niespokojnej nocy. Chwilę później do pokoju wszedł Ryzerman z ręką na temblaku. Ten widok napełnił Toma złośliwą satysfakcją.

– Boli cię ręka? – spytał, gdy Ryzerman przygotowywał urządzenie do działania.

– Ani trochę – odpowiedział porucznik.

Gdy mężczyzna zmienił pozycję, Tom próbował go kopnąć w obandażowane ramię. Ryzerman syknął i odsunął się w ostatniej chwili.

Tom wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

– Myślałem, że nie boli.

Ryzerman odpowiedział mu równie paskudnym uśmieszkiem.

– To zaboli cię bardziej – powiedział i włączył analizator pamięci.

Snopy ostrego światła wbiły się w skronie Toma, sięgnęły do wnętrza jego

mózgu, wydobywały wspomnienia, otwierały je po kolei i odrzucały jak puste opakowania, szukając tylko tych, które łączyły się z nadzwyczajnymi zdolnościami chłopca.

Neil... matka... Rosewood... matka... Roderick... matka...

Tym razem trwało to zaledwie kilka minut, nim głośny trzask przerwał odtwarzanie pamięci.

Oszołomiony umysł Toma dopiero po chwili rozpoznał głos generała Marsha.

– Co pan wyprawia, panie poruczniku?

Tom otworzył oczy, ożywiony nagłą nadzieją. Zobaczył Marsha i Ryzermana stojących naprzeciwko siebie.

– Sprawdzam, jak doszło do przecieku, panie generale, zgodnie z pańskimi rozkazami.

– Nie kazałem panu przywiązywać Rainesa do analizatora. Proszę go uwolnić. Natychmiast!

Ryzerman nawet nie drgnął.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, panie generale – odpowiedział.

Marsh zaklął głośno i ruszył w stronę Toma. Na pomarszczonej twarzy malował się grymas wściekłości. Chłopiec opadł na oparcie fotela i odetchnął z ulgą.

Ryzerman stanął za generałem.

– Zanim pan go uwolni, chciałbym tylko wyjaśnić pewną rzecz.

– O co chodzi? – Marsh odwrócił się do porucznika, zaciskając pięści.

– Zauważyłem pewne, że tak powiem, nieprawidłowości w dokumentacji pana Rainesa – mówił Ryzerman chłodnym, wyrachowanym tonem. – Wygląda na to, że nim trafił do nas, nie przeszedł standardowych badań psychologicznych. Zastanawiam się, jak mogło do tego dojść.

Marsh milczał. Tom w napięciu wpatrywał się w plecy generała, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ten nie przychodzi mu z pomocą.

– Sam pan rozumie, że powinienem niezwłocznie powiadomić o tym Komisję Obrony – kontynuował Ryzerman, nie spuszczać wzroku z twarzy Marsha. – To poważne niedopatrzenie, prawda? Nie rozumiem, jak ktoś mógł pominąć proces selekcji naszych rekrutów. Należałoby to uznać za nadużycie władzy, gdyby okazało się, że było to działanie celowe.

Tom mógłby przysiąc, że Marsh wyprostował się i napiął mięśnie.

– To nie będzie konieczne, poruczniku.

– Niestety, panie generale, być może będę musiał to zrobić bez pańskiego pośrednictwa. Być może będę musiał o tym zameldować.

Milczenie.

– Nie warto ze mną zadzierać, poruczniku – przemówił w końcu Marsh.

– Wolałbym tego nie robić, panie generale, lecz kontynuować badanie. Pozwolę panu zastanowić się nad decyzją. – Ryzerman wyszedł z sali, zostawiając Toma z Marshem.

Tom wpatrywał się w plecy generała, zdezorientowany. Dlaczego Marsh nie ruszał się z miejsca? Co tu się przed chwilą wydarzyło?

– Panie generale?

Marsh westchnął ciężko.

Tom szarpnął się w fotelu, napinając skórzane paski.

– Panie generale? Wypuści mnie pan stąd?

Marsh wreszcie się do niego odwrócił. Wydawał się stary i bardzo zmęczony; zaciskał mocno usta.

– Obawiam się, Tom, że właśnie zobaczyłeś, jak związano mi ręce.

Tom czuł, jak ogarnia go panika.

– Panie generale, proszę.

Marsh odwrócił się do niego plecami.

– Przykro mi, Tom.

Wyszedł z pokoju, zostawiając chłopca przywiązanego do fotela. Mijały minuty, a Tom wpatrywał się w pustkę Komnaty Wspomnień, otepiały i samotny.

Usłyszał powolne kroki Ryzermana i zamknął oczy, bo nie mógł dłużej znieść widoku tego człowieka.

– Możemy kontynuować, panie Raines? To nie było pytanie, ale i tak nie miało to znaczenia. Tom nie był w stanie mówić. Po prostu nie był w stanie.

Ryzerman po raz kolejny uruchomił analizator pamięci.

\* \* \*

Kiedy nocna sesja dobiegła końca, Tom został zamknięty w niewielkiej celi przylegającej do Komnaty Wspomnień. Stał przez chwilę na środku pomieszczenia, przytłoczony jasnymi promieniami lampy zawieszanej pod sufitem, głuchym dudnieniem w głowie i obrazami, które przesuwają się w jego mózgu. Uciekł się do jedynego działania, które mogło przywrócić mu zmysły i ponownie scalić jego umysł – walił pięścią w ścianę, aż ból eksplodujący w dłoni otrzeźwił go nieco, a krew rozsmarowana na białej powierzchni wyostrzyła wzrok.

Ktoś wślizgnął się do pokoju, czyjaś delikatna dłoń zacisnęła się na jego

nadgarstku. Olivia Mastenson chwyciła go za rękę i zmusiła, by usiadł na pryczy. Potem podała mu szklanekę wody. Tom wypił ją łapczywie, rejestrując resztkami świadomości, że Olivia ogląda jego zakrwawioną dłoń. Czuł się przedziwnie, jakby miał wyskoczyć ze skóry.

Nie pamiętał, kiedy osunął się na ścianę, lecz gdy doszedł do siebie, znów poczuł, jak Olivia przesuwając dłoń po jego włosach. Zaciśnął powieki jeszcze mocniej, bo choć nie wiedział, dlaczego jej dotyk wydaje mu się taki kojący, był niemal pewien, że kiedy otworzy oczy, to miłe doznanie przeminie.

– Myślę, że jestem gotowy na opcję B – przyznał, gdy w końcu znalazł w sobie dość sił. Czuł nieprzyjemną pustkę i bezsilność, jakby został fizycznie pobity. Nie mógł już dłużej tego znieść. – Proszę odszukać mojego ojca. Proszę mnie stąd zabrać.

– Tom – wyszeptała Olivia. – Już to zrobiłam.

\* \* \*

Porucznik Ryzerman nie mógł nawet tknąć Toma od momentu, gdy Neil zażądał usunięcia syna z Wieży. Chłopiec odpoczywał w gabinecie Olivii i słuchał, jak ta omawia kwestie prawne z generałem Marshem i wojskowym adwokatem. Choć wiedział, że rozmowa dotyczy jego osoby, nie chciał jej słuchać.

Zdawał sobie sprawę z tego, czym się to skończy. Stopniowym odinstalowaniem procesora. Usunięciem z Wieży. Powrotem do życia z Neilem.

Wtedy nie zdradziłby Yuriego ani Wyatt. Ryzerman nigdy więcej nie grzebałby mu w głowie za pomocą analizatora pamięci. Pozostałby przy zdrowych zmysłach.

Może.

Może.

Z jednej strony czuł ogromną ulgę, że jego męczarnie się skończą, z drugiej zaś – miał ochotę walić głową w blat biurka. Nie mógł znieść myśli, że będzie musiał wrócić do swojego starego życia. Nie po tym, co go tutaj spotkało. Dobijała go też świadomość, że Roderick w końcu wygrał. Że przez niego będzie musiał opuścić Wieżę.

– Mogę porozmawiać z nim w cztery oczy? – spytał Marsh Olivię.

Kobieta spojrzała na Toma.

– Decyzja należy do ciebie.

Chłopiec wzruszył ramionami. Dopiero gdy prawnik i pani Mastenson wyszli z pokoju, podniósł oczy na generała Marsha i spojrzał na niego z nieskrywaną nienawiścią. Na człowieka ze „związanyymi rękami”.



– Dlaczego nie przeszedłem badań psychologicznych jak wszyscy pozostali? – Głos Toma drżał z wściekłości.

Nie mogło go spotkać nic gorszego: najpierw podarowano mu cały świat, a potem wszystko odebrano. Czułby się znacznie lepiej, gdyby nigdy tu nie przyjechał.

Marsh westchnął ciężko.

– Szczerze mówiąc, synu, obawiałem się, że przez to nie przejdiesz.

– NIE JESTEM OBLĄKANY! Nie chcę tego więcej słyszeć! – wrzeszczał Tom, dobrze wiedząc, że zachowuje się właśnie jak szaleniec.

– Spokojnie, Tom. – Marsh wstał i przeszedł na drugą stronę biurka Olivii, spoglądając po drodze na portret zawieszony na ścianie. – Prawdę mówiąc, nie szukałem cię przez oficjalne kanały. Byłeś moim prywatnym, nadprogramowym projektem. Chyba nie przypuszczasz, że osobiście wyszukuję i sprowadzam tu wszystkich kandydatów.

Tom zmierzył chłodnym spojrzeniem odbicie generała w szkłe, za którym umieszczono obraz.

– Widzisz, Tom, szukałem kogoś odmiennego. Wiesz dobrze, kto należy do Kompanii Camelotu. Te dzieciaki to kwiat naszej młodzieży. Wszechstronnie wykształcone, błyskotliwe, ujmujące.

Tom parsknął głośno. Karl Masters?

– Zgoda, z nielicznymi wyjątkami. – Marsh skinął głową, przyznając mu rację. – To wybitne jednostki, które na pewno zajdą w życiu daleko. Takich ludzi rekrutujemy. Takie dzieciaki przyciągamy.

– W odróżnieniu ode mnie.

Wrócili do sprawy, która niepokoiła Toma od samego początku. To, że Marsh wybrał właśnie jego, było co najmniej dziwne. Do tej pory nie zastanawiał się nad tą zagadką. Dopiero teraz, gdy nadciągała katastrofa, generał próbował mu to wyjaśnić. Tom chciał poznać odpowiedź za wszelką cenę, choćby miał wyciągnąć ją z niego siłą.

– W odróżnieniu od ciebie – zgodził się Marsh. – Wiesz, ilu dorosłym wszczepiliśmy pierwszą partię procesorów neuronowych? Dwustu siedemdziesięciu pięciu. Przeżyło tylko trzech. Trzech. Jednego z nich znasz. To porucznik Ryzerman. Wszystkich trzech łączyło jedno: ukryte zaburzenia równowagi chemicznej w mózgu. Podatność na choroby psychiczne. Procesory neuronowe wywoływały te choroby, lecz w przypadku tych trzech osób nie doprowadziły do ich śmierci. W odróżnieniu od pozostałych.

– Ryzerman nadal jest szalony.

– Och, widziałem te... hm... dyskusje, które prowadzi z samym sobą. Ale Ryzerman jest także niezwykle inteligentny. To najlepszy specjalista w swojej dziedzinie na tej półkuli. Może nawet na całym świecie. A przed wszczepieniem procesora? Był nikim. Technikiem na łodzi podwodnej. Procesor uszkodził jego mózg, ale

jednocześnie coś uruchomił. Obudził w nim geniusza.

Tom opadł na oparcie krzesła i roześmiał się gorzko.

– Rozumiem. Procesory neuronowe zabijają większość dorosłych, więc musicie zadowolić się nastolatkami, a pan chciał trochę poeksperymentować. Znalazł pan mnie i pomyślał, że warto postawić na dzieciaka, który jest trochę szalony, prawda?

– Dziwisz się, że tak właśnie cię postrzegałem? Pomyśl o swoim ojcu, o matce, o tym, jak cię wychowano... Ale masz też wyjątkowe umiejętności, Tom. Masz instynkt zabójcy. Dlatego postawiłem na ciebie. Twoje pochodzenie było tylko...

– Dodatkowym atutem, tak? I co, mam się z tego cieszyć? – spytał wyzywająco chłopiec.

– Nie pyskuj. Dopóki nie wyjdiesz z Wieży, jestem twoim przełożonym, kadecie.

Tom roześmiał się szyderczo; był tak bardzo rozczarowany tym wszystkim, że najchętniej znów zaczęłyby walić pięścią w ścianę.

– Więc miał pan nadzieję, że we mnie też obudzi się ten geniusz. Jak w mózgach obłąkanych dorosłych. Musiał się pan gorzko rozczarować.

– Wcale nie, Tom. Masz paskudny charakter, jesteś porywczy i arogancki, ale jednocześnie robisz dokładnie to, na co liczyłem. Zmieniasz się powoli w takiego kosmicznego wojownika, jakiego nam brakowało.

Tom przypomniał sobie, co mówił Elliot i o czym wspominał także Nigel. Szukali kogoś innego. Kogoś...

– Chcecie kogoś bezwzględego.

– Tak, Tom. – Marsh nachylił się do niego i spojrzał mu prosto w oczy. – Bezwzględego. Zawziętego. Brutalnego, ale nie w taki przewidywalny, prymitywny sposób, jaki cechuje Dzyngis-chańów. Kogoś, kto uderza wtedy, gdy wie, że to naprawdę zaboli. Kogoś, kto zadaje śmiertelny cios. Właśnie tacy ludzie wygrywają wojny. Tacy ludzie pokonują Meduzy tego świata. Weźmy choćby Achilleśa – nie pokonał go wojownik, który był od niego silniejszy, szybszy, sprawniejszy. Powaliła go strzała wymierzona w jego jedyny słaby punkt. Ty umiesz wynajdywać takie punkty Tom. Mógłbyś nam się przydać. Mógłbyś pokonać najlepszych wojowników wroga.

– Szkoda, że już nie będę miał okazji.

Marsh się wyprostował.

– Być może będziesz miał. Mogę dać ci ostatnią szansę. Jeśli pokażesz, na co cię stać, wykorzystam to jako argument w rozmowie z Komisją Obrony, gdy każą mi wytłumaczyć, dlaczego zignorowałem w twoim przypadku procedury. Jeśli dowiedziesz, że jesteś właśnie tym, kogo szukałem, będę o ciebie walczył, Tom.

Tom poczuł nerwowy ucisk w brzuchu. Nadzieja wydobywała się z mrocznych otchłani, w które niedawno ją stracił. Dłonie i czoło chłopca pokryły się kropelkami potu.

– Jak? Zrobię wszystko, generale.

– Pojedziesz ze mną na szczyt na Kapitolu. To ty zastąpisz Elliota. Ty pokonasz Meduzę.

## Rozdział 30

# SZANTAŻ EMOCJONALNY

Tom przebiegł przez arenę ćwiczeń fizycznych i dogonił Vika na polu bitwy pod Gettysburgiem<sup>19</sup>. Hindus podniósł muszkiet, by nabić Toma na bagnet, kiedy jednak zobaczył, z kim ma do czynienia, opuścił szybko broń.

– Tom! Cześć, stary. Przestanieś już znikać?

– Jeszcze nie. Biegnij szybciej.

– Jasne – zgodził się Vik. Konfederaci deptali im już po piętach.

Przypieszyli kroku, przedzierając się przez wysoką trawę. Unioniści, których widzieli przed sobą, zaczęli do nich strzelać. Wrogie armie zamykały ich w kleszczach.

– Gdzie byłeś? – spytał Vik, przekrzykując huk dział. – Szkoda, że nie słyszałeś, jakie tu krążyły plotki. Wiesz, międzygalaktyczne porwanie albo tajne eksperymenty CIA nad kontrolą umysłu.

– W piwnicy. – Tom nie mógł powiedzieć nic więcej – nie dlatego, że były to tajne informacje, lecz po prostu brakowało mu tchu. Niemal dwie doby bez snu, jedzenia i wody, wypełnione na dodatek czerpaniem neuronowym, zupełnie pozbawiły go sił.

Olivia zaproponowała, że wystawi mu zwolnienie z ćwiczeń fizycznych, ale Tom nie wiedział, jak długo jeszcze zostanie w Wieży, więc chciał spędzić jak najwięcej czasu z przyjaciółmi.

Tymczasem niebo nad polem bitwy pociemniało, nastąpiła noc, a martwi żołnierze Unii i Konfederacji zamienili się w wampiry, które zaatakowały elewów. Tom przebił jednego bagnetem, ale dwa inne dopadły go i rozerwały mu gardło.

Sesja wygasła. Włączono tryb bezruchu. Ciało Toma opadło bezwładnie na trawę.

Vik upadł tuż obok niego.

– Opowiedz mi wszystko – poprosił.

– Nigdy nie umierasz na ćwiczeniach fizycznych.

– Zrobiłem „Beamera”.

Zrobił „Beamera”. Tom westchnął i posmutniał nagle, jakby udzielił mu się grobowy nastrój wampirów, które pędziły w kierunku innych elewów. Pomyślał, że jeśli nie pokona Meduzy, to on będzie musiał zrobić „Beamera” – odejść z Wieży i pozbyć się procesora neuronowego.

– No?

– To długa historia.

– A to długa bitwa. No już, gadaj.

Przy głowie Toma pojawiły się nagle znoszone buty, a z góry dobiegł znajomy głos:

– Timothy.

Tom podniósł wzrok i spojrzał na Yuriego.

– Cześć, stary.

– Tom miał mi właśnie opowiedzieć, przez kogo zniknął – wyjaśnił Vik. – Przycupnij obok nas.

– Jasne.

Yuri odrzucił muszkiet, by najbliższy wampir mógł go zabić. Nie przewidział jednak wszystkiego. Wampir wskoczył mu na plecy i rozdarł kłami gardło, włączając tym samym tryb bezruchu. Yuri padł jak kłoda – i wylądował na brzuchach Toma i Vika, pozbawiając ich na moment oddechu.

– Ech... – sapał Tom, próbując uwolnić się od ciężaru jego ciała. – Yuri, musiałeś położyć się akurat na nas?

– Przepraszam, Tim. Spróbuję przesunąć się dalej. – Yuri chwycił się trawy i zaczął przeciągać swe nieruchome ciało, szło mu to jednak bardzo powoli.

– Wyatt, pomóż nam! – zawołał Vik do dziewczyny, która uchyliła się właśnie przed ciosem wampira.

Wyatt uciekła kolejnemu monstrum – które zabiło kadeta stojącego za nią – i podeszła do nich.

– Tom, wróciłeś! Myśleliśmy, że wpadłeś do jakiejś dziury i umarłeś.

– Niewiele brakowało. Byłem z Ryzermanem. Hej, możesz ściągnąć z nas swojego chłopaka, zanim się udusimy?

Yuri uśmiechnął się przepaszająco.

– To wina dużej masy mięśniowej. Dlatego jestem taki ciężki.

Wyatt pociągnęła go za rękę i przesunęła na bok – na tyle, by choć trochę ulżyć przygniecionym chłopcom. W tym momencie

od tyłu zaatakował ją wampir i dziewczyna również padła – prawie w to samo miejsce, w którym dopiero co leżał Rosjanin. Tom i Vik jęknęli przeciągle.

– Jak pech, to pech – westchnęła Wyatt. – Ale przynajmniej dobrze się

słyszemy. Gdzie byłeś?

– W Komnacie Wspomnień. – Tom próbował zepchnąć z siebie Yuriego, ale teraz, gdy częściowo opierała się na nim Wyatt, nie miał najmniejszych szans, by tego dokonać. – Ryzerman myślał, że to ja zdradziłem.

– A zdradziłeś? – spytała dziewczyna.

– Dajże spokój, Wyatt, jasne, że nie! – Tom przeniósł wzrok na pozostałych elewów, którzy jednoczyli się właśnie z żołnierzami Unii i Konfederacji przeciwko wampirom. – Chodzi o pewną internetową znajomość. Nie wygląda to najlepiej. Widzicie, spotykałem się w necie z Meduzą.

Pełna zdumienia cisza. Tom spojrzał ponownie na swoich przyjaciół, którzy wpatrywali się w niego z rozdziawionymi ustami. Ten widok po raz kolejny uświadomił mu, jakim był głupcem, zaprzyjaźniając się z Meduzą.

– Posłuchajcie – zaczął się tłumaczyć. – Po wtargnięciu koniecznie chciałem znów zmierzyć się z Meduzą. Graliśmy z sobą, zabijała mnie i tak dalej. No właśnie, Vik, Meduza rzeczywiście jest dziewczyną.

Nadal milczenie. Tom szukał w myślach czegoś, co pozwoliłoby odwrócić uwagę przyjaciół od tego tematu. Zauważył nową kadetkę z Oddziału Machiavellich, którą jego procesor zidentyfikował jako Iman Attar. Dziewczyna przebiegała właśnie obok z Jenny Nguyen. Wskazała na nich i spytała:

– Dlaczego oni leżą na sobie?

Jenny spojrzała w ich stronę, a potem ponagliła ją do szybszego biegu. Nim się oddaliła, usłyszeli jeszcze jej głos:

– Chłopcy z Oddziału Aleksandra są dziwni. Ten dzieciak Vik usiadł kiedyś obok mnie i powiedział: „Och, wydaje mi się, że masz na ustach hinduską przyprawę”. Odpowiedziałam, że jest walnięty, i chciałam wstać, a wtedy on uderzył mnie czołem.

Dziewczyny zniknęły w oddali, a Tom, Yuri i Wyatt parsknęli śmiechem.

– Proszę bardzo, śmieście się – burknął Vik.

Tom trzymał się za brzuch.

– Nie mogę uwierzyć, że stuknąłeś ją czołem po tym, jak Yuri zrobił to Wyatt!

– To wcale nie jest takie trudne, Tom!

– Tak, zwłaszcza kiedy dziewczyna chce od ciebie jak najszybciej uciec.

Vik podniósł rękę i uderzył Toma, lecz ten nadal się śmiał. Hindus ponownie próbował unieść ramię, by wziąć jeszcze większy zamach.

– Vik – skarciła go Wyatt. – Przestań się rzucać. Plujesz na nas hinduską przyprawą.

Chłopiec spojrzał na nią z uznaniem.

– Brawo, Męskie Ręce, to było naprawdę podłe. Od dziś już oficjalnie jesteś Podłą Jędzą.

Wyatt przewróciła oczami, lecz Tom widział, że potraktowała te słowa jako komplement.

– No dobra, wracając do Toma – powiedział Vik. – Mówisz, że Meduza jest dziewczyną, tak? Ładną?

– Nie chciała mi się pokazać – przyznał Tom.

Vik westchnął.

– O nie, młody Skywalkerze. Brzydka strona mocna w niej jest.

Wyatt zgromiła go wzrokiem.

– A może nie wolno jej ujawniać swojej tożsamości? No wiesz, tak jak nam.

– Nie. Jest brzydka. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Tom – stwierdził Vik. – Dziewczyna, która tak walczy, nie może być też ładna. To zaburzyłoby równowagę w kosmosie, zniszczyłoby kontinuum czasoprzestrzeni i doprowadziło do rozsadzenia od wewnątrz wszechświata. Poza tym nie chciała ci się pokazać. To sygnał ostrzegawczy. Głośny, piskliwy sygnał ostrzegawczy.

Tom odsunął od siebie myśli o hipotetycznej brzydocie Meduzy, bo byłby idiotą, gdyby zastanawiał się nad tym teraz, gdy miał na głowie znacznie poważniejsze, realne zmartwienia.

– To i tak już bez znaczenia, Vik. Nie zobaczę się więcej z Meduzą. Złapali mnie, a Ryzerman chce mi usmażyć mózg w analizatorze pamięci.

– Widział twoje wspomnienia? – spytał ostro Yuri.

Tom wiedział, co niepokoi Rosjanina.

– Nie wszystkie. Posłuchajcie, mogę się z tego wyplątać tylko w jeden sposób: Marsh chce, żebym walczył z Meduzą podczas szczytu na Kapitolu. Mam być zastępcą Elliota. Jeśli ją pokonam, wstawi się za mną przed Komisją Obrony. Jeśli przegram, Ryzerman usmaży mi mózg albo będę musiał oddać procesor neuronowy.

Przyjaciele Toma znów zamilkli ze zdumienia.

– To świetny układ – stwierdził w końcu Vik.

– To okropny układ – powiedziała Wyatt w tym samym momencie.

– Jest naprawdę świetny. Tom weźmie udział w szczycie! Nie mogę uwierzyć, że Marsh pozwoli walczyć kadetowi – mówił Vik z nutą zazdrości w głosie. I z lekką zadyszka, a to z powodu ciała, które gniotły mu brzuch.

– Wcale nie – odparła Wyatt. – Tom nie może pokonać Meduzy. Nie został jeszcze przeszkolony, a poza tym nawet żaden z tych, którzy przeszli pełne szkolenie, nie zdołał z nią wygrać.

Mówiła to z takim powątpiewaniem, że Tom poczuł się urażony.

– Hej, szybko uczę się symulacji. Wszyscy tak twierdzą. I walczyłem już z Meduzą w innych sytuacjach.

– Więc zrób to – zachęcał go Vik. – Rozwal swoją wirtualną dziewczynę, Tom. Raz, a dobrze.

Tom sposepniał.

– Walczyliśmy ze sobą wiele razy. Ona jest lepsza ode mnie. Szybsza, sprytniejsza, groźniejsza.

– Więc oszukuj – poradził mu Vik.

– Oszukiwać? – oburzył się Yuri. – Timothy nie musi oszukiwać! Może pokonać Meduzę honorowo, jak przystało na prawdziwego wojownika!

– Wspaniale, Yuri. – Vik przewrócił oczami. – Ale teraz porozmawiajmy o Tomie tak, jakby nie był jednak Klingonem<sup>20</sup>.

– Klingonem? – powtórzył Yuri.

– Chyba żartujesz. Naprawdę nie wiesz, kim są Klingoni?

– To angielskie słowo?

Vik jęknął i odwrócił się do Toma, jakby uznał Yuriego za beznadziejny przypadek.

– Doktorze, musisz oszukiwać, dopóki nie wygrasz. Zwycięstwo jest rzeczą szlachetną.

– Vik, gdybym wiedział, jak ją oszukać, nie zastanawiałbym się ani sekundy. Ale nie mam nawet pojęcia, na czym będzie polegał ten pojedynek.

– Mogę zaprogramować ci wirusa – odezwała się Wyatt. – Mógłbyś zakłócić działanie jej procesora centralnego w środku walki. Musisz tylko znać adres IP Meduzy.

– Szczyt jest za dwa dni.

– Mówisz tak, jakbyśmy się znali od wczoraj. Dwa dni to aż nadto czasu.

– Timothy, zapominasz chyba o najoczywistszym rozwiązaniu – powiedział Yuri, przesuwając się odrobinę i jeszcze mocniej wgniatając Toma w ziemię. – Możesz przecież poprosić Meduzę, żeby celowo przegrała.

Tom spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Co?

– Poproś Meduzę, żeby przegrała – powtórzył Yuri.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Czy to nie oczywiste? Bo zależy jej na tobie. Jeśli się dowie, że w razie przegranej spotka cię coś złego, być może sama postanowi się podłożyć. To nie jest prawdziwa bitwa. To gra na pokaz. Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli



przegra.

- Nie mogę tego zrobić. – Tom pokręcił głową.
- Wolisz raczej zainfekować jej główny procesor? – spytała Wyatt.
- Tom, przykro mi to mówić – wtrącił się Vik – ale powinieneś chyba posłuchać Yuriego i Podłej Jędzy. Zdecyduj się na szantaż emocjonalny.

Szantaż emocjonalny. Skierowany przeciwko Meduzie.

Tom zmarszczył brwi, spoglądając w ciemną burzową noc. To nie mogło się udać. Meduza była wojowniczką. Fakt, że się zaprzyjaźnili, a raz nawet pocałowali, nie miał żadnego znaczenia. Nigdy by się na to nie zgodziła. Wiedział to.

W końcu byli do siebie podobni, a on by tego nie zrobił.

\* \* \*

Tej nocy Tom, Vik i Yuri obudzili się punktualnie o drugiej. Spotkali się z Wyatt w zaciemnionej świetlicy. Dziewczyna wyłączyła już program namierzający Wieży.

Przywołała Toma gestem i pokazała mu, by podłączył się do jednego z gniazd neuronowych w ścianie.

- Masz dziesięć minut, Tom. Nie możemy ryzykować i wyłączać zapory sieciowej Wieży na dłużej.
- Pospieszę się – zapewnił ją.
- Powodzenia, Doktorze. – Vik wręczył mu kabel.
- Dzięki, Doktorze. Do zobaczenia za kilka minut. – Tom podłączył się do gniazdka.

Ogarnęły go ciemność i odrętwienie, gdy przeistoczył się w internetowego awatara. Zostawił wiadomość w portalu Zakazane Miasto, a kilka minut później otrzymał od Meduzy potwierdzenie wraz z nowym adresem URL.

Tom wszedł do ich prywatnego, chronionego hasłem programu. Rozejrzał się po bogato zdobionej komnacie, którą wybrała do tej symulacji – program poinformował go, że są to wnętrza pałacu Hatfield w renesansowej Anglii. Meduza pojawiła się jako szczupła rudowłosa kobieta o ciemnych oczach i chłodnym, wyniosłym uśmiechu. Była ubrana w długą, sięgającą podłogi suknię, która falowała przy każdym jej ruchu.

- Ładnie – stwierdził Tom, taksując ją spojrzeniem. – Kim jesteś?
- Księżną Elżbietą Tudor. – Ruszyła w jego stronę. – Możemy się zmierzyć albo spiskować przeciwko królowej Marii. Możemy też zmienić postacie i walczyć z Irlandczykami, Szkotami i Francuzami... Albo walczyć jako

Irlandczycy, Szkoci i Francuzi z Anglikami. Później jest tu nawet bitwa z hiszpańską armadą. To bardzo elastyczny program. Zawiera też sporo egzekucji.

– A kim ja jestem?

Tom spojrział w dół na własne ciało. Nosił obcisłe rajtuzy. Zmarszczył brwi i poruszył na próbę nogami. Rajtuzy nie wydawały mu się zbyt męskim elementem ubioru.

Program poinformował go, że odgrywa rolę Roberta Dudleya, człowieka, którego królowa Elżbieta I kochała przez całe życie. Tom uznał to za dobry znak. Zauważył już wcześniej, że Meduza nieprzypadkowo dobiera programy i scenariusze.

Mimo to czuł się skrępowany i zaniepokojony, gdy podeszła do niego rozkołysanym krokiem i spojrzała spod grzywy rudych włosów.

– Obawiałam się najgorszego, kiedy nagle przestałeś się pokazywać.

– Bo stało się najgorsze – przyznał Tom. – Jeden z oficerów w Wieży dowiedział się o naszych spotkaniach.

Meduza zamarła.

– Och...

– Myślę, że to ja byłem źródłem przecieku.

Odwróciła się od niego.

– Co się teraz z tobą stanie?

Tom spojrział na okno.

– Cóż, albo skończy się na tym, że będą mnie, hm... – przez chwilę szukał określenia, które pozwoliłoby mu wytłumaczyć istotę działania analizatora pamięci, a przy tym nie ujawnić prawdy – ...przesłuchiwać, dopóki nie stracę całkiem rozumu, albo odejdę z Wieży. Na zawsze.

– Może to był jednak kiepski pomysł.

– Chwileczkę, to był mój kiepski pomysł, jasne?

Wiedział, że nadszedł właściwy moment. Teraz powinien powiedzieć Meduzie, że to on będzie walczył z nią podczas szczytu i że może go uratować, jeśli pozwoli się pokonać.

To dlaczego nie mógł wydobyć z siebie głosu?

Myślał jedynie o tym, jak bardzo czułby się upokorzony, gdyby poprosił ją, by dla niego przegrała. I jak żałośnie musiałyby wyglądać, gdyby roześmiała mu się w twarz, bo kto zrobiłby coś podobnego? Ludzie tak nie postępują. Nie w realnym świecie. Nie miał pojęcia, w jakim świecie żyje Yuri, ale jemu skręcały się wnętrzności na samą myśl o tym, że miałby prosić Meduzę

o pomoc. Dobrze wiedział, że nic by w ten sposób nie zyskał, tylko skompromitował się w jej oczach. Uznałaby go za mięczaka wzbudzającego jedynie litość.

– Możemy przecież nadal spotykać się w sieci, prawda? – spytała Meduza, zerkając na niego. – Kiedy już wyjdiesz z Wieży, nikt nie uzna tego za zdradę.

Tom cofnął się o krok. Zrobiło mu się zimno, kiedy sobie wyobraził, jak wyglądałoby jego życie, gdyby stracił procesor neuronowy, stracił lepszego Toma, który narodził się w Wieży. Znów stałby się tym brzydkim, przyszczatym dzieciakiem włączającym się po kraju ze swoim ojcem. Głupim, brzydkim i bezwartościowym dzieciakiem.

Miałby nadal spotykać się z Meduzą? Wolałby urwać sobie rękę, niż pokazać jej tego chłopaka.

– To nie byłby dobry pomysł – odparł w końcu.

– Rozumiem. – Jej głos wydawał się dziwnie beznamiętny. – Kiedy już odejdziesz z wojska, nie należy zwracać ci głowy. Jasne.

Tom nie rozumiał takiego sposobu myślenia.

– Co? Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy?

– Może to jednak od początku był kiepski pomysł.

Meduza opuściła program, zostawiając chłopca samego w idiotycznych rajtuzach, w renesansowej Anglii.

\* \* \*

Tom wyciągnął kabel z portu i usiadł prosto. Przyjaciele, ukryci w półmroku, obserwowali w napięciu jego reakcję.

– Nic z tego? – odezwał się pierwszy Vik.

– Nic – potwierdził Tom.

– Pozostaje wirus – stwierdziła Wyatt i podłączyła się do systemu obronnego Wieży, uruchamiając na powrót wszystkie zapory.

Tom opadł na najbliższe krzesło. Co prawda nie zapytał Meduzy, czy zechce dla niego przegrać, ale czuł się tak, jakby ogromny kamień spadł mu z serca. Wiedział, że teraz jest na niego zła, ale wiedział też, że nigdy nie przystałaby na jego propozycję. Gdyby płaszczył się przed nią jak oferma, a potem został wyśmiany, nie mógłby spojrzeć na siebie w lustrze.

– A więc Android i Podła Jędza nie mieli racji – mruknął Vik. – Przykro mi, stary. Widocznie Meduza aż tak bardzo za tobą nie szaleje. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Hindus poklepał przyjaciela po ramieniu. – Tym bardziej powinno ci teraz zależeć, żeby ją rozwalić.

– Jasne. Rozwalić ją. – Tyle że nie mógł tego zrobić.

Zawsze z nim wygrywała.

Wyatt skinęła głową i wpisała ostatnie komendy, przywracając pełną ochronę Wieży.

– Mam coś dla ciebie. Nazwałam to Wirusem reklamowym.

– Wirusem reklamowym? – powtórzył Tom.

– Zasada działania jest prosta: wirus coraz bardziej obciąża procesor centralny, aż ten nie jest już w stanie wykonywać żadnych działań. Uruchomi się w chwili, gdy prześlesz go Meduzie, więc ustawię go tak, żeby jednocześnie wymazał się z twojego procesora, bo inaczej też byłbyś zainfekowany.

– Dlaczego nie użyjemy Lindy Blair albo czegoś w tym rodzaju? – spytał Tom.

– Umieję zaprogramować te wirusy.

– Nie chcemy, żeby twoje oszustwo było takie oczywiste. Załadujesz wirusa na początku walki, a potem pokonasz ją, zanim się z tego otrząśnie. Jeśli zaatakujesz niewłaściwy adres IP, stracisz szansę, więc dopilnuj, żeby rzeczywiście była to Meduza, a nie na przykład Swiętłana. Kiedy uruchomisz wirusa, Meduza wypadnie z gry. Plan B może okazać się skuteczny.

– A może powinniśmy spróbować planu C – powiedział cicho Yuri.

Rosjanin siedział najdalej od Toma, opierając brodę na dłoni i marszcząc brwi.

Chłopiec nie wiedział, co ma na myśli Yuri, lecz Wyatt najwyraźniej się tego domyśliła.

– Nie, Yuri! – oświadczyła stanowczo, zrywając się z krzesła. – Twój plan jest do niczego.

– Nie pozwolę, żeby Thomas poświęcał się dla mnie.

Vik drgnął. Przez moment wpatrywał się w Yuriego, a potem wskazał na niego palcem, wodząc jednocześnie spojrzeniem od Wyatt do Toma.

– Słyszeliście to? Powiedział „Thomas”.

Tom i Wyatt wymienili spojrzenia.

Nie uszło to uwagi Vika.

– Chwileczkę, dlaczego was wcale to nie dziwi? – spytał podejrzliwie. – Czegoś tutaj nie rozumiem.

Tom odwrócił się do Yuriego.

– Jestem twoim dłużnikiem. Nie wydam cię.

– Nie musisz, Tom. Sam się ujawnię. Przyznam się.

– A teraz powiedział „Tom”! Wiem, że to słyszeliście! – wrzasnął Vik.

– Jeśli Ryzerman dowie się, że cię rozkodowałam, uzna, że to ty zdradziłeś,

Yuri – zauważyła Wyatt.

– Ale Thomas będzie bezpieczny.

– W ten sposób narazisz nie tylko siebie – stwierdził Tom, ignorując Vika, który miał taką minę, jakby chciał wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy. – Wyatt też będzie miała kłopoty, bo to przecież ona stworzyła dla ciebie nową zaporę. Mnie dostanie się za to, że zachowałem tę informację w tajemnicy. Ryzerman domyśli się, że właśnie to próbowałem ukryć przed analizatorem pamięci. Tak czy inaczej, zostaniemy oskarżeni o zdradę, Yuri.

– Chwileczkę – zdołał w końcu wtrącić się Vik. – Więc on już nie jest zakodowany?

– Nie – odparła Wyatt, prostując się z dumą. – Ja go odkodowałam.

– Żartujesz? – zachnął się Vik. – Naprawdę to zrobiłaś? Czy ty żyjesz w realnym świecie jak cała reszta? Przecież to poważna sprawa!

Yuri także podniósł się z krzesła.

– Nie jestem szpiegiem, Vikram.

– To nie ma znaczenia, Yuri! Nie rozumiecie tego? – irytował się Hindus. – Wojsko to hierarchia. Nie możecie zlikwidować wojskowych środków bezpieczeństwa tylko dlatego, że uważacie chłopaka za godnego zaufania. Nie wy o tym decydujecie.

Wyatt dumnie uniosła głowę.

– Ale twoim zdaniem możemy pozbawić Wieżę ochrony, bo uważasz swojego przyjaciela za godnego zaufania?

– To co innego. Cała akcja trwała dziesięć minut i nikt się o niej nie dowie. To jest zmiana na stałe. Naprawdę myślisz, że Ryzerman nigdy nie zauważy twojego nowego oprogramowania? -

Odwrócił się do Rosjanina. – Wiem, że nie jesteś szpiegiem. Znam cię, stary. Ale Ryzerman się o tym dowie, a wtedy wszyscy będziemy mieli kłopoty. Wyrzucą nas stąd, może wsadzą do więzienia. Jesteście stuknięci, jeśli myślicie, że nikt tego nie zauważy!

Wyatt uśmiechnęła się pośepnie i podniosła dłoń z klawiaturą.

– Przynajmniej ty nie będziesz o tym pamiętał.

Vik otworzył szeroko oczy. Tom doskoczył do dziewczyny i chwycił ją za rękę.

– Nie rób tego.

W tym samym momencie Yuri stanął za jego plecami, zamknął go w żelaznym uścisku i przycisnął do swojej szerokiej piersi.

– Thomas, nie rób tego – ostrzegł go.

Tom próbował odsunąć od siebie masywne ramię Rosjanina.

– Nie tknę jej, Yuri, ale ona nie może użyć wirusa przeciwko Vikowi. Żaden mózg nie zostanie dzisiaj zainfekowany, jasne? – Yuri zwolnił wreszcie uścisk, a Tom odsunął się, dysząc ciężko. Potoczył po wszystkich wzrokiem i powtórzył: – Jasne?

Wyatt patrzyła na Vika, a Yuri pochylał się nad Tomem, gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji.

– Vik, jeśli Yuri wpadnie, Wyatt i ja wylecimy razem z nim – mówił Tom. – Wiem, że pragniesz zrobić karierę. Wiem, że to dla ciebie wiele znaczy. Ale czy chcesz, żeby troje twoich przyjaciół wpakowało się w kłopoty?

Vik jęknął głucho.

– Nie, Tom, nie chcę, żeby komukolwiek z was coś się stało! Nie chcę w ogóle być w tej sytuacji.

– Wiem. Wiem. Nikt tego nie chce. Ale w życiu trzeba dokonywać paskudnych wyborów, prawda? Więc albo zachowasz to dla siebie i będziesz współwinny, albo wydasz nas wszystkich i będziesz musiał z tym żyć. Co wybierasz?

Vik skrzyżował ręce na piersiach.

– Więc jak? – naciskał Tom.

– Próbuję wymyślić męską wersję Podłej Jędzy.

Tom wiedział już, że Vik ich nie zdradzi. Odwrócił się do Yuriego.

– Nawet jeśli się przyznasz, Ryzerman i tak będzie mnie męczył analizatorem dopóty, dopóki nie stracę rozumu. Możesz być pewien, że tak się właśnie stanie.

– Ryzerman cię nie lubi – stwierdził Yuri.

– To jasne jak słońce, stary. Słuchajcie, rozegramy to tak: Wyatt programuje wirusa, Yuri stara się nie zrobić niczego głupiego, na przykład przyznać się do winy, a Vik wymyśla męski odpowiednik Podłej Jędzy.

– Mam parę pomysłów – burknął Vik.

– A ja muszę pokazać Marshowi i Komisji Obrony, że jestem tym człowiekiem, który może pokonać największego wojownika świata.

Ujęta w ten sposób sprawa wydawała się całkiem prosta.

---

[19](#) Największa bitwa wojny secesyjnej, która toczyła się od 1 do 3 lipca 1863 roku pod miastem Gettysburg w stanie Pensylwania.

[20](#) Klingoni – fikcyjna rasa humanoidalna z serialu Star Trek. Klingoni to wojownicy, którzy słyną z wielkiego męstwa i ochoty do walki, kierują się honorem i chęcią zdobycia sławy.

## Rozdział 31

# SZCZYT

Nigel Harrison nie był głupi. W dniu rozpoczęcia szczytu domyślił się wszystkiego, kiedy Tom i Elliot wsiedli razem z nim do samochodu.

– Och, cudownie. – Jego delikatna twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia. – Rozumiem, że jestem tutaj tylko symbolicznym zastępcą.

– Tom zajmie twoje miejsce, jeśli nie będziesz umiał pokonać Meduzy – odrzekł Elliot. – Jest bardzo dobry jak na kadeta.

– Ale nadal jest tylko kadetem.

– Generał Marsh pozwolił mi na próbę sterować jednym z okrętów na orbicie i świetnie sobie z tym poradził. Tom ma wrodzony talent.

– Nie wiem, czy dobrze to wszystko zrozumiałem. Dopiero pierwszy rok uczy się taktyki, nawet nie liznął astrofizyki, nie brał udziału w pozorowanych bitwach i to właśnie on ma walczyć na szczycie?

– To nie będzie bitwa, Nigelu, raczej coś w rodzaju gry. A jeśli ktokolwiek z nas mają wygrać, to właśnie on. Widziałeś ostatnio jego rekordy w salonie gier?

Nigel parsknął drwiąco.

– Mówisz o rekordach, które wszyscy za niego ustalamy? Nie robi to na mnie wrażenia.

Elliot pokręcił głową.

– Nie podoba mi się twoje podejście, Nigelu.

Tom nie wtrącał się do ich rozmowy, choć czuł coraz większe zdenerwowanie. Elliot był co prawda rozczarowany tym, że musi mieć zastępcę, jednak cieszył się, że będzie nim jeden z jego kadetów. Obserwował nawet, jak Tom próbował sterować okrętem – rzeczywiście w dużej mierze przypominało to symulacje stosowane – a potem stwierdził, że świetnie mu poszło. Ale Elliot taki już był. Pochwaliliby go zapewne nawet wtedy, gdyby Tom rozbił swój statek o Księżyc.

– Co to będzie za gra? – spytał Tom, spoglądając przez okno samochodu.

– Kadet – mruknął Nigel z rozgoryczeniem.

Elliot zignorował jego uwagę.

– To zmienia się z roku na rok, Tom. Pokaz, który odbywa się podczas szczytu, nie jest prawdziwą bitwą. To raczej rozrywka dla znudzonych członków Koalicji i szerokiej publiczności. Prawdopodobnie będziecie rywalizowali z Meduzą o jakiś drobiazg. Jedyną stawką jest prestiż.

– Więc jeśli przegram, skompromituję swój kraj – podsumował Tom.

Nigel uśmiechnął się paskudnie.

– Otóż to. Ale nie ma się czym przejmować.

– Rzeczywiście, nie ma. – Elliot pochylił się do Toma i położył mu dłoń na ramieniu. – Nie traktuj tego w taki sposób, Tom. Nikt nie spodziewa się, że w tym roku wygra Indo-Ameryka.

– Rozumiem, to bardzo pocieszające – mruknął Tom.

– Cóż, chciałem, żeby tak właśnie zabrzmiało. Jeśli uda się któremuś z was... – Elliot skinął głową na Nigela, lecz ten przewrócił tylko oczami, świadom, że jest to jedynie pusty gest – ...pokonać Meduzę, będzie to naprawdę ogromna niespodzianka. Wszyscy wiemy, że Meduza jest kimś lepszym od nas. Koalicja też o tym wie. Nie pozwól więc, żeby zjadły cię nerwy. Jeśli przegrasz, nie będzie to koniec świata.

Najwidoczniej Elliot nie znał szczegółów. Dla Toma rzeczywiście byłby to koniec świata.

Gdyby przegrał, straciłby wszystko. Miejsce w Wieży, procesor neuronowy, przyjaciół, przyszłość. Wszystko.

W pobliżu Kapitolu Elliot przesiadł się z ich samochodu do limuzyny, żeby przygotować się do publicznych wystąpień w towarzystwie polityków i dyrektorów Balliharton.

Tom i Nigel siedzieli w krępującym milczeniu, podczas gdy ich auto zmierzało do celu podróży. Jechali do tego samego miejsca co Elliot, tyle że robili to w znacznie dyskretniejszy sposób. Ich tożsamość i adresy IP nie trafiły do publicznej wiadomości. Dopóki pozostawali tajemnicą państwową, mogli zastępować Elliota, nie narażając Indo-Ameryki na kolejną kompromitację związaną z ujawnieniem tajnych danych.

Nigel niemal przez całą drogę przypatrywał się gniewnie Tomowi.

– Posłuchaj, to nie był mój pomysł – powiedział w końcu Tom. – Nie chciałem ukraść ci tej chwili chwały.

– Nie odzywaj się do mnie, Raines. Nic nie może tego naprawić.

– W porządku. – Tom nie próbował już więcej z nim rozmawiać.

Samochód zatrzymał się przy jednym z budynków Senatu. Generał Marsh czekał na nich w holu.



– Dobrze, że jesteście. Chodźcie ze mną – powiedział, kierując się ku windom.

Weszli do tej przeznaczony tylko dla senatorów i zjechali do podziemi. Potem przesiedli się do niewielkiej podziemnej kolejki, która miała ich zawieźć do tajnego wejścia na Kapitol.

Przez chwilę wszyscy trzej siedzieli w ciszy przerywanej jedynie stukotem kół. Stary generał spojrzął na Toma i spytał:

– Jesteście gotowi?

Nigel wykrzywił twarz w charakterystycznym grymasie. Była to jego jedyna odpowiedź, bo dobrze wiedział, że pytanie nie zostało skierowane do niego.

– Tak jest. Jestem gotowy – odrzekł Tom dziarskim głosem, który skrywał narastający w nim strach.

Gdy dojechali na miejsce, Marsh poprowadził ich na niższy poziom Kapitolu, do pomieszczenia ukrytego pod rotundą. W pokoju znajdowały się jedynie dwa krzesła, a jedna ze ścian pełniła funkcję ekranu ukazującego obszerną salę pośrodku Kapitolu.

Tom wpatrywał się przez chwilę w ekran. Rotunda była naprawdę olbrzymia; zdobiły ją liczne rzeźby i obrazy przedstawiające

twórców i sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości oraz ważne momenty w historii USA, których procesor neuronowy Toma nie potrafił zidentyfikować.

Salę wypełniał tłum gości usadzonych na krzesłach otaczających coś w rodzaju ringu w kształcie pierścienia, na którym mieli zająć miejsca Elliot i Swietłana. Okrągły ekran umieszczony nad ringiem miał pokazywać ich kosmiczne starcie.

– Wy dwaj zostaniecie w tym pokoju. Tutaj jest port neuronowy. – Marsh wskazał palcem na zagłębienie w ścianie. – Za chwilę przekażę wam plany satelity. To bardzo stare i delikatne urządzenie z końca dwudziestego wieku. W tym roku rywalizację wygra ten zawodnik, który bez użycia broni przechwyci satelitę i umieści go na trawniku przed Instytutem Smithsona. Najpierw zaloguje się Ramirez, a kiedy dotrze do górnej warstwy atmosfery, statek przejmie pan Harrison. Będziesz miał dwie minuty, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie. Potem stery przejmie Tom.

Nigel wykrzywił usta.

– Cudownie. Dwie minuty na pokonanie kogoś, kto jeszcze nigdy nie przegrał. Cóż za fantastyczna okazja. I wcale nie chodzi tutaj o to, żeby mnie wyeliminować, ależ skąd.

Marsh zmarszczył brwi.

– Słucham, młody człowieku?

– Nic takiego, panie generale.

Marsh zmrużył oczy, po czym odwrócił się do ekranu i zaczął wymieniać nazwiska uczestników szczytu, mężczyzn i kobiet w ubraniach, z których każde warte było więcej niż roczna pensja przeciętnego Amerykanina.

– Spójrzcie. To najpotężniejsi ludzie na świecie. – Podniósł rękę i wskazywał grubym palcem na poszczególne postacie. – Znacie prezydenta Richtera i wiceprezydenta Milgrama. Za nimi stoi sekretarz stanu. O, a to przedstawiciele Koalicji, ruso-chińskiej grupy: Lexicon Mobile, Huangwey, LM Lymer Fleet, China Portable i Rosaleft. Pośrodku dwie wielkie niewiadome: Horizon West i Smithson. Nie mamy pojęcia, którą stronę będą wspierać w tym roku, Indo-Amerykę czy Ruso-Chiny. Tam, trochę dalej, mamy sprzymierzeńców Indo-Ameryki w Koalicji, naszych najpotężniejszych graczy: Balliharton, Diesword, Wyndham Harks, DP i...

– Montando – dokończył za niego Tom.

Kadet czuł, jak wzbiera w nim fala nienawiści wywołana samym widokiem wysokiego, zarozumiałego mężczyzny przechadzającego się po sali. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że choć w rotundzie zebrali się najpotężniejsi ludzie na świecie, Roderick patrzył na nich tak, jakby byli jego własnością.

– Brawo, synu. – Marsh pokiwał głową. – Znasz swoich przyjaciół z Koalicji.

Nie, Tom znał swoich wrogów. Wiedział też, że Roderick jest do niego nastawiony bardziej wrogo niż ktokolwiek z Rosji lub Chin. Ta świadomość tylko umacniała w nim przekonanie, że musi wygrać. Musi. Żeby utrzyć nosa Roderickowi.

– I oczywiście – kontynuował Marsh – jeden z naszych niespodziewanych gości.

Tom spojrzał na Afrykanina o imponującej posturze, który wszedł właśnie do sali w otoczeniu swoich podwładnych i ochroniarzy.

– To Mwarmbe Mazaul zwany Cyceronem – oświadczył generał Marsh, krzywiąc się z niesmakiem.

– Cyceron. Przewodniczący Unii Afrykańskiej, tak? – Tom przypomniał sobie wielką awanturę z zeszłego roku, gdy kraje afrykańskie zerwały sojusz z Indo-Ameryką lub Ruso-Chinami i stworzyły własną unię.

Marsh zacisnął mocno usta.

– „Przewodniczący” to tylko umowne określenie. Przez kilkadziesiąt lat był zwykłym wieśniakiem, który nie umiał czytać ani pisać, potem w wyniku wypadku zapadł w śpiączkę i po dziesięciu latach wegetacji – kiedy to przy życiu utrzymywały go zachodni sprzęt i zachodnie korporacje – wybudził się, przyjął imię Cyceron i oświadczył, że ma wizję zjednoczenia Afryki

i wprowadzenia komunizmu na tym kontynencie.

– Komunizmu?

– Może nie oficjalnie – przyznał Marsh – ale tak to można nazwać. Opowiada bzdury o „afrykańskich zasobach dla Afryki”, jakby kiedykolwiek byli w stanie uzyskać dostęp do tych zasobów bez pomocy LM Lymer Fleet i DP. Przejęli nawet – nielegalnie, oczywiście – miejscowe zasoby wody i ziemię uprawną. Nie mają za grosz szacunku dla własności prywatnej. Ja nazywam coś takiego komunizmem.

Tom spojrział z zaciekawieniem na afrykańskiego przywódcę. Neil zapewne byłby nim zachwycony.

– Chyba nie pamiętają, co wydarzyło się ostatnim razem, gdy kilka krajów próbowało przeciwstawić się Koalicji – zauważył Marsh. – Niektórzy nie potrafią wyciągać nauki z historii.

Wkrótce generał ich opuścił, by dołączyć do pozostałych uczestników szczytu. Przed wyjściem polecił im, by zwracali uwagę na to, co dzieje się w rotundzie, i podłączyli się do sieci, gdy tylko rozpocznie się pojedynek. Tom siedział obok Nigela w pustym pokoju i obserwował gości. W pewnym momencie afrykański przywódca podniósł wzrok na ukrytą kamerę, która przekazywała obraz z sali.

Tom miał wrażenie, że mężczyzna patrzy prosto na niego i uśmiecha się znacząco. Niemal podskoczył na krześle, przeszyty niesamowitym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Oni nas nie widzą, prawda? – spytał Nigela, choć wiedział, że to idiotyczne pytanie.

– Oczywiście, że nie. Naprawdę jesteś aż tak głupi?

Nigel wsunął wtyczkę swojego kabla do gniazdka w ścianie, przebierając niecierpliwie nogami.

Tom patrzył przez chwilę na chłopca, na jego obrażoną minę i ponure wejrzenie.

– Posłuchaj, może trudno ci w to uwierzyć, ale ja potrzebuję tego zwycięstwa znacznie bardziej niż ty.

– Naprawdę? – Nigel podniósł wzrok na Toma. – Więc i tobie drugi raz odebrano szansę na wejście do Kompanii Camelotu?

Tom nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał nadzieję, że Nigel nie będzie się opierał, gdy przejmie od niego kontrolę nad statkiem. Chłopiec był drobny i słaby, ale Tom nie miał wcale ochoty wdawać się z nim w bójkę.

Oczywiście zrobi to w razie potrzeby, wołałby jednak uniknąć takiego rozwiązania.

Nigel wyprostował się i odwrócił do ekranu. Tom również spojrzął w tamtą stronę. Ostatni uczestnicy szczytu zajmowali miejsca, w sali zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem, który wypełniał teraz pokój Nigela i Toma, było ciche brzęczenie głośników. Elliot i wysoka jasnowłosa Rosjanka Swietłana Moriakowa podeszli do siebie i uścisnęli sobie dłonie. Potem przeszli do swoich stanowisk wyposażonych w panele sterownicze, a nawet drążki, dzięki czemu mogli samodzielnie wysłać statki w kosmos, a następnie udawać, że to oni kontrolują ich lot. Publiczność nie wiedziała o istnieniu procesorów neuronowych. Bezruch prawdziwych wojowników kosmicznych z pewnością nie wydałby się nikomu szczególnie ekscytujący.

Tom poczuł, jak jego serce bije coraz szybciej. Od rozpoczęcia pojedynku dzieliło ich już tylko kilka minut.

Odwrócił się do Nigela i zobaczył, że jego towarzysz nie podłączył się jednak do sieci. Ciemnowłosego chłopiec trzymał w dłoni kabel i patrzył na Toma.

– Raines, nie ma sensu, żebym włączał się na te dwie minuty. Wchodź od samego początku.

Tom zamrugł oczami, zaskoczony i zdezorientowany. Chodziło tylko o dwie minuty, ale on czuł się tak, jakby kazano mu natychmiast wkroczyć do akcji, do której nie był jeszcze przygotowany.

– Poważnie?

– Poważnie. – Na twarzy Nigela malowała się rezygnacja. – Wiesz, dlaczego Marsh chciał wypuścić najpierw mnie? Bo gdybyś przegrał, mógłby powiedzieć, że postępował zgodnie z procedurą i dał mi szansę, a ja sobie nie poradziłem. – Wykrzywił usta w

pogardliwym grymasie. – To tchórz. Powinien od razu wyznaczyć ciebie, jeśli tego właśnie chce.

Tom musiał się z nim zgodzić: Marsh rzeczywiście był tchórzem. Przekroczył swoje kompetencje, by wciągnąć go do programu, ale teraz był gotów przyznać się do tego tylko wtedy, gdy Tom dokona cudu i pokona Meduzę. Na samą myśl o takiej podłości ogarniał chłopca gniew.

Nie zamierzał dłużej przejmować się „związanymi rękami” Marsha. Ten człowiek był po prostu tchórzliwym asekurantem. Chciał pokonać Meduzę, ale jeśli mu się to nie uda, to i tak nie pozwoli, żeby Marsh od wszystkiego się wymigał i stwierdził, że nic nie wie o wprowadzeniu „obłąkanego” kadeta do Wieży. Wziął kabel od Nigela, sięgnął do gniazdka – i kątem oka dojrzał złośliwy uśmiech na twarzy chłopca i klawiaturę wysuniętą spod jego rękawa.

– Hej... – zdążył tylko powiedzieć, nim w jego umyśle pojawił się napis: Sesja

wygasła. Włączono tryb bezruchu.

Nagle Tom stracił czucie w nogach, kabel wysunął się z jego odrętwiałej dłoni. Opadł bezwładnie na ziemię, jak podczas ćwiczeń fizycznych.

Nigel podszedł do niego i podniósł kabel.

– Naprawdę myślałeś, Raines, że będę siedział z boku i patrzył, jak robisz z siebie bohatera? Naprawdę w to uwierzyłeś?

Zszokowany Tom podniósł na niego wzrok. Próbował unieść się na rękach, wstać z podłogi, lecz program mu na to nie pozwalał.

– Prawdę mówiąc, tak.

– To grubo się myliłeś! – wrzasnął piskliwie Nigel i odwrócił się do ekranu. – Myślałem, że wystarczy ujawnić nazwiska członków

KomCa i sprawa będzie załatwiona. Marsh musiałby wtedy postawić na mnie. Nie miał wyboru, bo wszyscy znali ich adresy sieciowe. Tom otworzył szerzej oczy.

– To byłeś ty.

Nigel uśmiechnął się paskudnie.

– Owszem, ale sam pomysł podsunął mi nasz wspólny przyjaciel. Kiedy jeszcze współpracowałeś z Montando, Roderick Cohagen zaproponował, że będą mnie sponsorowali, jeśli tylko to zrobię. Pewnie zakładali, że szybko pójdziesz w górę, gdy zostaniesz zastępcą Elliota. Znali nazwiska, które mogli ujawnić, ale nie adresy IR. Tak więc poprosili mnie, żebym zajął się resztą. Ale kiedy zniszczyłeś klub, Roderick powiedział mi, że umowa jest nieważna. Tyle że ja już wcześniej postanowiłem, tak czy inaczej, wydać całą Kompanię Camelotu.

Tom spojrzął z rozpaczą na obraz przekazywany z rotundy, gdzie rozluźniona i uśmiechnięta Swietłana – zastępowana w ukryciu przez Meduzę – udawała, że steruje statkiem, podczas gdy zlany potem Elliot po raz pierwszy w historii szczytów walczył naprawdę, zdany wyłącznie na własne siły. Szarpał gwałtownie drążkiem, zmierzając najkrótszą trasą ku satelicie. Jego działania cechowały ogromna determinacja i całkowity brak wyobraźni.

Meduza nie musiała się szczególnie wysilać, by sobie z nim poradzić. Przy użyciu silników swojej maszyny przerzucała kosmiczne śmieci w stronę Elliota, spychając go z kursu. Czasami po prostu się z nim bawiła, zupełnie ignorując satelitę. Zakrecała gwałtownie i pędziła prosto na statek Amerykanina, a kiedy ten wpadał w panikę i uciekał gwałtownie ze ścieżki, odlatywała na

bok. Potem czekała spokojnie, aż Elliot podejmie kolejną próbę przejęcia satelity, jakby traktowała ten pojedynek jak zabawę. Zachowywała się niczym kot dręczący mysz, którą zamierza za moment pożreć. Koniec był już bliski.

Obie strony dobrze wiedziały, kto zostanie zwycięzcą.

– Nigel, nie możesz ufać Roderickowi. Jeśli ktokolwiek dowie się, że to ty byłeś źródłem przecieku, natychmiast wylecisz z Wieży! Montando nie będzie cię sponsorować, co najwyżej zrobi z ciebie kozła ofiarnego! Prawdopodobnie planowali to od samego początku.

Nigel odwrócił się do Toma i zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

– Nadal nie rozumiesz, Raines? Ja wcale nie ufam Montando. Oczywiście, że im nie ufam. Nie jestem głupi. Ale to ja miałem wejść do Kompanii Camelotu. Wiedziałem, że jeśli ujawnię nazwiska i adresy sieciowe członków KomCa, wkrótce awansuję. Gdyby Montando też tego chciała i postanowiła mnie sponsorować, z pewnością nie miałbym nic przeciwko – ale i tak dopiąłbym swego. Tyle że i tym razem zostałem wykiwany, bo Marsh wybrał ciebie – więc to jest moja szansa. Dziś. Potem wojskowi nie będą mieli innego wyjścia, jak dopuścić mnie do walki.

Tom spojrzał niepewnie na Nigela, później na rotundę. Ogarnęły go złe przeczucia.

– Co planujesz?

Nigel odwrócił się do ekranu i uśmiechnął triumfalnie.

– Mam pod kontrolą statek kosmiczny, Raines. A chyba nie zaprzeczysz, że Wieża to bardzo łatwy cel.

Tom wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Nigel nie mógł mówić poważnie. Na pewno nie zamierzał użyć indo-amerykańskiego statku do ataku na Wieżę Pentagonu.

– Ci z Pentagonu nawet się nie zorientują, że ktoś ich atakuje. Pomyślą co najwyżej, że ja... – chłopiec uśmiechnął się drwiąco do Toma – ...pomyślą, że ty wykonujesz jakiś dziwny manewr. Właśnie coś takiego może się zdarzyć, kiedy oddasz stery kadetowi. I to kadetowi, którego wszyscy uważają za szaleńca. – Nigel pokręcił głową. – Już to słyszę: „Co ten Marsh sobie myślał? Trafi za to przed sąd wojskowy. Na pewno”.

– Na tym statku nie ma żadnych pocisków, pamiętasz o tym?

– Nie będę używał pocisków. Wlecę nim w budynek. Bum. Ogromna eksplozja, przy samej podstawie. Jeśli nie zabije wszystkich, którzy będą wtedy w Wieży, to na pewno większość z nich.

Dreszcz przerażenia przebiegł Tomowi po plecach. To było możliwe.

– Nie ujdzie ci to na sucho.

– Ależ ujdzie, Tom. – Nigel przyklęknął poza zasięgiem jego rąk i uśmiechnął się szyderczo. – Pamiętasz, jak Ryzerman umieścił w twojej pamięci

wspomnienie skorpiona? Pomyślałem, że to może być przydatne, więc też nauczyłem się tworzyć wspomnienia i przesyłać je do ludzkich umysłów.

Podobny zabieg wymagał programowania na tak zaawansowanym poziomie, że Tom początkowo mu nie uwierzył. Ryzerman powiedział, że tylko dwoje elewów w całej Wieży potrafi programować w języku Klondike...

Och.

Oczywiście. Dwoje elewów.

Nigel był zapewne tym drugim.

– Gdy tylko Wieża stanie w ogniu – kontynuował chłopiec – zapiszę w naszych głowach nowe wspomnienia. Ty będziesz pamiętał, że zniszczyłeś Wieżę ze względu na analizator, a ja zapamiętam, jak próbowałem cię przed tym powstrzymać. Opinia publiczna będzie winić Elliota, wojskowi – ciebie, a ja zostanę jedynym pozytywnym bohaterem tej historii. Wówczas będę też jedynym pozostałym przy życiu kosmicznym wojownikiem, więc tak czy inaczej zostanę członkiem KomCa. Ba, nawet nie będę miał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia: czyż to nie piękne?

Tom kręcił głową z niedowierzaniem. Nigel był urodzonym intrygantem, diabłem w ludzkiej skórze – jak to możliwe, że nie przyjęto go do Kompanii Camelotu?

– Tak, masz rację, Raines. Jestem znacznie sprytniejszy od ciebie.

– Nigel, chwileczkę, poczekaj!

Ciemnowłosego chłopiec rzucił mu ostatnie szydercze spojrzenie i połączył się z siecią.

Tom obserwował jego poczynania z bezsilną złością, wściekły na swoje bezwładne nogi i tułów, które nie pozwalały mu ruszyć się z miejsca. Ogarnięty frustracją, walił pięściami w ścianę. Wodził spojrzeniem od twarzy Nigela do ekranu zawieszzonego nad ringiem pośrodku rotundy. Uchwycił moment, w którym Elliot stracił kontrolę nad statkiem – Latynos uśmiechnął się nieoczekiwanie i wyraźnie rozluźnił, a na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Nie miał

pojęcia, jak bardzo się mylił. Nie wiedział, że jego zastępca wcale nie okaże się wybawieniem, lecz zwiastunem zagłady.

Tom patrzył, jak statek Nigela obraca się w górnych warstwach atmosfery i oddala od Meduzy. Niczego nieświadomy obserwator mógł przypuszczać, że to element jakiegoś przebiegłego planu lub ewolucja wykonana pod publikę, widowiskowy manewr, dzięki któremu okręt w zetknięciu z atmosferą okrył się warstwą płomieni. W sali dało się nawet słyszeć kilka pełnych podziwu

pomruków, gdy statek zmierzał prosto ku Ziemi.

Nagle Tom uświadomił sobie z przerażeniem, że Nigel przebił się już przez górne warstwy atmosfery i pędzi z oszałamiającą prędkością w stronę Arlington. Gdy pochylił niżej dziób maszyny, wszyscy mogli zobaczyć światła Waszyngtonu, a potem odległą sylwetkę Wieży.

Nigel naprawdę zamierzał to zrobić. Nikt nie wiedział, że ten statek stanowi zagrożenie. Nikt nie przypuszczał, że należy go powstrzymać. Nigel chciał zniszczyć Wieżę, a wraz z nią wszystko, co drogie Tomowi.

Musiał więc wykorzystać jedyną broń, jaka mu jeszcze została.

Wirus reklamowy, który napisała dla niego Wyatt.

Zamknął oczy, a przez jego umysł popłynął strumień zer i jedynek.

Tak. Właśnie to.

Wirus zmierzał do celu niczym bomba wodorowa wypuszczona z komory samolotu.

Ogarnęło go przyjemne poczucie lekkości, gdy zainfekowany program opuścił jego procesor i uderzył prosto w Nigela.

Chłopiec wystrzelił z fotela jak podrzucony sprężyną.

– Twój komputer został zainfekowany – przeczytał głośno napis, który pojawił się w jego głowie. – Kliknij tutaj, by załadować program antywirusowy do swojego komputera osobistego... Ja nie jestem komputerem! Nie potrzebuję...

– Przerwał na moment, by potem przeczytać dziwnie odmienionym głosem: – Gwarantowana wygrana. Kliknij tutaj, by poznać szczegóły. – Drżącymi rękami wyrwał z gniazdka kabel neuronowy, lecz to nie powstrzymało nawałnicy reklam. – Poznaj sekret szybkiego spalania tłuszczu... Raines, co to jest?

– Sekret szybkiego spalania tłuszczu, o ile się nie myłę.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! – Nigel znów sposepniał, zapatrzony w coś, co pojawiło się w jego głowie. Kiedy przemówił ponownie, jego głos wydawał się grubszy niż zazwyczaj: – Zostań tajemniczym klientem... Zarabiaj na swoich opiniach... Dowiedz się, kto szuka informacji na twój temat... Gratulacje, wygrałeś bezpłatnie... Zabij muchę i wygraj sto... Zarabiaj w domu...

Mówił z coraz większym trudem, zwalniał niczym pociąg hamujący przed wjazdem na dworzec. Wsunął swe szczupłe palce we włosy i ciągnął za nie, jakby chciał w ten sposób wyrwać reklamy, które wirus Wyatt rozpakowywał w jego głowie. Tymczasem na ekranie było widać pozbawiony kontroli statek Nigela, który leciał prosto na Wieżę.

– Cooooo tooooo jeeeeeee... – Nigel ruszył powoli w stronę Toma, jakby brodził w gęstym bagnie. Pochylił się nad nim i wyciągnął rękę niczym postać



z filmu odtwarzanego w zwolnionym tempie. – Raaaaaaineee...

Tom uderzył go z całej siły.

Nigel poleciał do tyłu, uderzył głową o krawędź krzesła, osunął się bezwładnie na ziemię i znieruchomiał.

Paraliż opuścił Toma, gdy tylko Anglik stracił świadomość. Chłopiec zerwał się na równe nogi, wyrwał kabel neuronowy z dłoni Nigela i wsunął wtyczkę w pień swojego mózgu.

Znalazł się w programie. Umysł Toma został wciągnięty prosto do systemu nawigacji okrętu Nigela, zmysły połączyły się z czujnikami maszyny, a parametry komputera zmagaly się z ludzką częścią mózgu chłopca. Zmusił swą świadomość, by przeniknęła jeszcze głębiej do wnętrza urządzenia, scalała się z systemem zarządzania. Tom znalazł się pośród morza komend i strumieni kodów, świadom jednocześnie, że statek widoczny na ekranie w rotundzie wciąż zmierza ku ziemi. Miotał się przez moment między okrętem a swoim organicznym ciałem, gdzie w jego sercu narastało paraliżujące przerażenie. Jeszcze przez ułamek sekundy widział poruszenie w rotundzie i zszokowaną twarz Elliota, jego oczy wbite w maszynę, która nieuchronnie, zdawałoby się, dążyła do zderzenia z Wieżą.

I wtedy Tom gwałtownie zawrócił, wyrwał okręt ze śmiertelnego nurkowania i skierował go ponownie ku wyższym warstwom atmosfery. Błękit nieba zmienił się w nieprzeniknioną czerń. Przebiegł go dreszcz podniecenia, gdy po chwili ujrzał pod sobą Ziemię, a dokoła pojawiły się miriady gwiazd.

Meduza zdążyła przechwycić satelitę, o którego mieli walczyć. Tom obejrzał przez czujniki termiczne jej statek w kształcie olbrzymiego sierpa i ucieszył się w duchu, że nie ma już wirusa, który

miał mu ułatwić łatwe i nieuczciwe zwycięstwo.

Właśnie tak chciał z nią walczyć. Ze swoją tak jakby dziewczyną, ze swoim wrogiem numer jeden. Jak wojownik z wojownikiem. To miał być honorowy pojedynek, bitwa prawdziwych wojowników.

Musieli zrobić to w prawdziwie klingońskim stylu.

## Rozdział 32

# PIĘTA ACHILLESOWA

Tom natychmiast przystąpił do działania i ruszył z pełną mocą silników prosto na satelitę niczym pilot kamikadze. Satelita spoczywał w chwytaku ruso-chińskiego okrętu. Gdyby Meduza z nim odleciała, pojedynek dobiegłby końca. Gdyby natomiast Tom go zniszczył – a przy okazji i siebie – przegraliby oboje.

W ostatniej chwili Meduza odsunęła się na bok, by uniknąć zderzenia.

Przesłała wiadomość prosto do jego procesora neuronowego: „Chcesz to teraz zamienić w grę o sumie zerowej?”<sup>21</sup>.

„Co to jest gra o sumie zerowej?” – odpowiedział.

„Jesteś idiotą?”.

„Jasne. I wariatem”.

„To ty. Powinnam była się domyślić”.

„Dlaczego?”.

„Nikt inny nie ryzykowałby zniszczenia tego satelity”. Meduza pokiwała lekko statkiem. Tom był pewien, że jest rozbawiona. „Nikt oprócz ciebie. I mnie”.

Potem jednym gwałtownym ruchem swojego okrętu rzuciła satelitą prosto w niego. Tom w porę wykonał unik, który uchronił go przed całkowitą porażką, jaką byłaby z pewnością utrata statku i satelity. Szybko przyjął odpowiednią pozycję, gdy Meduza przesunęła się za niego i zawisała na tle czarnego nieba jak drapieżnik szykujący się do ataku.

„Kim byli ci idioci, którzy pilotowali statek przed tobą?” – spytała.

Tom połączył się z amerykańskimi satelitami, szukając tego, o którego mieli walczyć.

„To długa historia”.

„Przygotuj się na tragiczne zakończenie”.

Nagle czujniki termiczne Toma wykryły obecność wielkiej masy stali pędzącej w jego stronę – Meduza odwróciła swój okręt i za pomocą silników popchnęła kosmiczny złom. Tym razem Tom nie zdążył uciec. Metalowy pocisk uderzył w jego statek i zakołysał nim, a chłopiec był zmuszony wykonać jeszcze jeden gwałtowny unik, by umknąć następnej porcji kosmicznych śmieci pędzących

w jego kierunku. Meduza przeleciała tuż obok i obróciła się tak, by dosięgnąć go ogniem buchającym z jej silników. Tom odsunął się i ją przepuścił.

Próbował obrócić się w miejscu i wymknąć z pola obserwacji jej czujników, lecz Meduza znów gwałtownie zmieniła kurs. Procesor neuronowy chłopca ściągnął dane o indo-amerykańskich satelitach

i znalazł w pobliżu stary teleskop, którym mógł zaatakować Meduzę. Kiedy jednak próbował pchnąć ją w tamtą stronę za pomocą siły odrzutu własnych silników, Meduza sprytnie uniknęła pułapki, opadając ku górnym warstwom atmosfery i odpychając swój statek na bok przy użyciu siły grawitacji. Niewiele brakowało, a Tom sam wpadłby w satelitę, którym chciał zniszczyć swą przeciwniczkę.

Czuł, jak w jego prawdziwym ciele serce łomocze mu ze strachu. Ruso-chińska mapa satelitów musiała być znacznie pełniejsza i dokładniejsza niż indo-amerykańska. Wydawało się, że Meduza zna wszystkie kosmiczne śmieci z tej okolicy, wie, gdzie je znaleźć, jak wmanewrować w nie przeciwnika, a zarazem nie wplątać się sama.

Chłopiec był świadom, że prawdziwy Tom zgrzyta zębami w bezsilnej złości. Oddałby teraz wszystko, by zyskać dostęp do ruso-chińskich satelitów i zobaczyć to, co widziała Meduza.

Nagle uświadomił sobie, że może uzyskać ten dostęp.

Może powinien pozwolić sobie na jedno małe oszustwo.

Kiedy oboje odsunęli się od starego satelity, którego próbowali przejąć, Tom postanowił zaryzykować. Nie miał już wirusa, który dała mu Wyatt, skoncentrował się jednak na swoim procesorze neuronowym. Potrafił połączyć się w przedziwny sposób z internetem i maszynami, uznał więc, że czas wykorzystać tę umiejętność. Odszukał połączenie procesora z siecią i pozwolił, by jego umysł działał dalej sam. Impulsy elektryczne połączyły się z sygnałami mózgu, sygnałami procesora. Opuścił swoje ciało. Zarówno jego własny organizm, jak i statek, którym sterował, oddalały się od niego, gdy przedzierał się gorączkowo przez internet,

szukając podsystemu ruso-chińskich satelitów.

Widział je, kiedy połączył się z siecią – maszyny na orbicie okołoziemskiej wymieniające sygnały, przesyłające strumienie danych.

Jego świadomość przeniosła się do najbliższego z nich – starego, zdezelowanego urządzenia z prymitywnymi czujnikami termicznymi. Nie dostrzegł Meduzy, nie umiał się też odnaleźć w przestrzeni, przeskoczył więc do następnego.

I wtedy to się stało.

Umysł Toma wniknął w satelitę – a właściwie próbował to zrobić – i napotkał inną świadomość sięgającą po to samo. Inną grupę impulsów neuronowych wędrujących przez kosmos, unoszących się poza fizycznym ciałem.

Tom wrócił natychmiast do swojego statku i wpatrywał się w okręt Meduzy, głęboko wstrząśnięty. Miał dziwne i niepokojące przeczucie, że Meduza czuje w tej chwili to samo.

„Jesteś taki jak ja” – przesłała mu w końcu wiadomość.

Tom nie mógł przez moment pozbierać myśli, oszołomiony, jakby w jego mózgu doszło do krótkiego spięcia.

„Jesteśmy tacy sami” – odpowiedział wreszcie.

Wszystko ułożyło się w całość.

Dlatego Meduza była taka dobra. Miała dostęp do satelitów. Mogła wejść do indo-amerykańskich systemów, tak jak wchodziła do ruso-chińskich. Mogła przenikać do maszyn tak, jak robił to on. Przewidywała ruchy przeciwników, bo widziała rzeczy niewidoczne dla innych. Mogła nawet łączyć się ze statkami wokół siebie, podłączonymi do internetu, choć niepołączonymi z jej mózgiem, bo była taka sama jak Tom. Posiadała tę samą umiejętność.

Zelektryzowana tym odkryciem Meduza zaczęła bombardować go gradem kosmicznych odpadków, ignorując całkowicie samego satelitę – jakby uświadomiła sobie, że Tom jest znacznie groźniejszy, niż kiedykolwiek przypuszczała. Chłopiec unikał pocisków – starych satelitów, skalnych odłamków – z dużo większą łatwością niż dotychczas, korzystał bowiem z tego samego systemu co ona, jego procesor neuronowy przejmował bezpośrednio informacje przekazywane zarówno przez satelity ruso-chińskie, jak i indo-amerykańskie.

Meduza nagle zwolniła, spychając go w stronę wielkiej granitowej skały, która krążyła po orbicie okołoziemskiej. Tom wykonał gwałtowny manewr, który pozwolił mu uniknąć zderzenia z głazem, ale wprowadził statek w niekontrolowany ruch obrotowy. Tuż potem jego czujniki natrafiły na coś innego – satelitę. Tego samego, którego mieli zabrać ze sobą na Ziemię i który właśnie zbliżał się do Toma. Przelatując obok starego urządzenia, chłopiec wysunął chwytaki i zabrał je ze sobą prosto ku olbrzymiej kuli Ziemi.

Meduza ruszyła za nim, gdy zaczął przebijać się przez atmosferę planety. Ogień okrył osłony ciepłochronne wokół jego statku i satelity. Tom przyspieszył na tyle, na ile tylko się odważył, wiedząc, że jeśli polecą zbyt szybko, spali wszystko na popiół.

Meduza stała się niebezpieczna, naprawdę niebezpieczna. Próbowwała zrobić to samo co Tom w czasie, gdy to ona trzymała satelitę. Rzuciła się w jego stronę i chłopiec zrozumiał, że będzie

musiał uczynić wszystko, by nie dopuścić do ich wzajemnej zagłady. Pędziła prosto na niego, dążąc do zderzenia. Tom pchnął statek w dół, aby uniknąć katastrofy, natychmiast jednak się przekonał, że leci za szybko, o czym poinformowały go czujniki przeciążenia termicznego. Zwolnił, lecz musiał zboczyć z kursu i znalazł się daleko od Waszyngtonu. Siła ciężenia spychała go prosto w potężne chmury burzowe.

Meduza przerwała pościg, gdy Tom znalazł się w samym środku burzy. Otoczyły go czarne chmury, dokoła biły pioruny. Turbulencje rzucały jego statkiem na wszystkie strony. Ustalił nowy kurs, unikając błyskawic, które mogłyby od razu zakończyć ten pojedynek, po czym spróbował ponownie przeniknąć do ruso-chińskich satelitów.

Meduza już tam na niego czekała. Uderzyła jak błyskawica, której tak się obawiał, wypchnęła go z systemu satelitów i wrzuciła prosto w chaos światowej sieci. Tom stracił na moment orientację, podczas gdy Meduza ciągnęła go przez internet nieznaną ścieżką.

Nagle wyczuł nowe połączenie, a sekundę później znalazł się w procesorze neuronowym Elliota Ramireza.

Zobaczył wewnątrz rotundy oczami Latynosa, poczuł jego zdumienie, gdy Meduza umieściła w jego mózgu wirusa. Elliot przestał udawać, że kontroluje lot statku, i zaczął się obracać, podskakiwać w miejscu i przechylać, jakby jeździł na łyżwach. Swietłana Moriakowa przyglądała się z otwartymi ustami tym ewolucjom, a potem parsknęła głośnym śmiechem.

Tom spojrział na nią oczami Elliota, odczytał jej adres IP widoczny w głowie Latynosa, a potem uderzył. Przedarł się do umysłu

Swietłany, która raptem zaczęła mówić różnymi językami. Poczuł, jak dziewczyna się czerwieni, gdy z jej ust wyrwał się okrzyk: „Pożrę wasze dusze!”. Widział też jej oczami, jak widzowie spoglądają po sobie, zdumieni zachowaniem tych dwojga młodych ludzi.

Wrócił do swojego statku, gdy ten wyrwał się w końcu z objęć burzy. Czuł, jak świadomość Meduzy podąża za nim i próbuje przejąć kontrolę nad jego okrętem. Wiedział, że chce się dostać do chwytaków, zmusić go, by wypuścił satelitę, zrzucił go do oceanu, zniszczył, nim uda mu się wygrać.

Nagle tknęła go pewna myśl. Skoro jego przeciwniczka mogła przeniknąć do procesora neuronowego Elliota, a on do mózgu Swietłany, to dlaczego nie

miałby sięgnąć także i do umysłu Meduzy? Przestał walczyć o chwytaki i przeniósł się do jej statku. Kiedy się z nim łączył, Meduza również przeniosła tam swoją świadomość, gotowa do obrony.

Ale Tom wcale nie chciał przejąć kontroli nad jej okrętem. Był to jedynie pozorowany manewr, który miał odwrócić jej uwagę.

Wniknął w połączenie między statkiem a procesorem neuronowym Meduzy przesyłającym informacje gdzieś z Ziemi. A nawet z Waszyngtonu, jak się okazało. Jego świadomość sięgnęła do internetowego systemu zabezpieczeń, odszukała go, a potem przeskoczyła do systemu ochrony w chińskiej ambasadzie. Patrzył okiem kamery, a jego ludzki umysł doszukiwał się sensu w megapikselach tworzących obraz dziewczyny.

Na pierwszy rzut oka wyglądała dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał – jedwabiste czarne włosy, pełne usta, drobna, delikatna

twarz. Potem kamera ustawiła się pod innym kątem i Tom wszystko zrozumiał. Wiedział już, dlaczego wybrała sygnał wywoławczy Meduza.

Mityczny potwór tak odrażający, że ludzie umierali na sam widok jego oblicza...

Druga strona twarzy dziewczyny wyglądała jak pokryta kraterami powierzchnia Księżyca; wybrzuszała się wokół oka. Fragmenty skóry o różnych odcieniach pokrywały czaszkę w miejscu, gdzie podczas jakiegoś strasznego wypadku ogień spalił włosy Meduzy. Jej usta i nos traciły nagle swój zwykły kształt, jakby wtopiły się w resztę twarzy. Tom przełknął głośno, zapominając na moment o walce i wpatrując się z niedowierzaniem w oszpeconą dziewczynę, która tak go opętała.

Wiedział, jak wygrać.

Prawie nie mógł się na to zdobyć. Prawie. Bo był bezwzględny, tak. Zdobyta wiedza mogła się okazać skuteczną bronią tylko dlatego, że Meduza go lubiła i wiedziała, że on lubi ją. Ta myśl niemal skłoniła go do zmiany zdania. Miał świadomość, że przekracza linię, za którą już nigdy nie będzie mógł wrócić.

Inna część umysłu Toma zdawała sobie sprawę z tego, że jego statek zmierza w stronę Waszyngtonu, i wyczuwała, że powoli traci nad nim kontrolę na rzecz Meduzy, która wnikała coraz głębiej w system sterowniczy. Wiedział, że pędzą ku ziemi i że jedno z nich wygra ten pojedynek – a on nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Gdyby przegrał, znalazłby się w ślepym zaułku. Marsh chciał, aby był bezwzględny, okrutny, lecz Tom nigdy nie czuł się jak ktoś naprawdę bezlitosny – aż do tej chwili.

Skoczył więc prosto do jej gardła i je rozszarpał.

„Teraz już wiem, dlaczego nazywałaś się Meduzą”.

Nie musiał tego mówić. Po prostu skierował na nią kamery i pozwolił, by poczuła ten ruch. Oszepecona dziewczyna z chińskiej ambasady powróciła do swego ciała na chwilę, tylko po to, by otworzyć oczy i spojrzeć w stronę kamer. Jej twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia.

Tom wiedział, że zachował się właśnie tak bezwzględnie, jak oczekiwał tego od niego generał Marsh.

Niemal poczuł krzyk przenikający przez świadomość, która się z nim stykała, uderzenie wściekłości i upokorzenia sięgające do jego wnętrza. Mógłby przysiąc, że myśli Meduzy krzyczały w jego głowie.

„Zepsułeś to! WSZYSTKO ZEPSUŁEŚ!”.

Zrozumiał, co zamierza zrobić Meduza, nim jeszcze jej świadomość opuściła jego umysł, wróciła do statku. Zrozumiał, że tym razem nie uratuje go żaden unik. Rzuciła się na niego w szaleńczym samobójczym ataku, kiedy jego okręt zbliżał się do trawnika przed Instytutem Smithsona. Tom zdał się na los, otworzył chwytaki i rzucił satelitę w momencie, gdy statek Meduzy uderzył w jego maszynę.

Otoczyła go ciemność.

Otworzył oczy i wyrwał wtyczkę kabla z pnia mózgu.

Siedział w ukrytym pokoju, obok nieprzytomnego Nigela, przed wielkim ekranem, na którym widniał obraz z rotundy. Tłum zastygł w bezruchu, Elliot nie wykonywał już figur łyżwiarskich, a Swietłana nie wrzeszczała jak opętana. Wszyscy wpatrywali się w ekran nad ringiem i zastanawiali, czy satelita także został zniszczony w zderzeniu.

Wtedy na ekranie pojawił się obraz sprzed Instytutu Smithsona, gdzie obok dogasających resztek dwóch statków leżał stary satelita – dymiący, lecz nietknięty.

Udało mu się. Wygrał.

Indo-amerykańska grupa zerwała się z miejsc, krzycząc radośnie i bijąc brawo. Elliot machał do nich, giął się w ukłonach i pławił w powszechnym uznaniu. Był to jego najlepszy występ w roli fałszywego zwycięzcy.

Tom siedział nieruchomo, rozmyślając o dziewczynie, którą właśnie upokorzył. O dziewczynie, której skradł najskrytszy sekret. O największym wojowniku świata, Achillesie, którego trafił w piętę.

Nie mógł zapomnieć widoku ciemnych przerażonych oczu Meduzy.

---

[21](#) W teorii gier gra o sumie zerowej to szczególny przypadek gry o sumie

stałej, a więc takiej, w której zysk jednego gracza oznacza stratę drugiego.



## Rozdział 33

# PO SZCZEBLACH KARIERY

Generał Marsh kazał mu poczekać z Nigelem, aż rotunda opustoszeje, by mogli dyskretnie opuścić budynek. Tom upewnił się, że Anglik nadal jest nieprzytomny – i że ma wyczuwalny puls – po czym opadł na swoje krzesło. Czuł ogromną ulgę, a zarazem wstyd i przerażenie wywołane świadomością tego, co uczynił przed momentem. Robiło mu się niedobrze na samą myśl o tej podłości i być może właśnie dlatego z trudem zdobył się na szyderczy uśmiech, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Roderick.

– Pewnie już słyszałeś o Nigelu – przywitał go Tom.

– Cicho. – Roderick zamknął drzwi kopniakiem.

Prawa powieka mężczyzny drgała, jakby zaraził się nerwowym tikiem od Nigela. Tom przyglądał się temu z ponurą satysfakcją.

– Dostaniesz zaraz wylewu?

– Zdziwiasz mnie, Tom. – Roderick podszedł bliżej i stanął nad chłopcem z groźną miną. Tom śmiało patrzył mu prosto w oczy; ten pokaz siły nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. -

Mieszkaś w Pentagonie, a nikt nie powiedział ci jeszcze o doktrynie „wzajemnego zagwarantowanego zniszczenia”.

– Wcale nie wzajemnego. Mój kumpel Nigel... – Tom obrócił się na krześle, odsłaniając nieprzytomnego chłopca – ...powiedział mi parę bardzo ciekawych rzeczy.

Roderick wciągnął głośno powietrze.

– Tak, tak. – Tom pokiwał głową. – Wspomniał na przykład, że to ty namawiałeś go do ujawnienia nazwisk i adresów IP członków KomCa. Zdaje się, że wymyślono już nazwę dla takiego postępowania. Domyślasz się, jakie to słowo? Tak, oczywiście. Zdrada.

– Nie możesz mi niczego udowodnić. – Roderick uśmiechnął się chytrze. – Wyrwę mu z głowy procesor i nie będzie nawet pamiętał, jak się nazywa.

– Dobrze więc, że ja też mam taki procesor. Wiesz, co się z tym wiąże? Ułożone chronologicznie wspomnienia, które można odtwarzać jak film...

I łatwy dostęp do analizatora pamięci.

Roderick cofnął się o krok, a Tom obserwował z satysfakcją grę emocji na jego twarzy, jakby duma walczyła w nim z pragnieniem jak najszybszej ucieczki.

– Jesteś okropnym niewdzięcznikiem. Złożyłem ci propozycję, która mogła stać się twoją życiową szansą.

Tom parsknął śmiechem.

– Propozycję? Jesteś pewien, że użyłeś właściwego słowa? Bo ono oznacza chyba możliwość wyboru, prawda?

– Musiałem zrobić to wbrew twojej woli. Byłeś zbyt głupi, żeby dobrowolnie z nami współpracować. Gdybyś mnie posłuchał, mógłbyś być drugim Elliotem Ramirezem, rozumiesz?

Tom spojrzął na obraz z rotundy, gdzie Elliot ścisnął dłonie różnych ważnych osób i wymieniał z nimi uprzejmości. Pokazywał wszystkim taką samą twarz, skrętnie ukrywając prawdziwe uczucia; robił to, czego chcieli od niego wojskowi. Prowadził grę. Elliot potrafił to robić: uśmiechać się do wszystkich, nie sprzedając jednocześnie własnej duszy.

Ale Tom nie byłby w stanie pójść w jego ślady. Nigdy nie mógłby grać tej roli.

Teraz już wiedział, co miał na myśli Elliot, mówiąc, że czasami trzeba odrzucić część siebie, by wygrać. Rozumiał, jak bezsensowna może się wydawać ta ofiara. Może uratował siebie, Yuriego i Wyatt, kiedy rozszarpał gardło Meduzy, lecz smak zwycięstwa był gorzki, a na samą myśl, że miałby wyjść na zewnątrz i uśmiechać się do ludzi, których nie cierpi, robiło mu się niedobrze. Nie mógł tego zrobić. Nie był w stanie. Nie chciał być kimś naprawdę ważnym, jeśli musiałby w związku z tym wyprzeć się samego siebie i przebywać w towarzystwie ludzi takich jak Roderick.

– Elliot jest w porządku – stwierdził w końcu, kolejny raz zaskakując Rodericka. – Ale nigdy nie chciałbym być na jego miejscu.

– Każdy chce być Elliotem Ramirezem – parsknął Roderick. – Jeśli wydaje ci się, że tego nie chcesz, to jesteś równie głupi jak twój ojciec.

– Mój tata nie jest głupi.

– Owszem, jest. – Roderick uśmiechnął się paskudnie. – Wiem o nim wszystko. Nie może znaleźć porządnej pracy, więc wmawia

sobie, że jest buntownikiem, że ma w nosie całe społeczeństwo. Nie potrafi do niczego dojść, dlatego udaje, że mu nie zależy. Ale ja wiem, że to wszystko bzdury. Brutalna prawda jest taka, że każdy chciałby być Elliotem Ramirezem.

Tom wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Roderick nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś może chcieć od życia czegoś innego niż on. Ale czy

rzeczywiście powinien się temu dziwić? Człowiek pokroju Rodericka nigdy nie będzie w stanie zrozumieć kogoś takiego jak ojciec Toma. Neil miał różne wady. Wiele, wiele wad. Był nerwowym, impulsywnym pijakiem, beznadziejnym i nieodpowiedzialnym rodzicem, owszem, ale niektóre rzeczy widział o wiele wyraźniej niż reszta społeczeństwa. Nie dał się wciągnąć w tę grę pozorów, jaką było budowanie własnego wizerunku, nie pragnął władzy. Nie zginał pokornie karku i nie akceptował myśli, że jest niewolnikiem społeczeństwa silniejszego od niego. Choć życie nie szczędziło mu razów, nigdy nie dał się „zaprząć do jarzma korporacyjnej niewoli”. Był na to zbyt uparty, zbyt dumny.

Po raz pierwszy Tom uświadomił sobie, że jest to postawa godna podziwu. Że trzeba mieć ogromną odwagę, by dokonać takiego wyboru, by kroczyć ścieżką, na którą inni nie odważą się wejść.

Nagle zrozumiał rzeczy, których do tej pory nie potrafił dostrzec. Nie żywił już nienawiści do Rodericka, nie pragnął się na nim mścić. Ten mężczyzna musiał przeżyć całe życie jako Roderick Cohagen – spotkał go los gorszy od najgorszej kary, jaką mógł wymierzyć mu Tom.

Wstał z krzesła. Chciał tylko usunąć Rodericka ze swojego życia. Na zawsze.

– Moja propozycja jest prosta. Trzymaj się ode mnie z daleka, jasne? Nigdy więcej się nie zobaczymy. Trzymaj się też z daleka od moich przyjaciół. Najlepiej nie pokazuj się w ogóle w Wieży. I nie próbuj już grzebać w mózgach elewów. Zostaw w spokoju nawet Karla, choć właściwie sobie na wszystko zasłużył. Biedak zaczyna żelować włosy i wylewa na siebie całe butelki wody kolońskiej. Powiem ludziom z Pentagonu, żeby poszukali oprogramowania Montando w jego procesorze. A jeśli chodzi o mojego ojca – dla ciebie już nie istnieje. Nigdy więcej nie wymawiaj jego imienia.

Roderick przyjrzał mu się podejrzliwie.

– To wszystko?

– Tak. Dotrzymasz tych warunków, a nie wyślę nikomu kopii moich wspomnień. Ale jeśli nie dotrzymasz słowa, umieszczę je w internecie. Przysięgam, że to zrobię.

– Zgoda. Umowa stoi. – Roderick wyciągnął do niego rękę. – To jak, pogodzimy się?

Tom odwrócił się do niego plecami.

– Nie podam ci ręki, Roderick. Po prostu idź sobie stąd.

\* \* \*

Tom, jak wszyscy pozostali elewowie spoza Kompanii Camelotu, był tajemnicą

państwową, nie mógł więc wyjść z ukrytego pokoju, dopóki Kapitolu nie opuścili przedstawiciele państw i korporacji spoza sojuszu indo-amerykańskiego. Wkrótce tłumy gości się rozeszły, a w budynku pozostali jedynie nieliczni wojskowi i

urzednicy powiązani z Koalicją. Elliot siedział sam pośrodku rotundy. Żołnierze zabrali Nigela, lecz żaden z nich nie chciał wyjawić Tomowi, dokąd go prowadzą.

Starając się nie myśleć o losie, jaki może spotkać młodego Anglika, Tom przeszedł do sali i zatrzymał się przy Elliocie.

– Jak leci?

Kołnierz koszuli Ramireza był mokry od potu. Latynos obdarzył Toma drżącym uśmiechem.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że chciałbym walczyć samodzielnie podczas szczytów? Odwołuję to. Cieszę się, a właściwie ogromnie się cieszę, że mam zastępcę. – Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na ramieniu Toma. – Dobra robota, Tom.

Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hej, nie mógłbym wygrać, gdybyś dał się wcześniej zniszczyć. Obroniłeś się przed atakami Meduzy, stary. To już coś.

– Dzięki – rozpromienił się Elliot, wyraźnie zadowolony z tej pochwały. – Marsh powiedział mi o Nigelu. Uratowałeś sytuację, co? – Zachichotał pod nosem. – Jeden z moich kadetów uratował nas wszystkich.

– Sam nie dałbym rady. Nigela unieszkodliwił wirus Wyatt. Chciałem oszukać Meduzę, ale w końcu musiałem radzić sobie bez tego.

Elliot rozejrzał się dokoła, a potem nachylił do Toma i spojrzał mu z powagą w oczy.

– Działo się tutaj coś dziwnego. Nie umiem tego wytłumaczyć. Przysięgam, że na chwilę straciłem kontrolę nad swoim procesorem neuronowym. Zacząłem wykonywać różne łyżwiarskie na środku rotundy.

Tom parsknął.

– Tak. – Elliot przewrócił oczami. – Widzowie zareagowali w ten sam sposób. Ale to nie wszystko. Coś stało się też ze Swietlaną, bo zaczęła mówić różnymi językami. Wiesz coś o tym?

Tom wahał się przez moment, potem jednak uznał, że może wszystko wyjaśnić Elliotowi.

– Czasami, kiedy wchodzę do internetu, potrafię...

Nie dokończył zdania.

Elliot dojrzał coś za jego plecami, otworzył szerzej oczy i zerwał się na równe nogi.

– Panie poruczniku...

W tej samej chwili na ramię Toma opadła ciężka dłoń Ryzermana.

– Pójdiesz ze mną, Raines – rozkazał lodowatym głosem porucznik.

Tom aż zachwiał się ze zdumienia i przerażenia.

– Co? Nie!

Skąd w ogóle wziął się tutaj Ryzerman? Przecież przesłuchania za pomocą analizatora pamięci miały się już skończyć. Marsh miał się za nim wstawić. Powiedział, że to zrobi.

– Nie masz tu nic do gadania, kadecie. – Ryzerman zacisnął mocniej dłoń i pociągnął go za sobą. – Proszę wybaczyć, panie Ramirez.

Tom rozejrzał się po rotundzie, lecz tym razem nie dostrzegł nigdzie żołnierzy, którzy wspierali porucznika. Nie widział też Marsha. Czuł, jak ogarnia go coraz większa wściekłość, gdy Ryzerman pchał go w głąb ciemnego korytarza. Po co walczył z Meduzą, po co ją pokonał, skoro znów miał trafić w szpony analizatora?

Nie. Nie dopuści do tego. Zbyt wysoką cenę zapłacił za wolność.

Gwałtownym ruchem strącił z ramienia dłoń Ryzermana.

– Nigdzie z tobą nie pójde!

Porucznik przyparł go do ściany.

– Jesteś idiotą? – syknął zirytowany. – Widziałem tę walkę w telewizji. Widziałem zachowanie Elliota i Swietłany. Wiem, że to ty grzebałeś w ich procesorach. Po co tak obnosisz się ze swoją umiejętnością? A gdybym nie przyjechał prosto do Kapitolu? Chciałeś powiedzieć o tym Elliotowi Ramirezowi, właśnie jemu! Nie pomyślałeś, z kim on może podzielić się tą wiedzą?

Tom spojrzął na wykrzywioną furią twarz porucznika i coś sobie przypomniał. Co takiego powiedział Ryzerman, kiedy poznał jego sekret? „To szalenie niebezpieczne. Ludzie obdarzeni takimi zdolnościami mogliby osiąść cały świat”.

Nagle doznał olśnienia.

– A to by pana niepokoiło, prawda, poruczniku? Ta, jak ją pan nazywa, „umiejętność” jest naprawdę ważna. Dlatego właśnie chciał pan grzebać w moim mózgu. Możliwość przenikania do maszyn i komputerów to coś wyjątkowo cennego, mam rację?

– Jesteś wyjątkowym idiotą, jeśli dopiero teraz to zrozumiałeś.

– Może i jestem. – Tom nie mógł przejść obok niego, więc oparł się plecami o ścianę. Powoli opuszczał go strach, który ustępował miejsca pewności siebie i chłodnej kalkulacji. – Przyznaję, że nie jestem zbyt bystry, ale teraz wszystko już rozumiem. Boisz się, że ściągnę na siebie uwagę. Że pokażę, co potrafię,

Koalicji Międzynarodowych Korporacji... albo generałowi Marshowi?

Ryzerman wyraźnie pobladł.

– Hm, widzę, że naprawdę chciałbyś zachować to w sekrecie, co? – Tom zachowywał się z lekceważącą swobodą, sycił poczuciem władzy, które czerpał ze strachu Ryzermana. – Zdaje się, że odkryłem pański cel o dużym znaczeniu, prawda? Zastanawiam się, czy powinienem wyjść na środek rotundy i powiedzieć głośno, co potrafię. Powinienem, Ryzerman? Dobrze wiesz, że za tobą nie przepadam i że z chęcią przywaliłbym ci tam, gdzie naprawdę by cię zabolalo.

– Co to ma być, jakiś smarkaty szantaż? – Ryzerman pochylił się: jego oddech uderzał w nozdrza Toma. – Napisałem każdy znak kodu, który jest w twojej głowie, ty głupcze. Myślisz, że nie mógłbym się teraz włamać do twojego procesora i zmienić twojego podejścia?

– Pewnie mógłbyś. – Tom wiedział, że Ryzerman może to zrobić. Zgrzytnął zębami, kiedy przypomniał sobie, co się z nim działo, gdy porucznik uczynił to ostatnim razem. Potem spojrzał prosto w ciemne oczy swego oponenta. – Ale dlaczego uważasz, że to cokolwiek by zmieniło? Nie ja jeden umiem robić takie rzeczy.

Ryzerman cofnął się o krok.

– Nie ty jeden – powtórzył ze zdumieniem.

Wydawało się, że ta informacja pozbawiła porucznika pewności siebie, podcięła mu skrzydła. Inni ludzie, którzy podobnie jak Tom potrafią wnikać do maszyn. Chłopiec wykorzystał chwilę wahania Ryzermana i ruszył naprzód, obserwując z mściwą satysfakcją,

jak mężczyzna cofa się, zdezorientowany.

– Wiesz, co to oznacza, poruczniku, prawda? – spytał Tom, stając z boku. – To oznacza, że gdy tylko zechcę, mogę powiedzieć Marshowi albo na przykład Montando, jak „posiąść świat”. Jeśli mnie do tego zmusisz. A jeśli będziesz próbował mnie powstrzymać, zrobi to za mnie ktoś inny. To z kolei oznacza, że nigdy, ale to nigdy nie będziesz już ze mną zadzierał.

Ryzerman zmrużył oczy.

– Wydaje ci się, że wygrałeś, tak?

Na końcu korytarza pojawił się generał Marsh pogrążony w rozmowie

z przedstawicielem firmy Balliharton.

Tom nie odrywał spojrzenia od twarzy Ryzermana. Uśmiechnął się posepnie.

– Tak, właśnie tak mi się wydaje. Mógłbym zrobić to w tej chwili: podejść do nich i wszystko opowiedzieć.

– To nie będzie konieczne – wycedził porucznik przez zaciśnięte zęby. – Nie będę z tobą więcej „zadzierał”. Zejdź mi z oczu.

Tom pokręcił głową, przypominając sobie wszystkie krzywdy, jakie wyrządził mu Ryzerman, wszystkie upokorzenia, których doznał z jego strony.

– Nie. Nie tak to będzie wyglądało. Tym razem ja wygrałem. Obaj o tym wiemy. Tak więc to pan niech zejdzie mi z oczu, poruczniku.

Ryzerman zmierzył go morderczym spojrzeniem, potem jednak odwrócił się i odszedł. Tom patrzył za nim z ponurą satysfakcją, a jego pierś wypełniało poczucie triumfu.

Nie mógł uwierzyć, że czasami w życiu wszystko tak cudownie się układa.

\* \* \*

Zaraz po powrocie do Wieży Tom odbył rozmowę z Olivią Mastenson, która twierdziła, że z wycofaniem przez Neila pozwu należy poczekać jeszcze tydzień, do czasu spotkania Marsha z Komisją Obrony.

W końcu generał dostał zielone światło.

Tom spotkał się z psychoterapeutą, który zadał mu kilka pytań w rodzaju: „Czy w ciągu ostatnich trzydziestu lat rozważałeś popełnienie samobójstwa?”, „Czy kiedykolwiek jadłeś ludzkie mięso?”, „Czy masz nadzieję, że kiedyś to zrobisz?”, „Czy odczuwasz pragnienie zabicia dużej liczby ludzi?”. Ponieważ Tom nie był ani obłąkany, ani bezdennie głupi, bez trudu udzielał właściwych odpowiedzi. Potem został dopuszczony do programu. Tym razem oficjalnie.

Namówienie Neila do wycofania pozwu okazało się znacznie trudniejsze.

Ojciec Toma nie znał szczegółów, wiedział tylko, że jego synowi grozi w Wieży Pentagonu jakieś niebezpieczeństwo, a to wystarczyło, by obudzić jego gniew. Nawet słowo Olivii okazało się niewystarczające do tego, by wycofał pozew o przywrócenie opieki rodzicielskiej nad synem. Tom musiał spotkać się z nim w wirtualnej rzeczywistości, by omówić tę sprawę.

Chłopiec przypuszczał, że jako tło ich rozmowy Neil wybierze jakieś kasyno albo ulicę w Las Vegas, lecz gdy zalogował się do

sieci, ojciec czekał na niego na szczycie Mount Everest, zapatrzony w olbrzymie masywy górskie.

Tata wydał mu się starszy, niż go zapamiętał, jakby mniejszy na tle

niesamowitej scenerii. Mężczyzna odwrócił się, zaniepokojony, gdy usłyszał kroki Toma, i spojrzął na niego ze zdumieniem.

– Boże, czy to tylko awatar, czy ty rzeczywiście tak teraz wyglądasz?

Tom spojrzął na siebie.

– Sporo urosłem w ciągu ostatnich miesięcy.

– A twoja twarz... Proszę, proszę. – Neil podszedł bliżej. – Twoja cera... Zupełnie jakbym widział twoją matkę.

Dręczący niepokój opuścił wreszcie Toma. Zrozumiał, że rozmawia przecież z własnym ojcem i że wcześniej czy później uda im się dojść do porozumienia.

– Regularne kąpiele, tato. Nie uwierzyłybyś, jaki to ma wpływ na skórę. Dostałeś dziesięć tysiaków, które zostawiłem ci w Dusty Squanto?

Neil uśmiechnął się cierpko.

– Powiedz mi tylko, że człowiek, któremu je zabrałeś, zasłużył na to.

– Zasłużył, możesz być tego pewien.

Awatar Neila zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie Tomowi.

– Uśmiechnij się, Tom.

– Mam się uśmiechnąć? – zdumiał się Tom.

– Tak.

Chłopiec wykrzywił usta w uśmiechu.

– Unieś brwi – polecił Neil, wciąż nie spuszczając z niego wzroku.

Tom domyślił się od razu, dlaczego Neil o to prosi: podobnie jak w przypadku Elliota, którego oglądali razem w telewizji, twarz Toma wydała mu się zapewne podejrzana, jego mimika nienaturalnie regularna, co było wynikiem działania procesora neuronowego. Chłopiec dobrze wiedział, że za żadne skarby świata nie powinien mówić ojcu o komputerze w swojej głowie.

– To tylko awatar – skłamał. – Wyglądam inaczej niż zwykle, bo to sztucznie stworzony obraz. W rzeczywistości moja twarz jest trochę inna.

– Na pewno?

– Na pewno. Megapiksele zniekształcają obraz. To dość skomplikowane kwestie techniczne. Jeśli chcesz, wszystko ci wytłumaczę, ale wątpię, żebyś chciał tego słuchać – mówił Tom, choć w rzeczywistości nie znał się na technice.

Neil potarł z namysłem brodę.

– Poza tym i tak zawsze nienawidziłeś wirtualnej rzeczywistości – dodał Tom.

– Prawdziwy świat to paskudne miejsce – odrzekł jego ojciec. – Ale nie zamierzam od niego uciekać. Właśnie tak postępował twój dziadek: bardziej interesował go jakiś „World of Warcraft” niż własne dzieci. A teraz powiedz mi, Tom, czy jesteś pewien, absolutnie pewien, że... – Neil umilkł i wykonał



nieokreślony gest, lecz Tom dobrze wiedział, o co mu chodzi. Pytał o pozew.

– Tak, tato, jestem pewien, że powinienes wycofać ten pozew. Miałem kłopoty, ale wszystko już się wyjaśniło. Pani Mastenson zapewne trochę ci o tym opowiadała. Niestety, nie mogę zdradzić szczegółów. Ale chcę i mogę zostać w Wieży.

Neil zniżył głos do szeptu i podszedł bliżej, choć gdyby ktoś rzeczywiście ich podsłuchiwał, w wirtualnej rzeczywistości takie zabiegi nic by nie dały.

– Tom, jesteś całkiem pewien? Jeśli ci faceci z Pentagonu robią ci jakieś problemy, zajmę się tym. Wymyślę coś.

– Tato, naprawdę nie ma się czym przejmować. Twój pozew był dla mnie kartą atutową w jednej sytuacji. Można powiedzieć, że... – szukał przez moment odpowiedniego słowa, które Neil by docenił, a które zarazem nie ujawniłoby zbyt wiele – ...że blefowałem.

Neil rzeczywiście wydawał się uspokojony.

– Blefowałeś, tak?

– Tak, prowadziłem ryzykowną grę. I wygrałem.

Ojciec przyglądał mu się przez chwilę. Potem wykrzywił usta w porozumiewawczym uśmiechu.

– Chyba wiem, o co grałeś.

Tom także się uśmiechnął, ciekaw, jaką teorię wymyślił jego tata.

– Naprawdę?

Ojciec nachylił się do niego i znów zniżył głos do szeptu.

– Chciałeś walczyć podczas tego szczytu na Kapitolu, prawda?

Tom drgnął, zaskoczony.

– Co?

– Widziałem to w wiadomościach. Mówili o tym wszędzie, pokazywali nasze wspaniałe zwycięstwo. Od razu wiedziałem, że to nie ten Ramirez pilotował statek. Kiedy zobaczyłem, jak poleciał prosto na satelitę, zrozumiałem, że to mój chłopak.

– Jak... skąd... – zaczął Tom, po czym umilkł, uświadomiwszy sobie, że i tak zdradził zbyt wiele.

Neil zachichotał.

– Tysiące razy widziałem, jak grałeś w symulacjach. Myślisz, że nie wiem, jak działa twój mózg?

Tom wpatrywał się, oszołomiony, w rozpięty kołnierzyk koszuli ojca. Więc przez te wszystkie lata Neil podglądał jego grę. Obserwował go z ukrycia.

– Dostałem promocję – powiedział w końcu, choć sam nie wiedział, dlaczego

chce podzielić się z Neilem tą wiedzą.

– Promocję.

– Tak, do średnio zaawansowanych. To krok do przodu. Być może pewnego dnia to ja będę się krył za jednym z sygnałów wywoławczych, o których mówią w telewizji.

Neil odwrócił się i powiódł wzrokiem po surowym górskim krajobrazie.

– Pniesz się w górę – powiedział półgłosem, jakby do siebie.

Tom wpatrywał się posepnie w jego plecy, czekając na jakiś docinek o „służbie w korporacyjnej machinie wojennej”.

Ale Neil znów go zaskoczył, mówiąc:

– Szkoda, że nie będę tego widział.

Tom zaniemówił. Po prostu nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Odwrócił się więc i zapatrzył w przestrzeń, podobnie jak jego ojciec. Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu, a Tom czuł, jak narasta w nim bolesna tęsknota pomieszana z radością. Po raz pierwszy zrozumiał, że choć ojciec nie pochwała jego życiowych wyborów, to jest z niego naprawdę dumny.

## Rozdział 34

# WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY

– Cepowaty Głęb.

Vik wypowiedział te słowa kilka dni później, gdy czekali przed Salą La Fayette'a.

Tom spojrział na niego ze zdumieniem.

– Co to ma być? – spytał.

– To twoje nowe przezwisko – wyjaśnił Hindus.

Tom zmarszczył brwi. Długo oczekiwany męski odpowiednik Podłej Jędzy był dla niego zupełnie niezrozumiały. Ustawieni w rzędach elewowie ruszyli równym krokiem do wejścia. Tom siedł z nimi, skonsternowany, bo jego mózg nie znał żadnego z tych słów. Co znaczy „cepowaty”?

– Nie masz tego w swoim procesorze? – wyszczerzył się w uśmiechu Vik, gdy przekraczali próg sali. – Wybrałem to właśnie dlatego.

Tom nie mógł mu odpowiedzieć, bo weszli do środka i maszerowali gęsiego między rzędami ławek i krzeseł. Na podium czekali na nich generał Marsh, major Cromwell i porucznik Ryzerman.

Pozostali elewowie stali na baczność przed swoimi ławkami w oczekiwaniu na uroczystość.

Kiedy mijali Yuriego, Tom spojrział na niego porozumiewawczo, a Rosjanin odpowiedział mu uśmiechem. Choć Yuri starał się tego nie okazywać, bez wątpienia zasmucała go świadomość, że ze względu na swoją narodowość nie ma żadnych szans na awans i przejście do wyższej grupy. Tom pozdrowił go lekkim uniesieniem brwi, a potem przybrał oficjalną minę, jaką należy pokazywać podczas tego rodzaju uroczystości. Kiedy zerknął na Vika, przekonał się, że ten robi to samo – Hindus wykrzywił twarz z takim przejęciem, jakby cierpiał na zatwardzenie.

Stanęli w równym szeregu przed sceną, a Marsh rozpoczął długie przemówienie o patriotyzmie. Major Cromwell raz po raz opuszczała i podnosiła

szybko powieki, jakby zmagająca się ze snem, a Ryzerman przez całą ceremonię wpatrywał się z wściekłością w Toma.

Kiedy generał wreszcie skończył przemawiać, a kadeci wyszli na scenę, najlepsi muzycy pośród elewów odegrali marszową melodię. Większość z nich rekrutowała się z Oddziału Hannibali, więc Tom wcale się nie dziwił, że marsz przybrał wyjątkowo pompacyjny ton, kiedy to Wyatt stanęła przed Ryzermanem, by odebrać od niego chip neuronowy z nowym oprogramowaniem, a potem przyjęła od major Cromwell nową odznakę.

Z najwyższym trudem zachował powagę, gdy w końcu padło jego nazwisko, a Ryzerman zacisnął szczęki w grymasie tłumionej wściekłości. Bez słowa wcisnął chip w dłoń Toma, który tylko cudem zdołał powstrzymać drżenie ust.

Dostrzegł wyraz aprobaty na twarzy Marsha, a nawet błysk satysfakcji w oczach Isabel Cromwell, gdy ta przypinała mu odznakę do munduru.

Tom wrócił do szeregu, a na scenę wyszedł Vik, który jako ostatni odbierał świadectwa promocji. Dumę malującą się na jego twarzy przyćmiewała nieco pamięć o sekrecie, który dzielił z Tomem, Yurim i Wyatt. O zdradzie, której się razem dopuścili. Tom przeniósł wzrok na pierwszy rząd, gdzie stali członkowie Kompanii Camelotu. Karl wydawał się ponury i naburmuszony, lecz gdy Elliot dźgnął go łokciem pod żebra, zaczął klaskać najmocniej i najgłośniej ze wszystkich. Heather obdarzyła Toma powłóczyстым spojrzeniem, które niemal wbiło go w ziemię. Vik wpadł na niego z tyłu i przypomniał, że powinien maszerować w rytm muzyki, która odprowadzała ich do wyjścia.

Gdy tylko znaleźli się w głównym holu, pod skrzydłami olbrzymiego złotego orła, Tom trącił przyjaciela łokciem, chcąc jak najszybciej zetrzeć z jego twarzy wyraz z troskania.

– Daj spokój, stary, głowa do góry. Doktorzy Śmierci nie przejmują się pierdołami.

Vik odwrócił się do niego i odparł ściszym głosem:

– Tom, a jeśli za dziesięć lat dowiemy się, że Yuri jednak był szpiegiem? To się zdarza, a my wyjdziemy na idiotów.

– Nawet jeśli, to przecież ja cię namówiłem, żebyś to zataił. Więc to ja jestem tutaj idiotą.

To stwierdzenie najwyraźniej udobruchało Vika.

– Oczywiście, że to ty jesteś idiotą. Jesteś Cepowatym Głębem.

– Czyli kim? – spytał z irytacją Tom.

– Durniem – dobiegł ich zza pleców głos Wyatt, która wraz z Yurim i pozostałymi elewami weszła do holu. – Tępy idiotą.

– Naprawdę? – oburzył się Tom. – Hej, stary!

– Po prostu musiałaś mu to powiedzieć, tak, Podła Jędo? – jęknął Vik.

Yuri wziął Wyatt za rękę.

– Mamy wolne do wieczora. – Uśmiechnął się do dziewczyny, zapatrzony w nią niczym pies w swojego pana. – Powinniśmy wybrać się razem na kolację. Pogrzebałem trochę w internecie i znalazłem odpowiedni zwyczaj na tę okazję. Nazywa się otrzęsiny.

Wyatt zmarszczyła brwi.

– Otrzęsiny? Chodzi o to, że kupujesz nam picie, a potem wrzucasz nas do wody?

Uśmiech zniknął z twarzy Yuriego.

– Słyszałaś o tym.

– Czytałam. Ale nie będziesz wrzucał nas do wody, wybij to sobie z głowy.

– Tak, widziałeś, jak wygląda woda w okolicach Waszyngtonu? – dodał Tom. – Mielibyśmy dzieci z pięcioma rękami.

Vik pochwycił go za ramię, tknięty jakąś myślą.

– Tom... pomyśl tylko! Mogliby tworzyć jednoosobowe zespoły.

Tom natychmiast zaczął analizować ten pomysł. Po jednej ręce na instrument...

– Nie! – kategorycznie ucięła te rozważania Wyatt. – Żadnych pięciorekich dzieci ani wrzucania do wody. Ale tak czy inaczej kupisz nam napoje, Yuri. – Ton jej głosu nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

Kiedy przyjaciele poszli na górę, by przebrać się w cywilne ubrania, Tom stał jeszcze przez chwilę w holu i patrzył na złotego orła. Nie mógł uwierzyć, że kiedy przyszedł tu pierwszego dnia, miał wrażenie, jakby ten ptak patrzył na niego z gniewem i potępieniem. Wydawał mu się wtedy przerażający. Cała Wieża go onieśmiałała. Teraz wszystko postrzegał jako mniejsze. A może po prostu to on urósł.

Jakiś cień przemknął po marmurowej posadzce za jego plecami. Odwrócił się szybko i zobaczył bursztynowe oczy i pełne usta wygięte w zalotnym uśmiechu.

Mózg Toma natychmiast przeszedł w stan bliski topnienia.

– Heather.

– Gratulacje, Tom. Wiedziałam, że daleko zajdziesz.

– Masz na myśli średnio zaawansowanych? – Tom dotknął nieśmiało nowych insygniów. – Dzięki.

– Nie, mówię o czymś innym – odpowiedziała z błyskiem w oku, a Tom zrozumiał, że ma na myśli zwycięstwo podczas szczytu. – Wygląda na to, że wkrótce spotkamy się w Kompanii Camelotu.

Tom wyprostował się i spojrzał jej w oczy, oszołomiony tą myślą. Rzeczywiście, teraz wydawało się to niemal pewne. Zachowanie Marsha na scenie, jego reakcja, przyjaźń Elliota, a teraz to... Prawie osiągnął już cel. Teraz była to tylko kwestia czasu.

– Wiem, że wychodzisz z przyjaciółmi, ale może znajdziesz jeszcze chwilę? – Heather podeszła bliżej, nie spuszczać z niego wzroku. – Pomyślałam, że tym razem ja postawię ci latte. Wiesz,

żeby ci pogratulować i uczcie ten dzień. – Przewróciła oczami, wypuszczając głośno powietrze, które wzburzyło jej ciemną grzywkę. – Oczywiście poproszono mnie też, żebym porozmawiała z tobą w imieniu mojego sponsora Wyndham Harks, ale tak naprawdę... – Znów obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. – Chciałabym po prostu trochę z tobą побыć.

Zalotny błysk w jej oczach ośmielał Toma, zachęcał go do zrobienia czegoś zuchwałego. Mimowolnie wstrzymał oddech, uświadomiwszy sobie, jak blisko przysunęła się Heather – na tyle blisko, że czuł zapach jej szamponu. Kokosowego, tak, bez wątplenia. Zapraszała go na randkę czy próbowała się z nim zaprzyjaźnić, bo była pewna, że kiedyś zostanie członkiem Kompanii Camelotu? I czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Była tutaj, prosiła, żeby coś z nią zrobić...

Ale myśli Toma biegły wciąż ku czemuś innemu. Ku komuś innemu.

Wziął głęboki wdech i powiedział:

– Muszę jeszcze coś zrobić. Innym razem, Heather.

\* \* \*

Tom nie wiedział, dlaczego tym razem miałyby być inaczej. Od czasu szczytu codziennie wchodził do wirtualnej rzeczywistości. Nie miał pojęcia, dlaczego właściwie było to dla niego takie ważne, dlaczego tak bardzo liczył na spotkanie. Zdawał sobie sprawę z tego, że zniszczył to, co rodziło się między nim i Meduzą, a nawet jeśli nie... Jeśli nie zepsuł wszystkiego... Ta śliczna Chinka, której

obraz stworzył w swoim umyśle, nie istniała. Wiedział o tym. Teraz znał jej prawdziwy wygląd, ale...

Może trudno mu było zrezygnować z czegoś takiego. Kiedy zamykał oczy, wciąż widział jej fantastyczne walki, genialne posunięcia.

Nadal pamiętał tamten pocałunek.

Nie krył się już wcale ze swoimi internetowymi wizytami. Dzięki wydarzeniom ze szczytu na Kapitolu znalazł się poza zasięgiem Ryzermana.

W ciągu ostatnich kilku dni zaczął otrzymywać wiadomości z gratulacjami, a nawet prezenty od przedstawicieli korporacji powiązanych z Indo-Ameryką – jedynych osób, które wiedziały, że to właśnie on pokonał największego wojownika świata.

Zalogował się do sieci we własnej kwaterze i rozpoczął poszukiwania. Przed wejściem do starych symulacji zajrzał do portalu Zakazane Miasto. Nie znalazł tam żadnych wiadomości, przeniósł się więc do świata Sygurda i Brunhildy. Kamienny zamek stał pusty, królowa Islandii nie czekała na niego z mieczem w dłoni, gotowa do ataku. Nie znalazł też nikogo w starej grze fabularnej z egipską królową i ogrem. Przybity i gotowy na kolejne rozczarowanie, wszedł do symulacji renesansowej Anglii i wcielił się w postać tego świata.

Ponownie znalazł się naprzeciwko niej.

Stała przy tronie, odwrócona do niego plecami, otoczona przez usłużnych dworzan. Tom patrzył na nią z drżącym sercem. Zerknął szybko na swoją postać, a symulacja poinformowała go, że jest Robertem Devereux, hrabią Essex. Kiedy Meduza w końcu się odwróciła, Tom ujrzał przed sobą nie śliczną rudowłosą księżniczkę, lecz pomarszczoną sześćdziesięciosiedmioletnią królową

Elżbietę I”, jak poinformował go program. Jej usta wykrzywiły się w ponurym grymasie, a ciemne oczy błyszczały jak wypolerowany onyks.

Tom zamknął powieki, czytając informacje, które pojawiły się w jego głowie.

Młody hrabia Essex przypochlebiał się znacznie starszej królowej Elżbiecie i flirtował z nią. Wykorzystał jej względy i ją zdradził. Kiedy zaczął popadać w niełaskę, pewnego ranka pokonał strażę i wdarł się siłą do jej komnaty. Wszedł tam, gdy królowa dopiero przygotowywała się do wyjścia, i zobaczył jej pomarszczoną twarz oraz siwe włosy, których nie ukryła jeszcze pod peruką. Wszelkie pozory łączącego ich uczucia legły w gruzach. Wkrótce potem królowa kazała ściąć hrabiego.

Tom uniósł powieki i spojrzał jej śmiało w twarz.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– A cóż takiego mógłbyś mi powiedzieć? – odrzekła lodowatym tonem.

Był na to przygotowany. Poruszył palcami, przywołując odpowiedni obraz pobrany z bazy danych Wieży. Postać hrabiego Essex zniknęła bez śladu; zastąpił ją wizerunek Toma Rainesa, który kilka miesięcy wcześniej pierwszy raz przekroczył próg Wieży: niskiego chudego dzieciaka z okropnym trądzikiem, zgarbionego i zahukanego. Tom stanął przed Meduzą jako ten właśnie chłopiec – chłopiec, którego nigdy nie miał jej pokazać – po czym rozłożył szeroko ręce, by zaprezentować jej się w pełni swojej... hm, w pełni swojej bylejakości.

– Tak właśnie wyglądam w rzeczywistości – oznajmił. – Podoba ci się?

– Wcale tak nie wyglądasz – odparła gorzko.

Meduza poruszyła dłonią, odmieniając własną postać, a Tom ledwie rozpoznał chłopca, który pojawił się w miejscu królowej.

Tym chłopcem był on sam. Współczesny Tom. Znacznie wyższy młodzieniec o gładkiej skórze i zimnych niebieskich oczach, który stał wyprostowany w niedbałej pozie kontrolowanej przez procesor neuronowy; młodzieniec o mięśniach wyrzeźbionych podczas wyczerpujących ćwiczeń fizycznych i twarzy, która emanowała pewnością siebie.

Tom wpatrywał się w swoje alter ego, jakby patrzył na całkiem obcą osobę.

– Kiedy mnie widziałas? – spytał powoli.

– Zerknęłam na kamery ochrony w Klubie Beringera.

Tom uniósł brwi: czyżby nie dostrzegąła niekonsekwencji we własnym postępowaniu?

– No dobrze, może i jestem hipokrytką, ale to niczego nie zmienia. – Meduza opadła ciężko na tron. – Wiesz, że nie możesz tego zrobić. Nie możesz wykonać takiego ruchu, zachować się jak ostatni łajdak, a potem przychodzić tu i uśmiechać się jak gdyby nigdy nic.

– Chciałem to naprawić.

– Więc pozwól mi cię nienawidzić.

Tom głośno wciągnął powietrze. Może nie powinno go to obchodzić. Nie powinno, a jednak obchodziło. Czul się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

Meduza poruszyła palcem i Tom przybrał swój nowy, prawdziwy wygląd, zaś ona sama zmieniła się w dziewczynę, którą widział przez moment w chińskiej ambasadzie. Na ten widok chłopiec poczuł ucisk w żołądku. Targały nim sprzeczne pragnienia:

z jednej strony chciał odwrócić wzrok, a z drugiej – gapić się na tę oszpeconą twarz. Nie poddał się jednak żadnemu z tych impulsów. Ale nie mógł przestać myśleć o oczach Meduzy, szczególnie tym wylupiastym, otoczonym resztkami spalonej skóry. Nie mógł sobie wyobrazić normalnego życia z takim wyglądem. Z twarzą potwora. Przełknął ciężko.

– Nie próbowałaś kiedyś... no wiesz... – odchrząknął i wyrzucił z siebie: – ...czegoś z tym zrobić?

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, obserwowała nerwowe grymasy, sama zachowując kamienny spokój.

– Osiem operacji. Pięć przeszczepów skóry, dwa twarzy. Po operacji mózgu miałam dość. Skończyłam z tym. Było dobrze, dopóki ty się nie pojawiłeś.



Dopóki nie pozwoliłeś mi udawać, że mogę być normalna.

Te słowa ostatecznie go pognębiły.

– Przepraszam – wyszeptał.

Nie mógł się zdobyć na nic innego. Meduza wzruszyła ramionami. Wstała z tronu i się odwróciła.

– Nie mam do ciebie żalu.

Ruszyła do drzwi ukrytych w ścianie naprzeciwko. Tom wiedział, że kiedy przez nie przejdzie, już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Zrobił krok w jej stronę.

– Musiałem wygrać. Musiałem. Uważali mnie za zdrajcę, więc gdybym nie wygrał... gdybym nie wygrał, miałbym kłopoty. Daj spokój! Przecież nie mogłem cię poprosić, żebyś dla mnie przegrała!

W milczeniu popatrzyła na niego przez ramię. Jej zdrowe oko lśniło w półmroku.

– Może bym to zrobiła.

Tom przełknął głośno.

– Nie zrobiłabyś. Ludzie nie robią takich rzeczy.

– Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Tylko jedno małe ostrzeżenie, Mordred: kiedy spotkamy się w kosmosie, przywalę ci tak, że nawet ja będę przy tobie wyglądać jak ślicznotka.

Niepokój dręczący Toma ulotnił się nagle bez śladu. W tych słowach kryła się obietnica, choć może Meduza naprawdę traktowała je jak groźbę – tak czy inaczej, mieli się jeszcze spotkać.

Tom czuł, jak jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu. Gotów był przyjąć tę propozycję w ciemno.

– Jasne. Spróbuj tylko.

Meduza również odpowiedziała mu wyzywającym uśmiechem. Przez sekundę znów ją rozpoznał na jakimś głębokim, nieokreślonym poziomie, jak wtedy, gdy zobaczył ją pod postacią Brunhildy, w hełmie Achillesa albo w statku manewrującym w przestrzeni kosmicznej – a potem zniknęła.

Otoczyła go ciemność. Wyjął kabel i z powrotem znalazł się w Kwaterze Stonewalla, w Wieży Pentagonu. Choć patrzył na sufit, wciąż miał przed oczami niebezpieczny uśmiech Meduzy.

Ktoś załomotał w drzwi, a potem do pokoju wpadli Vik, Yuri i Wyatt.

– Chodź wreszcie, umieramy z głodu – powiedział Vik.

– Jeszcze dziesięć minut, a skorzystamy z rady twojego psychiatry i zjemy kogoś z tu obecnych.

– Zgadza się. – Yuri uderzył ręką w łóżko Toma. – I to nie będę ja, Tom, bo ja płacę za napoje.

Vik skinął głową.

– Nie będzie to również Wyatt, bo wyszlibyśmy na wyjątkowych durniów, gdyby świat poznał nas jako trzech facetów, którzy zabili i zjedli dziewczynę. Ja też nie wchodzę w grę, bo to był mój pomysł, a beze mnie nie wymyślilibyście już nic ciekawego. Zostajesz więc ty, Tom. Śmierć z rąk indo-ruskich kanibali. Beamer byłby zachwycony.

– Indo-ruskich? – powtórzyła Wyatt. – Więc ja nie będę mogła zjeść Toma z wami?

Vik spojrział na nią z politowaniem i irytacją.

– Daj spokój, Enslow Pomyśl tylko trochę. Oczywiście, że zjesz z nami Toma. Śmierć z rąk amerykańsko-indo-ruskich kanibali po prostu nie brzmi dobrze. Za dużo słów.

Wyatt uśmiechnęła się pod nosem. Bez wątpienia cieszyła ją myśl, że należy do ich paczki – nawet jeśli wkrótce mieli się zamienić w stado okrutnych ludożerców.

Tom popatrzył na ich uśmiechnięte twarze i także się uśmiechnął. Rok temu nie przyszłoby mu do głowy, że ma przed sobą przyszłość. Nie przyszłoby mu do głowy, że będzie miał przyjaciół.

I z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że będzie musiał powiedzieć:

– Ejże, nie pozwolę, żebyście mnie zabili i zjedli. Jestem gotowy do wyjścia.